

JÓZEF IGNACY KRASZEWSKI

---

# Brühl

JÓZEF IGNACY KRASZEWSKI

## *Brühl*

## *Brühl*

OPOWIADANIE HISTORYCZNE

I

Pięknym wieczorem jesiennym, o słońca zachodzie, ostatnie trąbki zwołujące myśliwych odzywały się w lesie z jodeł i buków starych złożonym. Szerokim gościńcem przerynającym puszcę odwieczną, ciągnęły wielkiego dworu łowieckie oddziały, po bokach ludzie z oszczepami i sieciami; konni w zielonych sukniach ze złotymi galonami i kapeluszach z piórami czarnymi: środkiem strojne towarzystwo i wozy ze zwierzyną, zielonemi gałęziami umajoną. Łowy musiały pójść bardzo szczęśliwie, gdyż myśliwcy byli wesołóm usposobieniu i na wozach sterczały rogi jeleni, zwieszały się łby dzików z kłami zakrwawionemi.

Przodem widać było orszak pański, świetne stroje, piękne konie i kilka amazonek z różowemi twarzyczkami. Wszystko to przybrane było jak na uroczystość i gałę, bo łowy najmilszą stanowiły zabawę panującego naówczas, mniej więcej, szczęśliwie Saksonii i Polsce Augusta II.

Sam król wiódł łowy, a u boku jego jechał najmilszy syn pierworodny, umiłowany naówczas Saksonii następca, na którym spoczywały nadzieje narodu. Król mimo wieku wyglądał jeszcze wspaniale i rzeźko, na koniu siedział rycersko, a syn równie przystojny, z łagodniejszą nieco twarzą, niemal młodszym bratem się przy nim wydawał. Mnogi i świetny bardzo dwór otaczał dwóch panów. Zdażał na noc do niedalekiego Hubertsburga, gdzie syn ojca miał przyjmować, bo myśliwski zameczek ten do niego należał. W Hubertsburgu czekała na nich królewiczowa Józefa, synowa królewska, cesarskiego Habsburgów domu córka, niedawno młodemu Fryderykowi poślubiona. Dwór królewski był tak liczny, że mu się na zamku trudno było pomieścić. Zawczasu więc rozbito nieopodal namioty w gaju i tam miała noc spędzić znaczniejsza część pańskiego orszaku. Nakryte już były stoły do wieczerzy i w chwili gdy król wjeżdżał na zamek, rozpuszczone myślistwo poczęło sobie szukać wyznaczonych stanowisk. Mrok padać zaczynał: pod namiotami gwarно już było i wesoło; odgłosy młodzieńczych śmiechów, które przytomność króla i starszych hamowała, rozlegały się teraz swobodniej. Po znużeniu całodzienném chwytano za stojące flasze, choć marszałek nie dał jeszcze znać do stołu. Namioty dla dworu ocienione drzewami oświecały się zapalonemi latarniami; tuż obok przy improvizowanych żłobach ustawiano rżące konie, których głosy niekiedy wywoływały groźne klątwy masztalerzy. Nieznane sobie rumaki poczynały znajomość od kąsania i kwiku, klaskanie z batów pokój przywracało. Dalej jeszcze psiarnie króla dawały znać o sobie szczekaniem i warczeniem. Nakładano sfory; i tu też dozorczy mieli do czynienia aby wrzawę usmierzać. Ale pod namiotami nie było nikogo, coby młodzieży śmiechy i śpiewy i kłótnie śmiał powagą swą zahamować. Sprzeczano się jeszcze o najpiękniejszą twarz, o najlepszy strzał, o najpochlebniejsze Jego Królewskiej Mości słowo. Królewicz tego dnia był bohaterem: położył ze sztućca kulą w sam łeb trafiwszy odyńca, który wprost szedł na niego. Unoszono się nad przytomnością umysłu niezmierną i flegmą, z jaką celował długo i wypalił. Gdy myśliwcy przypadli na strzał chyżo, ażeby rozjuszoną bestyę dobić kordelasami, leżała już brocząc krwią ziemię. Król August pocałował syna, który rękę ojca a pana z uszanowaniem ustami dotknął i pozostał po zwycięztwie tak zimnym

i spokojnym jak był przedtém. Jedyną dobrego humoru oznaką było, iż na uboczu potém fajkę sobie podać kazał i dym puszczał daleko większemi kłębami niż zwykle. Wchodziła wówczas w używanie powszechna roślina zwana *tobacco*, którą i Stanisław Leszczyński palić lubił, palił ją zapamiętale August Mocny, a namiętnie syn jego Fryderyk. Szczególniej przy męzkich ucztach i piwie, nie obeszło się bez fajek. Podawano je na dworze pruskim u króla czy kto chciał czy nie chciał, a jeśli komu dym zawadził koło serca, śmiano się zeń do rozpuku.

Należało do dobrego hulaszczego tonu fajkę ssać od rana do wieczora. Brzydziły się nią niewiasty, lecz ich wstręt nie odstręczał ówczesnych panów od przyjemnego upojenia, jakie owe *tobacco* przynosiło z sobą.

Bardzo młodym tylko zakazywano wczesnego nawyknięcia do tego trunku, który z kartami i winem razem, uchodził za niebezpiecznego uwodziciela.

Pod namiotami téż fajek widać nie było. Znużeni jeźdźcy posiadawszy z koni, gdzie który mógł popadali na ziemię, na kobiercach, na kłodach i ławach. W zamku widać było zapalające się światła rześiste i dźwięk muzyki dochodził do gaju, w którym rozłożony był dwór, służba i czeladź pańska. Nazajutrz miano polować w innym dziale lasów i wczesnie rozporządzono, by wszyscy byli gotowi. Nieco opodał od pozbieranych w gromadki starszych panów, na drodze wiodącej do zamku, jakby z chęcią dostania się do niego, przechadzał się piękny dwudziestoletni młodzieniec.

Po sukni łatwo było w nim poznać pazia przywiązane do osoby króla JMci.

Zręczna bardzo, pięknej budowy, giętka, wylamana, nieco niewieściego wdzięku postać, musiała nań najobojętniejsze zwrócić oko. Suknie na nim leżały, jakby się w nich urodził, peruczka, jakby w niej przyszedł na świat ufryzowany, nie potargała się nawet w czasie łowów, a z pod niej wyglądała twarzyczka, niby z mejszeńskiej porcelany<sup>1</sup>, biała, różowa, niemal dziecięcej i dziewiczej piękności, z uśmiechem w pogotowiu na zawołanie, z oczyma bystremi, ale zostającymi na pana rozkazach. Mogły one w każdej chwili pogasnąć i zamilknąć, lub rozplomienić i wypowiedzieć nawet to może, czego w duszy nie było.

Śliczny ów młodzieniec pociągał jak zagadka. Kochali go niemal wszyscy, niewyjmując króla, a mimo to nie było grzeczniejszego, usłużniejszego, potulniejszego stworzenia na dworze. Nie starał się popisywać z niczém, nigdy, nikogo nie chciał nigdy zaćmić, a mimo to wezwany do jakiegokolwiek roboty, wywiązywał się z niej ze zręcznością, łatwością, prędkością i roztropnością nadzwyczajną.

Była to uboga szlachetka z Turyngii rodem, ostatni i najmłodszy z czterech braci Brühlów z Gangloffs-Sömmern. Ojciec jego na dworze malutkim w Weissenfels był jakimś mniejszym jeszcze radcą, pozbywszy pono ojczyzstego odłużonego majątku, nie miał co zrobić z tym synem, zawczasu go więc oddał, aby się dworskiej trzymał kłamki, księżnie wdowie Fryderyce Elżbiecie, mieszkającej najczęściej w Lipsku. Na ówczesne jarmarki do tego miasta zjeżdżały się dwory książęce; lubił je nadewszystko August Mocny i mówią, że na jednym z nich, młody paż ze swą miluchną, uśmiechniętą twarzyczką wpadł mu w oko. Księżna go chętnie królowi JMci ustąpiła.

Osobliwsza rzecz, że chłopak co takiego pańskiego, wspaniałego a pełnego etykiety dworu, nigdy w życiu nie widział a może i nie śnił, od pierwszego dnia wrodzonym instynktem wpadł na dobry tor i tak swą służbę zrozumiał, że starszych od siebie królewskich paziów gorliwością i zręcznością prześcignął. Król mu się wdzięcznie uśmiechał, bawiła go pokora chłopaka, który w oczy patrzył, myśli zgadywał, nie skrzywił się nigdy, a przed słonecznym majestatem króla Herkulesa i Apollina, padał na twarz z uwielbieniem.

Zazdrościli mu służący z nim razem, lecz krótko przejechał ich dobrocią, łagodnością, skromnością i chętném do usługi sercem. Nie obawiano się wcale aby takie niebożątko pokorne, mogło zająć wysoko. Ubogie téż to było, a rodzina Brühlów, choć stara szlachecka, tak podupadła naówczas, że o niej spokrewnieni zapomnieli. Nie miał więc innego protektora nad tę swoją wdzięczną, miłą, uśmiechnioną twarzyczkę.

Ale do malowania był téż ładny... kobiety, starsze zwłaszcza, patrzyły nań wdzięczającemi się oczyma, on swoje naówczas spuszczał zmieszany. Nigdy słówko złośliwe, ów

<sup>1</sup>mejszeńska porcelana — porcelana produkowane w Miśni (niem. Meissen) od 1710 r. [przypis edytorski]

dowcip paziowski, który za cechę młodzieży dworskiej uchodził, nie wyrwało się z ust jego. Brühl był z uwielbieniem dla pana, dla dostojnych dygnitarzów, dla pań, dla sobie równych i dla całej służby, i dla kamerlokajów królewskich, którym szczególne poszanowanie okazywał, jak gdyby już naówczas znał tę wielką tajemnicę, że przez najmniejszych dokonywały się największe rzeczy, i że lokaje obalali cichuteńko ministrów, a ministrom trudno było ruszyć lokajów; wszystko to szczęśliwie obdarzonemu młodzieńcowi dyktował instynkt, jakim go uposażyła szczodrobliva matka-natura.

I w tej chwili gdy Henryczek (pieszczotliwie go tak zwykle nazywano) przechadzał się samotny po ścieżce do zamku od namiotów wiodącej, rzekłbyś że to czynił ażeby nikomu nie zawadzać, a wszystkim na oku będąc, stać do usług w pogotowiu.

Tego rodzaju ludziom szczęście dziwne służy... Gdy tak bez celu się przechadzał, z zamku wybiegł młody, równie piękny chłopak, prawie rówieśnik co do lat, ale suknią i powierzchownością całę różny od skromnego Brühla.

Znać było po nim że siebie pewny, już nie wiele miał do życzenia. Słusznego wzrostu, mężny, zręczny, z oczyma czarnemi, bystro patrzącemi na świat, z postawą pańską, młodzieniec szedł żywo, jedną rękę założywszy za szeroką kamizelę wyszywaną bogato, drugą pod poły sukni myśliwskiej, galonowanej przepysznie. Peruka jaką miał na łowach, starczyła mu za kapelusz. Rysy jego twarzy porównane z miluchną Brühla, jakby malowaną przez włoskiego mistrza XVII-go wieku, miały zupełnie różny charakter. Pierwszy więcć był stworzony na dworaka, drugi na żołnierza.

Kłaniali mu się wszyscy po drodze, i witali go uprzejmie, był to bowiem od lat dziecinnych towarzysz i przyjaciel królewicza, najulubieńszy jego łowów współnik, małych tajemnic powiernik, hrabia Aleksander Sułkowski (syn nie mającego też polskiego szlachcica), który paziem był wzięty niegdyś na dwór Fryderyka, a teraz domem i łowami zarządzał. Już to samo znaczyło wiele, że mu królewicz powierzył co miał najmilszego w świecie, bo polowanie dlań stanowiło nie zabawę i rozrywkę, ale całę zajęcie i najważniejszą pracę. Sułkowskiego szanowano i obawiano się razem, bo choć August II wyglądał przy swém zdrowiu i sile na nieśmiertelnego, prędzej lub później bóstwo to musiało skończyć jak najprostszy śmiertelnik. Z nowém słońcem wschodzącém i ta gwiazda na horyzont saski wnijsć musiała i przyświecać ję swym blaskiem.

Na widok zbliżającego się Sułkowskiego, skromny paź królewski ustąpił z drogi, przybrał postać baranka, zgiął się nieco, uśmiechnął wdzięcznie i zdawał taką okazywać radość, jakby mu najpiękniejsza z bogiń dworu Augusta się ukazała. Sułkowski przyjął ten uśmiech i nieme, pełne poszanowania powitanie, z powagą ale z łaskawością razem. Z dala ręką wyjętą z za kamizeli potrząsł i nieco głowę uchylił, zwolnił kroku, zbliżył się i odwracając do Brühla, rzekł wesoło:

— Jak się masz Henryku! cóż tak samotnie rozmyślasz? Szczęśliwy, możesz odpoczywać, a ja tu za wszystko odpowiedzialny i nie wiem od czego począć, żeby o niczém nie zapomnieć.

— Gdybyś hrabia kazał mi sobie pomódz?

— A! nie, dziękuję ci; trzeba obowiązki swe spełnić! Dla takiego gościa jak nasz pan miłościwy, wszelki trud miły.

Westchnął zlekka. Cóż? polowanie się udało; ja, jak wiesz, nie mogłem być na niem, łowczego wysłałem z ekwipażami, w zamku tyle było przygotowań...

— Tak! polowanie się wybornie udało, N. Pan był w humorze, w jakim go oddawna nie widziano.

Sułkowski do ucha Brühlowi się pochylił: — Któż tam teraz w alkowie panuje? hę?

— Doprawdy, nie wiem: mamy pono bezkrólowie?

— A! a! to nie może być! — zaśmiał się Sułkowski — Dieskau? nie...

— A! nie, to są dawno pogrzebione rzeczy... ja, nie wiem.

— Jakżebyś ty, paź królewski, nie wiedział?

Brühl spojrział nań z uśmiechem.

— Kiedy wszyscy wiedzą, paziowie wiedzieć niepowinni... Myśmy jak tureccy *muets*<sup>2</sup>, głusi i niemi.

— A! rozumiem — odparł Sułkowski — ale, między nami.

<sup>2</sup>*muets* (fr.) — niemowcy. [przypis edytorski]

Brühl zbliżył się do ucha hrabiego i rzucił w nie słówko dyskretne, ciche, jak szelest listka spadającego z drzewa jesienią.

— *Intermezzo*<sup>3</sup> — rzekł Sułkowski.

Zdaje się że teraz po tylu wielkich dramatach, z których każdy tyle naszego drogiego pana kosztował boleści, pieniędzy i troski, już na *intermezzach* poprzestaniemy.

Sułkowskiemu pod namioty do których zdawał się kierować, widać już nie było pilno, ani na zamek z powrotem. Wziąwszy Brühla pod rękę, co pazia uszczęśliwiło widocznie, zamyślony, począł z nim przechadzkę.

— Mam chwilę wytchnienia — odezwał się — miło mi jój użyć w waszém towarzystwie, chociaż my oba jesteśmy pomęczeni tak, że i rozmowa być może trudem.

— O! ja nic a nic! — odparł Brühl — a wierz mi hrabio, dla was chodziłbym noc całą i nie czułbym się znużonym. Od pierwszej chwili gdy miał szczęście zbliżyć się do was, uczulem razem najwyższy szacunek, i jeśli mi się godzi to powiedzieć, najżywszą, najgłębszą przyjaźń. Przyznać się mam? ale prawdziwie żem się po tój dróżynie wybrał przechadzać z jakimś przecuciem, z nadzieją, że was choć z dala zobaczę i pozdrowię, a tu mię spotyka szczęście takie.

Sułkowski spojrzął na uradowaną, rozjaśnioną twarz i ścisnął podaną rękę.

— Wiercież mi — odezwał się — iż nie trafiliście na niewdzięcznika: na dworze przyjaźń taka bezinteresowna jest rzadka, a wziąwszy się za ręce we dwóch, daleko zajść można.

Oczy ich się spotkały, Brühl skinął głową.

— Wy jesteście przy królu i w łaskach.

— O! o! — odparł Brühl — nie pochlebiam sobie.

— Ja wam zaręczam! słyszałem to z ust własnych Najjaśniejszego Pana, chwalił waszą usłużność i rozum. Wy jesteście w łaskach lub na drodze do nich... to od was zależy.

Brühl nader skromnie złożył ręce.

— Nie pochlebiam sobie.

— Ja wam mówię — powtórzył Sułkowski — ja mam serce Fryderyka, mogę się pochwalić tém, że mnie przyjacielem nazywa. Sądę że nie obszedłby się bezemnie.

— Wy, to co innego — przerwał Brühl żywo — mieliście to szczęście towarzyszyć od najmłodszych lat królewiczowi, mieliście czas pozyskać jego serce, a któżby się nie przywiązał do was, zbliżywszy!! Co do mnie, obcy tu niemal jestem.

Winiem łasce księżnej że mnie przy boku J. K. Mości umieściła; staram się wdzięczność moją okazać, ale na ślizkiej posadzce dworu jakże to utrzymać się trudno. Im więcej gorliwości dla pana okażę, którego czczę i kocham, tém na większą zazdrość zarabiam. Każdy uśmiech pański opłaca się wejrzeniem jadu pełném. Gdy człowiek mógłby być najszczęśliwszym, musi drżać.

Sułkowski słuchał roztargniony.

— Tak! to prawda — rzekł cicho — lecz wy macie wiele za sobą i obawiać się nie macie powodu. Uważałem na was, metodę przyjęliście przedziwną: jesteście skromni i macie cierpliwość. Na dworze dosyć jest ustać w miejscu, to się posunie mimowoli, a kto się nazbyt rzuca, ten najłatwiej pada.

— A! czerpię najdroższe rady z ust waszych! — wykrzyknął Brühl — co za szczęście mieć takiego przewodnika.

Sułkowski zdawał się za dobrą monetę brać ten wykrzyknik przyjaciela i z niedostrzeżoną dumą uśmiechnął się: pochlebiało mu uznanie tego, o czém był w głębi duszy najmocniej przekonany.

— Nie lękaj się Brühl — dodał — idź śmiało, a rachuj na mnie.

Wyrazy te zdał się w najżywsze zachwycenie wprawiać młodego Henryka, złożył ręce jak do modlitwy, twarz jego błyskała radością, spojrzął na Sułkowskiego i zdawał się tylko wahać, czy mu się do nóg nie ma rzucić.

Wspaniałomyślny hrabia z protekcyjonalną dobrocią uścisnął go.

W tój chwili na zamku zabrzmiały trąby: był to jakiś znak zrozumiały znać dla młodego faworyta, który tylko ręką dawszy znak towarzyszowi że pośpieszać musi, rzucił się

<sup>3</sup>*intermezzo* (wl.), — krótka wstawka o pogodnym lub komicznym charakterze wykonywana między aktami opery (np. opery seria); z czasem zrodziła się opera buffa. [przypis edytorski]

krokiem żywym ku zamkowi.

Brühl pozostał sam, wahał się trochę co począć z sobą. Król go od służby wieczornej uwolnił, i pozwolił mu spocząć tego wieczoru, miał więc swobodę zupełną. Pod namiotami rozpoczynała się wieczerza dla dworu. Chciał zrazu pójść i razem z innymi się zabawić, potem z dala popatrzawszy, w bok się skierował zadumany ścieżyną w głąb lasu idącą, poszedł wolnym krokiem. Chciał być może sam na sam z myślami, choć wiek jego i twarzyczka o głębokie rozmyślenia posądzić go nie dozwalały. Prędkiejby na ówczesnym dworze, pełnym miłostek i intryg kobiecych, o jakąś serdeczną chorobę podejrzyc się godziło. Ale na spokojnej wielce twarzy niewidać było troski sercowej, która się maluje na niej, łatwemi do poznania symptomatami. Brühl nie wzdychał, patrzył chłodno, brew miał namarszczoną, usta zacięte, prędkiej rachował coś i kombinował niż z uczuciem walczył.

Zadumany tak głęboko, pomiął namioty, konie, psiarnie, rozłożone ogniska ludzi spędzonych dla łowów, którzy się z toreb dobytym chlebem z sobą posilali, gdy obok piekły się dla panów jelenie i warzyły korzenne polówki. Około dwóchset do oblawy spędzonych Wendów gwarzyło cicho, w języku niezrozumiałym, nieśmiejąc nawet głośnieję się rozśmiać. Z namiotów dolatywały ich wesołe okrzyki, spoglądali i im tam szumiano głośnieję, tém oni starali się ciszej sprawować. Łowczych kilku czuwało nad tą gawiedzią, która sobie chleb swój z domów przynieść musiała, bo o niej jednej na zamku nie pamiętano. Dla psów gotowano w kotle strawę, o nich nikt się nie kłopotał. Prędko też skończyli wieczerzę o chlebie i wodzie. Większa część już się pod drzewami na trawie kładła, aby do rana snem się pokrzepić. Brühl ledwie na nich okiem rzuciwszy, poszedł dalej. Wieczór był piękny, spokojny, ciepły, jasny i gdyby nie opadające liście żółte starych buków, wiosnęby przypominał. W powietrzu woń lasów zdrowa, zapach uwiedlęj zieleni, wyziewy jedlin, unosiły się lekkim wietrzykiem, który ledwie gałązki poruszał.

Za gajem w którym obozowano, panowała już cisza, samotność, pustynia, gwar tu zaledwie dolatywał, drzewa zasłaniały zamek, można się było sądzić daleko od ludzi.

Brühl podniósł głowę i wolniej odetchnął, twarz, której układać nie potrzebował dla ludzi, jakby na wolność puszczona, przybrała wyraz nowy; lekki, sardoniczny uśmiech przebiegł po niej i dziecięcy ów dobroduszny, łagodny wdzięk straciła. Jedną ręką podparł się w bok, drugą do ust przyłożył, zadumał. Sądził się tu zupełnie sam, lecz jakież było jego zdumienie i niemal przestach, gdy o kilka kroków, pod ogromnym bukiem starym, spostrzegł dwie postacie jakieś, nieznanne, dziwne, podejrzane. Mimowoli się cofnął krok i począł pilniej przypatrywać. W istocie o kilkadziesiąt tylko kroków od królewskiego obozu, wyglądało dziwnie, podejrzanie nawet tych dwóch ludzi siedzących pod drzewem. Obok nich widać było leżące kije podrózne i dwie torebki z ramion tylko co zdjęte.

Mrok wieczorny nie dawał dobrze rozeznac twarzy, ani ubiorów; lecz Brühl domyślił się raczej niż zobaczył, skromnie po podróznemu przybranych, dwóch młodych jak on sam ichmościów.

Wpatrzawszy się pilniej dostrzegł twarzy nieco, które zdały mu się szlachetniejszych rysów, niż wędrownęj rzemieślniczej czeladzi, za którą zrazu ich wziąć miał ochotę. Po cichu toczyła się rozmowa, ale dosłyszeć jej nie mógł.

Lecz cóż tu, pod bokiem króla, ci podróźni na ustroniu robić mogli? Ciekawość, obawa, nieufność, nie dozwoliły mu odejść. Zamyślił się czyby nie należało dać znać do namiotów.

Więcej potem instynktem niż rachubą wiedziony, przyspieszył kroku i stanął tak, że go siedzący na ziemi zobaczyć mogli. Ukazanie się jego musiało nieco zdziwić spoczywających, gdyż jeden z nich wstał spiesznie i przypatrując się przybyłemu, chciał jakby spytać, co tu robi i czego od nich chcieć może?

Brühl nie czekał tego pytania, podszedł kilka kroków i odezwał się tonem dosyć surowym:

— Co tu waszmość robicie?

— Odpoczywamy — odezwał się siedzący na ziemi. Czy zakazanym jest tu spoczynek podróznym?

Głos brzmiał łagodnie, a język zapowiadał wykształconego człowieka.

— O kilkadziesiąt kroków dwór N. Pana i sam król.

— Czybyśmy mieli zawadzać? — dodał znowu siedzący, wcale nie zdając się strwożonym.

— Ale waszmość sami sobie najszkodliwsi być możecie — odparł Brühl żywo. Lada kto z łowczych może was tu odkryć i posądzić o jakie złe zamiary.

Śmiechem łagodnym odpowiedział na to spoczywający na ziemi i wstał, a wyszedłszy z cienia drzew, ukazał się Brühl'owi jako pięknej i szlachetnej postawy młodzian z długimi włosami na ramiona spadającymi. Po jego stroju poznać w nim było łatwo studenta jednego z niemieckich uniwersytetów. Nie miał on żadnych oznak na sobie, ale prosta suknia, długie buty, z kieszeni wyglądająca książka, czapeczka jaką nosili *studiosi*<sup>4</sup>, dostatecznie go cechowała.

— Co waszmość tu robicie? — powtórzył Brühl.

— Wyszliśmy na wędrowkę, aby Bogu oddać cześć w naturze, aby odetchnąć powietrzem lasów, ciszą ich ukołysać duszę do modlitwy — począł powoli młodzieniec. Noc zaskoczyła nas tutaj: o królu, o dworze nie wiedzielibyśmy nawet, gdyby nas tu nie doszła wrzawa łowiecka.

I wyrazy i sposób w jaki je wymawiał stojący przed nim, uderzyły Brühla. Człowiek to był z innego jakiegoś świata.

— Pozwolisz pan — dodał spokojnie student — iż jako zapewne władzę tu jakąś mającemu, zamelduję osobistość moją. Jestem Mikołaj Ludwik hrabia i pan na Zinzendorfie i Pottendorfie, a w tej chwili *studiosus*, szukający źródła mądrości i światła, zbłąkany na manowcach świata wędrowiec.

Skłonił się.

Usłyszawszy nazwisko, Brühl popatrzył uważniej. Światło wieczora i lekki blask księżyca wschodzącego opromieniły piękną twarz mówiącego.

Stali przez chwilę niemi, jak gdyby oba nie wiedzieli jakim do siebie mówić językiem.

— Ja jestem Henryk Brühl, paż do osoby J. K. Mości przywiązany.

Skłonił się lekko.

Zinzendorf zmierzył go oczyma.

— A! bardzo mi was żal! — westchnął.

— Jakto żal? dlaczego? — zapytał zdumiony paż.

— Dlatego że dworactwo to niewola, że paziostwo to służba i chociaż szanuję pana naszego, miléj mi sercem i duszą poświęcać się czci i służbie Pana na niebiosach, Pana nad pany, a miłością zatapiać w Jezusie Chrystusie Zbawicielu. Właśnie pan znalazł tu nas na cichéj modlitwie, gdyśmy myślami usiłowali zjednoczyć się z Panem naszym, który nas krwią swą odkupił.

Brühl tak był zdziwiony, że krok odstąpił jakby się obłąkanego uląkł w młodzieńcu, który z wielką słodyczą, ale bardzo patetycznie wymówił te wyrazy.

— Wiem — dodał Zinzendorf spokojnie — iż się to wydać wam musi, wam co macie w uszach jeszcze szczebiotanie i śmiechy dworskie, dziwném i nieprzyzwoitém może; ale ilekroć myślą pobożną uda się zakłatać do serca chrześcianina uspiętego, jakże tego nie dopełnić?

Brühl stał niemy.

Zinzendorf zbliżył się doń.

— To godzina modlitwy... słuchaj pan, lasy szumią chór wieczorny: chwała Panu na wysokościach! strumień szemrze pacierze, księżyc wszedł przyświecać nabożeństwu natury, a serca nasze nie miałyby się połączyć ze Zbawicielem w tej uroczystej chwili.

Oślupiały paż słuchał i nie zdawał się rozumieć.

— Widzisz pan przed sobą dziwaka — dodał Zinzendorf — lecz czyż światowych dziwaków mało spotykasz i przebaczasz im, a niemiałbyś pobłażyć z gorącego ducha płynącemu zachwyceniu?

— Prawdziwie — szepnął Brühl — ja sam jestem pobożny, lecz...

— Lecz zapewne chowacie pobożność waszą na dnie serca, lękając się by ją ręka, słowo profanów nie tknęło? Ja ją wywieszam jako chorągiew, bom gotów bronić jój życiem i krwią moją.

<sup>4</sup>*studiosus* (łac.), lm. *studiosi* — uczeń. [przypis edytorski]

Bracie w Chrystusie — rzekł zbliżając się doń Zinzendorf — jeśli ci zaciężyło życie w ukropie i wirze tego dworu, bo inaczej sobie nie tłumaczę wieczornej waszej przechadzki samotnej, siadź tu spocząć z nami, razem się pomódlmy. Ja czuję w sobie pragnienie modlitwy, a we dwóch, we trzech spotęgowana bratersko, może dolecieć do tronu Tego, który dla nas robaków dał krew swoją.

Bracie!

Brühl jakby się zląkł, ażeby go nie zatrzymano, cofnął się nieco.

— Zwykłem się modlić sam — rzekł — a tam powołują mnie obowiązki, więc darujecie mi.

Wskazał ręką w stronę, od której gwar ich dochodził.

Zinzendorf stał.

— Żal mi was — zawołał — gdybyśmy tu pod tym drzewem zanucili pieśń wieczorną: Bóg nasza twierdza, Bóg nadzieja nasza...

— Naówczas — dorzucił paź — posłyszaliby to w. łowczy, lub który z podkomorznych króla i nie zamknęliby nas do kordegardy, bo tu jój niema, aleby odprowadzili do Drezna pod Frauenkirche i osadzili na odwachu.

To mówiąc ruszył ramionami, skłonił się lekko i chciał iść, ale Zinzendorf zastąpił mu drogę.

— Czy istotnie wzbroniono się tu znajdować? — zapytał.

— Może to was podać w podejrzenie i na nieprzyjemności narazić. Życzę się oddalić. Za Hubertzburgiem jest wieś i gospoda, która da wygodniejszy nocleg, niż pień bukowy.

— Którędyż iść mamy, aby nie wnijsć w drogę N. Panu? — zapytał Zinzendorf.

Brühl wskazał ręką i już odchodził.

— Wyminąć gościniec będzie dosyć trudno, panie hrabio; lecz jeśli wam służyć mogę wyprowadzając pod moją opieką na drogę: służę.

Zinzendorf i milczący jego towarzysz pobrali prędko węzélki swe i kije i pośpieszyli za Brühlem, który wcale się nie zdawał rad temu spotkaniu. Zinzendorf miał czas nieco ochłonąć z ekstazy, w jakiej go Brühl niespodziewanie się zjawiając zastał. Wiadać w nim było człowieka wyższego towarzystwa i przyzwoitego w obejściu. Ostygłszy zupełnie, przeprosił nawet za to że się tak dziwacznie odezwał.

— Nie dziwuj się pan — rzekł zimno — nazywamy się wszyscy chrześcianami i synami Bożemi, a w istocie poganami jesteśmy mimo obietnic na chrzcie uczynionych. Obowiązkiem więc każdego nawracać i apostołować, ja sobie z tego czynię życia zadanie. Cóż po nauce w słowach, gdy jój niema w czynach? Katolicy, protestanci, reformowani, wszyscy, wszyscy żywotem poganami jesteśmy. Bogów nie czcimy, bo ołtarzów ich niema, ale im składamy ofiary.

Kilku księży sprzecza się i plwa na się o dogmata, a Zbawiciel na krzyżu krwią opływa, która w ziemię wsiąka nadaremnie, bo nią ludzie zbawionemi być nie chcą.

Westchnął.

W tej chwili gdy kończył uroczyste wyrazy, ukazał się obóz i buchnęła zeń wrzawa od kufli, które spełniano z hałasem. Zinzendorf z przerażeniem spojrział.

— Nie sąż to bachanalia, tylko co nie słyszę Ewoe! — zawołał — idźmy prędkiej, przybity się czuję do ziemi i upokorzony.

Brühl przodem idący nie odpowiedział nic. Tak wyminęli obóz, idąc bokiem wskazał im blizki gościniec, a sam jakby coperędziej się chciał uwolnić od towarzystwa tego, skoczył żywo ku oświeconemu namiotowi.

Jeszcze w uszach brzmiały mu dziwaczne wyrazy Zinzendorfa, gdy widok osobliwszy oczom się jego w namiocie przedstawił. Wprawdzie w owych czasach i na tym dworze nie był on tak bezprzykładnym, aby miał zdumiewać, wszakże mało kto okazywał się publicznie w takim stanie, w jakim Brühl zastał pana radzcę wojennego Pauli.

Radzca leżał w środku namiotu na ziemi, ogromny gąsior próżny, rozbity obok niego, obie ręce rozkrzyżowane, twarz karmazynowa, suknie porozpinane, podarte, a wielki pies gończy, znać faworyt pański, siedząc nad nim lizał mu oblicze i skowyczał...

Stojący wkoło śmieli się do rozpuku.

Radzca wojenny Pauli, który obowiązany był zawsze znajdować się pod ręką króla dla mnogich korespondencyj, które po trzeźwemu i po pijanemu nawet z kancelaryjną wprawą bardzo zręcznie redagował: nie poraz pierwszy tak nieszczęśliwie zwyciężonym



został od gąsiora. Trafiło mu się często w miękkim łożu i pod ławą i przy ścianie spoczywać po libacjach, ale tak skandalicznie jak dziś na pośmiewisko być wydanym... przechodziło miarę.

Brühl zaledwie to spostrzegł, rzucił się ku nieszczęśliwemu i zajął się dźwignięciem go z ziemi. Drudzy opamiętawszy się dopomogli i z nie małym wysiłkiem udało się pana radzcę usunąć z przed oczów, składając go na posłanie z siana, które było przygotowane w kącie. W chwili gdy go we trzech ruszono z ziemi, obudził się Pauli, powłókł oczyma po bliższych twarzach i wybełkotał:

— Dziękuję ci, Brühl... ja wszystko wiem, rozumiem, pijany nie jestem... tak, mdłości. Ty jesteś wcale dobry chłopiec: dziękuję ci Brühl.

To mówiąc powieki przymknął, westchnął ciężko, mruknął:

— Ot to służba!! i usnął.

## II

Na zamku królewskim paziowie przyboczni Augusta II-go mieli wyznaczone pokoje, w których, oczekując rozkazów, na służbie czuwali. Konie dla nich, na wypadek, gdyby który miał być wysłany, zawsze stały w pogotowiu. Mieniali się u drzwi i w przedpokojach, towarzyszyli N. Panu, a często, gdy się inni starsi pod ręką nie znaleźli, z rozmaitemi pismami i rozkazami wyprawiani bywali. Gorliwie bardzo utrapioną tę służbę pełnił młody Brühl, sprawiał ją z kolei za siebie, a nawet chętnie za drugich, tak, że król często go mając na oczach, przyzwyczajal się do twarzy i usługi.

— A ty tu znowu, Brühl? — zapytywał z uśmiechem.

— Na rozkazy W. K. Mości.

— Nie przykrzy ci się?

— Najszczęśliwszy jestem, będąc dopuszczonym do oglądania oblicza pańskiego.

I kłaniał się młody chłopak, a K. J. Mość po ramieniu go klepał.

Nigdy odpowiedzi nie był dłużnym, nigdy nic dlań trudnym ani niepodobnym nie było; w skok biegł i sprawiał co kazano, niezwłocznie. Dnia tego przychodziły kresy i odprawiać miano odpowiedzi; oczekiwano na nie od rana. Często się naówczas poczty opóźniały, bo lub koń padł, albo rzeka wylała, lub pocztylion zachorzał, nie było więc czasu oznaczonego ściśle. Od rana radca wojenny Pauli, który królowi depeze redagował, czekał na kresy i rozkazy.

Z razu bardzo cierpliwie.

Radca, którego nieszczęśliwy wypadek w Huberstburgu widzieliśmy, przespał się potem, obmył i wstał, nie czując nic więcej, nad doskwierające pragnienie.

Wiedział on, że matka natura podstępem go zażywała, aby do napicia się wody nakłonić, ale wodzie poprzysiągł był od dawna wstręt i pogardę i mawiać zwykł, że Pan Bóg stworzył ją dla gęsi nie dla ludzi. Nie dał się więc złudzić pragnieniem i zalał robaka winem: zaraz mu się lepiej i raźniej zrobiło, a wkrótce potem przeszła choroba owa i zostało po niej tylko mętne wspomnienie.

Zapamiętał wszakże radca, że Brühl go ratował w owej dobie nieszczęśliwej i złożył na posłaniu, a zawiązała się od tego czasu przyjaźń czuła pomiędzy starym Pauli a młodym paziem.

Brühl, który nie gardził niczyją łaską, przywiązał się do radzcy. Człowiek to był niemłody już, okrutnie służbą ciężką około dzbana zmęczony, przytém niepomiernie otyły, co mu ruchy utrudniało; nogi nie bardzo już służyć chciały, a po obiedzie, gdy tylko mógł, natychmiast, bodaj stojąc, drzemać był gotów. Twarz Paulego była rumiana, wpadająca w fioletową, rysy rozlane, podbródek zawieszony. Ręce, nogi i on wszystek wydawał się jak nabrzękły.

Wszakże gdy się wystroił do dworu, pozapinał, wyprostował i przybrał urzędową postać, można go było wziąć za poważnego bardzo człowieka. Do króla tak był nawykł, a król do niego, że z jednego słowa, bo z wejrzenia Augusta, wysnuwał cały list, myśl odgadł, formę trafił i nigdy sprostowywać jej nie potrzebował król J. M. Dlatego Paulego lubił bardzo i potrzebował go zawsze, a chciał mieć pod ręką; dlatego radzcy wspaniałomyślnie przebaczał, jeśli się nawet zapił, zalał i w chwili ważnej nie mógł dźwignąć.

Naówczas trzech pokojowców budzić go musiało, a radca nie otwierając oczów, przewracany po łóżku, odpowiadał: „zaraz! natychmiast! Oto jestem! w ten moment!” Ale nie

wstał aż mu wyszumiało, co przebrał.

Gdy otrzeźwiał, mył się wodą zimną, podawano mu dla rozjaśnienia myśli kieliszek czego mocnego i szedł do króla.

Podobne rzeczy trafiały się wówczas nie jemu jednemu, upijał się przyjaciel królewski Flemming, ba i innych wielu. Śmiano się z tego, choć słabą mieć głowę za srom wielki uchodziło.

Tego dnia, gdy właśnie na kresy, jakśmy mówili, czekano, radzca Pauli siedział w marszałkowskiej sali i ziewał. Dobrał sobie wygodne krzesło szerokie, nogi wyciągnął, ręce na żołądku spisał, głowę nieco spuścił, wygodnie ją na fundamentach rozłożystych podbródków umieściwszy i dumął. O śnie mowy być nie mogło, bo któż może zasnąć na czczo i nieprzygotowany wiatykiem stosownym na podróż z Morfeuszem po krajach marzeń?

Obrazy pozawieszane w salce, dawno mu były znane, nie mógł się więc im przypatrywać. Ziewał niekiedy, a ziewał tak okropnie, że mu w szczękach trzaskało.

Był to widok serca rozdzierający. Radzca taki poważny, zasłużony, zmuszony ziewać na czczo.

Zegar ukazywał z razu dziesiątą, potem jedenastą, a radzca siedział, poziewał i strząsał się, bo po nim dreszcze czczości przebiegały. Był w tej chwili najniezwyklejszym z ludzi.

W tej samej sali kręcili się paziowie, podkomorzowie, szambelanowie, osoby na posłuchanie oczekujące, lub powracające od króla. Nikt nie śmiał spoczynku przerywać panu radzcy.

O jedenastej wszedł młody Brühl, który na swą godzinę służby czekał. Pięknym był, jak cherubin w swoim stroju paziowskim z wielką elegancją włożonym. Twarz mu się jak zwykle śmiała dobroduszością i grzecznością nadskakującą; nikt nad niego nie miał kształtniejszej stopy, piękniejszej nogi, świeższych koronek przy mankietach, lepiej leżącego fraka i wytworniej ufryzowanej peruczki. Oczy mu się śmiały, biegając po twarzach i po ścianach. Czarodziej prawdziwy ujmował uśmiechem, słowem i ruchem, całą postawą. Zoczywszy go, radzca, nie wstając wyciągnął doń rękę.

Brühl podbiegł chyżo.

— Jakżem szczęśliwy! — zawołał.

I skłonił się z pokorą.

— Chyba ty mnie uratujesz! Brühl! Wystaw sobie jestem na czczo!

Kiedy przyjdą kresy?

Paż spojrzął na zegar i ramionami ruszył.

— *Chi lo sa?*<sup>25</sup> — odparł tym językiem, który obok francuzkiego, był niemal dworu mową, bo się już wówczas powoli włoska kolonia zwiększała w Dreźnie.

— Jedenasta! a ja na czczo! natura dopomina się praw swoich! Przyjdzie z głodu umierać!

To mówiąc, radzca ziewnął, wstrząsnął się cały — Brr! — i strzepnął.

Brühl stał niby zamyślony, pochylił się wygięty cały do ucha Paulemu:

— Radzco, *est modus in rebus!* dlaczego zasiedliście, jakby na publicznej drodze? Obok jest pokój, z którego drzwi wychodzą na kurytarz wiodący do kucheni i kredensów, tamby wyśmienicie, nim co będzie, można coś kazać podać z kuchni, i coś z piwnicy.

Oczy się rozśmiały pocziwemu radzcy, ruszył się zaraz, ale niełatwo mu było powstać. Obu rękami musiał się zeprzeć na poręczach, łokcie podnieść do góry i stękając, całą swą ciężką figurę dźwignął nareszcie.

— Zbawco mój! — zawołał — ratujże mnie nieszczęśliwego!

Brühl skinął i wsunęli się we drzwi poboczne do gabinetu o jedném oknie. Tu! o чудо! jakby się spodziewano Paulego, czarodziejska jakaś siła, stół już wcześniej przygotowała. Stało przed nim krzesło szerokie, wygodne, jakby do tuszy Paulego zrobione; na białym, jak śnieg obrusie, zastawione porcelanowe, białe z siném nakrycie, maleńka wazka, maleńki półmisek z pokrywą i spory gąsiorek złocego się wina.

Radzca zobaczywszy to, ręką zrobił ruch w powietrzu, i jakby się obawiając, aby go kto nie uprzedził, nie pytając, co rychlej zajął miejsce, serwetę pod brodę założył, ręką sięgnął do wazki i dopiero, przypomniawszy sobie Brühla, odwrócił się.

<sup>25</sup>*Chi lo sa?* (wł.) — Kto wie? [przypis edytorski]

— A wy?

Paż głową potrząsał. — To dla was, kochany panie radzco!

— Niech ci płacą bogowie! — zawołał w uniesieniu Pauli, — niech ci Wenus da najpiękniejszą z dziewcząt drezdeńskich, niech ci Higeia da żołądek, trawiący kamienie; niech ci Bachus da wiekuiste pragnienie i środki zaspokajania go węgrynem: niech ci...

Ale jedzenie nie dało mu dokończyć, pogrążył się w niem cały. Brühl stał, jedną ręką o stół oparty, w postawie wdzięcznej, przypatrując się radzcy z uśmiechem. Pauli nalał sobie pierwszą winę szklankę. Spodziewał się on lekkiego, powszedniego węgrynka, jakim dwór raczono; lecz gdy do ust wziął i pociągnął, twarz mu się rozjaśniła, rozpromieniła, oczy zabłysły, a wypiwszy i opadłszy na poręcz, w błogim uspokojeniu pogładził się po piersiach tylko. Anielski uśmiech usta mu przeleciał.

— Bozki napój! Cudotwórco mój, zkądżeś go wziął? Ja go znam, to wino królewskie, to tokaj; powąchaj, posmakuj: ambrozja, nektar!

— Niechże radzca zaszczyci go swą łaską i gąsiorkowi nie daje wysychać lub pójść na usta profanów, którzy go nie smakując, przez gardła przeleją.

— A byłoby to istną profanacją! — zawołał radzca, nalewając drugi kielich, równając się dobrej szklancy. — Za zdrowie wasze, za powodzenie wasze. Brühl... będę ci wdzięczny do śmierci: ocaliłeś mi życie. Jeszcze pół godziny, a trupaby ztąd wynieśli na Frydrychstadt. Czuję, jak życie uchodziło ze mnie.

— Bardzo się cieszę — rzekł Brühl — że mogłem tak małym kosztem pamięci trochę, przysłużyć się panu radzcy, ale proszę pić!

Pauli wychylił drugi kielich, językiem o podniebienie plasnął, ręką począł w powietrzu, jakby lot ptaka naśladować i rzekł:

— O! co za wino, co za wino! to jest tego rodzaju napój, że każdy następny kieliszek, coraz lepiej smakuje. Jest ono, jak dobry przyjaciel, którego im bliżej poznajemy, im w ściślejszy z nim wchodzimy związek, tém się więcej przywiązujemy do niego.

Ale Brühl, kochany Brühl, jeśli nadejdą depesze, jeśli N. Pan zawoła, jeśli będzie trzeba koncytować list do Berlina lub do Warszawy, albo do Wiednia...

Odwrócił głowę z pytaniem, ale trzeci kieliszek nalewał.

— Panie radzco, taki jeden gąsiorek dla pana? Cóż to jest? To tylko *exhilaracya* niewinna, to *stimulans*<sup>6</sup>, to... nic.

— Masz słuszność, Brühl; nie takie się już rzeczy o nasze głowy obijały. Zaśmiał się radzca. Najgorsza rzecz mieszać trunki. Któż może wiedzieć, w jakich one są z sobą stosunkach? Trafi się nieprzejednany wróg, naprzykład austriackie wino z francuzkiem: zaczynają iść na udry w żołądku i głowie, a człowiek pokutuje. Ale gdy się pije jedno uczciwe, rozumne, dojrzałe wino, nie ma niebezpieczeństwa: gospodaruje sobie w człowieku spokojnie i nic złego nie uczyni.

To mówiąc radzca jadł mięso przypieczone i oblane sosem zawiesistym, a coraz toka-jem popijał i uśmiechał się. Brühl stał, patrzył, a gdy kielich się wypróżniał, wziął na się podczaszostwo i dolewał pilno.

Naostatek z talerzy było jak zmieciono, chleb znikł, zostało tylko pół gąsiorka wina.

Pauli wzdychał patrząc i mruczał:

— A depesze?

— Lecz czyż pan się może lękać?

— Masz słuszność, gdybym się lękał byłbym tchórzem, a nie ma nic nikczemniejszego w świecie nad to stworzenie. Nalewaj: za twoje zdrowie! Dojdiesz wysoko!

W głowie mi się jaśniej robi! Zdaje się że słońce wyszło z za chmur, bo teraz mi dopiero weselszém się wszystko wydaje. Czuję się w werwie do stylizowania i utnę coś porządnego. E! gdyby mi dziś co solonego król pisać dał!! e! e! to bym dopiero przyprowadził!

Brühl ciągle nalewał.

Radzca patrzył na gąsiorek który u dołu był szerszy i jeszcze na czas jakiś starczyć obiecywał.

— Nie mam się czego lękać — przemówił Pauli jakby dla uspokojenia samego siebie — nie wiem, czy wy to pamiętacie: raz pomnę dzień był upalny, N. Pan posłał mnie do téj nieszczęśliwej bogini, która się zwała Cosel; tam mnie utraktowano zdradzieckim

<sup>6</sup>*stimulans* (łac.) — pobudzenie, stymulowanie. [przypis edytorski]

sektem szumiącym. Smaczny był jak oto ten tokaj, ale pełen zdrady. Wyszedłszy w ulicę, poczułem wirowanie dokoła. O! źle, a trzeba było iść pisać depesze. Dwóch dworzan podało mi ręce, zdało mi się że lecę, że mam skrzydła; posadzili mnie u stołu, musieli mi pióro umoczone dać w rękę, papier położyć przedemną: król powiedział słów kilka i depesza urodziła się, jak mi mówiono, cudowna! Ale nazajutrz i po dziś dzień, zabij, nie wiem com pisał. Dostyc że było dobrze i król śmiejąc się, na pamiątkę tego aktu, dał mi pierścion z szafirem.

Z gąsiorka łało się a łało do kielicha, z kielicha przelewało do gardła. Radzca gładził się po piersiach i uśmiechał.

— Psia służba — odezwał się cicho — ale wino jakiegoby człowiek nie powąchał gdzieindziej.

Gąsiorek przy opowiadaniach i westchnieniach doszedł do końca. Ostatni kieliszek był nieco mętny, Brühl chciał go usunąć.

— Tyranie! — krzyknął radzca — co czynisz! Natura wydzieliła te części nie dla tego aby je wylano, lecz by ukryć na dnie prawdę winną: eliksir, sama treść i części pożywne.

Gdy Pauli sięgnął po kielich, Brühl z pod stołu dobył drugiego gąsiorka. Na widok jego radca chciał wstać, lecz radość go przykuła do krzesła.

— Co to jest? — krzyknął. — Co ja widzę?

— Nic, nic — rzekł paź pocichu — jest to drugi tom dzieła, zawierający konkluzję jego i kwintessencję. Niestety, — mówił paź wesoło — starając się o dzieło kompletne dla pana radczy, który lubisz literaturę...

Pauli obie ręce skrzyżował na piersiach i głowę skłonił.

— Któżby takiej literatury nie lubił! — westchnął.

— Starając się o dzieło kompletne — kończył chłopak — nie mogłem dostać obu tomów jednego wydania. Ten tom drugi — rzekł, podnosząc zwolna flaszkę omszoną — jest starszej pierwotnej edycji: *editio princeps*<sup>7</sup>.

— Ach! — podsuwając kielich, zawołał Pauli — tego gotyku szacownego nalój mi jedną stronicę: nadużywać szanownej starożytności nie trzeba.

— Ale co po nim gdy zwietrzeje, i duch wieków z niego uleci!

— Prawda! stokroć prawda; ale depesze! depesze! — zawołał Pauli, ruszając ramionami.

— Depesze dziś nie przyjdą, drogi popsute.

— A! gdyby się tam mosty połamały! — westchnął Pauli.

Nalano kieliszek, Pauli pił.

— To wino tylko sam król pije, gdy się czuje nie zdrów — szepnął Brühl.

— *Panaceum universale*!<sup>8</sup> Żadne usta kobiety słodsze być nie mogą.

— O! o! — przerwał młodzieniec.

— Dla waści — mówił radzca — to co innego, dla mnie one straciły już słodycz wszelką; ale wino! wino, to nektar, który do zgonu nie może postradać uroku swego.

Gdyby nie te depesze!

— A cóż? depesze! czyż jeszcze...

— Prawda! kat je bierz!

Radzca dopijał, ale tak jakoś szybko po sobie następujące libacje, widocznie go rozmarzać poczynały. Ocieżał, w fotelu siadł, uśmiechał się, oczy mrużył.

— Teraz maleńka drzémka i...

— Ale butelkę dokończyć potrzeba! — nalegał paź.

— Zapewne, to obowiązek uczciwego człowieka, nie porywać się lub dokonać dzieła; prawda? — rzekł radzca — co rzeczą sumienia jest, winno sumiennie być dopełnione.

Dolawszy kieliszek ostatni, Brühl wysunął z za okna fajkę i worek z tytuniem.

— Radzco, a fajka?

— Aniele mój! — zawołał Pauli otwierając oczy — i o tém pamiętałeś. Ale nuż mnie to ziele upoi gorzej jeszcze. Co mówisz?

— Otrzeźwi! — przerwał paź podając fajkę.

<sup>7</sup>*editio princeps* (łac.) — dotyczy książek: pierwsze wydanie, w szczególności cennego tekstu; tu przenośnie: cenny, wiekowy trunek. [przypis edytorski]

<sup>8</sup>*panaceum universale* (łac.) — uniwersalne panaceum; uniwersalny lek, skuteczny na wszystkie dolegliwości. [przypis edytorski]

— Jak się tu oprzeć pokusie! daj! daj! Co się ma stać niech się stanie.

Może poczytalion kark skręci i depesze nie nadejdą. Nie życzę mu złego, lecz gdyby go nadwichnął?

Poczęli się śmiać.

Radzca chciwie dym ciągnął.

— Dyable mocne *tobacco*<sup>9</sup>.

— Królewskie — rzekł paż.

— Ale bo i król mocniejszy odemnie, hę?

Widocznie tytuniem upojony, już mruczał tylko stary; pociągnął jeszcze parę razy: fajka mu z rąk wysunęła się na ziemię, głowę na piersi spuścił i począł w lewo ją pochylwszy, chrapać okrutnie. Przez półotwarte usta dobywał się dźwięk dziwny i niemiły.

Brühl popatrzał, uśmiechnął się, cicho na palcach podszedł ku drzwiom i wysunął w korytarz; tu chwilę postawszy, pobiegł do przedpokoju króla.

Młody, strojny, wielkiego tonu chłopak, w paziowskiém także ubraniu, z pańską minką, zatrzymał go wchodzącego.

Był to Antoni hr. Moszyński. Twarzyczka jego biała, włosy czarne, rysy nie piękne, ale wyraziste, oczy błyszczące ogniem wielkim, a nadewszystko postawa arystokratyczna i wymuszone nieco maniery, odznaczały go między innymi paziami do osoby króla przywiązany. Razem z Sułkowskim był długo przy królewiczu, czasowo teraz dostał się do Augusta II, który, jak mówiono, lubił jego zręczność, żywość i bystre pojęcie. Prorokowano mu naówczas świetną przyszłość.

— Brühl? — zapytał — gdzieś ty był?

Paż się nieco zawahał z odpowiedzią.

— W marszałkowskiej sali.

— Na ciebie służba przypada.

— Wiem, alem się nie opóźnił.

Spojrzał na zegar stojący w kącie.

— Już myślałem — dodał śmiejąc się i z nogi na nogę przechylając Moszyński — że mi ciebie zastępować przyjdzie.

Przez twarz Brühla przeleciał jakby cień, ale natychmiast się wyjaśniła.

— Panie hrabio — rzekł łagodnie — wam faworytom pana wolno chybić godzinę i dać się zastąpić; mnie wysługującemu się i biednemu, byłoby to niedarowaném.

Skłonił się bardzo nisko.

— Zastępowałem nieraz drugich, ale mnie nikt.

— Chcesz powiedzieć że cię nikt zastąpić nie jest w stanie: — podchwycił Moszyński.

— O! panie hrabio, godziż się tak ze mnie biédnego prostaczka żartować? ja się tego uczę, w czém panowie jesteście mistrzami!

Skłonił się znowu.

Moszyński podał mu rękę.

— Z wami — rzekł — wojować na słówka niebezpiecznie, wolałbym na szpady.

Brühl skromną przywdział postawę.

— W niczem sobie żadnej nie przyznaję wyższości — dodał cicho.

— No, szczęśliwój służby! — zawołał Moszyński. — ot wasza godzina: do widzenia.

To mówiąc wyszedł z przedpokoju.

Brühl odetchnął. Zwolna skierował się ku oknu. Stał w niém i zdawał się obojętnie spoglądać w podwórca wyłożone kamiennymi posadzkami i wyglądające jak sale olbrzymie... Tuż pod nim kręcił się mnogi, zajęty i czynny dwór pański. Wojskowi w pysznych zbrojach i mundurach, szambelanowie w sukniach szytych od złota, kamerdynerowie i służba, nie zliczona czeladź pańska związała się z pośpiechem; kilka lektyk stało u wschodów, a żółto postrojeni tragarze czekali na swych panów; dalej powozy galowe i konie wierzchowe, niemieckie i polskie zaprzęgi, hajduki w ponsach, kozacy: wszystko to cicho dosyć sprawując się mieszało w jedną pstrą i malowniczą całość.

Szambelan wyszedł od króla.

— Niema kresów? — spytał Brühla.

— Dotąd nie przyszły.

<sup>9</sup>*tobacco* (hiszp.) — tytoń. [przypis edytorski]

— Jak skoro je przyniosą, przychodź waćpan z niemi. Radzca Pauli?

— Jest w sali marszałkowskiej.

— Dobrze, niech czeka.

Brühl się z lekka skłonił.

Pusto zaczynało się robić w pokoju i godzina blizka obiadu, rozpędzała ludzi.

Brühl, wyglądając oknem z jakąś niecierpliwością, dojrzał nareszcie wpadającego w podwórce na zziąjanym koniu pocztyliona z trąbką na plecach, w butach ogromnych i torbą skórzaną na piersi.

W téjże chwili ruszył biegiem po wschodach i nim służba zdążyła odebrać opieczętowane pliki, już on je pochwycił. Srebrny blat<sup>10</sup> stał przygotowany w antykamerze, Brühl złożył na nim papiery i wszedł do króla.

August przechadzał się po pokoju z Hoymem. Zobaczywszy pazia, blat i papiery, wyciągnął rękę, żywo rozerwał pieczęcie. On i Hoym zbliżyli się do stołu i przeglądali przywiezione listy.

Brühl stał czekając.

— A! — zawołał August — żywo niech Pauli przychodzi!

Brühl nie ruszał się.

— Idź po radzcę Pauli — powtórzył król niecierpliwie.

Paż skłonił się i wybiegł, zajrzał do gabinetu. Pauli spał jak kamień. Powrócił co żywo do króla.

— Pauli! — zawołał August widząc go wchodzącego.

— N. Panie! — wyjąknął Brühl — Radzca Pauli.. radzca Pauli...

— Jest tu?

— Jest N. Panie.

— Czemuż nie przychodzi?

— Radzca Pauli — spuszczać oczy dodał paź — jest nieco niedysponowany.

— Gdyby był konającym to mi go tu przyprowadź — krzyknął król — niech obowiązek spełnia, potem skona kiedy chce.

Brühl wybiegł, znowu wpadł do gabinetu, popatrzał na śpiącego, uśmiechnął się i wrócił do króla. Augusta oczy pały rosnącym gniewem, zaczynał blednąć, co było najgorszym znakiem; gdy się stawał biały, wówczas ludzie na widok jego drżeli.

Brühl niemy, wyprostowany u drzwi się zatrzymał.

— Pauli! — zawołał król tupiąc nogą.

— Radzca Pauli jest w tym stanie...

— Pijany? — podchwycił August — A, stary wieprz obrzydły! Gdyby się choć na tych kilka godzin umiał powstrzymać od picia.

Zlećcie go wodą! zaprowadzić go pod fontannę, dać mu octu; niech doktor da mu lekarstwo, niech mi go na godzinę ocuci, a potem niech bydlę zdycha.

Mówiąc król nogą tupał.

Brühl wybiegł posłuszny raz jeszcze. Spróbował budzić radzcę, ale ten stał się nieruchomą kłodą: żaden lekarz oprócz czasu nie mógł go do przytomności przyprowadzić. Wolnym krokiem wracał myśląc do pokoju pańskiego, zdawał się walczyć ze sobą, wahać, obawiać i ważyć coś w duszy. Stanąwszy u drzwi nie potrafił klamki, aż westchnąwszy jakby pobożnie ku niebiosom.

Król w pośrodku gabinetu z papierami w rękę czekał, usta miał zaciśnięte i brwi namarszczone.

— Pauli!

— Niepodobieństwo go ocucić.

— Bodaj go paraliż naruszył!

Depesze. Kto mi depesze... słyszysz.

— N. Panie — schylając się wpół z rękami złożonymi na piersiach, odezwał się Brühl

— N. Panie, wielkie jest zuchwalstwo moje, niemal zbrodnicze. Raczy mi je łaskawość królewska przebaczyć: wiem że porywam się bezrozumnie, ale miłość moja i cześć dla W. K. Mości. Jedno słowo N. Panie skazówka... ja spróbuję ułożyć depeszę.

— Ty młokosie?

<sup>10</sup>blat — dawniej: taca, płaski półmisek. [przypis edytorski]

Brühl się zaczerwienił — N. Panie, ukarzesz mnie.

August popatrzał nań długo.

— Chodź — rzekł idąc ku oknu — oto list: przeczytaj go, daj odpowiedź odmówną; lecz niech za odmową czuć będzie, że nie jest stanowczą. Daj nadzieję odgadnąć a nie odsłoń jój wyraźnie. Rozumiesz? — Brühl skłonił się i chciał z listem wybieść.

Srebrny stół stał przed kanapką.

— Gdzie? dokąd? — zawołał król — tu — wskazał ręką: tu siadaj i pisz zaraz.

Paź jeszcze raz uchylił głowę i przysiadł na brzeżku jedwabną materią w kwiaty wybitę kanapki, ruchem ręki odrzucił mankietki, pochylił się nad papierem i pióro poczęło biec po nim z szybkością, która króla zastanowiła.

August II jak na ciekawe widowisko spoglądał z uwagą na ładnego chłopca, który przybrał poważną minę kanclerską i tak redagował depeszę jakby bilet do kochanki.

Myliłby się ktoby sądził że spełniając tak ważne i mogące na całą przyszłość jego wpłynąć zadanie, paź zapomniiał o swój postawie.

Siadł niby od niechcienia, jakby nie myśląc, a jednak ułożył zgrabne nóżki, nadał ręką wdzięczne zgięcia, głowę pochylił umiejętnie. Zimna rozważa towarzyszyła mu w tej sprawie napozór z gorączkowym dokonywaną pośpiechem. Król go nie spuszczał z oka, zdał się to czuć. Nie zastanawiając się długo pisał jakby pod dyktowaniem gotowej myśli, nie przekreślił ni razu, nie stanął na chwilę. Pióro zatrzymało się gdy depeszy dokończył. Naówczas przebiegł ją jeszcze oczyma szybko i powstał wyprostowany.

Z widoczną ciekawością, gotów być pobłażliwym, król się nieco przysunął.

— Czytaj! — rzekł.

Brühl odkasznął, głos mu się trząśł nieco i był cichy. Któż odgadnie czy ten dowód twogi nie był także rachubą? Król ośmielając go, dodał łagodnie:

— Zwolna, wyraźnie, głośno.

Począł więc czytać depeszę młody paź, a głos, zrazu drżący, stał się wkrótce metalicznie brzmiącym i donośnym. Na twarzy Augusta odmalowało się stopniowo zdumienie, radość, wesołość, podziw razem, i jakby niedowierzenie.

Gdy Brühl dokończył, nie śmiał podnieść oczów.

— Jeszcze raz, od początku — odezwał się król.

Tym razem Brühl głośniej jeszcze, śmieliej czytał i dobitniej.

Królewska twarz rozjaśniła się: uderzył w dłoń.

— Przewybornie! — zawołał — Pauliby nie potrafił lepiej ani tak nawet. Pisz na czysto.

Brühl z niskim ukłonem przedstawił swój arkusz, który był tak napisany, iż odrazu mógł być użytym.

August go po ramieniu uderzył.

— Jesteś od dziś moim sekretarzem do depeszy. Pauli, żeby mi się nie śmiał pokazywać na oczy. Niech go kaci porwią, niech się zapije i zdechnie.

Zadzwoił król: wszedł służbowy szambelan.

— Hrabio — rzekł, zwracając się do niego — niech Paulego zawiozą do domu; oznajmić mu proszę, gdy się wytrzeźwi, moje najwyższe nieukontentowanie. Nigdy mi się nie pokazywać na oczy!! Sekretarzem do depeszy, od dziś Brühl. Uwolnić go od służby paziowskić, niech tylko mundur zatrzyma. Zobaczymy.

Szambelan z dała uśmiechnął się stojącemu skromnie na uboczu chłopcu.

— Wybawił mnie z ciężkiego kłopotu — mówił August. Znam Paulego, będzie do jutra leżał, jak kłoda, a depeszę trzeba wyprawić zaraz.

Poszedł król ją podpisać.

— Kopią spisać — dodał.

— Z pamięci ją do słowa napiszę — rzekł Brühl cicho.

— Otóż to mi sekretarz! — zawołał August. Proszę mu trzysta talarów kazać wylczyć.

Zbliżającemu się dla podziękowania, król podał rękę do pocałowania: był to znak łaski niemały.

W chwilę potem nagotowany już kuryer, zabrawszy opieczętowany list, biegł, trąbiąc przez most, galopem. Brühl pokornie wysunął się do przedpokoju. Tu już przez Szambelana Friesena, rozpowiadana historia depeszy i niespodzianej łaski, jaka spotkała chłopaka, po którym niktby się był nie spodziewał tak nadzwyczajnej zdolności,

powszechną budziła zazdrość i ciekawość. Gdy Brühl się ukazał, wszystkich oczy biegly za nim. Nie było znać na tak zaszczyconym łaską królewską, najmniejszej dumy, okrył nawet radość swą pokorą taką, jakby się wstydział tego, co dokonał.

Moszyński podbiegł ku niemu.

— Co słyszę? — zawołał — Brühl *amanuensem* N. Pana? Kiedyż? co? jak?

— A! dajcie mi ochłonąć ze zdziwienia i przestachu — cicho odezwał się Brühl — jak się to stało? nie wiem. Opatrzność czuwała nademną, *un pauvre cadet de famille*<sup>11</sup>. Miłość dla króla sprawiła cud... ja nie wiem. Olśniony jestem, nieprzytomny.

Popatrzył nań Moszyński.

— Jeśli tak pójdziesz dalej, wkrótce nas wszystkich wyprzedzisz. Zawczasu łasce się twój trzeba polecić.

— Hrabio, bądźże litościwym i nie szydź sobie z biédaka.

To mówiąc Brühl, jakby znużony i opadający na siłach, otarł pot z czoła i siadł, głowę zanurzywszy w dłoniach, na najbliższym krześle.

— Ktośby rzekł, patrząc nań — odezwał się Moszyński, — że go największe nie-szczęście spotkało.

Brühl zatopiony w myślach, nie słyszał już tego. Po pokoju szeptali wszyscy, patrząc nań i nowo wchodzącym opowiadali historią szczęśliwego młodzieńca. Wieczorem obie-gła po mieście, a gdy Brühl ukazał się skromnie między paziami na operze, Sułkowski, który towarzyszył królewiczowi, przyszedł go pozdrowić i powinszować.

Brühl zdawał się do najwyższego stopnia rozczulonym, nie umiał znaleźć wyrazów na podziękowanie.

— Widzisz, Brühl — szepnął Sułkowski, poglądając nań z góry — ja ci wróżyłem zawsze, że się na tobie poznają; nie omyliłem się: orle oko naszego pana, umiało cię wyróżnić.

Zaczęto bić brawa tenorowi, który śpiewał Solimana; Sułkowski klasnął, ale zwracając się do przyjaciela rzekł: „Ja tobie biję brawo!”

Z pokorą wielką paż się uklonił zarumieniony.

Po teatrze pozwolono mu zniknąć; miano mu to nawet za zasługę, że się nie szedł popisywać i chwalić szczęściem swoim. Towarzysze, którzy go w zamku w mieszkaniu jego szukali i tam go nie znaleźli; pokój był zamknięty, służący zapewniał ich, że oddawna wyszedł na miasto.

W istocie po operze, osłonięty płaszczem, przekradł się Brühl na zamkową ulicę, a z niej na wodzącą ku pałacowi na Taschenbergu, gdzie niegdyś jaśniała Cosel, a teraz panowała młodemu swojemu dworowi córka Cezarów Jozefina.

Ktoby go tu był spotkał po pod murami przesuwającego się ostrożnie, posądziłby pewnie, iż idzie u nóg jakiegoś uróżowanego bóstwa złożyć laury zdobyte. Było do tego wszelkie podobieństwo. Miał lat dwadzieścia kilka, twarz cherubinka, a kobiety popsute przez Augusta II, tak były zalotne. Widoczném było, iż pilno się starał, aby go nie postrzeżono i nie poznano. Płaszczem miał zasłoniętą twarz, a ile razy usłyszał kroki, tulił się do murów i przyspieszał pochód. Już był prawie przed pałacem królewiczowskim, gdy do przytykającej doń kamienicy wszedł szybko. Spojrzał tylko wprzód na okna pierwszego piętra, w których się przez gęste zasłony świeciło. Pocichu wbiegł po znajomych znać wschodach i stanąwszy u drzwi zapukał do nich trzy razy.

Nie było na to odpowiedzi. Wyczekawszy jeszcze chwilę, puknął leciuchno w ten sam sposób.

Wewnątrz dały się słyszeć kroki powolne, drzwi uchylono, pokazała się w nich głowa starego człowieka z nizko postrzyżonym włosiem. Brühl wsunął się prędko.

Pokój, do którego wszedł, oświetlony jedną w rękach sługi stojącego u drzwi świecą, zastawiony był szafami, ponury i smutny. Stary na zapytanie niezrozumiałe, coś szepnął, ręką wskazując. Brühl zrzucił płaszcz i na palcach idąc, zbliżył się ku drzwiom, do których z lekka zapukał.

Głos dosyć żywy odpowiedział mu prędko — *Favorisca!*

Pokój, do którego wsunął się cicho młody paż, oświetlony był dwiema pod umbrellką na stoliku, palącemi się świecami. Obszerny był i dziwnie jakoś przystrojony.

<sup>11</sup>*un pauvre cadet de famille* (franc.) — biedny młodszy syn. [przypis edytorski]



Szafka z książkami napół otwarta, kilka stolików zarzuconych papierami; między oknami duży krucyfiks z figurą Zbawiciela: na kanapce, wśród sukni, w nieładzie rzucona gitara.

U stołu oparty jedną ręką, jakby tylko co wstał na powitanie gościa, czekał nań niemłody człowiek, nieco przygarbiony, z twarzą żółtą, przeciągniętą, długą, z brodą wystającą, z oczyma czarnymi. Poznać w nim było łatwo Włocha po typie i kroju rysów. W ustach wązkich, białych kryło się coś nieodgadnionego, ale twarz w ogóle żartobliwą raczej wyglądała, niż zagadkową. Było w niej coś razem dobrodusznego i ironicznego. Duży nos orli spadał mu, kryjąc niemal wierzchnią wargę.

Na krótko obciętych włosach miał czarną, jedwabną czapeczkę; na sobie suknię ciemną i długą, która duchownego zdawała się oznaczać: na nogach czarne pończochy i trzewiki z wielkimi kłamrami.

Zobaczywszy Brühla, otworzył ręce.

— A! to ty! moje dziecko. Jakże się cieszę: niech cię Bóg błogosławi!

Z wielką pokorą przysunął się młodzieniec do niego i schyliwszy się w rękę go pocałował.

Gospodarz siadł prędko, usuwając książki i suknie nagromadzone na kanapce, a blizkie krzesło wskazał Brühlowi, który, trzymając w ręku kapelusz, raczej się przysiadł, niż usiadł.

— *Ecco! ecco!*<sup>12</sup> — szepnął siedzący na kanapie — myślisz że mi nowinę przynosisz? Wiem ja już! wszystko wiem i cieszę się. Widzisz, Opatrzność nagradza, Bóg swoim wiernym pomaga.

Westchnął.

— Jemu też ja składam tylko dzięki — odezwał się Brühl cicho.

— I pozostań wiernym wierze, ku której serce się twe łaską oświecone skłoniło, a zobaczysz.

Podniósł rękę w górę. — Pójdiesz wysoko! wysoko! Niewidzialne ręce dźwigać cię będą; ja ci to mówię: ja. Jam ubożuchny i maleńki, alem wielkiego Pana sługa.

Oczyma błyszczącymi zmierzył siedzącego skromnie pazia i uśmiechnął się, i jakby już pobożnego dopełniwszy obowiązku, dodał wesoło:

— Byłeś na operze? Jak śpiewała Celesta? Patrzał na nią król? był królewicz?

Posypały się gradem pytania.

Padre<sup>13</sup> Guarini, tak się zwał ten którego Brühl odwiedzał, spowiednik królewicza, powiernik królowej, duchowny ojciec młodego dworu, zdawał się co najmniej tyle zajmować operą, ile nawracaniem grzesznika, którego miał przed sobą.

Pytał o tenora, o kapelę, o gości, a wreszcie, czy za kulisy paż nie chodził.

— Ja? — z pewnym zdziwieniem zawołał Brühl.

— Nic złego! nic złego nie myślę; dla muzyki, dla sztuki, dla tego żeby zobaczyć jak te anioły wydają się, gdy prostemi ludźmi być muszą. Celesta śpiewa jak anioł, ale brzydka jak szatan. Nazwali ją chyba dla głosu! Niema obawy aby się w niej król zakochał.

I śmiać się począł Padre Guarini.

— A któż nad królem króluje? — zapytał. I nie czekając odpowiedzi, sam rzekł: pono jak w Polsce elekcyja dopiero ma nastąpić.

Śmiał się znowu stary.

— Powiedźże mi choć co nowego, oprócz tego żeś sekretarzem został.

— Chyba że żadne szczęście serca mojego i uczuć nie zmieni.

— Tak, tak, to ci radzę bądź dobrym, choć potajemnym katolikiem. Po naszym terażniejszym królu nie możemy ani wymagać, ani się spodziewać wielkiej gorliwości. Dobrze iż takim choć jest jakim się stał, ale młody będzie inny; święta nasza pani Józefa nie da mu zniżyć z drogi prawej. Pobożny jest, małżonek wierny, katolik gorliwy. Za jego panowania i nasze się począć powinno. Nie rozpaczamy, zjedliby nas protestanci gdyby mogli, ale twardzi jesteśmy i paszcza ich za mała... *chi va piano va sano... qui va sano, va lontano!*

Powtórzywszy kilka razy *lontano!* *lontano!* westchnął.

<sup>12</sup>*ecco* (wł.) — tutaj. [przypis edytorski]

<sup>13</sup>*padre* (wł.) — dosł. ojciec; tu: określenie księdza. [przypis edytorski]

— Na pamiątkę tego dnia — dodał — chcę ci dać z błogosławieństwem coś, co ci szczęście przyniesie. Czekaj.

Padre Guarini wysunął szufladę i rękę w nią zanurzwszy dobył mały różaniec czarny z medalem i krzyżykiem.

— Ojciec Święty sam własną ręką go pobłogosławił, odpust do niego przywiązany wielki, ale go codzień odprawiać potrzeba.

Brühl niewyraźnie coś powiedziawszy na podziękowanie, w rękę pocałował i wstał.

Guarini pochylił mu się do ucha i coś szeptać zaczął, na co paż tylko potwierdzająco schyliwszy głowę kilka razy, znowu rękę chudą ucałował i wysunął się pocichu. We drzwiach czekał nań stary ze świecą. Temu wsunawszy talara, osłoniony znowu płaszczem spuścił się ze schodów. Doszedłszy do drzwi wyjrzał ostrożnie w ulicę, a nie widząc w niej nikogo, wybiegł prędko. O kilka kroków dopiero zatrzymał się zdając namyślać. Podbiegł i stanął i zawrócił się i znowu szedł i wrócił raz jeszcze, jakby niewiedząc co po cznie. Różaniec, który miał obwinięty około ręki schował spiesźnie do bocznej kieszeni, a sam podniósłszy głowę, szukał znanego domu około kościoła św. Zofii.

Obejrzał się raz za siebie...

Drzwi kamienicy, do której dążył stały otworem. Na poręczy wschodów maleńka lampka przytwierdzona na słupku, zaledwie mrok pod sklepieniami nieco rozjaśniała. W obszerniej sieni o gotyckich łukach cicho było i pusto. Na niskie pierwsze piętro wszedłszy Brühl zadzwonił.

Służąca wyszła mu otworzyć.

— Jest ksiądz pastor w domu? — zapytał.

— Jest i ma gości, z którymi się rozmową zabawia.

— Goście? — wahając się podchwycił Brühl, jakby go to od wnijscia zniechęciło. — Któż taki?

— Młodzieź z Lipska łakoma słowa Bożego i światła.

Brühl jeszcze stał w progu, gdy poważna postać średnich lat człowieka ukazała się ze drzwi pobliskich.

— Nie chcę być natrętnym — rzekł paż kłaniając się.

— Nigdy nim pan nie byłeś i nie jesteś — odparł suchym głosem, zimnym i wyraźnym gospodarz. — Na to ja teraz narażony nie jestem, by mi się do drzwi ludzie cisnęli. Chodź pan, proszę. Wchodzi się w protestanckim kraju do duchownego pokryjomu, jako pierwsi chrześcijanie do katakumb wchodzili. Chwała tym co mają odwagę próg nasz przestąpić.

To mówiąc wprowadził Brühla do obszerniej izby skromnie przybrananej, ale z kwiatami na oknach. Szpincik otwarty stał przy ścianie. Nie było tu nikogo oprócz dwóch młodzieży, z których słuszniejszy wzrostem zdał się Brühlowi znajomym. Przypomnieć sobie tylko nie mógł gdzie i kiedy go widział. Pięknej postawy młodzian patrzył też z uwagą na gościa, a po chwili przystąpił doń.

— Jeśli się nie mylę — rzekł — drugi to raz spotykamy się w życiu. Winiem panu żem na drogę wyprowadzony nie popadł w ręce królewskich pacholców jak włóczęga.

— Hrabia Zinzendorf...

— Brat w Chrystusie — odparł młodzieniec — a chociażbyście byli katolikiem, arianinem, wiklefiścią czy kimkolwiek bądź, byleście w Zbawiciela wierzyli i ufali Mu, pozdrowię was zawsze tym wyrazem: brat w Chrystusie.

Gospodarz, który miał twarz surową i brwi ściągnięte dziwnie a zrosłe, co mu wyraz nadawało ostry, jęknął:

— Dajcie pokój marzeniom, hrabio, plewy od ziarna odlecić powinny, choć na jednej wyrosły lodydze...

Brühl milczał.

— Cóż na dworze słyhać? — spytał gospodarz — myślę że nic innego jak z rana litanią a wieczorem operę; ale zmilczę. Siądźcie mój gościu.

Posiadali wszyscy, Brühlowi widocznie przytomność obcych zamykała usta. Zinzendorf długo i z zajęciem mu się przypatrywał, niby w duszy jego czytał pragnąco, lecz te okna, któremi zajrzeć mógł do wnętrza, oczy piękne Brühla zamykały się przed nim: zdawał się unikać spojrzeń i lękać się ich przenikliwości.

— Prawdaż to że kościół katolicki budować myślą? — zapytał gospodarz.

— Nie slyszalem o tém, tylko jak o projekcie dalekim — odpowiedział Brühl — a wątpię bardzo ażeby król pan nasz, który tyle pozaczynał gmachów, mógł nam o nowym pomysleć.

— Zgrozaby była! — wyjęknął pastor.

— Dlaczego? czcigodny panie — przerwał mu Zinzendorf. Zarzucamy im nietolerancję, a mielibyśmy się nią sami posługiwać. Niech się mnoży we wszelkich językach i na wszelki sposób chwała Zbawiciela, czyli ją katolicy śpiewać będą, czy my.

Brühl żywo skłonił głowę potakując, ale w chwili gdy to czynił, spotkał surowe wejście pastora i ruch ten jakby nagle powściągniony, dwuznaczny się zmienił uśmiechem: rumieniec wystąpił mu na twarz.

— Hrabio — odezwał się pastor obracając się ku niemu — to są myśli młodzieńcze bardzo piękne w ustach waszych, ale w życiu nie możliwe. Na dwu ramionach płaszcz nosić nie można, ani dwóm Bogom służyć, ani dwu wiar kochać, boby się żadnej nie miało, jak... jak to się dziś wielu i najwyżej położonym zdarza.

Westchnął pastor, zrozumieli wszyscy do kogo pił. Brühl udał że niesłyszcy, żałował nawet może iż wszedł w towarzystwo tak drażliwemi zajmujące się zagadnieniami. Przeciwnie Zinzendorf zdawał się uszczęśliwiony i z poszanowaniem chwycił rękę pastora.

— Czcigodny panie — zawołał — a jakżebyśmy nawracali i prawdę krzewić mogli, gdybyśmy się nie zbliżyli i nie zbratali z innowiercami? Chrystus nie stronił od Faryzeuszów i niewiernych, a łagodnością i miłością ich nawracał.

— Młody jesteś i marzysz — westchnął pastor — hrabio, a gdy ci przyjdzie walczyć i z poezji twych przejść do czynu...

— A! za tém gonię, tego pragnę — odezwał się młody entuzjasta, podnosząc ręce do góry — gdybym siebie tylko miłował poszedłbym Zbawiciela szukać na pustyni i w rozmyślanu; ale kocham braci, kocham wszystkich i zbłąkanych nawet, dla tego rzucam się pośród tych fal, choćby mnie poźrzść miały.

Pastor, Brühl i młody towarzysz słuchali każdy z inném usposobieniem mówiącego. Pierwszy stał chmurny i rozdrażniony, drugi zafrasowany choć się uśmiechał, trzeci z uwielbieniem chwycił słowa.

— Myślę że ta gorącość wasza, miły panie — odezwał się nieco żartobliwie pastor — ostygnie na dworze.

— Na dworze? — zapytał Brühl cicho — na dworze hrabio, będziemy mieli szczęście posiadać go!

— A! nie, nie, nigdy w świecie — odstępując krok zawołał Zinzendorf! — ja na dworze? Żadna siła w świecie nie potrafi mnie tam zapędzić. Mój dwór to ubogie na duchu i na ciele dziatki Boże, moja przyszłość to zastosowanie nauki Chrystusa do życia, i wlanie miłości Zbawiciela w społeczność naszą strupieszalą.

Chrystus raz umarłych wskrzeszał, dwa razy umierających nikt nie potrafi do życia przywrócić, a takimi są ci, co na chrzcie życie otrzymali i dobrowolnie je zabili w sobie. Ja pójdę do tych w których żyje duch, aby go rozdmuchać i rozplómić; na dworze byłbym wyśmianym: tam spełnię do czego powołanym się czuję.

— Rodzina jednak wasza, panie hrabio — dodał pastor.

— Ojciec mój w niebiesiech — pędkiem dokończył Zinzendorf — temum winien posłuszeństwo.

Brühl po krótkiej chwili przekonał się, że tu nie miał co czynić dłużej. Zinzendorf ze swą mową dziwną napętniał go strachem; odwiódł na stronę pastora ku oknu i szybko rozmowę z nim cichą poprowadziwszy, pożegnał go uprzejmie, spiesząc z powrotem. Młodemu apostołowi skłonił się tylko z daleka, z prawdziwie dworską grzecznością, i zniknął. Czy u ojca Jezuita czy u pastora był szerszym przyjacielem i gościem, o tém wyrokować nie umiemy i to pewna że obu odwiedzał gorliwie i o łaskę ich się starał, nadskakując więcęj Guariniemu niż Knöflowi, choć publicznie ani ojciec Jezuita jego, ani on Włocha nie zdał się znać wcale.

W ulicy namyślił się Brühl znowu. Tuż był pałac królewicza. Przed bramą jego dwóch gwardzistów straż trzymało. Po chwili młody paź wsunął się w podwórze i na prawo pobiegł do oficyny. Otwarte jeszcze drzwi i oświetlone okna dozwalały spróbować szczęścia na młodym dworze. Tu mieszkała wielka ochmistryni dworu królewiczowej, hrabina

Kolowrath-Krakowska, osoba wielce poważna, lat średnich, ulubiona królewiczowej Józefie, a łaskawie spoglądająca okiem na młodego paza, który jej wszystkie plotki z zamku przynosił, za co wszelkiego rodzaju łakociami był karmiony.

Miał on tu dozwolone wnijsię o wszelkiej dnia godzinie, a korzystał z niego rozumnie, tak aby ludzie ani go widzieli zbyt, ani nadto się mogli stosunków domyślać.

W przedpokoju w wielkiej liberyi dworu, stał w peruce kamerdyner W. ochmistrzyni, który kłaniając się i nie mówiąc nic drzwi mu otworzył: Brühl wszedł na palcach. Salon był prawie ciemny, kilka świec woskowych z długimi knotami paliły się same sobie na stoliku i w mdłym świetle ich wiszące na ścianach, poczerniałe obrazy, dziwną mieszaniną światła i cieni jak widma jakie majaczały. Cicho było i w dalszych pokojach.

W prawo tylko przez półotwarte podwoje struga żywszego światła przelewała się do sali i ztamtąd dał się słyszeć jakby szmer życia, gdy na posadzce skrzypienie trzewików Brühla słyszeć się dało, z za drzwi pokazała się nisko główka dziecięca.

Brühl zbliżał się ostrożnie.

— A! to wy, panie Henryku — ozwał się głosik dziecięcy i świeży — a to wy: czekaj pan.

Znikła główka, ale wkrótce potem podwoje otwarły się szeroko i weszła dziewczynka ośmioletnia. Możnaż ją było tak nazwać, albo raczej ośmioletnią hrabiną, czy lalką? W atlasowej sukience z koronkami, w jedwabnych *à jour* pończoszkach, w trzewiczkach na korkach wysokich, z główką ufryzowaną i wypudrowaną wystąpiła zachwycająca pannieńka, już nie dziecko, niestety, już dama, i uśmiechem witając Brühla dygnęła mu tak jak na dworze było we zwyczaju i jak ją *Maitre des ballets*<sup>14</sup>, sam p. Favier, wyuczył; tak jak dygała rozpoczynając menueta przed królem Augustem. A minkę miała tak śmiesznie poważną, tak niewysłowioną surową, jak owe figurynki porcelanowe aniołków w frakach, które w Meisen wyrabiano.

Dygnęła Brühlowi, Brühl oddał jej ukłon jakby staruszcze. Wielkimi oczyma czarnymi spojrziała nań dziecina jakby szukając należnej czci i hołdu za swój cudowny ukłonik; ale w tej chwili powaga jej nie wystarczyła i parsknęła śmiechem. Komedia była skończona.

— A, to wy! panie Henryku?

— A jej excellencya?

— Mamina excellencya na pacierzach u królewiczowej. Padre Guarini czyta litaniją, i rozmyślanie... a ja, ja się nudzę! tylko piesek Filiderek, pani Braun została i ja sierotka.

Słuchaj Brühl, ty mógłbyś się pójść ze mną we dwór zabawić: ja będę grała królową, a ty wielkiego ochmistrza, a Filiderek kogo?

— Panno Franciszko, bawiłbym się z wami w cobyście kazali, ale ja do króla muszę, nie bawić się, ale służyć.

— Toś nie grzeczny dla dam — odpowiedziała hrabianka z minką stariej jęomości, która ją niezrównanie uczyniła śmieszna — ja waćpana kochać nie będę, i jeśli się kiedy we mnie zakochasz...

— A! pewno! i to bardzo prędko — zawołał Brühl śmiejąc się.

— Zobaczysz wówczas jakie będę robiła miny i jaka będę okrutna — dodała Frania.

To mówiąc zwróciła się do niego prawie plecami, chwyciła z krzesła leżący na nim wachlarzyk. Główkę pochyliła w tył, usta podniosła do góry i spojrziała na Brühla z niewysłowioną pogardą. W oczach ośmioletniej dziewczynki odbijał się już niestety cały dwór, cały świat, całe zepsucie i lekkomyślność wieku!

Brühl stał zachwycony, a scena ta byłaby może trwała długo, gdyby szelest atlasowej sukni nie dał się słyszeć i śmiech.

— Francesca! Brühl, córkę mi bałamucisz...

Osoba która to wymówiła, była słusznego wzrostu, majestatycznej postawy, piękna jeszcze bardzo, a nadewszystko arystokratycznie i pańsko wyglądająca. Była to matka Frani, hrabina Kolowrath — Krakowska W. ochmistrzyni dworu królewiczowej. Zobaczywszy matkę niezmiernie Frania odnowiła ceremonialne dygnięcie według p. Favier i dopiero przybiegła do jej ręki. Brühl napół zgięty naprzód, odprostowawszy się, patrzył z zachwytem w czarne oczy hrabinę.

<sup>14</sup>*Maitre des ballets* (franc.) — baletmistrz. [przypis edytorski]

Pierwsza, może nawet druga jej młodość już była odbiegła, ale obie zostawiły po sobie rysy nie tknięte, jakby wyrzeźbione z białego alabastru, które pożyczany żywy krasił rumieniec. Białość tę płci podnosił kruczony włos, tego dnia bez pudru, ale ze staraniem związanej. Postać zdawała się mimo pełnych form kształtu, zarazem i silną. Zmrużeniem nieco oczyma popatrzała na pазia.

— Franiu! — rzekła — idź do pani Braun, ja mam coś do mówienia z panem Henrykiem.

Figlarnie spojrzęła na matkę, pokiwało główką i znikło. W. ochmistrzyni poruszając żywo wachlarzem zaczęła chodzić po sali i pochyliwszy się ku Brühlowi rozmawiać z nim poufale.

Brühl z rękami w tył założonemi szedł za nią raczej niż obok niej, okazując wielkie uszanowanie, chociaż parę razy przybliżył się aż nadto może blisko. Tej rozmowy tajemnej, nawet obrazy wiszące na ścianach słyszeć nie mogły. W pół godziny po niej paż siedział w przedpokoju króla na krześle i drzemać się zdawał.

### III

Dziesięć lat upłynęło od tego prologu życia Brühla, od tych scen pierwszych długiego dramatu. Brühl był zawsze jeszcze tym świetnym, miłym, grzecznym, czarującym młodzieńcem, którego urokowi nawet nieprzyjaciele jego oprzeć się nie mogli; ale Brühl już daleko zaszedł od pазia, sekretarza do depeszy J. K. Mości.

Na wspaniałym zawsze dworze tego Ludwika XIV Północy, którego pochlebcy często równali z królem Słońcem, tamtemu Apollina cześć, temu Herkulesową oddając; zmieniały się postaci, ludzie, ulubieńcy, faworyty. W kilka lat po owym pogrzebaniu radzcy Pauli, którego miejsce tak szczęśliwie zająć się udało Brühlowi, ulubieniec króla Augusta został jego kamerjunkerem.

Po śmierci starego Flemminga, odziedziczył tajną kancelaryą J. K. Mości. Pokorny i niezrównanie greczny, a ustępujący wszystkim Brühl jakimś cudownym sposobem, szeptano sobie na dworze, potrafił obalić dwóch ministrów nieprzyjaznych sobie: Fleurego i Manteufla, ale gdy mu to przyznawano, rumienił się, zaklinał i wypierał.

Wkrótce potem dostało mu się szambelaństwo i klucz do fraka, bo klucz serca, pokojów i szkatułki J. K. Mości, miał już dawniej; naostatku rychło jakoś wielkie podkomorstwo go spotkało i stworzony dla niego urząd i dostojeństwo nowe, *Grand Maitre de la garderobe*. Do garderoby tej należały galerie, zbiory sztuki i różne wydziały domowego zarządu Augusta II, który bez tego niezrównanego Brühla obejść się nie mógł. Nie mogło się bezeń też obejść wiele innych osób... a on, jakby też wszystkich potrzebował, jakby się obawiał każdego, kłaniał się, uśmiechał, czcił i wielbił zawsze, nawet odźwiernym u bramy zamkowej.

Król August Mocny od owych czasów gdy tak dzielnie dokazywał z kielichem, koniem i szablą, znacznie się postarzał. Herkulesową, wspaniałą zawsze miał postać, lecz już nie jego siłę: nie bawił się łamaniem podków, ani ścinaniem łbów koni. Strojny, uśmiechnięty, chodził o lasce, a gdy dworując przy damach dłużej nieco stać musiał, szukał oczyma taburetu i przypominało mu się w nodze to miejsce, od którego ocalając życie Panu, Weiss lejb-chirurg króla, odciął palec Herkulesowi, stawiając w zakład głowę za palec. Głowa ocalała, palca nie było, a stać długo na tej nodze król nie mógł. Złoty to czasów było wspomnienie, owego turnieju, gdy zdobył serce księżnej Lubomirskiej. Miłości królewskie wszystkie jedna po drugiej, złotemi skrzydełkami rozleciały się po świecie. Nawet ostatnia... Orzelska, teraz księżna Holstein-Beck, była już poważną matką rodziny... i właśnie w tym roku (1732) w karnawale dała życie przyszłej głowie rodziny książęcej.

Królby się nudził śmiertelnie, gdyby z Włoch sprowadzona, dla odśpiewania głównej roli w operze *Cleofida o Alessandro nelle Indie*, przepiękna Faustina Bordoni ze słowicznym głosem, nie rozpraszała czarnych jego myśli. Wydano włoszkę za słynnego mistrza Hasse, ale żeby się mógł w sztuce kształcić, a żonie dystrykcji<sup>15</sup> nie uczynił, wyprawiono go do Włoch aż do... dalszych rozkazów. Hasse tworzył z tęsknoty arcydzieła.

W tym roku także karnawał obiecywał się być świetnym. Brakło cokolwiek pieniędzy, czego król Jego Mość cierpieć nie mógł; ten Brühl który wszystko tak dzielnie spr-

<sup>15</sup>dystrykcya — dziś rozproszenie uwagi; daw. rozrywka, przyjemność. [przypis edytorski]

wiać umiał, uznanym został jako jedyny człowiek, mogący N. Panu spokojność zapewnić. W karnawale więc i to w tłusty poniedziałek, król zaszczyconemu już mnóstwem urzędów dworskich, skromnemu Brühlowi, oddał uroczyste dyrektorstwo główne akcyzy i podatków.

Napróżno skromny a obarczony ciężkimi nader obowiązkami młodzieniec, wypraszał się od zaszczytu tego, uznawał go niegodnym; król August II nieznosił przeciwieństwa, nie lubił wymówek i zmusił go do stania na straży u kassy. Brühl odtąd miał pilnować aby Paktol<sup>16</sup> płynął złotem bez przerwy, choćby pot i łzy razem z nié m sączyć się miały.

Nie był to już ów paź cichy, lecz mąż, z którym najsilniejsi rachować się musieli. Król nie dawał nań słowa powiedzieć, marszczył się groźno. W nim jednym znajdował to, czego dawniej w dziesięciu szukać musiał. Brühl znał się na obrazach, lubił muzykę, rozumiał jak się grosz wyciąga ztamtąd gdzie go nie ma, jak się może być głuchym gdy trzeba, ślepym gdy z tém lepiej, posłusznym zawsze.

Brühl miał już naówczas z łaski pańskiej kamieniczkę niedaleko od zamku i zrobił z niéj pieścidelko.

Właśnie przed wieczorem ostatniego wtorku który świetnie miał być obchodzony na zamku, nowy dyrektor akcyzy, bo wczoraj dopiero mianowany we własnym domu (pałacem tego jeszcze nazwać nie było można) spoczywał w krześle zadumany i zdawał się na kogoś oczekiwać.

Pokój w którym przysiadł na chwilę, mógł być gabinetem najwybredniejszej z kobiét popsutych zbytkiem dworu. W kwiecistych ramkach złożonych świeciły zwierciadła, ściany bladoliliowa okrywała materya jedwabna, na kominie, gerydonach<sup>17</sup>, stolikach, porcelany było pełno i bronzów, posadzkę okrywał miękki kobierzec. Brühl z nogami wyciągnionymi, sparty wygodnie na miękkiej poręczy krzesła, z rękami złożonemi, które z bogatych mankietów pięknymi kształty się dobywały i świeciły kilką pierścieniami, zdawał się zatopiony w myślach i rachubach. Niekiedy tylko gdy wewnątrz domu drzwi jakie skrzypnęły, podnosił się i nasłuchiwał, a gdy nikt się nie zbliżał, wracał do swych dumań i zamyślenia. Wzrok czasem padł na zegar stojący na kominie, bo tyłu obarczony obowiązkami pan, musiał obliczać się z czasem, tak jak się liczył z ludźmi i pieniędzmi.

Od paziowskich lat, mimo pracy i wzruszeń, twarz młoda nie straciła na świeżości, ani oczy żywego połysku; czuć w nim było zachowanego dla przyszłości człowieka, który miał więcej nadziei niż wspomnień.

W głębi domu jedne po drugich pocichu zaczęły się drzwi odmykać, Brühl nastawił ucha, kroki się ku drzwiom zbliżały. Chód dawał poznać człowieka, był ostrożny, miękki, służbisty, kogoś takiego co zwykł był przychodzić, ale do którego jeszcze nie przychodzili drudzy.

— To on — szepnął Brühl i podniósł się w krześle — to on...

Puknięcie do drzwi było tak lekkie i poszanowania pełne, jakby bawelnianemi palcami dotknął ktoś tylko aksamitnej opony. Brühl cicho odezwał się: „*Herein*”, i drzwi uniosły się na zawiasach, tak że skrzypnąć nie mogły, a zamknęły się nie wydając głosu. U drzwi stał człowiek z rodzaju tych, co się po dworach tylko znajdują, bo tylko do dworów się rodzą, i choć kolebka ich stała w stajni, trumna pewnie w pałacu się znajdzie. Postać miał słuszną i zręczną a silną, giętką i wyrobioną do wszelkiego ruchu jak dziecię kuglarza; lecz niczem ona była przy twarzy. Na pierwszy rzut oka na téj masce hieroglifami startymi zapisanej, nie widać było nic. Nieznaczące rysy, zimne oblicze, pospolita całość, coś ani pięknego, ani brzydkiego, a jednak niezwyčajnego. W zmarszczkach które nikły gdy milczał, chowały się wszystkie sprężyny co twarzą władały. Spokojny, wypogodzony, z ustami tak ściętymi, że ich prawie widać nie było; pokorny, stał u drzwi przybyły i czekał aby z niego słowo dobyto.

Strój nie zdradzał stanu. Nie był wytworny ani bijący w oczy: suknia ciemna, guziki stalowe, kamizela skromnie szyta, reszta ubioru czarna; u trzewików kłamry szmelcowane<sup>18</sup>, prawie niewidoczne, u boku szpadka z rękojeścią stalową, na głowie peruka która

<sup>16</sup>*Paktol* — rzeka w Lidii (dziś Turcja), z której koryta w starożytności wydobywano surowiec służący do wybijania monet. [przypis edytorski]

<sup>17</sup>*gerydon* (franc. *guéridon*) — mały stolik, zazwyczaj okrągły, przeznaczony do odkładania drobiazgów. [przypis edytorski]

<sup>18</sup>*szmelcowany* — błyszczący, pokryty złotem. [przypis edytorski]

starala się być więcej urzędową i poważną niż zalotną. Pod pachą czarny kapelusik bez galonów<sup>19</sup>, na jednej ręce rękawiczka ciemna, mankiety nawet karbowane z batystu, zapomniał obszyć koronką.

Brühl zobaczywszy wchodzącego, wstał tak żywo, jakby go sprężyna rzuciła i przeszedł się po pokoju.

— Hans — odezwał się — mamy pół godziny czasu; wezwałem cię dla ważnej rozmowy. Otwórz proszę drzwi, czy w przedpokoju nie ma nikogo.

Posłuszny Hans, któremu drugie imię było Chrystyan a nazwisko Hennicke, drzwi cicho przemknął, rzucił okiem i dał znak ręką że są sami.

— O tém wiész — rzekł Brühl — że N. Pan wczoraj mnie mianować raczył dyrektorem akcyzy i vice-dyrektorem podatków.

— Chciałem mu właśnie powinszować — rzekł Hennicke z ukłonem.

— Nie masz czego — odwracając się nagle z miną dobrze odegrywającą zafrasowanie przerwał Brühl — jest to nowy, wielki ciężar na słabe moje ramiona.

— Które mu podolają — dodał z nowym ukłonem stojący u drzwi.

— Hans — zawołał Brühl — w dwóch słowach: chcesz mi być pomocą, ręką prawą, chcesz poprzysiądz mi wierność i posłuszeństwo bez granic, niezłomne; chcesz na złamanie karku bodaj iść ze mną? mów...

— Ale my we dwóch karku nie możemy skrócić — z cichym i zimnym uśmiechem szepnął Hennicke i potrząsnął głową.

— Potężniejsi od nas je kręcili.

— Tak, ale od nas dwu, excellencyo, zręczniejszych nie było. Siła i potęga, to jeszcze nic, kto ich użyć nie umie. Ja wam ręczę, potrafimy.

— Ale ważysz się dzielić moje losy i iść ślepo, z zawiązanymi oczyma?

— Byłem rąk nie miał związanych — odparł Hennicke — zgoda.

— Pamiętaj tylko — chłodno rzekł Brühl — to nie płoche słowa, to uroczysta ma być przysięga.

Z jakimś szyderskim wyrazem Hennicke podniósł rękę z dwoma palcami do góry i rzekł:

— Przysięgam... ale na co? mistrzu i panie!

— W obliczu Boga — odezwał się Brühl schylając głowę pobożnie i składając ręce na piersiach — Hennicke, ty wiész zem szczerze pobożny i żadnych żartów...

— Excellencyo, ja z nikogo i z niczego nie żartuję nigdy. Żarty to droga rzecz, niejeden je życiem przypłacił.

— Jeżeli pójdziesz ze mną — dodał Brühl — ja z méj strony ci przyrzekam, że cię wyniosę i zbogacę, dam ci władzę, znaczenie, fortunę...

— Nadewszystko ostatnie — rzekł Hennicke — bo to w sobie zamyka resztę... fortuna...

— Zapomniałeś o losie tego, co z fortuną poszedł do Königsteinu.

— A wiecie dlaczego? — spytał stojący u drzwi.

— Niełaska pana, niełaska Boga.

— E! i lekceważenie pantofla — dodał Hennicke. Rozumny człowiek, na ołtarzu powinien postawić pantofel i do niego się modlić: kobiety wszystko robią.

— Przecież same padają: a Cosel? Cosel w Stolpen.

— A kto Cosel wyrócił? — spytał Hennicke — przypatrzcie się jasny panie przez szkiełko, a zobaczycie tam białe paluszki Denhoffowój i maleńki pantofelek, pod którym wielki król siedział.

Brühl zmilczał i westchnął.

— Wasza excellencya od wczoraj rozpoczynacie nowe życie, winniście sobie zapisać dla nieustannój pamięci: kobieta...

— Pamiętam o tém — chmurno odparł Brühl — ale... nieczas o tém mówić, Hennicke. Jesteś więc zemną?

— Na śmierć i życie — odparł Hans. Jestem człowiek mały, ale mam dużo doświadczenia, i uwierzcie mi że moja mądrość czerpana w przedpokojach nie gorszą jest od téj,

<sup>19</sup>galon — taśma pleciona z nitek metali lub nimi wzbogacana, używana do zdobienia ubiorów. [przypis edytorski]

którą się na srebrnych blatach w salach podaje.

Przed wami się taić nie potrzebuję, a dla was to nie tajemnica; Henniecke, którego widzicie przed sobą, wyszedł z nędznej skorupki, która gdzieś roztluczona w Zeitz leży. Długom drugim jako lokaj drzwi otwierał, nim się one przedemną rozwarły. Na akcyzie w Lützen pierwszą moją szermierkę odbyłem.

— Dlatego w sprawie tej akcyzy i podatków, Henniecke, tyś mi potrzebny, nieodzownie, koniecznie. Król potrzebuje pieniędzy, a kraj jest wyczerpany: stękają, jęczą, skarżą się.

— Ktoby ich tam słuchał — odparł zimno Henniecke — oni nigdy nie będą kontenci, oni wiecznie piszczyć muszą; dusić ich trzeba jak cytrynę żeby sok wydali.

— Ale czém i jak...

— E! e! znajdziemy środki...

— Skarżyć się będą.

— Komu? — rozśmiał się Henniecke — alboż to my dróg szlabanami nie możemy pozamykać, a tych, co za głośno się odezwą, nie mamy prawa dla spokoju pana, wsadzić do Königsteinu, posłać na Sonnenstein i zamurować w Pleissenburgu?

— Tak, to prawda — rzekł Brühl zamyślony — ale to nie da pieniędzy.

— Owszem to nam je ściągnie: trzeba surowości. Powoli puszczone cugle wszystkie-mu. Szlachta się zaczęła odzywać, mieszczenie skowyczeć, aż i chłopci sobie w lamenty.

Brühl słuchał z wielką uwagą.

— Pieniądzy potrzebujemy ogromnie wiele, oto i terazniejszy karnawał, myślisz że darmo przyjdzie?

— Tak jest, i wszystko co dwór puści spłynie na lud, w ziemię nie wsiąknie, mają więc czém płacić. Pieniądzy — dodał spoglądając na Brühla — potrzebujemy dla pana, a zdałyby się i nam. I waszój excellencyi i jego pokornemu słudze.

Uśmiechnął się zagadnięty.

— To się rozumie, zaczóżbyśmy pracowali w pocie czoła.

— I tyle przekleństw brali na dusze.

— No, gdzie idzie o posłuszeństwo, tam Bóg tych mizernych głosów nie słucha. Król musi mieć co mu trzeba.

— A my, co nam należy — dorzucił Henniecke — co Bogu, to Bogu, co panu to panu, a co poborcy to poborcy.

Brühl stanął przed nim zamyślony i po krótkim milczeniu rzekł cicho:

— Więc oko miej otwarte, ucho pilne, donoś mi wszystko, pracuj za mnie i dla siebie razem, donoś mi co trzeba; ja mam już tyle na głowie, że bez ciebie nie wydołam.

— Spuście się na mnie — odezwał się Henniecke — rozumiem to dobrze że pracując dla was, dla siebie też pracuję. Nie przyrzekam wam miłości platonicznej, bo to podobno tak nazywają, gdy kto rękawiczki całuje, ręki się wyrzekając: co interesem jest, to trzeba czysto i jasno postawić. Będę o sobie pamiętał, o was pamiętał, i o królu nie zapominał.

Sklonił się. Brühl po ramieniu go poklepał. — Henniecke... wyprowadzę cię wysoko.

— Byle nie zbyt, i nie na nowym rynku — szepnął Hans.

— A! o to bądź spokojny. A teraz tyś rozumny, jaką dajesz mi radę? jak to się utrzymać na dworze? Wyjść na wschody to jeszcze nic, ale z nich na łeb nie zlecieć to sztuka.

— Ja mam tylko jedną radę, excellencyo — począł były lokaj — wszystko się robi przez kobiety, bez kobiet nic się nie dzieje.

— O, o! — odparł Brühl — są inne drogi.

— Ale ja wiem że wasza excellencya, macie za sobą Padre Guariniego i ojca.

— Tst! Henniecke.

— Milczę, a jednak dodam: czas waszój excellencyi o tém pomyśleć, co kobieca potęga znaczy: mieć zapaśną strunę nie zawadzi.

Brühl westchnął.

— Skorzystam z rady, zostaw to mnie.

Milczeli chwilę.

— Jakże wasza excellencya jest z hr. Sułkowskim — po cichu szepnął Henniecke — nie trzeba zapominać że słońce zachodzi, że ludzie są śmiertelni, i że synowie po ojcach następują a Sułkowscy po Brühlach.

— O! — uśmiechnął się Brühl — to mój przyjaciel.



— Wolalbym żeby jego żona była waszą przyjaciółką — wtrącił Hans — na tobym więcej mógł rachować.

— Sułkowski ma serce szlachetne.

— Któż przeczy, ale najlepsze serce woli tę pierś w której bije, od każdej innej.

— A hr. Moszyński! — wtrącił Hennieke.

Brühl drgnął i zarumienił się, spojrzął na mówiącego bystro, jakby chciał dojść czy to nazwisko wspomniał z myślą podstępłą.

Hennieke miał twarz niewinną i spokojną.

— Hr. Moszyński nic nie znaczy — syknął Brühl — nie znaczy nic i znaczyć nigdy nie będzie.

— N. Pan oddał mu własną córkę — rzekł Hennieke powoli.

Brühl zamilkł.

— Ludzie mają złe języki — począł odpocząwszy nieco Hennieke — na pannę Cosel mówiono że wolałaby była kogo innego nad hr. Moszyńskiego.

Spojrzał mu w oczy: Brühl stał dumnie milczący.

— Tak — wykrzyknął z niecierpliwością — tak; wziął mi ją, wyzebrał, wyintrygował.

— I zrobił w. Exc. największą łaskę w świecie — rozśmiał się Hennieke — stara miłość nie rdzewieje, powiada nasze przysłowie. Zamiast jednej sprężyny, dwie mieć możecie.

Spojrzeni sobie w oczy, ale znać było na twarzy Brühla chmurę, która po niej przeciągnęła.

— Dosyc o tém — dodał — a więc Hennieke tyś mój, rachuj na mnie. Co dzień o szóstej, tylnymi drzwiami... mieć będziesz biuro tu u mnie: jutro dostaniesz pierwszą nominację.

Hennieke się skłonił — I pierwszą pensję do podniesionej pracy stosowną.

— Tak, jeśli pomyślisz o tém, aby ją było czém zapłacić.

— To moja rzecz.

— Godzina późna i bądź zdrów.

Hennieke pocałował go w ramię i położył rękę na sercu, a potem powoli, cicho i niezauważalnie się wysunął.

Brühl targał dzwonek.

Wpadł kamerdyner przestraszony.

— Na zamku gospodarstwo (Wirthschafft) za pół godziny się rozpoczyna: lektyka?

— Stoi na dole.

— Domino? maska?

— Wszystko gotowe — to mówiąc kamerdyner otworzył drzwi i przez obszerny przedpokój przeprowadził Brühla do garderoby.

Już naówczas pokój który ją zawierał mógł się liczyć do osobliwości stolicy. Dokoła otaczały go wielkie szafy rzeźbione, które w tej chwili wszystkie stały otworem. Po między dwoma oknami na które spuszczone były zasłony, stał stół okryty, na nogach brązowych, na nim wielkie zwierciadło w porcelanowych ramach z kwiatów i aniołów. Dokoła tej szyby srebrzystej kwitły zimą i latem róże, zwieszały się powoje, chyliły konwalie omdlałe, a z zielonych gniazdek wystrzyganych w tysiące form listków wyglądały śmiejące się nieśmiertelném weselem głowy tych istot stworzonych przez ludzką sztukę, które nie wiedzieć jak nazwać: aniołami czy amorkami, ptaszkami czy kwiatkami? U góry w wiązance siedziało ich dwoje, biędnych, nagich, jak ich Pan Bóg stworzył i ściskali się serdecznie, aby o swęj nędzy zapomnieć. Choć mieli skrzydełka na ramionach, ale się im już latać nie chciało. Na tym stole u zwierciadła stał cały przybór do stroju jakby dla kobiety. W szatach widać było w wielkim porządku każdy strój z całym garniturem, począwszy od trzewików i kapelusza, nawet zegarki i szpady. Moda i zwyczaj wymagały aby się wszystko zmieniło i zchodziło z sobą, jakby się urodziło z jednego tchnienia czarnoksiężnika.

Na dzisiejszy wieczór nie tyle strój, ile domino było potrzebném. W osobnej szafie leżały maskaradowe przybory, wisały płaszcze, kapelusze, kapiszony i okrycia. Brühl stanął i zamyślił się nad wyborem. Ważnym był krok ten stanowczy. Król lubił aby się poznać nie dawano. Brühl może poznanym rychło być nie chciał.

Kamerdyner chodzący za nim z dwoma świecami w rękach, czekał skinienia.

Odwrócił się szybko pan dyrektor.

— Gdzie jest ten strój weneckiego szlachcica, któremu nie miał czasu użyć w grudniu?

Służący rzucił się do szafy stojącej w kącie, zasłoniętej skrzydłem otwartym drugiej, która przy niej stała. Brühl oko wnet padło na aksamity czarne.

Rozkaz był wydany, zaczęło się szybko ubieranie. Suknie leżały wybornie i nadawały postać szlachetną i zręczną pięknemu panu. Wszystko było czarne, aż do pióra przy kapeluszu i szpady szmelcowanej u boku. Na piersi tylko spadał ciężki, przepyszny łańcuch złoty, na którym Brühl zawiesił medal z wizerunkiem Augusta Mocnego. Tak przybrany przejrzał się w zwierciadle i nałożył pół maseczki. Dla niepoznaki zaś, na brodzie ogolonej świeżo przyklepił zręcznie plasterkiem bródkę hiszpańską, która zdawała się prawdziwą, i mogła obalamucić znajomych.

Zmienił na palcach pierścienie, okręcił się kilka razy i szybko schodzić począł.

Port-Chaise, jak naówczas zwano lektykę stała w sieniach domu. Dwaj tragarze przebrani byli wprzód po wenecku z czerwonymi wełnianymi czapkami na głowach i płaszczkach aksamitnych, oliwkowych, na ramionach; oba też mieli maski na twarzach. Za ledwie z przodu zamknęła się lektyka, której zasłonki zielone pospuszczane były, tragarze unieśli ją w górę i pobiegli z nią ku zamkowi.

W głównych wrotach stały strojne strażę gwardyj, nie wpuszczano nikogo oprócz pańskich powozów i lektyki bogatych. Lud cisnął się ciekawy tłumnie, ale odźwierni nastawiali zębate halabardy i odpychali go od wnijscia.

Jedne po drugich wjeżdżały z pochodniami powozy, lektyka po lektyce; w dziedzińcach służby już było pełno. Rzęsistym światłem gorzał zamek cały, bo dwa dwory i dwa gospodarstwa przyjmować miały gości dnia tego: sam król u jednego stołu, u innych królewicz z żoną.

Z sali królewskiej do królewiczowskiej wiodły oświecone rzędy pokojów, w których już przez okna widać było kręcące się masek cienie. Lektyka Brühla zatrzymała się u ganku, otworło wnijscie i wenecki szlachcic z powagą syna Doży wybiegł z tej kryjówki. W chwili, gdy miał wstępować na wschody kamienne, dywanami okryte, niewiedzieć z kąd zjawiała się obok niego postać drugiego Włocha, ale wcale inna. Był to mężczyzna zamaskowany, o głowę od niego wyższy, barczysty, silny, po żołniersku wyprostowany, z piersią wydatną, ubrany jako zbir i niby zdjęty ze starego obrazu Salvatora Rosy. W stroju tym ślicznie mu było, jakby się do niego rodził. Na głowie miał lekki szyszak żelazny bez przyłbicy, na piersi pół zbroiczki, po której biegały żyłki złote w misterne desenie, krótki płaszczyk na ramionach, szpadę u boku, puginał u pasa. W ręku trzymał rękawiczki wonne, a na białych palcach błyskało kilka pierścieni. Całą jego twarz okrywała maska dziwna, marsowa, skrzywiona, sroga i straszna, z długimi wąsami i kosmykiem na brodzie. Brwi jej w dwa esy pogięte zbiegały się w środku i dwiema prostymi marszczkami przedłużać się zdawały po czole. Brühl spojrział tylko na tę maskę nie miłą i szedł dalej ku górze, lecz zbir widocznie go chciał dognać i zaczepić.

— *Signore!* — wołał syczącym głosem — *come sta? va bene?*

Brühl głową tylko mu odpowiedział. Ten mu się pod sam bok cisnął, nachylił do ucha i szepnął coś, aż Brühl widocznie gniewny odskoczył. Śmiech się dobył z pod maski: zbir palcem wytknął go i stał.

— *A rivedersi, carissimo... a rivedersi!*

I powoli za nim pociągnął. Słychać już było muzykę z sali królewskiej. Zbirowi nie było widać pilno, szedł powoluteńku, ręka w bok, nogami długimi ledwie dźwigając leniwie.

Gdy ostatnie przestępował wschody, Brühl już mu z oczów w tłumie zginął. W salach i pokojach było pełno. Od blasku światła, od kraszy strojów bogatych, od lśniących dyamentami kobiet oczy ślepy. Wszystko to zwijało się, kłębiło, mruczało, piszczalo, śmiało się, podskakiwało i uchodziło za ledwie ukazawszy chwilę.

We wspaniałych polskich strojach z szablami sadzonymi w drogic kamienie, przechadzało się kilku łatwych do poznania senatorów, na których twarzach tylko dla zachowania rozkazu króla, wązki pasek czarny niby maski przedstawiał. Mnóstwo Turków, Maurów, Hiszpanów, kilku mnichów zakapturzonych, kilka nietoperzy żeńskich, kilka bóstw my-

tologicznych niewieścich z odsłoniętymi wdziękami a zasłoniętymi twarzami, mnóstwo Wenecyan podobnych do Brühla wyróżniało się w tym tłumie, w którym i na pulcinelli i na arlekinie nie zbywało. Nawet wyrostki z kołczanami na plecach i skrzydłami przyprawnymi kręciły się, niby grożąc bezsilnymi strzałami, ale się ich jeszcze nikt nie obawiał.

Królowa Elżbieta, Marya Stuart, Henryk IV... kogóż tam nie było? Król o lasce ze złotą gałką powoli przechadzał się zaczepiając kobiety i usiłując je poznawać. Nie było mu to trudnym, znał je wszystkie dobrze, te przynajmniej, które poznania godne były.

Na innych maskaradach byłby mógł się spotkać z nieznaną piękną miejską, nie mającą przystępu do dworu; tego dnia na zamek nie wpuszczano tylko powozy pańskie, lektyki bogate i maski, których powierzchowność ręczyła, że do plebejuszów się nie liczyły.

W salach piękne panie były gospodyniami, przy stołach i bufetach urządzone były gospodarstwa: chińskie, japońskie, tureckie i t. p. Każda z pań na ten wieczór musiała być szynkarką i gosposią dla dostojnych gości.

Poza salami królewskimi, także same stoły trzymały królewiczówna Józefa ze swym dworem.

Świetniała przy jednym z nich hrabianka Franciszka Kolowrath: owa swawolna Frania, która ośmioletnia umiała już tak dobrze grać rolę dojrzałej panny dworu... Teraz była to świeża, zalotna, wesoła, dumnie z góry patrząca dziewczeczka, cała brylantami okryta, której pasterski strój nie przeszkadzał chwalić się z macierzystymi klejnoty.

Inne piękności dworu kryły się pod mniej więcej przezroczystymi maskami. Zdradzał je chód, rączka, plamka na białej szyi albo nawet zbyt kunsztowne przebranie. Królewiczowa Józefa mało w tej zabawie brała udziału, znajdowała się tu tylko dla przypodobania teściowi i mężowi. Dumna jej postawa, twarz surowa i nie piękna, obejście się zimne nie przyciągały ludzi. Wiedzieli wszyscy że nie lubiła płochych zabaw, że wołała życie rodzinne, modlitwy i... plotki. Surowa dla siebie i dla drugich, poglądała bacznie na tych co się około niej obracali. W atmosferze, która ją otaczała panował chłód i sztywność. Nie śmiał tu sobie nikt swobodnego pozwolić żarciku, bo go karcił wzrok pani. Nawet wśród maskarady ostatniego wtorku, Józefa nie zapomniła, że była córką Cezara.

Uprzejmy, grzeczny, milczący stał tu też królewicz Fryderyk, dość piękny i postawy okazałej, ale posagowato chłodny i ceremonialny. Bawiło go to że się zabawiali drudzy, sam on nie brał udziału w niczym. Zapraszał tylko po pańsku, a czasem do poufalego otoczenia krótkie słowo rzucił. Znać w nim było, mimo młodości, pewną ociężałość ciała i ducha, ostatniego więcej jeszcze niż pierwszego.

Strojny i pańsko wyglądający Sułkowski, pierwszy faworyt następcy, stał poza nim gotowy ciągle na rozkazy. Królewicz odwracał się ku niemu często, porozumiewał z nim wzrokiem, pytał i otrzymawszy odpowiedź, z zadowoleniem głową potrząsał.

Widząc ich obu razem z sobą, dawał się odgadnąć stosunek, który ich łączył; pierwszy sługa więcej był panem niż sam pan, który tylko reprezentował swą godność, ale jej nie czuł. Sułkowski przeciwnie, przybierał tony wielkie i z arystokratyczną pychą, na wirujące dokoła figury poglądał.

Wdziękiem też twarzy przechodził króla, który mimo młodości, mimo zdrowia i czystości do pospolitego Niemca był podobny.

Przy stołach Augusta Mocnego, dokoła jego osoby gromadziło się najweselsze towarzystwo. Wygorowane maseczki zaczęły J. K. Mość, z góry poglądającą okiem rozczarowanym na wdzięki, które już dłoń uroku żadnego nie miały.

Brühl wszedł, jak mu się zdawało nie poznany, unikał odzywiania się, szukał kogoś oczyma chciwymi, chciał odgadnąć pod przebraniem. Przesunął się niepostrzeżony po salach za stołami, aby się przekonać czy ci, których szukał nie znajdują się przy gospodarstwach. Nie uważał że zbir wszedł za nim zdala.

Piękna budowa tej herkulesowej postaci i swoboda z jaką się posuwała, wcale tego co spotkała nie zdając się być ani ciekawą, ani tém onieśmioną, ściągała oczy kobiet. Parę maseczek zabięło drogę zbirowi, który z góry na nie obojętnie popatrzywszy, wszedł dalej. Jedna czy dwie chciały go intrygować, szepnęły im śmiejąc się ich nazwiska na ucho... i pierzchnęły.

Król na przesuwającego się popatrzał i rzekł do Friesena: — Gdyby tu był który z pruskich książąt, odkradliby mi go do grenadyerów. Kto to taki?

Nikt jakoś na pewno odpowiedzieć nie umiał. Zbir znikł za kolumnami.

Tymczasem Brühlowi drogę zastąpiła cyganka. Stara, słusznego wzrostu kobieta, o kiju, okryta szeroką jedwabną zasłoną i cała obwieszona paciorkami, koralami, świecidłami. Pół-maseczki przedstawiało żółty, okryty marszczkami profil czarownicy. Wyciągnęła rękę i piszcząc zażądała dłoni do wrózenia.

Brühl nie miał najmniejszej ochoty dowiadywania się przyszłości: chciał się cofnąć, ale cyganka domagała się ręki koniecznie.

— *Non abiate paura!* — szepnęła — ja wam dobrą wywróżę...

Brühl z rękawiczką dłoni wyciągał.

— Ja nie wróżę ze skóry, tylko z ręki — śmiejąc się zawołała cyganka — zdejmnij...

U kolumny za którą stali palił się w górze sześcioramienny świecznik, cyganka podniosła białą dłoń, obejrzawszy rękę i zaczęła głową potrząsać.

— Wielkie losy, świetne losy — rzekła — powodzenie cudowne, a szczęścia mało...

— To zagadka? — przerwał Brühl — jakże powodzenie mieć, a nie mieć szczęścia...

— A! to tak łatwo jak być szczęśliwym mimo niedoli i losu! — zawołała zmienionym głosem stara. A wiesz dlaczego szczęścia ci zabraknie? bo serca nie masz...

Brühl szyderczo się uśmiechnął.

— Ty nie kochasz nikogo.

Zmilczał potrząsając głową.

— Cóż dalej, maseczko; co dalej?

— Jesteś niewdzięczny — szepnęła mu na ucho — jesteś ślepy, gonisz tylko za wielkością.

— Ciesz się mną — piszcząco rzekł Brühl — iż widocznie bierzecie mnie za kogo innego.

Maska na dłoni napisała mu: Brühl. Wyrwał rękę co prędzej i sam w bok się rzucił, cyganka go zatrzymać chciała: zniknął. Być może iż miło mu było odetchnąć swobodnie w tym tłumie, niepoznanym, niezaczepianym. Błądził więc, aż póki nie ukazała się maska, która całą jego zwróciła uwagę.

Fantastyczny jej strój, niby wschodni, jakąś musiał oznaczać królowę... Semiramis czy Kleopatrze, tego nikt łatwo nie odkrył, bo fantazyja naówczas w ubiorach większą grała rolę od prawdy historycznej. Szło o to, ażeby być pięknie i wspaniale ubraną, nie o to aby umarłe wieki wskrzesić ze ścisłością archeologa. Królowa też Semiramis chciała tylko być majestatyczną władczynią, czego postawą i strojem dopiąć jej było łatwo. Ubrana w suknię z długim ogonem, z lamy złotej, na którą przejrzysta od korony na głowie spadała zasłona, z naszyjnikami ogromnych ametystów na białej szyi, z berłem w ręku, z pasem sadzonym na przemiany ametystami i dyamentami; królowa przytém miała figurę, ruch i chód prawdziwej władczyni serc i ludów.

Na utoczonej szyi ciemne pukle włosów lekko złotym pudrem posypanych, wiły się wdzięcznie, a niższa część twarzy, młoda, nieposzlakowanego owalu, miała coś w sobie rozkazującego i wspaniałej dającego się domyślać fizyognomii. U maleńkich różowych uszu wisały dwie gruszki perłowe na brylantach, a największa z nich pod koroną błyszczała.

Przechodzącą zwolna ustępowali wszyscy, nikt nie śmiał słowem zagadnąć. Szła obojętnie spoglądając: Brühl stał pod kolumną, wahał się krótko i pozdrowił ją ręką przykładając do kapelusza. Zatrzymała się nieco: Wenecyanin wyciągnął rękę, podała mu małą piękną dłoń od niechcenia... szybko nakreślił na niej dwie litery.

Spojrzała nań z uwagą, ale jakby ją to nie obchodziło wcale, że ktoś mógł odgadnąć królowę. Postawszy chwilę szła dalej, Brühl jakby nie mogąc się oprzeć pociągnął za nią powoli. Kilka razy zwróciła głowę ku niemu i widząc go uparcie idącego za sobą, stanęła. Wśród zielonych krzewów tuż była nie zajęta ławka, salon ten udawał ogród i wiosnę; królowa usiadła. Wenecyanin stanął. Popatrzała nań długo i skinęła, aby podał jej dłoń. Posłuszny wyciągnął ją i poczuł jak H. B. paluszkami na niej nakreśliła i rozśmiała się.

Zatrzymał się więc przed nią i postąpił krok za pomarańczowe drzewo.

— Że ja was poznałem — szepnął — hrabino, to nic dziwnego, poznałbym was wszędzie i nie za królowę przebraną. W królewskim stroju tak wam naturalnie; lecz że

wy mogliście mnie poznać...

— W stroju jednego z Rady Dziesięciu — odezwał się głos z pod maski, a komuż on stosowniejszy jak wam?

— Hrabina jesteś zachwycającą!

Kobieta przyjęła to obojętnie.

— Lecz piękna jak bóstwo starożytnie z marmuru, jak marmur jesteś zimną... jak marmur bezduszną.

— Cóż dalej? — zapytała maseczka — mówcie co zabawniejszego: słyszałam to tyle razy.

— A cóż ja wam, hrabino, innego powiedzieć mogę! — zawołał Brühl głosem drżącym — ile razy spojrzę na was, wre we mnie zemsta, kipi gniew, burzy się zazdrość, a na usta leci przekleństwo.

— Bardzo poetycznie! — szepnęła kobieta. Cóż dalej?

— Gdybym śmiał, przeklinałbym was i dzień i godzinę, w której widziałem was po raz pierwszy — mówił czule Brühl — ale spojrzę i jestem złamany. Macie nademną władzę?

— Ale czy ja mam? — odwracając się i spoglądając ku niemu chłodno odezwała się kobieta.

— Potrzebuję przysięgać i na co się zdała moja przysięga wam, gdy innemu przysięgłaś przed ołtarzem.

— Ja nie potrzebuję przysięgi — odparła spokojnie kobieta — ja chcę przekonania, a tego często i przysięga nie daje.

Patrzyła nań długo.

— Moja miłość...

Kobieta przerwała mu uśmiechem.

— Brühl — rzekła — wierzę, że kochałeś się we mnie. Cóż dziwnego, miałam młodość, imię i przyszłość dla tego, któremu dostać się miała ręka moja; ale to mogła być taka miłość, jakie widzimy co dnia, rozplomienione o świcie a gasnące wieczorem. Ja takiej nie chcę.

— Moja dała wam dowody trwałości — mówił Brühl żywo — zaczęła się w dzieciństwie, a nie skończyła, gdy jej odebrałaś nadzieję; odpychana wracała, wzgardzona trwa.

— Miłość to, czy ambicya? — spytała kobieta — w tobie, Brühl, ambicya wszystkiemi władami.

Zamilkł nieco Brühl i potrząsnął głową.

— Nie przeczę, że nie mogąc być szczęśliwym, chcę teraz być, choćby strasznym i silnym.

Maska nań popatrzała, sparła się na łokciu i powoli mówić zaczęła:

— Nie wiemy, co przyszłość chowa. Czekaj, bądź mi wiernym. Będę z tobą szczerą: miałam słabość do ciebie, z tobą byłam szczęśliwą; jedne mamy myśli i charakter, ale tak lepij... mąż i żona, to pojedynkujący się na śmierć wrogowie: my możemy być sobie przyjaciółmi wiernymi.

— Przyjaciółmi! — podchwycił Wenecyanin — jakże to straszny całun śmiertelny to nazwisko przyjaciela.

Maseczka podniosła głowę, aż w koronie jej zaigrały światłami brylanty i pokiwała nią ironicznie.

Rączką uderzyła po rękę Brühla, spartęj na poręczu.

— Mąż będzie kochankiem, a ja przyjacielem; więc służą wzgardzonym.

— Mąż kochankiem? — rozśmiała się maska — gdzieżeś to słyszał? Dwa te wyrazy klóć się z sobą. Mój mąż! mój mąż! ale ja go nienawidzę, ja się nim brzydę, ja go niecierpię!

— A poszłaś za niego?

— Król-ojciec wydał mnie, ale się dobrze stało... wierz mi. Jestem swobodną z nim, jestem sobą i cała zachowam się dla przyszłości. Ja wierzę w przyszłość i gwiazdę moją.

— A spotkają się kiedy gwiazdy nasze?

— Jeśli są sobie przeznaczone, powinny.

— Mówisz to hrabino tak zimno, tak obojętnie.

— Bo ja zawsze jestem panią siebie, czy kocham, czy nienawidzę. Uczucie, które się zdradza, idzie na łup ludzi.

— Lecz jakże w nie uwierzyć nie widząc.

— A czémże wiara? — rozśmiała się piękna pani, jak gdyby chciała przypomnieć Brühlowi łacińskie przysłowie: „Kto kocha, ten czuć powinien i przeczynać, a kto nie odgadnie serca kobiety, ten go niewart.”

Kończąc te słowa, wstała nagle, szybko, i nim Brühl się opamiętał, znikła mu z oczów. Jeszcze stał przybity i szczęśliwy razem rozmyślając, gdy Poliszynel do niego przyskoczył, osoblwszy zaprawdę, bo mimo stroju Pulcinella, guzy u sukni, mający z rubinów perłami osadzanych. Zdawał się biedz tu szukać kogoś, a zastawszy tylko Wenecyanina w kątku, zatrzymał się, badając go z wielką ciekawością. Pochylił się aż na ziemię prawie, chcąc mu zajrzeć pod maskę, ale Brühlją ucisnął ręką. Zwiając się począł koło niego z udaną trzpiotowością.

— Cavaliere nero! cóż ci powiedziała królowa? Znasz ją? he, słówko.

— *Sono un forestiero...* Addio — syknął mu Brühl nad uchem i uszedł, ale Pulcinello, nie goniąc go, śledził. Zbir także nie spuszczał z oka. Wkrótce oba się zeszli pod kolumnami.

Pulcinello spał się do ucha zbirowi.

— Kto to był?

— Brühl.

— A! a! — wyrwało się z piersi Poliszynella — odgadłem go po nienawiści, jaką wzbudził we mnie... jesteś pewnym?

— Ja? co go więc od was panie hrabio niecierpię i brzydzę się nim. Jabym go w piekle poznał.

Pulcinello wyrwał się nagle i pobiegł, zobaczywszy królową z daleka, którą zdawał się śledzić namiętnie. Zbir zadumany błędził bez celu. Towarzystwo ożywiało się coraz bardziej, a ci, co jak Poliszynel szukali i gonili kogoś, już z trudnością przez tłum i zamęt precyzyjnie się mogli. Piski i śmiechy, głuzyły muzykę. Brühl już był znikł, przesunawszy się do gospodarstwa królewiczowej. W przejściu spotkał go mnich zakapturzony.

Uczuł się pochwyconym za rękę.

— Jeżeli chciałeś być niepoznanym — odezwał się po włosku — toś się wcale nie osoblwiwie zamaskował. Któżby cię nie poznał panie dyrektorze akcyzy?

I począł się śmiać.

— Po czém? — zapytał Brühl.

— Po chodzie, po nodze, po ruchu i po smaku.

Brühl nie mógł poznać maski, rzucił się ku niej: znikła.

Byłby przysiągł, że to Padre Guarini, ale cóżby jezuita robił na maskaradzie??

Trochę zmieszany tém, że go poznano, znalazł się w pokoju słabo lampami w alabastrowych urnach oświeconym. Tu go kobieta słusznego wzrostu zatrzymała uderzeniem wachlarza. Nie wątpił, że i ona poznać go musiała, on odgadł ją na pierwszy rzut oka; lecz chciał być grzecznym i udał, że się nie domyśla.

— Należy się wam powinszowanie... Brühl.

— O! nie ma mi czego wieszować.

— Wiem, sięgacie wyżej myślą i ambicyą, ale po wschodach iść trzeba, inaczej *non si va sano*. Dosięgłeś już bardzo wysoko, a jeszcze się nie spał na ramieniu kobiety, która czasem, jak skrzydło podnosi.

Brühl westchnął.

— O! wiem do kogo westchnienie, i co się w sercu twém dzieje. Lecz niewdzięczną królową trzeba zapomnieć i szukać innej — mówiła wyniosłego wzrostu pani.

— Szukać, aby, znalazłszy, być znowu odepchniętym i wzgardzonym?

— Wzgardziłaby chyba taka, coby się na tobie nie znała, a téj i żałować nie powinienes.

Pochyliła się do jego ucha i szepnąwszy mu coś, znikła w tłumie.

Szedł dalej. Naprzeciw niego był już stół Frani Kolowrath, otoczony młodzieżą. Dzieweczka zalotna, śmiejąc się, pustując, wyszczerzając ząbki, podawała wszystkim, co kto zażądał. Przypatrywał się jój z daleka. Była nęcącą i wdzięczną, w oczach jój błyskał dowcip, ale z tą żywością swą zimną, równą dla wszystkich, niewyczerpaną, wydała mu się może straszna. Długo w nią oczy trzymał wlepione, zadumał się i nie miészając w tłum, co ją otaczał, uszedł na stronę.

Zaledwie rzucił się na krzesło nieco znużony, chcąc spocząć i skupić myśli, gdy zbir znalazł się tuż i przysiadł do niego. Popatrzał nań z góry.

— Nieprawda — spytał — smakowała ci przedtém królowa, teraz myślisz, czyby z szynkarką nie poszło lepiej? Przyznaj się!

Brühl, nie chcąc wdawać się w rozmowę, potrząsnął głową.

— To posażna dziewczyna i w fartuszkach komuś dużo brylantów przyniesie... dla ciebieby się zdała... wszak je lubisz?

Ani słowa nie odzywał się Brühl i niecierpliwie, ręce skrzyżowawszy na piersiach, nie chciał zważać, co doń mówiono, bo głowę odwrócił w stronę przeciwną. Zbir wszakże wiedzieć musiał, że żadne jego słowo, nie pójdzie marnie, pół głosem mruczał ciągle:

— Patrz, co to za rączki białe, jakie ramionka utoczone, co za twarzyczka brzoskwini, której puszkę nawet ptaszek nie tknął skrzydłem. Kąsek ministeryalny, jeśli nie królewski; ale August II już stary, a królewic za pobożny... sięgnij ręką, a weźmiesz. Co potém nastąpi nie wiem... patrz, jak się do dwudziestu śmieje, a co oczy jej mówią, aż strach!! Takię żony trzeba takiemu, jak ty, człowiekowi.

Hassego wielkiego muzyka, ożenili z Faustyną; taki artysta, jak ty, musi się z taką aktorką poślubić. Dziś już doskonale śpiewa swą partyą naiwną, cóż to będzie, gdy obejmie *les grandes coquettes*??

Po ruchach tylko mimowolnych Brühla, poznać było można, iż to śpilkowanie bezlitośnie dotykało go; nie tracił jednak ani głowy, ani postawy zmienił, udał głuchego i nie patrząc na zbira, wstał i odszedł. Szukał go później niecierpliwie prześladowca, ale Wenecyanina nigdzie na salach nie było.

Muzyka brzmiała i maski skoki poczęły, które trwały do rana.

Jeszcze na salach kręciły się ostatnie pary, gdy w kaplicy na Taschenbergu, Padre Guarini, królewicowej, następcy i katolickiemu dworowi ich, głowy posypywał popiołem.

#### IV

Pomimo karnawału, mimo olbrzymich budowli, któremi król bawić się próbował; mimo wspaniałości, jaka go otaczała, August II nudzić się zdawał. Chciano go dla roztargnienia ożenić: ziewnął i rozźmiał się; nie życzył sobie sprawiać wesela: czasy były ciężkie, a królewskie gody, takiego pana godne, musiały być kosztowne. Noga go trochę bolała; był smutny. Świat już mu nic nie miał do dania; złego i dobrego kosztował tyle, że na dnię czary życia zostały same męty. Najpiękniejsza dziewczyna była dlań powszednim obrazem: w pamięci jego przesuwał się cały szereg tych istot promieniejących chwilę, a tak rychło uwiędłych. Lubomirska była starą, Cosel zamkniętą, inne się rozleciały po świecie. Nie mogąc być szczęśliwym, chciał być wielkim. Sławił więc do Afryki uczonych i budował.

Wznosiły się koszary olbrzymie na Nowém-Mieście, przerobioném świeżo jego rozkazem ze starego, zakładano kościoł, budowano pyramidy i pałace.

Król jechał do Königsteinu nowe mury oglądać i ziewał, przejeżdżał do Hubertsburga i nudził się: kazał się wieźć do Moritzburga i znajdował że mu spowszechniał, a Drezno nawet było nieznośne. Gdyby mu kto tę myśl poddał, możeby był spalić kazał miasto w czasie koncertu, aby je na nowo olbrzymio z ciosu odbudować; ale pomysł był już zużyty.

W Polsce zdawało mu się, że Drezno kocha, w Dreźnie tęsknił za Warszawą: nigdzie nie było dobrze. Drugiego listopada przypadło święto patrona łowów, Hubert'a, którego obchodzono zawsze świetnie; cały dwór królewski i królewiczowski do Hubertsburga się udał; ciągnęły psiarnie i oba obozy myśliwskie saski i polski, a nie było mało téj dworni, począwszy od paziów łowieckich aż do łowczego od truflif. Wielkim łowczym dworu był von Leibnitz, wielkim sokolniczym Moszyński i były myśliwskie wojska J. K. Mości, które tylko przeciw niedźwiedzim i dzikom służyły.

Ale król znajdował S. Huberta zużytym i myślistwo zbyt jednostajnym. Niepokój jakiś go ogarniał. Na nowy rok zwiabił go jarmark do Lipska, na który handlarze mieli cudne przyprowadzić konie, a znalazł, że to były szkapy szkaradne. Aktorki z Belgii przywiezione, wszystkie miały zęby tak podrabiane, jak konie.

Na otwarcie karnawału wrócił August do Drezna dnia 6 stycznia i na pierwszym balu spostrzegł, iż wszystkie niewieście twarze były powiędłe, oczy pogasłe, usta pobladle. Sądził, że się zrywaniem sejmu w Warszawie lepiej zabawia. Karnawał został na opiece

królewicza i Padre Guarini, a królewskie powozy sposobiono do Polski.

Brühl nieodstępnie był przy nim. Inni padali, nikli, odchodzili, mieniali się; ten z pazia już był ministrem, a król się bez niego obejść nie mógł. Akcyza płynęła do skarbu i podatek zasyczał nigdy niedające się napelnić kassy.

Szlachta sykała; na to był jeden sposób i tego użyto. Dwór zaludnił się obcemi. Włosi, Francuzi, Holendrzy, Duńczycy, Prusacy, Bawarowie powyrastali na dworze, a szlachta saska poszła robić pieniądze dla króla na roli.

Brühl znajdował, że N. Pan miał słuszność, i że najlepszymi sługami byli ci, których cały los zawisł od króla.

Dnia 10 stycznia, dziedzińce zamkowe pełne były koni, powozów i ludzi. Dwór saski i polski gromadził się do podróży. Sale pełne były tych, którzy królowi towarzyszyć mieli. August II żegnał się z synem i jego żoną. Na twarzy jego niecierpliwość i znużenie, zastępowały dawną jasność majestatu. Z wielką czułością cisnął się królewicz do ojca; z powagą żegnała go królewiczówna Józefa. Fryderyk przybył po rozkazy, patrzył w oczy i uśmiechał się wdzięcząc. Wtém wszedł Brühl, były jeszcze papiery do podpisania i pieniądze do zabrania w drogę; czekano na sto tysięcy talarów, które nadpłynąć miały.

Na wchodzącego dyrektora akcyzy, bystro spojrzął król i postąpił ku niemu kroków parę.

— Brühl... pieniądze?

— Są N. Panie! — rzekł kłaniając się zagadnięty — rozkaz W. K. Mości spełniony.

Rozjaśniło się oblicze pańskie.

— Patrz — zawołał do syna — patrz, polecam ci go... to sługa, który mi odjął trosk wiele, a wiele spokoju przyczynił... pamiętaj! Jemum winien ład, karność i porządek w domu.

Fryderyk z posłuszeństwem syna, wpatrzony w twarz ojca, chwycił każde jego słowo i okazywał postawą całą, że mu ślubuje być posłusznym.

— Gdybym w Polsce miał takich kilku, jednego choćby, dawnoby już w łeb wzięła ich bałamutna rzeczpospolita i zaprowadziłbym tam taki ład, jak w Saxonii — dodał król. Ci wielcy moi przyjaciele i wierni słudzy: Lipski, Hozyusz, cała czereda ich, wszystko się to szlachty boi, a mnie zwodzi.

Lecz cierpliwości, koniec temu położę... kilka, kilkadziesiąt głów padnie i będzie cicho. Nie zniosę tego gminu, co mi śmie mruczeć, gdy rozkazuję... Dość tego.

Syn okazywał ciągle najwyższe uwielbienie dla ojca. Pożegnanie rozpoczęte, przerwane, znowu się powtarzało: Fryderyk całował rękę ojcowską. Kamerdynerzy, paziowie, służba czekała już w przedpokojach. Stali urzędnicy, duchowieństwo i w kątku zaszyty ostrożnie, przygarbiony Padre Guarini. Król wdzięcznie żegnał wszystkich. Łowczemu polecił jeszcze przywiezione z Białowieży dwanaście żubrów i żubrzc, które się pasły w Krejern pod Moritzburgiem i zszedł do gotowych powozów.

Pocztylionowie siedzieli na koniach, dwór spieszył na wyznaczone miejsca, w dziedzińcu z odkrytymi głowami stali panowie, rada miasta i mieszczenie, na których król spojrzął tylko i kazał im powiedzieć, aby podatki płacili, a w chwilę pusto i cicho było na zamku i w Dreźnie.

Wszyscy czas mieli spoczywać, dopókiby znów król nie wrócił i pańszczyzna bawienia nierozbawionego niczém nie rozpoczęła się nanowo.

W chwili, gdy cały orszak z towarzyszącym mu oddziałem gwardyi z zamku na most wyciągał, powóz, który miał wieźć Brühla i jego fortunę, stał jeszcze sam jeden w dziedzińcu zamkowym. Ulubieniec pański świeżą okryty pochwałą, zszedł na dwór zamyślony słodko, gdy ujrzał przed sobą z chmurną twarzą stojącego Sułkowskiego. Rozjaśniło mu się oblicze, chwycił szybko rękę przyjaciela i obadwa weszli do dolnej sali.

Twarz Brühla wyrażała już najgorętsze współczucie, najżarliwszą miłość, najserdeczniejsze przywiązanie: Sułkowski dosyć był zimny.

— Jakżem szczęśliwy, że was raz jeszcze pożegnać, jeszcze raz się pamięci i sercu waszemu polecić mogę — zawołał odjeżdżający z zapalem: słodycz głosu dorównywała wyrazom.

— Słuchaj Brühl — przerwał Sułkowski — ja także przypominam ci nasze *Pacta Conventa!* W złej i dobrej doli, jesteśmy i pozostaniemy przyjaciółmi.



— Czyż wy to mnie przypominać potrzebujecie — zawołał Brühl — mnie, który dla was mam miłość, przyjaźń, szacunek i wdzięczność.

— Dajże mi ich dowody.

— Pragnę tylko zręczności, nastęrczcie mi ją, do nóg wam padnę! — przerwał Brühl — proszę, błagam; ale hrabio! kochany hrabio! jam wasz! wy nie zapominajcie o mnie.

— Wiecie, co mam na sercu.

— Kolowrathównę! — rzekł śmiejąc się Sułkowski. — *grand bien vous fasse*, będziesz ją miał! Masz matkę za sobą.

— Ale ona?

— O! nie lękaj się, nikt ci jój tu nie zbałamuci. Trzeba tak wielkiego mężstwa jak twoje, aby się ważyć na takie szczęście.

— Jedno i większe od tego mnie minęło — westchnął Brühl.

Sułkowski poklepał go śmiejąc się po ramieniu.

— Niegodziwce — parsknął — albo się co we dworze ukryje? Ty to nazywasz stratą, co jest czystym zyskiem. Moszyński cię nienawidzi nie bez przyczyny.

Brühl zaprotestował gorąco, ręce podjął.

— Ale mój hrabio!

— O! nie mówże mi tego — przerwał mu Sułkowski — znacie się z Moszyńską i w lepszej jesteście zgodzie, niż gdybyście się byli pobrali.

Brühl nic nie mówiąc ramionami ruszał.

— Serce moje ma Frania Kolowrathówna.

— A ręka na ciebie czeka i nic nic nic! Stara ci ją sama wciśnie. I czas téż Frani pod czepek, bo jój się strasznie oczy świecą.

— Jak gwiazdy! — krzyknął Brühl.

— Cóż powie Moszyńska na to?

Wtém Brühl jakby się ocknął pochwycił znowu Sułkowskiego rękę.

— Hrabio — rzekł — nie zapominajcie o mnie u królewicza. Lękam się czym mu dosyć okazał moją cześć i przywiązanie do niego, moje uwielbienie dla naszej świętej i czystej królewiczowej: powiedzcie mu...

— Wy o nas nie zapominajcie u króla — dodał Sułkowski, — ja o was nie zapomnę u mojego pana. Zresztą mój Brühlu nie tak to ty jesteś tam bez opieki jak mówisz. O. Guaryni cię nawraca, Kolowrathowa cię na zięcia sposobi; nie zaręczam żebyś tam jeszcze nie miał kogo.

— A wszystko to niczém jeśli was mieć nie będę — dodał Brühl — oddam Guaryniego i Kolowrathową i jeszcze coś dodatku, za jedną łaskę waszą.

— Tylko nie Moszyńską — zawołał Sułkowski i śmiać się począł.

— A teraz, jedź szczęśliwce, i kłaniaj się w Polsce wszystkim moim kompatriotom niedźwiedzim.

— A kompatriotkom? — zapytał Brühl.

— Jeśliby tam która o Sułkowskiego spytała... ale wątpię... niemki wolę.

— I ja dodał — Brühl.

Byli już u drzwi: Sułkowski go przeprowadzał — *Eh bien, à la vie à la mort!*

Ścisnęli się za ręce. Brühl już biegł do powozu. Zdala widać było stojącego na dziedzińcu padre Guaryniego, po świecku ubranego, w szaraczkowym długim surducie, który zakrywszy prawą rękę lewą, żegnał nią na drogę. I ruszył Brühl za panem swoim do Warszawy.

v

Było to w pierwszych dniach lutego 1733 roku. Z rana powrócił Fryderyk z łowów w Hubertsburgu, a z nim nie odstępny Sułkowski. Na wieczór przypadało przedstawienie w operze, i nieporównana Faustina śpiewać miała. Królewicz jak ojciec był wielbicielem jój głosu i wdzięków. Czarodziejka trzęsła dworem, tyranizowała swe współzawodniczki, wypędzała tych co się nie mieli szczęścia jój podobać, a gdy raczyła podnieść głos, w sali było ciszej niż w kościele, i ktoby kichnął, mógł być pewien że w niej śmiertelnego mićć będzie nieprzyjaciela. Grać miano *Cleofide*, Fryderyk królewicz cieszył się zawczasu.

Godzina była poobiednia: odziany jedwabnym przepysznym szlafrokiem, królewicz w fotelu z fajką siedząc, trawił z uczuciem tém błogiém, jakie daje posłuszny żołądek

i wytworna kuchnia.

Naprzeciw niego stał Sułkowski. Kiedy niekiedy królewicz spojrzął na przyjaciela, uśmiechnął się mu i nie mówiąc słowa, znowu dym wonny ciągnął.

Przyjaciel a sługa patrzył z pociechą na ubłogosławionego pana, w milczeniu dzieląc się szczęściem jego.

Twarz młodego królewicza była rozpromieniona, ale z obyczaju i usposobienia, gdy był najszczęśliwszym, mówił jak najmniej: dumał. Nikt nigdy nie dowiedział się o czém. Czasami spuszczone głowa podnosiła się. Spoglądał w Sułkowskiego jak w tęczę wlepiając oczy, Sułkowski odpowiadał mu wzrokiem, i odzywał się.

— Hm! Sułkowski?

— Jestem.

Kiwnął głową i na tém się kończyło. Kwadrans upływał, królewicz odmienił pytanie i wołał go po imieniu, po włosku pieszcząco. Hrabia odzywał się świadcząc o sobie, i znowu następowało wymowne milczenie.

Mówił bardzo rzadko i to gdy był zmuszonym, nie lubił nic nie spodzianego. Życie powinno dlań było płynąć cichém korytem jednostajnie, nieprzerwanie równém.

Poobiednie godziny gdy nikogo nie przyjmował, lub tylko poufale i najulubieńsze osoby, najmilsze mu były. Z rana musiał przyjmować, słuchać, stać, klaniać się, podpisywać, czasem się dziwić a niekiedy trochę pogńiewać. Po tych wysileniach spoczynek popołudniowy rozkoszném był wytchnieniem. Jeśli nie było teatru, wieczorem szedł do Józefiny, słuchał muzyki marząc błogo, i wieczorą dzień się kończył.

Nigdy mniej trudnego do zabawienia pana nie mieli dworacy. Starczyło mu, byle dzień jeden do drugiego był jak dwie krople wody podobny.

Właśnie poobiednia rozpoczynała się sista i królewicz fajkę palił już drugą, gdy Sułkowski przez okno coś spostrzegłszy, chwilę się zawahał i powoli się skierował ku drzwiom. Czy królewicza poszły za nim.

— Sułkowski! — odezwał się cicho.

— Natychmiast wracam — odparł biorąc za klamkę hrabia i wysunął się. W przedpokoju dwaj paziowie i służba czekała.

— Nikogo nie wpuszczać bezemnie — odezwał się Sułkowski: wszystkie głowy się skłoniły.

Sułkowski wyszedł, przebiegł prędko wschody i we drzwiach stanął zdziwiony.

— Brühl? ty tu?

Okrecony futrem, w czapce na uszach, śniegiem obsypany, zziębły, zmęczony stanął przed nim w istocie ulubieniec Augusta II, błady nieco i pomięszany. W dziedzińcu widać było powóz, którego konie okrywała buchająca z nich para; pocztylioni zmęczeni posiadali z nich i stali jak rozbici ledwie się trzymając na nogach.

Na zapytanie, Brühl nie odpowiedział nic, oczyma wskazywał tylko że co najrychlejš chce wnieść i spocząć. Przybycie to tak coś tajemniczego miało w sobie, tak dziwnego, iż Sułkowski mocno poruszony co prędzej ku sali dolnej pospieszył. Służba dworska zobaczywszy Brühla cisnęła się do niego, odprawiała ją skinieniem ręki; on tylko sam i Sułkowski weszli do gabinetu. Brühl szybko począł z siebie zrzucić ubranie. Hrabia stał czekając choć słowa.

— Brühl, na miłość bożą... z czém przybyłeś?

Jakby nie słyszał pytania, wszedł roztargniony Brühl do gabinetu i na pierwsze krzesło się rzucił, rękę sparł na stole, twarz była ułożona aby wyrazić smutek i przerażenie. Przed nim stał ulubieniec królewicza z widocznym niepokojem i trochę niecierpliwością.

Duma nie dozwalała mu nalegać... czekał podparłszy się obok.

Brühl wstał i westchnął, obejrzał się wkoło, jakby z rozpaczą, załamał ręce i zawołał:

— Król a pan mój najmilosierniejszy nie żyje!

Po twarzy Sułkowskiego jak błyskawica przeleciało wrażenie do określenia trudne, twoga i radość zarazem; ruszył się jak gdyby chciał już biedz i wstrzymał.

— Nie przybył przedemną żaden kuryer z Warszawy?

— Nikt.

— Nie wiecie więc nic? Królewicz?

— Nie domyśla się ani przeczuwa — rzekł Sułkowski, i powtórnie ruszył się jakby iść chciał, a po namyśle zawrócił.

— Należy natychmiast oznajmić o tém królewiczowi — odezwał się — lecz jakże się to stało! Król był zdrów...

Brühl wdychał ciężko.

— Szesnastego przybyliśmy do Warszawy — rzekł cicho. Drogę mieliśmy niegodziwą, miejscami śniegi, to znowu roztopy i błoto. Król był znużony, zniecierpliwiony, ale zobaczywszy Warszawę, wyjaśniła mu się twarz nieco. Przodem wysłaliśmy kuryerów, przyjęcie było świetne, mimo szkaradnej pory, działa grzmiąły, regiment wielkich muszkietierów wystąpił. Wyglądał wspaniale. Karetą zatrzymała się przed gankiem pałacu saskiego. W chwili gdy król wysiadał, uderzył się o stopień w toż samo miejsce, które go zawsze dolegało, gdzie Weiss odjął mu wielki palec. Ujrzelśmy go zbladłym i opierającym się na lasce, dwóch paziów poskoczyło podać mu ręce i tak przyprowadziliśmy go do pokojów, w których go oczekiwało duchowieństwo, senatorowie i panie.

Król musiał natychmiast usiąść i żądał od marszałka aby skrócono przyjęcie, gdyż czuje się znużonym.

Zaledwieśmy z nim weszli do sypialni, kazał natychmiast przywołać Weissa i lekarza, skarżąc się że czuje jakby ogień i wilgoć w nodze. Rozcięto but: pełen już był krwi. Weiss pobladł, noga nabrzmiała była i sina.

Pomimo to...

— Skracaj — zawołał Sułkowski, królewiczowi donieść kto może o twém przybyciu.

Brühl zbliżył się do niego.

— Hrabio — rzekł — zdaje mi się że nim cokolwiek przedsięwzmiemy, rozmówić się powinniśmy. Królewicz czule był przywiązany do ojca, to wrazenie jakiego dozna. Czyż nie należałoby go przygotować?

— Przygotować? jak?

— Jestem tego zdania — wyszeptał Brühl cicho — iż bez porady O. Guaryniego i królewiczowej, nic przedsiębrać nie należy.

Sułkowski spojrział nań ze źle pokrytém nieukontentowaniem.

— Ale, zdaje mi się — odparł — że królewicz w tém nie potrzebuje ani pomocy Najjaśniejszej królewiczowej, ani duchownej pociechy spowiednika.

— Jabym sądził!... — rzekł zmieszany Brühl i spojrział na drzwi.

Otwierały się one właśnie i O. Guarini wchodził. Zkąd się dowiedział tak rychło o przybyciu Brühla, trudno się było domyślcć. Szedł ku niemu milczący, z twarzą smutną mimo zwykłego jój wyrazu, który mu trudno było pokryć: otworzył ręce szeroko, jakby go chciał uściskać. Brühl byłby może jedną z tych rąk ucałował, gdyby nie świadek nie potrzebny. Postąpił krok tylko i skłaniając głowę, rzekł:

— Król nie żyje!

— *Eviva il Re!* — odpowiedział cicho Guarini podnosząc oczy do góry — wyroki boskie są nie zbadane.

— Wié już królewicz?

— Nie jeszcze — rzekł sucho Sułkowski, który na księdza rzucił wzrokiem nie zbyt przyjaznym, ani nawet tak pokornym jak Brühl i drudzy. Guarini téż jakby z umysłu nie zwracał się ku niemu.

— Życzeniem mojem jest oszczędzając o ile możność królewicza czułość — dodał Brühl — naradzić się z N. królewiczową.

Guarini skłonił głowę, a Sułkowski nieznacznie ramionami ruszył i na Brühla rzucił przelotne wejrzenie wyrażające niezadowolenie.

— Idźmy więc wszyscy do pani — rzekł sucho — bo chwili niéma do stracenia.

Brühl spojrział na swój ubiór podróżny.

— Nie mogę się tak przedstawić — odparł — idźcie wy, panie hrabio z ojcem Guariniem; ja suknie każę przynieść do zamku i przebrać się muszę.

Sułkowski w milczeniu przyjął ten wniosek O. Guarini potwierdzając go skinieniem i zwrócił się ku drzwiom. Brühl padł na krzesło jakby się na nogach utrzymać nie mógł.

Dosyć niechętnie wysunął się za Jezuitą Sułkowski, zostawiając za sobą Brühla, który się sparł na rękę i zadumał.

Dumanie to i spoczynek wszakże, nie trwały tylko tyle czasu, ile potrzeba było, ażeby oba wysłańcy znikli w ciemnych przejściach pałacu; Brühl podniósł się żywo, prędko podbiegł ku drzwiom, otworzył je i okiem rzucił po sieni.

Kamerdyner stał jakby na rozkazy czekając.

— Proszę was, pazia Berlepsch'a do mnie, a żywo...

Ruszył się poslušny sługa, a w pięć minut z pośpiechem wielkim i zadyszany, wbiegł chłopak w mundurze paziów królewicza.

Brühl stojący u drzwi, położył mu rękę na ramieniu.

— Berlepsch, ufasz mi, spodziewam się; nie pytaj jak i dlaczego, dostań się do pokoju królewicza i na własną odpowiedzialność, rozumiesz mnie: na własną odpowiedzialność, wypapłaj się że Brühl przyjechał. Ale prędko! Jeśli co przeszkodzi ci, to się już na nic nie zdało.

Roztropny chłopiec spojrział w oczy mówiącemu, klamki nie puszczając z dłoni, nie odpowiedział słowa i wyszedł. Brühl na wszelki wypadek znać siadł u stołu i w rękach głowę zanurzył.

Cicho było dokoła, lecz najmniejszy szelest wywoływał w nim drgnienie. Na górze poruszyło się żywiej, po wschodach słyhać było żywe kroki: zbliżyły się one do drzwi i męczyzna młody jeszcze, pięknej twarzy, na której szyderstwo i ironia się wypiętnowały wyraźnie, ukazał się w progu. Zobaczył Brühla i powitawszy go dziwnie jakoś satyryczną excellencyą, odezwał się:

— N. królewicz przypadkiem uwiadomiony o przybyciu waszém, żąda abyście natychmiast przynieśli mu depeszę.

Brühl udawał zmieszanego.

— Nie jestem ubrany.

— Jak stoicie.

— Czy takie są rozkazy?

— Co do słowa.

Spojrzawszy jeszcze na swój strój Brühl ruszył się jakby zmuszony, nie mogąc utaić w twarzy się malującego pewnego zadowolenia.

W milczeniu szli oba na górę.

Otworzono drzwi, Brühl wszedł powoli ze smutkiem tak wyraźnym na licu i postawie, że królewicz, który jeszcze fajkę palił w fotelu, upuścił ją z rąk i powstał.

W téj chwili zamknęły się drzwi i Brühl padł na kolana.

— Przynoszę W. K. M. najsmutniejszą nowinę i pierwszy składam hołd u stóp nowego monarchy. Król, a pan nasz najmiłościwszy nie żyje...

Fryderyk stał przez chwilę jak oślepiały: zakrył sobie oczy.

Chwila milczenia była z obu stron: Brühl klęczał, Fryderyk dał mu rękę do pocałowania i wskazał aby się podniósł.

— Brühl, kiedy się to stało? jak się to stało?

— Dnia 1 lutego skonał król August Wielki na rękach moich, mnie powierzył ostatnią swą wolę, mnie oddał klejnoty koronne i papiery sekretne. Korony i precyoza i droższe nad nie akta przywożę sam i składam u nóg W. K. Mości.

Fryderyk podał mu rękę do pocałowania, Brühl schylił się, o mało nie pokłękł znowu i udał że płacze: chustką okrywwszy oczy, zanosił się. Królewicz sięgnął także po chustkę i na prawdę po ojcu, którego kochał i czcił, rzewne łzy zaczął.

— Mów mi Brühl jak się to nieszczęście stało! — zawołał cicho.

Cichym głosem, przemagając wzruszenie począł opowiadać przybyły: przyczynę choroby, przebieg jęj całej, przytomność króla, stoicyzm i spokój z jakim umierał. Naostatek dobył z wielką pieczęcią list ostatni i złożył go na kolanach królewicza, który skwapliwie rozerwał kopertę. Był on pisany obcą ręką, podpis nawet widocznie cierpienie zmieniło, ale królewicz do ust go przyłożył.

Pismo zawierało pożegnanie, błogosławieństwo i polecenie synowi najwierniejszego, najlepszego ze sług, oddawcę ostatniej woli. Królewicz spojrział na Brühla i westchnął.

— Stanie się zadosyć żądaniu i radzie niezapomnianego rodzica! I ręce podniósł do góry.

List jeszcze na kolanach leżał roztwarty, Brühl stał w progu jeszcze, gdy wewnętrzne drzwi do komnat królewiczowej prowadzące otwarły się i czarno ubrana Józefa, Sułkowski, ojciec Guarini procesjonalnie weszli.

Jakież było zdziwienie ich widząc królewicza we łzach, u drzwi Brühla w ubraniu podrózném, a na kolanach ów list ostatni rozpieczętowany.

Fryderyk łkając jeszcze rzucił się w objęcia żony, która płakała ale wedle prawideł hiszpańsko-austriackiej etykiety, która i formę żalu i wyraz boleści przepisywała panującym i ich otoczeniu.

Sułkowski rzutem głowy dał poznać Brühlowi swe nieukontentowanie, zbliżył się doń i szepnął: mieliście czekać na nas.

— Królowi ktoś zdradził tajemnicę mojego przybycia; zawołano mnie: musiałem być posłusznym.

— Kto?

— Watzdorf.

Sułkowski zdawał się sobie notować to imię w pamięci.

Ciekawy obraz stanowiły zgromadzone tu osoby, wśród których prawdziwy żal tylko rysy królewicza wydawały. Nawykły czcić ojca, przywiązany do niego, przejęty jeszcze i stratą i jakąś obawą ciężaru jaki nań spadał, Fryderyk miał twarz zmienioną. Zwykle wypogodzona i spokojna, wykrzywiona była płaczem i bólem, który tać się nie myślał. Żal królewiczowej Józefiny był przybrany więcej niż rzeczywisty, a wiele uczuć i myśli z nim się mieszało. Na chwilę nie opuściła ją pamięć na swą godność i etykietę; Sułkowski był zadumany ponuro, jak ten, który przychodzi do władzy i rachuje jak z nią ma poczynać. Wielka pewność siebie nie opuściła go nawet w obec pani, której winien był poszanowanie. O. Guarini załamane trzymał pobożnie ręce pod brodą, głowę spuszczoną, oczy przymknięte, twarz skrzywioną wyrazem, który nadto dobrze odpowiadał chwili, aby nie był nieco wystudyowany. Brühl nie zapominając o tém, iż powinien być pogrążonym w boleści, nie mógł się wstrzymać od biegania ukradkiem oczyma po twarzach, a najczęściej spoglądał na Sułkowskiego. Zdawał się mierzyć oczyma współzawodnika.

Gdy królewiczówna kilka słowami pociechę starała się wlać w męża pogrążonego jeszcze w żalu, Sułkowski nie wyczekując dłużej, ośmielił się zbliżywszy podać radę, aby zwołać najwyższych dostojników i dać znać uderzeniem we dzwony miastu i krajowi, że straciły Wielkiego Augusta.

Józefa spojrziała na natrętnego doradcę z pewnym wstrętem, szepnęła mężowi coś, podała rękę i z całym majestatem swym skierowała się ku drzwiom z O. Guarinim, idącym za nią w tej samej postawie, w jakiej go przed chwilą widzieliśmy.

Między pozostałymi panowało milczenie. Brühl na rozkazy czekał, królewicz dawał ich nie śmiać; Sułkowski najśmielszy poruszał się z pewną niecierpliwością. Fryderyk miał jeszcze twarz zakrytą chustką: korzystając z tej bezwładności jego Sułkowski wskazał Brühlowi by wyszedł. Oczy jego padły już były na list Augusta i odgadły go więcej niż przeczytały.

Zawahał się zrazu przybyły, lecz wprędce chwycił za klamkę, wyjścia jego nie posłyszał Fryderyk. Zostali sam na sam z Sułkowskim: jakby przeczuwszy to, odjął chustkę od oczów królewicz i obejrzał się po pokoju.

— Gdzie Brühl?

— Wyszedł.

— Niech nie odchodzi. Każ mu być tu, proszę!

Sułkowski chciał się sprzeciwić, ale nie śmiać; wychylił się za drzwi, szepnął coś i powrócił.

— Trzeba po królewsku i po mężku znieść co Bóg zesłał — odezwał się w tonie poufałym. — Królowie nie mają czasu oddawać się smutkom.

Fryderyk ręką rzucił tylko.

— Tajna rada się zbierze natychmiast...

— Więc idź i przewodnicz ję, ja nie mogę — rzekł królewicz — i niech tu przyjdzie Brühl.

— Ale do czegoż tu Brühl potrzebny? — szepnął z wymówką Sułkowski.

— On? na jego rękach skonał król mój i ojciec, ostatnie tchnienie jego on przyjął. Ojciec mi go polecił, ja chcę go mieć: niech przyjdzie.

— Posłano już po niego — poruszając ramionami odezwał się Sułkowski, nie tając niecierpliwości.

— Ale nie gniewajże się Józku — płacziwie dodał Fryderyk.

W chwili gdy to mówił, dzwony kościołów stolicy saskiej ozwały się wszystkie jękiem żalobnym. Królewicz padł na kolana i modlić się zaczął, Sułkowski poszedł za jego przy-

kładem. Jedne po drugich odzywały się dzwony i zléwały w ponury chór, któremu szmér i wrzawa miasta rozbudzonego żalobną nowiną towarzyszyła.

VI

Właśnie gdy się to działo w pałacu królewicza, za kulisami opery przygotowywano przeznaczoną na ten dzień i niecierpliwie oczekiwaną, choć tylekroć powtarzaną *Cleofidę*. Przepych z jakim odegrywano te świetne sztuki, w których nieraz występowało po sto koni, wielbłądy i niezliczone tłumy komparsów w świetnych strojach Wschodu; czarowna maszynerya teatru, zwabiały doń przynajmniej tylu widzów, co zachwycający głos signory Faustyny Bordoni.

Faustyna, pierwsza śpiewaczka swego czasu, słynna zwycięstwem nad równie znakomitą Cuzzoni, była tu primadonną, w całym znaczeniu tego wyrazu, na scenie, za kulisami i daleko dalej niżeli one sięgały. Signora Bordoni choć nosiła imię wielkie pierwszego kompozytora owjej epoki, Jana A. Hasse, mogła być o nim zapomnieć. Małżeństwo to, nazajutrz po ślubie rozerwał rozkaz króla, który muzyka wyprawił na studia w klassycznej Włoch ziemi.

Gdy powóz wiozący Brühla i smutną wieść o zgonie Augusta Mocnego, zbliżał się do zamku, Faustyna siedziała w swym saloniku, urządzonym dla niéj przy scenie, i zrzuciwszy z siebie kosztowne futro, ziewając zabierała się wydawać rozkazy.

Primadonna nie była pierwszej młodości, ale, mimo swéj włoskiej krwi, która tak prędko wykwita i przekwita, umiała zachować całą siłę głosu, cały wdzięk postaci i piękność rysów twarzy Junony, jaką ją obdarzyła natura.

Nie było to wdzięczne a delikatne stworzenie, nie eteryczne zjawisko, co zdaje się jak mara powietrzna roztapiać w mgłach i blaskach, ale silna, wspaniała, majestatyczna postać o posągowych kształtach, jakby energicznym dławem Michała Anioła wykutych z jednéj bryły.

Nieposzlakowana piękność równała głosu potędze. Wszystko w niéj było z jéj charakterem zgodne i harmonijnie równe: głowa bogini co skinieniem brwi Olympem wstrząsa, popiersie nimfy, ręka bachantki, postawa amazonki, nóżka i rączka księżniczki, włos czarny bujny jak grzywa arabskiego konia... W twarzy mimo klassycznej piękności rysów, więcej było grozy i siły niż niewieściej słodyczy. Czarne brwi nieco za wyraziście zarysowane marszczyły się często, nosek rozdymał gniewem i usta różowe błyskały zębami jak groźbą. W całej niéj znać było nawykłą do panowania, do holdów, do rozkazywania istoté, która się nie lękała oczów królewskich i pioruny ciskała nawet na koronowane głowy.

Salonik był strojny wykwiwnie, cały biały ze złotem, sprzęty niebieskim pokryte atlasem, a koronkową zasłoną obwieszona tualeta świeciła porcelaną i srebrem. Szafy do strojów okryte były bronzami, od sufitu porcelanowy pajak wisiał jak kosz kwiatów.

Dwie sługi stały u drzwi gotowe na rozkazy. Po rysach ich poznać było łatwo włoski, które nawet malowniczego swego opięcia włosów nie porzuciły, srebrnymi iglicami ujętych. Faustyna spojrziała na zégar stojący w kąciku... rzuciła się na sofę, napół leżąc, pół siedząc i bawiąc się jedwabnymi sznurami domowej swéj sukni szerokiéj, w kwiaty, w której przenieść się kazała do teatru.

Sługi stały milczące.

Zapukano do drzwi. Faustyna się nie poruszyła, spojrziała tylko i pół uśmiechem powitała ukazującą się w nich twarz pięknego, młodego mężczyzny.

Był to sopran Angelo Monticelli, który przybywał pokłon i cześć oddać królowéj. W nim także typ włoski łatwym był do poznania na pierwszy rzut oka; lecz o ile Faustyna energię włoską i żywość wcieliła w siebie, o tyle on przedstawiał wdzięk prawie niewieści. Młody, dziwnie piękny, z włosami czarnymi, długimi, spadającymi na ramiona, przeznaczonym się zdawał na rolę *inamoratic*, na bogów i kochanków. Żaden starożytny Apollo w zachwycie grający na lirze, nie mógł być nad niego piękniejszym. Tylko dumy i śmiałości bożka mu brakło: pokornym był i uniżonym do zbytku.

Złamał się wpół oddając pokłon obojętnéj Faustynie, która nie przestawała bawić się sznurami swéj sukni i ledwie mu główką skinęła. Nogi jego wyłamane jak do tańca, nawet za kulisami nie zapomnialy o swych obowiązkach.

— Angelo — zawołała Faustyna — biegasz za temi obrzydliwemi niemkami... wiem, wiem. Stracisz głos i młodość. Pfe! jak można w niemce widzieć kobietę. Spójrzże na ich

ręce i nogi.

— Signora! — rękę kładąc na piersi, odparł prostujący się Angelo rzucając wzrok w zwierciadło, bo trochę kochał się w sobie. — *Signora non e vero!*

— Tak, powiesz mi dla wymówki — śmiejąc się przerwała Faustyna — że one biegają za tobą.

— I to nie: ja tęsknię za włoskiem niebem, włoskimi twarzami i sercem włoski... ja tu usycham.

Faustyna spojrzała nań a ręką dała znać dziewczętom służebnym ażeby odeszły.

— *Ingrato!* — szepnęła cicho — pieścimy cię wszyscy i jeszcze ci źle.

Potém oczy zwróciła na sufit, ziewnęła i zdawała się niechcieć widzieć pożerającego ją wzrokiem Monticellego.

— Jest już Albuzzi? — spytała.

— Nie wiem.

— Żebyś ty o Albuzzi nie wiedział, cha! cha!

— Wcale mnie ona nie obchodzi.

— Gdy mówisz ze mną! Ale ja o nią nie jestem wcale zazdrosną, ani o twoją Apollinową piękność; tylko, tylko jój, niecierpię i ciebie, Angelo, nienawidzę...

— Za co?

— Za to, że jesteś nienawiści godny, żeś lalka, żeś bałamut. Spójrz na zégar i idź się ubierać.

We drzwiach ukazała się nowa twarz: był to otyły, silnie zbudowany, wesołego oblicza, ruchów żywych Puttini.

— Moje najgłębsze uszanowanie ekscellencyi — zawołał. Ale przepraszam, może przerywam duet...

Spojrzał na Angela.

Faustyna się rozśmiała ruszając ramionami.

— My tylko na scenie śpiewamy duety — dodała — ale wy wszyscy dziś myślicie się spóźniać! Do ubierania!

I ruszyła się z sofy. Angelo także posunął się ku drzwiom, Puttini stał i śmiał się.

— Ja się nie opóźnię: trykoty moje leżą gotowe, a reszta stroju nie zabawi.

Drzwi się rozpadły z łoskotem i mężczyzna w czarnej sukni, w trzewikach i w pończochach, w peruce gładkiej, twarzy pucułowatej, małego nosa, czoła niskiego, wbiegł jakby przestraszony.

Sama postać jego już zwiastowała coś niezwyčajnego; Faustyna która się ognia lękała zawsze, krzyknęła przeraźliwie:

— Matko Najświętsza ratuj! gore! gore!

— Gdzie? gdzie?

Tymczasem ów poseł stał niemy i jakby osłupiały. Był to Klein, jeden z muzyków orkiestry, wielki Faustyny głosu wielbiciel, przyjaciel Włochów i zapalony meloman.

Imię mu było Jan, jak większej części Niemców. Faustyna go na Giovaniego przerobiła, i dała mu przyzwisko *Piccolo*.

— *Piccolo?* czyś oszalał! co tobie? — zawołała.

— Król umarł, Król August Wielki umarł w Warszawie!!

Na te słowa Faustyna krzyknęła przeraźliwie zasłaniając oczy, a wszyscy stanęli niemi. Drzwi za wchodzącym Kleinem zostały otwarte i tuż wtaczać się zaczęło co żyło w teatrze. Większa część artystów mających grać w „Cleofidzie“ już napół była ubrana. Albuzzi wbiegła nie mając czasu zasłonić odkrytego popiersia, ani narzucić nic na najpierwsze ubranie. Piękność jój uderzała nawet przy Faustynie, lecz wszystko w niej było zdrobniałe, a żywość tylko tém większa.

Za nią z jasnym włosiem Catharina Piluja i cała czereda Włochów i Francuzów, w sukniach ponarzuconych ledwie, z twarzami przestraszonymi, których połowę róż a pół jeszcze bledłość okrywała. Wszyscy się cisnęli do Faustyny, zbijali w kupę i powtarzali na wszelkie możliwe głosy: — *Il re e morto!*

Niemożna było się zrozumieć, ni usłyszeć w tym gwarze słów i wykrzyków. Na twarzach widać było przerażenie więcej niż boleść. Mówili razem wszyscy, tylko Faustyna milczała wcale się nie zdając tak bardzo rażoną tą wiadomością.

Ku niej jako ku wyroczni zwracały się oczy i uszy, czekano co powie; lecz Bordoni znać w tym tłumie nie chciała się wydać z tém co myślała.

Dzwony odzywały się w całym mieście.

— Teatru nie będzie, wszyscy do domów! — zawołała rozkazująco.

Ale jój nie posłuchano, stali jak wkuci przybyli, smutni i przerażeni.

— Wszyscy do domów! — powtórzyła Faustyna — niemamy tu co robić, a pewno nie rychło grać będziemy.

Sama też zbliżyła się do sofy i zdawała chcieć ubierać do wyjścia. Jeszcze raz zwróciła się z twarzą rozkazującą i ręką ukazała drzwi. Smutny tłum poczynął się rozpląwać i wychodzić szemrząc. Albuzzi zamyślona stała przed zwierciadłem chwilę, spojrziała przez ramię na Faustynę i zwolna wyszła z innemi.

Jak tylko drzwi się zamknęły za ostatnim z tych nieproszonych gości, Bordoni rzuciła się na sofę. Zdawała się niewidzieć podżyłego mężczyzny, który stał naoboczu i poglądał przez okno na ciemność.

Kaszlnięcie dało jój znać o nim.

— A! to wy?

Był to Hasse, z imienia mąż Faustyny.

— Tak — rzekł obojętnie Niemiec, czystą i piękną włoszczyzną.

— O czém myślicie? czy już żałobne Requiem piszecie dla nieboszczyka?

— Prawieście odgadli — rzekł poprawiając peruki kompozytor — myślałem czy msza którą ułożyłem dawno *Sulla morte d'un eroe*, przypadnie dla naszego pana. Muzyk jestem i wszystko u mnie, nawet żal w muzykę się obraca.

— A w co my się teraz obrócimy! — westchnęła Faustyna.

— *Chi lo sa?*

Milczeli, Hasse chodził ręce włożywszy w kieszenie z głową spuszczoną. Stał potem przed żoną.

— Nie mamy się czego lękać — rzekł spokojnie — Hassego niełatwo kto zastąpi, choćby i Porpora. Faustyny — nikt.

— Pochlebco — rzekła włoszka. Hasse stary będzie śpiewać lepiej jak za młodu, a Faustyny głos jak wypalona świeca, co wielkim płomieniem gorzała... jednego ranka zagaśnie.

— Nie tak prędko — odpowiedział zamyślony Niemiec — wy to lepiej wiecie ode mnie.

— Ale nowy pan, ten cichy, spokojny, pobożny, skromny, zawojowany przez cesarżównę pan nasz, czy zechce...

Hasse się rozśmiał. — *E un fanatico per la musica, e fanatico per la Faustina.*

— *Chi lo sa?* — szepnęła zadumana. Gdyby nim nie był, trzeba go uczynić takim. Promień myśli jasnój przebiegł po jój czole.

— Biedny stary August nie żyje — rzekła zniżając głos — radabym mu piękną powiedzieć mowę pogrzebową a nie potrafię.

Hasse ramionami ruszył. — Mów pogrzebowych mu nie zabraknie — rzekł głosem prawie niedosłyszczanym — ale przyszłość inny o nim wyrok wyda. Wspaniałym był tyranem i żył dla samego siebie. Saxonii odetchnie może.

— Jesteś niesprawiedliwym — zawołała Faustyna — mógłby być kiedyś szczęśliwszą, świetniejszą, słynniejszą... Blask od tego bohatera padał na nią.

Hasse boleśnie się uśmiechał.

— W loży teatru wydawał się bohaterem, gdy do was się uśmiechał cały brylantami okryty; ale kraj łzami te dyamenty opłacał. Radość i śpiewy rozlegały się po Dreźnie, a jęki po Saxonii i Polsce. Tu był przepych, tam nędza.

Faustyna się porwała oburzona.

— *Tace*, milcz — zawołała — nie dam ci nic mówić na niego: brzydka zazdrość odzywa się z ciebie.

— Nie — rzekł Hasse spokojnie, patrząc na nią — całą moją miłość pochłonęła muzyka, a piękną Faustynę ukochałem w jój głosie i starczyło mi, gdym go słyszał lub nawet marzył o nim. Faustyna nie mogła widzieć króla inaczej i ja milczę.

Hasse począł się przechadzać zamyślony, gdy drzwi uchylily się i wnet zamknęły. Wchodzący zaledwie się w nich ukazał i cofnął natychmiast, ale Faustyna miała go czas



zobaczyć, poznać i zawołała aby wszedł.

Z pewnem wahaniem usłuchał rozkazu. Był to ten sam Watzdorf, który Brühlowi przyniósł rozkaz królewicza... dziwna twarz dworaka, przenikająca oczyma, śmiejąca się ironią, nielitościwa szyderskim wyrazem; ruchami i postawą przypominał Zbira na ma-skaradzie.

— Myślałem — odezwał się, wchodząc i uśmiechając do Faustyny — że jeszcze nie wiecie nic?

— Dzwony przecież obwieściły to miastu i światu — mówiła włoszka, zbliżając się do niego z ciekawością.

— Tak, ale dzwony zupełnie jednakowo jęczą i radują się na pogrzeb i wesele; mogliście więc sądzić, że która z księżniczek urodziła się i że się nam radować każą.

Ruszył ramionami...

— Biędny król! — westchnęła Faustyna.

— A! — pochwycił złośliwie Watzdorf — żył dużo, miał trzysta co najmniej kochanek, rozsypał miliony, wypił rzekę wina, nałamał podków i naścinał głów dosyć... czyż nie czas było odpocząć?

Nikt nie śmiał mu przerwać, Hasse tylko nań spojrział ukradkiem.

— Cóż teraz będzie? — spytała włoszka.

— Mieliliśmy operę *Il Re Augusto*, wystąpi może inna z nowym tytułem i nielepszą.

Pierwsze w niej role grać będą: córka Cezarów, Padre Guarini, Padre Salerno, Padre Vogler i Padre Kopper, a w dodatku jaki Frate... nazwiska nie zgadnę.

Faustyna śpiewać im będzie, jak śpiewała; Hasse, pisać, jak pisał opery. Gorzej z nami komparsami dworu, gdy pierwsze role obejmą pазie z całego świata i lokaje ze wszystkich dworów.

Hasse, który słuchał, skłonił się i cicho szepnął: — dosyć! dosyć! a nuż kto pode-drzwiami. Nam tego nawet słuchać niebezpieczno.

Watzdorf ruszył ramionami.

— Gdzież pan był w marcu przeszłego roku? — zapytała niby roztargniona Faustyna.

— Ja? w marcu? czekajcie... no nie wiem.

— Znać chyba, żeście nie byli w Nowym-Rynku, gdy na nim prezentowano smutny dramat Majora d'Argelles.

Watzdorf milczał nie przerywając.

— Wiecie, ten d'Argelles, co to tak ostrą mówił prawdę, czy potwarz, nie oszczędzając nikogo, co je pisał i rozsiewał. Ja miałam okno naówczas i patrzyłam.

Zal mi było biédaka: wydali go Francuzi, bo niegdyś służył on u nas. Postawili go pod pregiérzem wysoko wśród tłumów ludu. Kat nad głowę złamał mu szpadę i rzucił pod nogi, dał mu dwa policzki aż krew się ustami rzuciła i garść paszkwilów wetknął mu w gębę.

Plakałam patrząc na biédnego człowieka. Siedzi w Kaspelhausie w Gdańsku z ogoloną głową, aż się śmierć nad nim zlituje.

— W istocie to ciekawa historia, signora Faustina — odezwał się szydersko Watzdorf — ale wiecie, kogo ja więcej żałuję, niż majora d'Argelles, tego, który się tak okrutnie i nieludzko mścił na nim.

To mówiąc, Watzdorf spojrział na włoszkę nieulękły wcale.

— Signora Faustina — rzekł — teraz następuje żaloba, będziecie mieli czas odetchnąć i głos nastroić tak, aby nowego pana oczarować, a królować mu, jakeście nad niebosz-czykiem królowali. A wiecie, co ja wam powiem... To będzie daleko łatwiejsze. August Wielki był największym z bałamutów; ten lubi spokój i pali zawsze z jednej fajki. Gdy mu podają nową, głowę wstrząsa, i gdyby mógł a chciał, toby się gotów rozgniewać.

Rozśmiał się Watzdorf.

— Więc — dodał — jam tu niepotrzebny, wy już o wszystkim wiecie, a mnie czas myśleć na jutro o żalobie. Jeśli nie może w niej chodzić serce, niech się ubierze ciało: nikt głęboko nie zajrzy.

— Zapomniałem — rzekł nagle, zwracając się od drzwi do Faustyny — jakże jesteście z Sułkowskim? Jutro on na tron wstępuje i jutro Brühl albo pojedzie do Turynii, albo przystanie do niego za lokaja, ażeby mu, dobrawszy godziny, nogę podstawić... Brühl z ojcem Guarinim są w najczulszych stosunkach.

Hasse syknął. Watzdorf nagle dłonią zakrył usta.

— Czy nie wolno! milczę.

Faustyna była zmięszana.

— Signore — rzekła, zbliżając się do niego — jesteście niepoprawni. Tu z nami nic wam nie grozi.

Palec położyła na ustach.

— Ja się nie lękam grózb żadnych — westchnął Watzdorf — ambicyi innéj nie mam, oprócz bym został zawsze uczciwym człowiekiem, a jeśli mnie wsadzą do Koenigsteinu, nie będę narażony na pokuszenie. A i to coś znaczy.

— O! bogdajbyś nie był prorokiem! — rzekł Hasse, składając ręce. Myślcie, co chcecie, lecz mówić...

— Cóżbym miał za zasługę z myśli, gdybym jéj między ludzi nie rzucił... — odpowiedział już we drzwiach Watzdorf — A zatem dobrej i najlepszej nocy państwu!

I zniknął.

— Nie ma wątpliwości — odezwał się Hasse — że skończy tam, gdzie powiedział; może tylko, jeśli celi nie ma wolnej w Koenigsteinie, dostanie się do Sonnensteinu lub Pleissenburga.

I westchnął a Faustyna mu odpowiedziała westchnieniem.

## VII

Nazajutrz, ktoby się był wpatrzył w fizyognomię miasta, na które od dnia wczorajszego spadła żaloba, zaledwieby w niej dostrzegł oznaki żalu, ale niepokój był wielki i ciekawość silnie rozbudzona.

Około zamku i pałacu na Taschenbergu krążyły ostrożnie kupki ludzi, usiłując odgadnąć, co się wewnątrz działo. Widać było ruch niezwykły, ale porządek w zaciąganiu wart, gwardyi i szwajcarów pozostał niezmieniony. Karety z zapuszczonemi oknami i zakryte lektyki przebiegały miasto w różnych kierunkach. Ruch ten był cichy jakiś i jakby stłumiony. Uroczyste i urzędowe oznaki żaloby jeszcze się były nie rozpoczęły, a serdecznego smutku na twarzach znać nie było. Na każdego wyjeżdżającego kuryera spoglądał tłum z ciekawością i domysłami, gonił go oczyma i szeptano sobie dokąd i poco mógł być posłanym. Nie śmiano jednak mówić głośno... Koenigstein był blisko i u steru, jak się zdawało, pozostać mieli ciż sami ludzie, myśl ta sama, bo królewicz, a dzisiejszy kurfirst, nadto czcił ojca, ażeby chciał co odmieniać; nadto mu był posłusznym nawet po zgonie, aby się ważył coś począc z siebie i nadto był przyjacielem spokoju, żeby zmianami chciał sobie ściągać kłopoty. Domyślano się tylko, że Brühl padnie, a Sułkowski się podniesie nad wszystkich, a jakie będą rządy nowe? tego nikt odgadnąć nie umiał.

Brühl już naówczas zamieszkiwał kamienicę w Nowym-Rynku, koło niej było cicho. Wiedziano tylko, że on wczoraj odwiózł klejnoty, korony, precyzoza i całą tajną królewską kancelaryą. Co się działo na zamku i w pałacu na Teschenbergu, o tém z ulicy tylko po przebiegających i przejeżdżających sądzić było można. Powozy zajeżdżały i odchodziły, lektyki się mijały, posłańcy krzyżowali.

Cały dzień spłynął tak w zagadkowej ciszy i pozornym spokoju. Pomniejsi urzędnicy wypatrywali znaków na ziemi i niebie, komu się kłaniać, a na kogo pluć mieli.

Hennicke powiernik Brühla, były ów lokaj, którego i teraz, gdy się już radzcą zwał, pocichu jeszcze tém imieniem mianowano, siedział z rana w swoim domu, przytykającym do Brühlowskiego na Nowym-Rynku.

Za owych czasów, gdy jeszcze ani marzył do jak wysokich dojdzie zaszczytów, Hennicke ożenił się był z prostą dziewczyną służebną, która naówczas nie miała za sobą nic, oprócz trochę młodości i wdzięku. Dziś, gdy oboje znikło, pani radczyni Hennicke, dobra zresztą kobieta, była utrapieniem dla męża, bo się z nią pokazać nie mógł, tak jawne nosiła w ruchach i obejściu się całém ślady pierwotnego pochodzenia. Mimo przywiązania swego do męża i pana, męczyła go gadatliwością i drobnostkami. Właśnie się jéj pozbywszy, ziewał podparty na łokciu, gdy do jego mieszkania wszedł, nie oznajmując się wcale, szybko i niespodzianie mężczyzna dosyć przystojny, śmiały, znać dworak, ubrany wykwiintnie, choć już cały w czerni, średniego wieku i żywych oczów roztropnych.

Z twarzy nic wnioskować nie było można, oprócz że mu na bystrości nie zbywało i na przebiegłości, jakiej wymaga życie wśród wiecznie krzyżujących się intryg, które, jak koła

mijających się wozów, pochwycić i zgnieść mogą człowieka. Wchodzący rzucił kapelusz na krzesło, dobył tabakierczkę z kieszeni i zażył z niej szczyptę, podając ją na przywitanie Hennickemu, który nań ciekawie spojrział.

— No, jakże myślisz; co będzie? — zapytał przybyły, zamykając tabakierczkę i wsuwając ją do kamizeli.

— Nic nie myślę, czekam i patrzę — odparł Hennicke zupełnie spokojnie.

— Brühl? jak ci się zdaje?

Spojrzeli sobie w oczy...

— Co mówią? — spytał Hennicke.

— Każdy mówi to, czegooby sobie życzył: jedni, że Brühla wypędzą, a bodaj do kalkulacyi pociągną i wsadzą; drudzy, że Brühl innych wygoni, pozasadza i zdusi.

A wam jak się zdaje?

— Ja wam mówiłem, że mnie się nic a nic nie zdaje — odparł Hennicke — jeśli Brühla wsadzą, ja pomogę popychać, jeśli Brühl ich zdusi, pomogę dusić. Dzięki Bogu nie stoję jeszcze tak wysoko, abym padając, kark skręcił.

Przybyły rozśmiał się.

— To rzeczywiście jedyna rozumna polityka wyczekiwanie, a jak najmniej się mięsząc do rzeczy i stać sobie na boku.

— Tak! tak panie radzco Globig — z pół-uśmiechem dodał Hennicke wstając z krzesła — naprzód się wyrywać niedobrze, w tyle zostawać niebezpiecznie, środka się trzymać i na wszystkie strony patrzeć: to rozum.

— Ale — rzekł ciszej — między nami powiedziawszy, idę z waćpanem o zakład... o co się podoba... stawić nawet jestem gotów moją żonę przeciw młodziej innej, bo mnie dziś okrutnie zmęczyła gadaniną, że... (zbliżył się do ucha), że Brühl się utrzyma, a gdy się utrzyma, stawię znowu co chcecie, że z nim nie wytrzyma nikt, i że oto dzisiejszego dnia inaugurujemy panowanie J. K. Mości Brühla I-o, które aby jak najdłużej trwało, Boga błagajmy. Obu nam panie radzco, będzie z tém bardzo dobrze... ale wy pewnie z zamku? na Boga, co w zamku? co słycać?

— Nic, cicho jak w grobie; sposobi się żaloba. Ojciec Guarini przemyka się od kurfirsta do kurfirstowej, Sulkowski na straży stoi od rana, a Brühl nie wiem nawet, co się z nim dzieje...

— Znajdzie się! — szepnął Hennicke.

— Królewiczowa, zszedłszy na kurfirsta żonę i pozbawiona królewskiej korony, podobno temu nie rada.

— To ją Brühl zrobi królową... — rozśmiał się Hennicke.

W tej chwili coś zatętniało pod oknem, oba rzucili się patrzeć; oddział gwardyi już z krepami na rękawach i pookrywanemi krepą zbrojami, pędził ku zamkowi. Kamerdyner dworski w liberyi wielkiej wchodził do kamienicy. Hennicke rzucił się ku drzwiom... Globig wziął za kapelusz... Puknięto, wszedł ogromny mężczyzna z maleńkim biletem w ręku. Hennicke rzucił nań okiem, a Globig z za niego utopił także wzrok ciekawy w karteczce; nie mógł jęj jednak przeczytać, bo ją gospodarz zaraz wetknął do kieszeni; zbliżył się do kamerdynera i odprawił go kilką cichemi słowami.

Zostali znowu sami.

— Nie ma w tém tajemnicy — odezwał się Hennicke z uśmiechem — potrzeba wiele pieniędzy, musimy powymiać zasieki. Nie ma ich, ale muszą być.

Globig i on wzięli za kapelusze oba.

— Hennicke... spodziewam się, że my z sobą zawsze.

— Nawet gdyby padać przyszło? — rzekł u drzwi stojący gospodarz, krzywiąc twarz ironicznie.

— A pocóż — odparł szybko Globig — owszém, gdy jeden pada, drugi powinien zostać i twardo stać, aby go podnieść. Gdy się przyjdzie do góry piąć, to razem.

— A gdy padać, to kułakiem w kark? — spytał Hennicke.

— Nie, tego nie wymagajmy od siebie, cha! cha! — podali sobie ręce.

Hennicke już wychodził, gdy w przedpokoju ukazał się nowy przybylec: postać wysoka, długa, chuda, ręce cienkie, nogi jak laski, twarz przeciągła, niepiękna, ale pełna życia i pojętności.

— Patrzcie! i ten tu! — rozśmiał się Hennicke. Globig uderzył ręką po boku.

Długi mężczyzna wszedł, kłaniając się.

— No, panowie! cóż się dzieje? co? padamy, czy idziemy w górę?

— A niecierpliwi! — krzyknął gospodarz — czekajcie.

— Gdy idzie o skórę — odparł przybyły.

— Panie radzco Loss, nasze skóry wszystkie trzy razem zszyte, jeszcze wygodnego siedzeniaby nie pokryły. Na szerszych plecach się tam wszystko rozstrzyga. Słyszeliście co?

— Co? to co wszyscy przewidywali: Sułkowski pierwszym ministrem.

— Ciekawa rzecz? — syknął Hennicke szydersko — Sułkowski katolik w protestancji Saxonii nie może być prezydentem rady, chyba się nawrócił na lutra, a gdyby to uczynił, królby mu w oczy napluł i dał kolanem... nie mówiąc już o królowej.

— A wiesz, że masz słuszność — przerwał Globig — mnie to na myśl nie przyszło.

— Zapomnieliście o tém — zawołał Loss, pokazując długie zęby w uśmiechu — że N. Pan może zmienić prawo.

— Bez zwołania sejmu? — spytał Hennicke.

— Chociażby... jest tu panem — mówił Loss — to przecież nie rzeczpospolita polska, gdzie szlachta robi co chce, a król się kłaniać jój musi.

Hennicke chrząknął, bo chód szybki dał się słyszeć u drzwi i w téjże chwili wchodził już szeroko je otwierając słuszny, barczysty, otyły mężczyzna, który zrazu stanąwszy, kapelusza nawet nie zrzuciwszy i nie witając nikogo, przypatrywał się zgromadzeniu.

Był to trzeci radzca Stammer.

— Cóż to, sejm? — zapytał zwolna, obnażając głowę.

— Niespodziany — przerwał trochę markotno Hennicke — doprawdy, gotowi pomysłić, że my tu konspirujemy.

— Kto dziś na co patrzy i o czém myśli? to się dopiero zacznie jutro — rzekł Stammer — dziś każdy o sobie duma i rozlicza się z sumieniem, czy przeciwko wschodzącemu słońcu nie zgrzeszył, kłaniając się zachodzącemu; bo to wiadoma rzecz, że stanąwszy twarzą do zachodu, czéms inném musi się człek obrócić na wschód.

Rozśmieli się pp. radzcy.

— Stammer, ty co wiesz wszystko — zawołał Globig — co słyhać?

— Dzwony, dzwony, dzwony! — rzekł Stammer — gdybym co innego i posłyszał nawet, bądźcie pewni, że strzegłbym się cokolwiek mówić: kto dziś z nas wie, co wróg a co przyjaciel? Milczeć należy, jedném okiem płakać a drugim się śmiać i cicho, cicho, cicho! Hennicke z kapeluszem... — rzekł po małym przestanku — wychodzisz?

— Muszę... — przeprasając oczyma przytomnych, odezwał się gospodarz — służba.

— Tak! tak — najważniejsza — dodał Stammer. Każdy służy dziś sobie... nie ma więcej wymagającego pana.

— W istocie, nie wiecie nowego nic? — zcicha rzekł Globig zbliżając się do Stammera.

— Owszem, wiem mnóstwo rzeczy, ale ich nie powiem, z wyjątkiem jednej wiadomości.

Wszyscy się zbliżyli.

— My Sasi dołem, Polacy górą! Nasze kurfirstowstwo już w kieszeni, więc o nas się nikt nie zatroszczy; ale korony polskiej nam trzeba, więc Sapiehowie, Lipsy, Czartoryscy, Lubomirski, Moszyński, Sułkowski, na przodzie.

— Sułkowskiego położyliście na ostatku? — spytał szydersko Loss... ho! ho!

— Dla tego że on powinien być na początku — rzekł Stammer — a teraz ponieważ czas gorący choć na dworze zimno... żegnam panów.

Włożył kapelusz na głowę i wysunął się pierwszy. Za nim powoli wyszli drudzy. Na ostatku został gospodarz, który znać osobno iść chciał, bo się przypóźnił wydając jakieś rozkazy.

Z bramy domu każdy z nich obejrawszy się ostrożnie, pociągnął w inną stronę.

W rynku tylko kupki ludu i żołnierzy przemaszerowujących widać było. Z równą ciekawością rozpytywano, badano, dowiadywano się po innych domach saskiej stolicy, ale do wieczora nikt nic pewnego powiedzieć nie umiał.

Już zmierzchało, gdy lektyka się zatrzymała przed domem w którym mieszkał O. Guarini. Pokój ten gdzieśmy go widzieli z Brühlem był jego gabinetem. Tu tylko przyjmował poufale gości, spowiednik królewicza i królewiczowej, najmniej widoczna a największa

owa potęga na dworze. Skromnych bardzo obyczajów i wymagań staruszek, nie potrzebował dla siebie rozległego pomieszczenia, ale go przyjęcie licznych, dostojnych nieraz gości wymagało. Całe też piętro zajmował Padre, a wedle tego kogo miał u siebie, obchodziło się pokojem w którym na kanapie leżała gitara, lub salonem w surowym stylu umeblowanym, albo pokojami w których mieściła się jego biblioteczka, obrazy i inne zbiory.

Z lektyki wysiadł słusznego wzrostu mężczyzna w ciemnym stroju świeckiego człowieka, ze szpadą u boku. Twarz to była cudzoziemskiego typu, wielce arystokratycznego pokroju, rysów delikatnych i pięknych ale blada i zwiędła. Uśmiech nadzwyczajnej słodyczy i łagodności ją okraszał. Wysokie czoło białe, oczy ciemne wypukłe, nos rzymski, wąskie usta, twarz ogolona starannie, nadawały mu cechę kawalera większego świata. Na ramionach miał płaszcz czarny, a u sukni koronki tylko białe i żadnych świecidełek.

Śmiałym krokiem przebiegłszy wschody, nieznanemu zadzwonił do drzwi, a gdy mu stary sługa Guariniego otworzył, nie pytając i nie oznajmiając się wcale wszedł w głąb sieni. Co widząc sługa podążył co prędzej otworzyć mu drzwi, nie już gabinetu ale salki gościnniej O. Jezuity.

Była ona ciemną, przybraną skromnie i pełną pobożnych godeł i obrazów. Trochę pyłu na sprzętach dawało się domyślać, że tu mało kto gościł zwyczajnie.

W pokoju tym i teraz nie było nikogo, ale O. Guarini w téjże chwili wyszedł z gabinetu usłyszawszy bieganie i zobaczywszy przybyłego; nieco zdumiony, z największą pokorą zniżył przed nim głowę, założywszy ręce na piersiach.

Przybyły zbliżył się doń i oba pocałowali się w ramiona, ale Guarini zniżył się prawie do ręki.

— Nie spodziewaliście się mnie — rzekł prędko stłumionym głosem gość — ja sam nie wiedziałem że tu dziś będę. Domyślicie się co mnie tu sprowadza... chwila obecna jest najwyższej wagi.

— Wysłałem już wczoraj po instrukcje — odparł cicho gospodarz.

— Ja wam je przywożę.

Każcie zamknąć drzwi wasze...

Musimy być sam na sam.

— Na to nie potrzeba rozkazu — odezwał się Guarini — jesteśmy tu zupełnie bezpieczni.

— Nie tracmy więc czasu! Jak rzeczy stoją? co się święci? obawiacie się czego? potrzeba wam pomocy? mówcie a radźmy zawczasu?

Guarini się zamyślił ważąc co powie.

Chociaż przybyły ubrany był po świecku, jak mówiliśmy, odezwał się doń potem cicho:

— Najprzewielebniejszy Ojcie! Stan dworu jest wam tak dobrze jak mnie wiadomo. Królewicz gorliwym jest katolikiem, królewiczowa, jeśli być może żarliwszą jeszcze. Ulubieniec pierwszy, Sułkowski, katolik także. Wszystko niemal co ich otacza wyznaje świętą wiarę naszą.

— Ale Sułkowski! Słyszę że na nim ma spocząć cała waga przyszłości. Królewicz dobry, słaby, leniwy, powodujący się i pracy nie lubi; za niego więc ktoś rządzić musi.

Jeśli Sułkowski, możemyz mu zaufać?

Guarini zamyślił się, spojrzął w oczy przybyłemu, rękę jedną do ust przyłożył i głowę potrzęsł.

— Katolik jest — rzekł po chwili — lecz chłodny, ambicya u niego wyżej wiary; wpływ jego dłuższy byłby nam, katolicyzmowi, sprawie nawrócenia zgubnym. Nie ma wątpliwości...

— A jednak, ominąć go, obalić go o ile wiem, niepodobieństwo — zawołał gość — królewiczowa ma-li dosyć siły?

— Z jój twarzą i z jój charakterem? — szepnął Padre. — Myślicież że w téj spokojnej, dobrej, zacnej naturze królewicza nie odezwie się krew Augusta Mocnego i namiętności jego? Czyż to możliwe? Cóż będzie znaczyć królowa? Sułkowski podda mu inne, aby przez nie rządził.

Przybyły zmarszczył brwi i ręce załamał.

— Kreściecie mi obraz nadto smutny — zawołał — na to, bądź co bądź należy szukać rady.

— Wcześniej o tym myślałem — począł Guarini sadzając gościa na kanapie, a sam zajmując krzesło obok niego. Nam przy królewiczu potrzeba człowieka, któryby całkiem był naszym, nam służył, od nas zawisł. Fryderyk jest gnuśny, jemu usłać miękkie łoże, urządzić mu jego uciechy ulubione, dać mu operę, polowanie i obrazy. Któż wie, (westchnął) może coś więcej jeszcze...

Przybyły brew namarszczył.

— Smutna to rzecz — przerwał — gdy w wielkiej sprawie do małych i wstrętliwych środków się uciekać należy; smutna...

— *Cum finis est licitus, etiam media sunt licita* — z cicha zacytował Padre Guarini. Środków nie można ograniczać: każdy wypadek innych wymaga.

— Rozumiem — rzekł gość — sprawa jest zbyt wielkiej wagi, abyśmy nie mieli dla niej narazić się choćby na potwarze. Idzie o odzyskanie dusz, o utrzymanie się na stanowisku w tym dawnym ognisku ohydnej herezy Lutra. Mamy narzędzia, puścić je z rąk dla skrupułów byłoby grzechem; raczej jedną zgubić duszę, niż poświęcić ich tysiące...

Guarini słuchał z pokorą.

— Mój Ojciec — rzekł z cicha — to wszystko stokroć powiedziałem sobie, dla tego ja w sukni tej oplwaną i bez sukni służyć jako umiem, nie zawsze jako przewodnik sumienia, często jako pulcinello u królewicza, jako impressario za kulisami, jako doradca o mroku tam, gdzie rada potrzebna. Gdy idzie o wzięcie twierdzy, a nie można jej zdobyć siłą, opanowywa się ją podstępem: *Media sunt licita*.

— My tego, mój Ojciec, mówić sobie nie potrzebujemy — odezwał się gość — odkryjcie mi plany swoje.

— Postępować musimy ostrożnie — począł Guarini — nie gorszcie się nami; nieraz wam to przyjdzie westchnąć nad przewrotnością naszą, ale ze słabymi ludźmi jakże iść nie wiodąc ich na pasku ich własnych namiętności...

Królewiczowej jesteście pewni, ją osłonić i jej wpływ umocnić, gdyby było podobna, to pierwsze zadanie. Ale najświętobliwsza ta pani jest — przebaczcie mi Ojciec — najnieznajniejsza w pożytku, a król potrzebuje rozrywki, i bez niej nie wyżyje. Jeśli my mu jej nie damy, chwyci najzakazańszą, gotów...

Nie dokończył O. Guarini, a po chwili mówił dalej:

— Sułkowski nikogo słuchać nie będzie, poświęci wszystko sobie, aby króla utrzymać pod panowaniem swym: da mu co zechce. My nigdy pewni jego być nie możemy: musimy go obalić.

— Jakim sposobem?

— Przyjdziemy do tego: narzędzie wyborne dała nam Opatrzność.

Mamy człowieka.

Tym jest Brühl.

— Protestant? — podchwycił gość.

— W Saksonii i jawnie będzie nim, w Polsce i w domu jest katolikiem. Musimy na to dozwolić, wiecie co powiada Maldonatus nasz: *Quando vobis dissimulam tibus religio vera aliquod detrimentum acceptura sit, aut aliqua religio falsa confirmaretur. Alias illam dissimulare licet, aliqua edusa legitima interveniente*<sup>20</sup>.

Brühl będzie a raczej jest katolikiem. Damy mu żonę katoliczkę, którą mieć będzie z ręki królewiczowej i naszej; pomożemy mu do obalenia Sułkowskiego: z nim jesteśmy tu panami.

Nikt nas nie posądzi o udział w tej sprawie, bo jawnie za protestantem nie moglibyśmy obstawać, przeciwko katolikowi.

— Lecz jesteścież go pewni?

O. Guarini się uśmiechnął.

— Będzie w mocy naszej, zależnym od nas; gdyby pomyślał o zdradzie, padnie jutro: na to aż nadto mamy środków.

— Plan jest wyborny, nie przeczę — po chwili namysłu przemówił nieznajomy — ale wykonanie jego zdaje mi się wątpliwym.

<sup>20</sup>*Quando vobis dissimulam tibus...* — Joanna Maldonatus. Summula Coloniae 1605. P. 3. [przypis autorski]

— Z dziś na jutro niemożliwemby było — rzekł O. Guarini — rok, może dwa, może więcej pracować będziemy musieli, poruszyć wszystkie sprężyny; ale zwycięstwo tak pewne, przy łasce Bożej, jak tylko w ludzkich sprawach rachuba pewną być może.

— Opieracie wszystko na charakterze Kurfirsta?

— Tak jest — odpowiedział Guarini — ale ja z nim, przy nim, mogę rzec w nim, jako spowiednik jestem od lat wielu; znam go jak dziecię, którebym wykołysał na rękach.

— Królewiczowa? — spytał gość.

— Święta i zacna niewiasta, lecz Bóg nie dał jej nic niewieściego i uroku żadnego, władzy żadnej. Dla takiego pana ona nie starczy.

— Na Boga! przecież nie dopuszczicie aby po ojcowsku szalał i siał zgorszenie, i puścił się na rozkielznaną rozpustę.

— My nie potrzebujemy go wstrzymywać nawet — rzekł Guarini — jego natura powściągnie go od jawnego zgorszenia, ale nie od okielznanania namiętności. Będą one skryte, nałogowe, niewidoczne, a uparte. Musimy wiele znieść i na wiele zamknąć oczy, aby go przy wierze utrzymać.

Przybyły ręce złożył i głową poruszał smutnie.

— O! biadaż tym, co dla świętej sprawy w kale pracować muszą? I jak się tu nie zwalać? i jak czystym pozostać?

— Kogoś potrzeba przecież coby był kozłem ofiarnym, jak ja nieszczęśliwy westchnął żartobliwą minę przybierając Guarini. Zazdroszczą mi ludzie...

— Nie ja — odparł kłaniając się, gość. — a! nie ja...

— Plany więc nasze? — spytał Ojciec.

— Pójdą pod rozpatrzenie rady — odparł przybyły — nie przestawajcie działać, nie wstrzymujcie wykonania. Damy znać coś najbliższego!

— Brühl utrzyma się. Królewicz płacząc to przysiągł żonie, to była wola ojca jego. Sułkowski będzie pozornym władzcą, ów istotnym, a potem...

— Sądźcie że go obalić potraficie? — spytał gość.

— Jesteśmy tego pewni, działamy wszyscy przeciwko człowiekowi, który niema nawet przecucia, nawet idei niebezpieczeństwa, a ambicya Brühla jest dla nas najskuteczniejszym narzędziem.

— A ten człowiek? — spytał nieznajomy.

— Jest to szatan w ludzkim ciele, ale szatan, który krzyżem leżąc się modli, a jutro nieprzyjaciela zgniecie jak muchę, i nie będzie miał zgryzoty najmniejszej.

Przy tém słodki, miły i ujmujący do najwyższego stopnia.

Zamilkli, przybyły gość zasunął się w głąb kanapy i zadumał.

— Mogę wam czém służyć? — zapytał O. Guarini.

Pytanie to przeszło nie dosłyszane, tak ten do którego się zwracał zatopionym był w myślach.

— Jakże idzie z nawracaniem? — zapytał po milczeniu, które O. Guarini uszanował.

— Z nawracaniem? tu? w samym gnieździe herezy — rzekł Ojciec — tu, gdzie katolicka kaplica dzwonami odezwać się nie może, gdzie protestantyzm panuje, wre i pożera jak rdza? Postępy są małe, a dusze które nasze sieci rybacze wyciągają na brzeg, nie wiele przez się warte. Potomstwo ich opłaci chyba trud apostołski. Do innych herezy nowa nam jeszcze przybywa, z którą walka będzie trudniejszą niż ze wszystkimi innymi.

— Cóż to jest znowu?

— Jak wszystkie herezye nie nowa, ale ten co apostołuje, człek możny, człek dobrej wiary, natchniony, wyegzaltowany, ofiarny. Nie z dogmatem walczyć mamy, bo u niego dogmat podrzędną sprawą, ale z nową społecznością jaką chce zbudować. Fałsz przybiera tu blask i jasność prawdy. W lasach, w dali od miasta, na wykarczowanych nowinach, gmina Braci Morawskich, coś nakształt zakonu, ścisłą regułą objętego, już się stworzyła i żyje.

— Cóż to jest? mówcie — z zajęciem podchwycił gość — nie słyszałem nic.

— Dziwny zagorzalec, reformator nie wiary ale społeczeństwa i życia, w imię Zbawiciela i miłości Jego, tworzy świat nowy. Królem tej Rzeczypospolitej Chrystus. Osobno rozdzielone, ale w jednym miejscu, żyją chóry niewiast, chóry dziewic, chóry mężczyzn,

chóry dzieci. Łączy ich tylko nabożeństwo wspólne i agapy skromne, wieczerze ubłogosławione modlitwą. Można pan hrabia Zinzendorf, nadał gminie grunta i sam jest jej kapłanem i kaznodzieją. Praca i modlitwa, ścisła karność i miłość braterska, są prawidłami życia nowej Braci Morawskiej, a raczej Herrnhutów.

Gość słuchał z natężoną uwagą.

— I dopuściliście aby się to gniazdo herezyi niebezpiecznej rozsiało tu, gdzie już ona panuje?

— Staralem się przeszkodzić, dotąd napróżno — rzekł Guarini — zjeżdżały komissye, były badania: Zinzendorf będzie wygnanym...

— Ale tam dźać się muszą szkarady? — odparł gość.

— Najściślejsze badanie nic nie wykryło zdrożnego. Ludzie różnych nawet wyznań, związani w jedną tę dziwną społeczność, która ma majątność wspólną, w której nie ma ubogich, w której sierot nie ma, gdzie jest jedna rodzina pod jednym ojcem Chrystusem...

Wykrzyk podziwu i oburzenia wyrwał się z piersi słuchającego.

— Horrendum! — zawołał — a małżeństwa...

— Jak najostrzej zachowywane, lecz przy ich wierze w bezpośredni rząd Zbawiciela i natchnienie Jego, wiecie jak się one zawiązują?

Młodzieńcy ciągną losem małżonki, a stadła są przykładne.

— Cóż to za dziwne prawicie mi rzeczy; lecz to są zdala pochwycone wieści, to nie-  
możliwe...

— Sam tam byłem — odparł Guarini — sam patrzałem na idące modlić się chóry, na dziewice z ponsowemi wstążkami, na zameżne w niebieskich, na wdowy w białych.

Gość westchnął. — Spodziewam się że nie ścierpicie, aby się to pod bokiem waszym rozrastało.

— Musimy im odciąć głowę — szepnął Guarini — Zinzendorf zostanie wygnanym, gmina się rozpierzchnie.

— Najlepiejbyście uczynili, nasadzając przeciwko nim duchowieństwo luterskie.

— Ono w tém nic zdrożnego widzieć nie chce.

— A Zinzendorf, zetknęliście się z nim?

— Tak jest i nieraz, bo nie unika ani katolików, ani duchownych; owszem, rad dysputować, tylko nie o teologii, ale o pierwszych chrześcianach, ich żywocie i miłości Zbawiciela, jako osi, na której świat się chrześciański obracać powinien.

Mówili jeszcze, gdy staruszek przez półotwarte drzwi począł ręką domagać się, aby O. Guarini wyszedł. Ten pośpieszył do sieni, poprosiwszy wejrzeniem gościa o pozwolenie.

W sieniach stał kamerdyner królewski. Królewicz wzywał do siebie spowiednika swojego.

Trzeba więc było pożegnać gościa, któremu podano światło, papier i co było potrzeba do pisania i rozgospodarował się tu jak we własnym domu. Tymczasem Padre Guarini wkładał suknię swą czarną i pożegnawszy nieznajomego, szybko już poprzedzany przez kamerdynera, śpieszył do królewicza.

W téj saméj salce w której go wiadomość o śmierci ojca zastała, siedział Fryderyk w krześle z nieodstępną fajką, z głową spuszczoną i tak milczący jak zwykle. Pomarszczone czoło tylko świadczyło, że umysł pracować musiał.

Gdy O. Guarini wszedł, królewicz podniósł się szybko; ale jezuita go uprzedził i zlekka na krześle przytrzymał, całując jego rękę. W pewném oddaleniu stał Sułkowski, który na chwilę nie odstępował pana swojego. Twarz jego promieniała tryumfem i niecierpliwością drgała, ale się nastrajał do obowiązkowej żaloby.

O. Guarini daleko więcej było wolno, pomimo urzędowego smutku, wiedział iż trocha roztargnienia będzie pożądaną; przybrał więc minę niemal wesołą i przysiadł na niskim tabureciku przy królewiczu, patrząc mu w oczy, mówił po włosku i z żywością Włocha.

— Pomodlić się trzeba za naszego wielkiego zmarłego, ale zagryzać się tém co jest losem nieuchronnym wszystkich śmiertelnych, co naturalne i konieczne, nie godzi się. Zbyt natężony smutek zdrowiu szkodzi, a W. K. Mość i czasu nie masz. Trzeba panować, rządzić, a dla nas się zdrowo i czerstwo i wesoło chować.

Królewicz się napół uśmiechnął i głową pokiwał.

— Widziałem w przedpokoju Frosch'a (był to nadworny błazen królewicza), ten teraz jakby go kto w occie namoczył, skulony płacze że się śmiać nie może i że ze Storchem



(drugi trefniś) figłów mu płatać nie wolno. Jeden w jednym, drugi w przeciwnym kącie, patrzą na siebie i języki sobie tylko pokazują.

— A to musi być pocieszne! — szepnął królewicz — ale mnie tego widzieć niewypada; nawet jutro przy obiedzie; nie, niewypada: żaloba!

Guarini zmilczał.

— Frosch jest bardzo pocieszny, ja go lubię — odezwał się królewicz i spojrzał na Sułkowskiego, który się przechadzał pocichu. Padre usiłował coś z twarzy odgadnąć, ale oprócz dumy i zadowolenia w Sułkowskim nic nie dostrzegł. Królewicz wskazał na niego palcem Guariniemu i krótko szepnął:

— Dobry przyjaciel... w nim nadzieja... gdyby nie on, nie byłoby spokoju.

Ksiądz głową tylko skłonił potakując.

Wtem Sułkowski, który wiedział jak królewiczowi długa rozmowa była uciążliwą, przystąpił do Guariniego:

— Pana naszego niczem rozerwać — rzekł — a tu trosk tyle...

— Ja sędzę — ozwał się jezuita — że przy waszej chętniej pomocy, wszystko się ułatwi.

— Tu, w Saxonii zapewne — odparł Sułkowski, na którego królewicz patrzył i dawał znaki zgody — tu w Saxonii, ale w Polsce...

— Świętej pamięci król zostawił tam przyjaciół i sługi wierne. Ks. biskup Lipski. Cóż mówi Brühl? — zapytał Guarini...

Królewicz spojrzał na Sułkowskiego, jakby mu wzrokiem dawał pełnomocnictwo do opowiadania. Sułkowski na wspomnienie Brühla, chwilę się krótką zawahał, lecz natychmiast dodał:

— I Brühl i listy z Polski świadczą, że nasi adherenci wiernie i gorliwie około elekcyi pracować będą. Ale któż wie czy nam w drogę nie wejdzie Leszczyński, pomoc Francyi, intrygi? Na to potrzeba pieniędzy.

Królewicz uderzył zlekka po rękę Sułkowskiego.

— To Brühl musi dostarczyć: on do tego jedyny.

Sułkowski zamilkł.

— Będziemy się o nie wszyscy starali, a królewską koronę włożyć musimy na skronie pana naszego...

— I Józefiny — dodał Fryderyk prędko. Józefinie się to należy. Ona nie może kurfirstową pozostać.

Oba przytomni milcząco skłonili głowy, królewicz zadumany fajkę palił. Zdawało się że dalej mówić będzie w tym przedmiocie, gdy pochyliwszy się do ucha O. Guariniemu, szepnął:

— Frosch w kątku na pokucie musi być paradny? Mówicie że oni sobie języki pokazywali!

— Albo sobie albo mnie, ale to pewna, że dwa czerwone jęzory ich widziałem.

Zapomniawszy się królewicz głośno się rozśmiał, rękę do ust przyłożył i zawstydzony zamilkł nagle. Sułkowski stał zamyślony i nieco zgorszony spojrzał na księdza.

Upłynął moment jakiś, gdy Fryderyk pochylił się znowu do ucha Ojca, zasłaniając ręką.

— Widzieliście Faustyne? — zapytał.

— Nie — rzekł Guarini.

— A? nie? dlaczego? powiedzcie jęj, zapewnijcie ją, niech tylko głos szanuje. Ja ją szacuję wysoko, wysoko. *E una diva!* głos anielski; żadna jęj nieźródna. Jak mi będzie tęskno za jęj głosem; ale musi teraz śpiewać w kościele: niech ją choć tam usłyszę.

Sułkowskiemu ten szept był jakoś nie miły; odszedł kroków kilka na bok, lecz się wprędce wrócił, stając z nowu przed królewiczem. Fryderyk wskazał na niego księdzu.

— On będzie pierwszym moim ministrem... prawa ręka moja.

Guarini cicho uderzył w dłonie.

— Z rozkoszą tę wiadomość szczęśliwą przyjmuję — zawołał — bogdaj doczekała tego Saxonii, aby w niej tacy ludzie jak hrabia i tacy katolicy wszyscy stali na czele rządu.

Królewicz się obejrzał.

— Jeśli mu nie dadzą moje Sasy — jako katolikowi ministrować — znajdę na to sposób: pocziwy Brühl zrobi, co mu każe...

— Nie ujmuję bynajmniej Brühlowi — odpowiedział Guarini — ale to zapamiętały heretyk.

Na to królewicz jedném tylko, ee! odpowiedział i ręką w powietrzu zamachnął — ee!

Sułkowski niedowierzająco spojrział na Guariniego, który postawę ułożył skromną i spokojną.

Wśród tej rozmowy oznajmiono Moszyńskiego, którego król wpuścić kazał. Wszedł pan podskarbi i zbliżył się do ręki królewskiej. Cały był ubrany żałobno, smutek też miał na twarzy.

— Chciałem pożegnać W. Królewiczowską Mość — odezwał się — jadę natychmiast do Warszawy: sprawy elekcyi przyszłej zasypiać nie można.

— A jedź, jedź, owszém — rzekł wzdychając królewicz — chociaż Brühl mi ręczy...

— Brühl ani Polski ani Polaków nie zna — żywo odezwał się podskarbi — to nasza sprawa i nasza rzecz.

Nagle jakby sobie co przypomniał, Fryderyk wstał bardzo ożywiony.

— A! dobrze, jedzcie do Warszawy: zmiłuj się, te gończe psy które w Wilanowie zostały... Ja je chcę mieć! każcie mi je przywieźć pocztą. Nie znam psów lepszych nad te. Wiecie...

— Wiem, czarne — rzekł Moszyński.

— Jupiter, Dyana, Merkury, Pijawka — począł liczyć królewicz. Co się stanie z myślistwem! dojrzyjcie proszę, żeby to całe wróciło.

— Ja sędzę że trzebaby to tam zostawić — odezwał się podskarbi — gdy królewicz jako król tam powróci...

— Mój drogi i z pałacu saskiego w bawelnę mi ją obwiń, Magdalenę, a przywieź. Nuż jęj się tam co stanie. To dzieło nieoszacowane.

Moszyński się kłaniał.

— Może jeszcze są jakie rozkazy? — zapytał.

— Kłaniaj się Muszkieterom: ojciec mój tak ich lubił. Westchnął.

Pamięć ojca chmurą osłoniła znowu czoło, królewicz usiadł. Sułkowski pilny o to, aby mu nie zbywało na tém co lubił, poszedł skinąć na Czybukczego kamerdynera, który fajkę nową podał i fidibus zapalony. Królewicz pochwycił chciwie w usta tę pocieszycielkę i żwawo pykając dym puszczać począł.

Milczenie panowało w salce.

O. Guarini przypatrywał się bacznie Fryderykowi. Moszyński zdawał się czekać, ale napróżno; fajka i zaduma tak zajęły dostojnego pana, że o nim i o wszystkich zapomniał. Niekiedy tylko dym puszczał silniej i wzdychał.

Naostatek podskarbi zbliżył się ku ręce pańskiej i pożegnał. Fryderyk z powagą i przyjacielskim wyrazem z nim się rozstał, ale więcej wzrokiem niż mową go żegnał...

Sułkowski przeprowadzał go do przedpokoju, zostali więc sami z ojcem Guarinim. Zaledwie drzwi się zamknęły, gdy królewicz zwrócił się do siedzącego Ojca.

— To jeszcze nic — szepnął — jak oni sobie pokazują języki; ale gdy się zaczną bić, gdy Frosch pocznie lajać Storcha, a ten go kopać, a wpadną pod stół i zwiną się w kłębek, a to ci powiadam umierać trzeba ze śmiechu.

Guarini zdawał się zupełnie podzielać przekonanie królewicza o niezmierniej komiczności opisaney sceny i sam zrobił minę tak pocieszną, tak wesołą, iż biedny osierocony syn znowu zapomniał trochę o swój żalobie.

— Nie, jutro do stołu puszczać ich nie można, ale później! — rzekł cicho — później, byle tylko tych doskonałych figlów nie pozapominali.

Guarini wstał: pilno mu znać było do pozostawionego w domu gościa. Widząc ten ruch, królewicz zmienił ton, nachylił mu się do ucha i rzekł:

— Nie gniewajcie się że ja tego Brühla, choć lutra, zrobię ministrem. On się pocichu nawrócił! to człowiek rozumny i ja mu każę: zobaczycie.

Guarini nie odpowiedział nic, pokłonił się tylko i wyszedł pocichu.

## VIII

Nie zbywało Dreznu za czasów Augusta Mocnego na pięknych paniach. Mimo smutnych doświadczeń niestałości królewskiej, każda z nich pochlebiała sobie że choć na chwilę

zwróci na siebie oko, choć wszystkie wiedziały iż się ono na żadnej długo nie zatrzyma. Z dorastających panien nie było wszakże piękniejszej, zalotniejszej, żywszej i więcej umiejącej się podobać nad pannę hrabiankę Franciszkę Kolowrath, tę małą Franię, która przyjmowała Brühla niegdyś w pałacu na Taschenbergu, którą widzieliśmy już gospodarzącą w czasie karnawału przy jednym z królewskich stołów. Wysokie stanowisko matki, która będąc wielką ochmistrzą dworu królewiczowej, nie ustępowała przed nikim kroku, tylko przed książętami krwi; łaski królowej, nadzieje świetnej przyszłości, imię które nosiła, czyniły dziewczę dumnym i samowolnym. Im bardziej dorastała, tym matce trudniej ją było prowadzić. Jedyńca i ulubienica, mimo surowego wejrzenia królewiczowej, umiała się wyswabzać z więzów etykiety i wśród dworu zawiązywać liczne stosunki i zabawne miłosne intryżki. Przyszłość nie zdawała się jej tak dalece obchodzić, ani przestraszać. Małżeństwo uważała za oswobodzenie od jarzma, które jej wielce ciążyło.

W kilka dni po przyjęciu wiadomości o śmierci króla, gdy dwór ciężką jeszcze okryty był żałobą i wszelkie zabawy wstrzymane być musiały, panna Franciszka nudziła się więcej niż zwykle. Czarne suknie, które włożyć musiała, jako frejlina królewiczówniej, były jej wielce do twarzy, lecz nie do smaku. Właśnie pod wieczór w pokoiku swoim stała w nich przed zwierciadłem i rozpatrywała się w swą piękną figurę i twarz.

Przez okna wpadał mrok szary i zamdloną tylko postać swą widziała odbiła. Zadzwoeniła o światło, lecz wchodzący kamerdyner, który się domyślił żądania, niósł już w obu rękach srebrne ciężkie lichtarze, które na stole postawił. Frania była sama, hrabina matka pełniła swą służbę przy królewiczowej, ona zaś była wolną aż do wieczery i nie dobrze wiedziała co zrobi z czasem tak długim. Zakręciła się po pokoju, oko jej padło na szkatuleczkę bronzami okutą; wzięła ją z małego stoliczka i przeniósłszy na stojący przed kanapą, otworzyła kluczykiem, który znalazła przy sobie.

Wewnątrz pełno było drobnych klejnotów i pomiętych papierków. Hrabianka drobnymi paluszkami poczęła je przebierać od niechcenia. Z powierzchowności odgadnąć było łatwo, iż liściki te nic bardzo pobożnego nie zawierały, były to modlitwy do tego bóstwa, co je teraz z dziwnym uczuciem dumy i pogardy rozpatrywało.

Niektóre z nich odrzucała i z uśmiechem nie czytając, inne rzuciwszy na nie okiem, szczęśliwsze odczytywała oczyma błyszczącymi i zamyślała się nieco. Tak przetrząsała szkatułkę do dna, ręką niecierpliwą wcisnęła papierki wszystkie nazad do niej i zamknęła ją nagle, a sama rzuciła się na kanapę zamyślona. Na paluszkach jej błyskał tylko wyjęty mały pierścionek, na który patrzyła okiem smętnym. Była to obrączka czarno smelcowana, stara, nie ładna, ale złotymi głoškami stała na niej nie zgrabnie po hiszpańsku. *A hora y siempre...*

W pokoiku panny Franciszki oprócz drzwi głównych, wiodących do mieszkania z matką wspólnego, były małeńkie ukryte i nieznaczne w ścianie, które wychodziły do małej sionki i na boczne jakieś schodki. W chwili gdy się nad tym pierścieniem zadumała, cicho się otworzyły: ostrożnie ktoś wejrzał niemi... nie słysząc go odgadła hrabianka, zwróciła głowę, postrzegła... i ze stłumionym okrzykiem wstała z kanapki. Drzwi uchyliły się zwolna i piękny, młody Watzdorf stał przed nią. Widzieliśmy go u Faustyny pozwalającego sobie zbyt śmiałych sądów i sarkazmów. Dzisiaj ta twarz zwykle szyderska miała wyraz inny, była prawie smutną i zadumaną; lekki odcień ironii, którą przesiąkła, za ledwie na niej pozostał.

Piękna Frania, jakby przestraszona przyjściem jego, stała milcząca nie poruszając się z miejsca.

Watzdorf oczyma ją błagał o przebaczenie.

— A! czy się to godzi Krystianie! — zawołała wreszcie głosem rzeczywiście lub sztucznie poruszonym — jak można się ważyć, ludzi pełno. Ktoś może zobaczyć, donieść. Królewiczowa tak jest surową, moja matka...

— Nikt mnie widzieć nie mógł — odparł zbliżając się Watzdorf. — Franiu, bóstwo moje! siedziałem wypatrując godziny skurczony pod wschodami, nie wiem już jak długo, ażeby choć chwileczkę widzieć ciebie, pomówić z tobą. W. Ochmistrzyńni czyta lub modli się z naszą panią: niema nikogo.

— A! te wiecznie kradzione chwile — zawołała Frania — ja takiego złodziejskiego szczęścia nie lubię.

— Cierpliwości, nim inne przyjdzie; cierpliwości — rzekł Watzdorf, zbliżając się i biorąc ją za rękę — mam nadzieję...

— A ja, żadnej — przerwała hrabianka — mną rozporządzą, czy zechcą czy nie, jak bezwładnym sprzętem. Królewiczowa, królewicz, matka, Padre Guarini: któż wie, jam niewolnica!

— Więc uciekajmy ztąd?

— Tak? dokąd? — śmiejąc się zawołała Frania — do Austrii, gdzie nas złapią cesarscy, do Prus, gdzie pochwyć brandeburczycy. Uciekajmy? to dobrze! z czém? jak? Ty Krystyanie nie masz nic oprócz swojego miejsca na dworze, a ja nic oprócz łaski cesarza i królewiczowej.

Watzdorf zamyślił się.

— Ależ serce twój matki...

— Tak! ale to serce szukać będzie dla mnie szczęścia z brylantami, a innego nie zrozumieć.

— Franiu, bóstwo moje! co mówisz? jaką dziś dla mnie jesteś? po toż przyszedłem, abyś mi odbierała nadzieję?

— Mogę ci ją dać, gdy sama jej nie mam? — odezwała się hrabianka jakoś smutnie i zimno.

— Bo nie kochasz mnie?

Piękna Frania z wymówką spojrzała na niego.

— Nikogo nie kochałam nigdy prócz ciebie! — rzekła — nikogo kochać nie potrafię i dlatego że ku tobie mam miłość, chcę z tobą mówić otwarcie.

Watzdorf sparł się jedną ręką na kanapie i oczy w ziemię spuścił.

— Rozumiem — mruknął — zechcesz mi dowieść, iż dlatego żeś mnie kochała nie możesz być moją, a ja się ciebie wyrzec powinienem. Taką bywa logika miłości na królewskich dworach. Dlatego że ja cię kocham, że ty mnie kochasz, musisz pójść za innego...

— Tak jest, muszę za pierwszego lepszego, którego mi dadzą; ale ten serca mojego mieć nie będzie, tylko zimną rękę...

— To ohydne — przerwał Watzdorf — to obrzydliwe: nie masz nic dla mnie poświęcić.

— Bobym cię zgubiła — zawołała Frania — jutro w ucieczce pochwyconoby nas i ty byś poszedł na Königstein, a mnie danoby temu, komu ich fantazyja przeznaczy.

— Ja zdaje mi się bądź co bądź na Königstein się dostanę — zawołał Watzdorf — nie mogę wstrzymać ust patrząc na to potworne życie, na ten despotyzm lokajów. Mówię co myślę, a to jest, jak wiecie, doskonały środek dostania się tam, gdzie się już nie mówi, chyba do czterech zimnych ścian więzienia.

— Słuchaj Krystyanie, zamiast mówić, milczéć powinniśmy — odezwała się Franciszka — zamiast chcieć ich poprawiać, gardzić niemi i panować im.

— Poddając się ich fantazyjom i kłamiąc całe życie, oszukując ich, a brucząc siebie — rzekł Watzdorf — to śliczne życie!

— Więc lepij wyrzec się wszystkiego? — rozśmiała się Frania — ja, kobieta, nie jestem tak tragiczną, biorę życie jak ono jest.

— Ja niém gardzę — mruknął Watzdorf.

Hrabianka podała mu rękę.

— Biédny ty zapaleńcze! — westchnęła — A! jak mi żal ciebie i siebie: żadnej przyszłości, żadnej nadziei... a jeśli nam błysnie chwila szczęścia, to wśród fałszu i oszukaństwa.

Powoli zbliżyła się ku niemu, położyła rękę na jego ramieniu, a drugą objęła go za szyję.

— O! to życie — szepnęła — to życie, aby je znieść, pijanym być trzeba...

— I oszustem! — dodał Watzdorf, który rękę jej pochwyił i namiętnie ją do ust przyciskał. — Franiu! nie, ty mnie nie kochasz, ty kochasz więć życie nademnie: świat i złote pęta twoje.

Hrabianka milczała smutnie.

— Któż to wie — poczęła cicho — ja sama nie znam siebie, mnie wychowano kołyszając fałszem i ucząc kłamstwa, a budząc pragnienie wrażeń, roztargnień, rozkoszy, zabawy. Ja mojego serca nawet nie jestem pewną, byłam zepsutą nim żyć zaczęłam.

— Miłość nas oboje powinna była poprawić — patrząc w jej oczy, poczał Watzdorf namiętnie — i jam był dworakiem, póki nie kochałem ciebie... przez tę miłość stałem się człowiekiem, w jej ogniu oczyściłem się.

Cichym szeptem odpowiedziała mu hrabianka, sparła się na jego ramieniu, głowę pochyliła ku niemu; Watzdorf zdawał się zapominać o całym świecie: ona także. Oczy ich rozmawiały z sobą więcej niż usta; ręce, które się spotkały i splotyły.

Zapomnieli się tak oboje, że ich nawet ostrożnie otwierające się drzwi, któremi Watzdorf wszedł nie rozbudziły, gdy w nich groźna, ponura, blada i gniewna pokazała się twarz matki. Weszła ona i stanęła jak osłupiała widząc córkę z mężczyzną, którego poznać nie mogła... Gniew słowa jej wyrzec nie dawał, z osłupienia wychodząc, posunęła się krok i nim ją postrzeżono szarpnęła za rękę Watzdorfa. Wzrok jej straszny był, usta drżały; Frania podnosząc oczy zobaczyła to piorunujące oblicze matki przed sobą. Nie przerażona nim jednak, zwolna cofnęła się krok tylko, gdy Watzdorf machinalnie ręką szukał szpady, jeszcze niewidząc kto ich naszedł.

Dopiero zwróciwszy się, gdy ujrzał hrabinę, stanął blady i milczący, jak winowajca na uczynku pochwycony.

W. Ochmistrzyni w gniewie odezwać się nie mogła, chwyciła powietrze, cisnęła pierś ręką, a drugą wskazywała nakazująco drzwi.

Watzdorf wprzód jednak nim spełnił ten rozkaz, schylił się do ręki Frani, która się wyciągnęła ku niemu i przyłożył ją do ust, w chwili gdy matka mu ją wydarła, stanęła zasłaniając córkę i cała trzęsąc się wciąż drzwi pokazywała. Krystyan spojrział na bladą hrabiankę i wyszedł powoli. Ochmistrzyni padła na kanapę... Frania pozostała jak posąg zimna i obojętna, twarzyczka jej tylko bladością się okryła. Hrabinię z gniewu łzy spłynęły po twarzy.

— Bezwstydna! — zawołała — do tegoż więc doszło, że w swoim mieszkaniu pozwalasz sobie dawać schadzki mężczyznom! w obliczu całego dworu!

— Bo go kocham! — odpowiedziała chłodno córka — tak: kocham go!

— I śmiesz mi to mówić! wyrodna!

— Dlaczegożbym nie miała mówić, co czuję?

Hrabina łkała milcząc.

— I myślisz że ja na to dozwolę? że dla tej głupiej miłości, dla takiego chłystka, który jest ledwie cierpiany na dworze, twoją przyszłość poświęcę? Nigdy w świecie!

— Jam się wcale tego nie spodziewała, ażebym być mogła szczęśliwą i uczciwą — odpowiedziała zimno hrabianka — los mój mogłam przewidzieć z góry.

— Tyś oszalała! — zawrzała matka.

Frانيا usiadła w krześle naprzeciw niej, ze stojącego na stole bukietu kwiatów wzięła machinalnie jeden i do ust go podniosła.

Zimna, szyderska rezygnacja biła z jej twarzy, spojrzenie matki spodziewało się innego wrażenia i cofnęło przelękłe.

— Szczęściem, mógł wyjść nie widziany — poczęła jakby sama do siebie — jutro te drzwi zabić każę, a ciebie zamknę jak niewolnicę... Mogłażem się spodziewać dożyć tego...

Frانيا wciąż kwiatek gryząc zdawała się gotową na wysłuchanie wszelkich wyrzutów, jakie się matce czynić jej podobało.

To milczenie prawie pogardliwe dziecka, gniew jeszcze większy wzniecało w hrabinę. Zerwała się z siedzenia i wielkimi krokami chodzić zaczęła po pokoju.

— Jeśli Watzdorf waży się jeszcze raz zbliżyć, przemówić, spojrzeć na ciebie, biada mu! padnę do nóg pani, powiem Sułkowskiemu, zamkną go na wieki!

— Nie spodziewam się, ażeby się na to naraził — odezwała się hrabianka — właśnie mu dziś wszelką odjęła nadzieję; powiedziałam mu że sobą nie władnę, że mną jak niewolnicą rozporządzą, że pójdę za kogo mi każą, ale jego kochać będę...

— Mnie to śmiesz mówić?...

— Jeszcze raz mamie powtórzę, jestem otwartą, mówię co myślę. Ten co się zemną ożeni, będzie wiedział czego się ma po mnie spodziewać.

Hrabina matka rzucała na córkę dziwne wejrzenie groźby pełne, ale zmilczała.

Nagle z załamanemi rękoma stanęła przed Franią.

— Niewdzięczna! niewdzięczna! — poczęła głosem czulszym — właśnie w chwili gdy ja ci z panią naszą najświetniejszy los starałam się przygotować... ty...

— Ofiary w złotogłów ubranéj — śmiejąc się gorzko, odpowiedziała Frania — tego losu jam dawno miała przecucie. Los ten mnie minąć nie mógł.

— I nie minie cię, bo wiesz że woli pani twój opierać się nie możesz, ani woli matki, ani woli pana.

— Który żadnej woli nie ma — szepnęła hrabianka szydersko.

— Milcz! — przerwała groźnie hrabina. — Szłam ci o szczęściu oznajmić, a znalazłam wstyd i hańbę!

— Mnie nawet oznajmywać nie potrzeba o tém o czém wiem dobrze. Sułkowski żonaty, więc zapewne przeznaczoną jestem za żonę drugiemu ministrowi króla, Brühlowi. Tegom się oddawna spodziewała. Rzeczywiście szczęście to wielkie!

— Większe niżeliś zaszłyła — odpowiedziała matka. — Cóż możesz mieć przeciw temu najmilszemu, najrozumniejszemu z ludzi?

— Nic a nic, jest mi tak obojętnym jak najgłupszy i najobrzydliwszy. On, inny, wszystko mi jedno, jak tylko nie ten którego kocham.

— Nie mów mi nawet, nie waż mi się wspomnieć jego imienia: ja go nienawidzę. Jeśli się ośmieli krok uczynić, zginie!

— Przestrzegę go — zimno odparła Frania — nie chcę by ginął; chcę by się za mnie pomścił.

— Nie waż się zbliżyć ani mówić do niego: zakazuję...

Frانيا zamilkła.

Rozmowa przerywana w tym tonie trwała jeszcze z pół godziny. Wielka ochmistrzyni nawykła do porządku dworu postrzegła z przerażeniem iż pięć minut upłynęło jak powinna była być u królewiczowej, i rzuciła się do zwierciadła.

— Idziesz ze mną — odezwała się rozkazująco do córki — królewiczowa kazała ci przyjść. Wiesz jak powinnaś się znaleźć.

Była to godzina wieczery, wrędcę po tém, obejrzawszy córki ubranie, ochmistrzyni wyprowadziła ją z sobą.

Ścisła i nienaruszalna etykieta dworu, której królewiczowa Józefa strzegła pilnie i którą zaprowadziła na wzór dworu austriackiego, nie dopuszczała nikomu zasiadać do stołu pańskiego, oprócz pierwszych ministrów. I tych nawet Józefina widziała okiem dosyć niechętném. Ochmistrzyni, marszałkowie, wyżsi dostojnicy którzy się znajdowali w chwili wieczery, odchodzili do osobnego stołu marszałkowskiego w drugiej sali. Tego dnia królewicz sam jadał z królową. Ojciec Guarini który wieczery nie jadał, opodal siedział na taburecie, dla czynienia towarzystwa. W zwykłych dniach mniej żalobnych, zabawiał on Fryderyka wesołemi żarcikami, równie jak dwaj jego trefnisie Frosch i Storch. Najczęściej bili się oni i wygadywali blażeństwa, a królewicz śmiał się, podjudzał ich i był naówczas w najlepszym humorze. Żaloba świeża nie dopuszczała teraz aby trefnisie wrócili już do swych obowiązków, ze względu jednak na potrzebę rozerwania Fryderyka i rozchmurzenia posępnego czoła, Guarini dozwolił aby Frosch i Storch znajdowali się w kącie, nie dopuszczając się zwykłych figlów. Postawiono ich tak aby królewicz zaraz mógł zobaczyć. Stół zastawiony był paradnie, oświetlony rześisto. Fryderyk wszedł podając rękę żonie, której twarz dziwnie pospolita i nie piękna odbijała przy wypogodzonej i wspaniałej, rysów regularnych, ale jakby zastyglęj twarzy męża. Typ habsburgski w Józefinie wyraził się jak mógł najniekorzystniej, młoda jeszcze, nie miała wdzięku młodości: obwisła warga, chmurne oblicze, coś surowego a gminnego odstręczało od niéj.

W czasie gdy O. Guarini odmawiał *Benedicite*, oboje królewiczowstwo ze złożonemi stali pobożnie rękami, służba czekała. Fryderyk usiadł roztargniony, ale w tym samym momencie wzrok jego błądząc po sali padł na stojących w kącie Froscha i Storcha, którzy obaj zrobili miny tak poważne, tak nadęte, że się przez to śmieszniejszemi stali niż kiedykolwiek.

Frosch był prawie karłowaty.

Storch niepomieranie wysoki a chudy, z długim nosem, oba jednakowo ubrani; choć cały dwór przywdział żalobę, mieli na sobie fraki ponsowe i pluszowe spodenki niebieskie. Na głowie Froscha siedziała peruczka w drobne loczki fryzowana pociesznie, jak skórka barania, u Storcha była ona złożona z płasko spadających włosów, z tyłu ujętych w haarbeutel. Frosch stał jak kolos Rodyjski rozkraczony z rękami na plecach założonemi, a oczy

wypukłe i twarz mopsowata istotnie coś mu żabiego nadawały. Storch wyprostowany jak świeca, nogi obie ściśnięte jak u grenadyera na straży, ręce wzdłuż boków obwisłe, głowa do góry zadarta, usta podniesione, bardzo też był zabawny.

Królewicz zobaczywszy ich uśmiechnął się, ale im pogroził zdała aby się zachowali spokojnie. Storch nie poruszając się odpowiedział oczy tylko znacząco zwracając na Froscha, a Frosch tak samo na Storcha.

Z wielkim apetytem pijąc i jedząc zapamiętałe i chciwie, królewicz ciągle spoglądał na swych dwóch faworytów; bolało go to że im cugli nie mógł popuścić, ale wrzawaby się stała nieprzyzwoita, bo Frosch i Storch czasu obiadu dopuszczali się takich swawoli, iż nieraz w kłębek się zwinąwszy, toczyli aż pod stół pański.

Sam ich widok już wprowadził królewicza w humor nieco weselszy. Oprócz tego cieszyło go iż Brühl i Sułkowski tak się z sobą doskonale godzili, Brühl bowiem dobrowolnie, heroicznie bardzo, złożył wysoki urząd wielkiego ochmistrza dworu, aby król mógł nim przyoblec Sułkowskiego, a sam ograniczył się prezydencją rady ministrów, akcyzą, cłami, podatkami i czuwaniem nad skarbem państwa. Miało to być tylko formalnym. Sułkowski się spodziewał iż wszystko trzymać będzie we wszechwładnej dłoni.

Lecz przyszłość była zakryta.

Brühl oświadczał się z jak najczulszą przyjaźnią dla towarzysza swych trudów, a hrabia też będąc serca pana swojego pewnym, wcale się rywala nie spodziewał.

Zdawszy wszelkie troski na tych dwóch ludzi, królewicz jakby zrzucił brzemię z ramion, czuł się spokojnym, mógł powrócić do ulubionego, jednostajnego życia. Brak mu tylko było jeszcze opery i ulubionej, równie jak ojcu, Faustyny, brak było łowów i ciężła żaloba. Ale to wszystko przyjsć miało wkrótce do porządku. W polsce Moszyński, biskup Lipski i mnodzy inni zwolennicy mieli sami postarać się o elekcyą, a Brühl też za nią zaręczał.

Zaraz w kilka dni po odebraniu wiadomości o śmierci ojca, oświadczył Fryderyk iż wszystko co ubóstwiony przez niego, August Wielki uczynił, rozpoczął, postanowił, pozostanie w swęj sile i w niczém się zmieniać nie będzie. Kraj który się spodziewał odechnąć, wkrótce też nabral smutnego przekonania iż dlań nic się nie zmieni. Podatki tylko żywo bardzo ściągać zaczęto. Tego wieczora królewicz zaraz po kolacyi odszedł z Sułkowskim do swoich pokojów, Brühl za nimi pociągnął.

W drugiej sali zebrane było szczupłe gronko osób dworu Józefiny, a między niemi żartobliwie, rzucając słówkami, przechadzał się O. Guarini. Przemówiwszy zaledwie słów kilka do przytomnych, królewiczowa dała znak ochmistrzyni i weszła do swojego gabinetu. Za nią w ślad hrabina Kolowrath udała się, rozkazując córce, aby jęj towarzyszyła.

Józefina stała, jakby przygotowana do czegoś w środku salki. Frania weszła za matką, nie okazując ani trwogi, ani niepokoju. Królewiczowa dała jęj znak, ażeby się zbliżyła.

— Moje dziecko — rzekła głosem suchym i niemłym — czas pomyśleć o twym losie... ja się chcę nim zająć.

Lękając się odpowiedzi niewłaściwej, matka podchwyciła:

— Wieczną wdzięczność winniśmy majestatowi.

— Wiem, że jesteś gorliwą katoliczką — dodała królewiczowa — i dlatego cię najpród zapewnić muszę, że przysły twój, chociaż mu się los nieszczęśliwy nie dał urodzić w świętej wierze katolickiej, przyjmie ją. Będziesz więc miała tę pociechę, że jedną duszę zyszczesz Bogu.

Frانيا słuchała obojętnie, zdało się, że pociecha ta małe na nięj czyniła wrażenie.

Królewiczowa spojrziała i nie mogła wyczytać nic z młodej tęj twarzy zastyglęj.

— Mogę ci powinszować wyboru — dodała — wyboru, który matka i ja uczyniłyśmy; człowiek przeznaczony dla ciebie, jest znakomity pobożnością, charakterem i rozumem jest to minister Brühl.

Znowu spojrziała Józefina, Frania stała niema.

— Trzeba, abyś mu się dozwoliła zbliżyć do siebie, abyście się wzajem poznali lepiej i ocenili, a mam nadzieję, że będziesz szczęśliwą.

Matka popchnęła córkę do ucałowania ręki Józefiny, Frania dała się posunąć, pochyliła głowę i odeszła, nie rzekłszy słowa. Nie mogło to być za złe wziętém młodemu dziewczęciu.

Na tém skończył się ten dzień pamiętny w życiu kobiety, która z obojętnością na przyszłość patrzała.

Nazajutrz zapewne z natchnienia matki i za jęj wiedzą, Brühl rano, gdy hrabianka była samą, kazał się jęj zameldować. Po namyśle odpowiedziała, że go przyjmuje. Przyjęła go nawet w tym samym pokoju swoim, w którym wczoraj wsparta na ramieniu Watzdorfa, żegnała się ze szczęścia nadzieją.

W żalobnym stroju było jęj do twarzy, piękność jęj świetniejszą jeszcze wychodziła na tle tych czarnych sukni i zasłony. Oprócz bladości nie miała na sobie żadnej oznaki cierpienia; chłodna, zuchwała rezygnacya nadawała rysom coś rozkazującego i przejmującego.

Brühl, który był jednym z najwybredniejszych elegantów swojego czasu i przywiązywał wielkie znaczenie do stroju, tego dnia, choć w grubęj żalobie ubrany był z troskliwością szczególną. Wdzięczna jego twarz i postać, aż do zbytku niewieście i pieszczono się wydawały. Uśmiech, który z ust jego nie schodził, towarzyszył mu od progu. O ile Frania była poważną i zamyśloną, o tyle on chciał być wesołym i szczęśliwym.

Pospiesznym krokiem zbliżył się do stołu, za którym siedząc, hrabianka z lekka głową go przywitała i wskazała mu oddalone nieco krzesło.

— Widzę, że pani dla harmonii do żaloby, jaką nosimy — rzekł Brühl — i twarz dziś przybrałaś smutniejszą, niż kiedy, a ja... ja...

— Pan jesteś dziś weselszy, niż kiedy — przerwała Frania — cóż to go czyni tak szczęśliwym?

— Spodziewam się, że pani już jesteś o tém uwiadomioną — podchwycił Brühl, podnosząc ręce ku piersi.

— Nie grajmy komedyi — zawołała Frania — ani pan mnie, ani jabym go nie oszukała. Kazań mi iść za pana, gdy ja kocham innego; kazań się panu żenić ze mną, choć kochasz inną. Nie są to rzeczy wesołe.

— Ja! kocham inną! — niby zdziwiony odparł, cofając się Brühl.

— Pan kochasz oddawna i zapamiętała Moszyńską: o tém wie zdaje mi się ona, mąż i cały świat, a chcesz pan, żebym ja, żyjąc na dworze, nie wiedziała o tém?

— Jeśli hrabianka chcesz, abym wyznał, że ją kochałem... — odezwał się Brühl.

— O! stara miłość nie rdzewieje — dodała Frania.

— Pani się przyznałaś także.

— Tak, ja się nie taję, że kocham innego.

— Kogo?

— Nie potrzebuję zdradzać jego i mojej tajemnicy... dosyć żem szczerą i oznajmuję mu o tém.

— To dla mnie smutne bardzo! — zawołał Brühl.

— Ale nieskończenie smutniejsze dla mnie — dodała hrabianka. Nie mógłbyś pan znaleźć sobie innej, którąbyś uszczęśliwił?

Spojrzała nań, Brühl się zmieszał.

— To wola królewicza, królewiczowej.

— Ojca Guariniego i tym podobnie — podchwyciła hrabianka — rozumiem, więc to nieodwołalne?

— Pani — rzekł przysuwając się z krzesłem Brühl — ja mam nadzieję, że zasłużę na jęj względy... ja...

— Ja nie mam najmniejszej nadziei — poczęła Frania — lecz gdy małżeństwo jest tak w górze postanowione i ma być nieuchronném... dobrze byśmy się z góry przygotowali do tego, co nas czeka.

— Będę się starał o jęj szczęście.

— Dziękuję panu, ja się będę musiała sama starać o nie. Co się tyczy waszego, myślcie o niém. Ja panu nie bronię kochać Moszyńskiej, bo gdybym nawet chciała mu tego zakazać, wiem że to się na nic nie przyda. Córka Cosel odziedziczyła po nięj wdzięk jęj i potęgę, ja ich nie mam... niestety!

— Pani jesteś okrutną.

— Jestem szczerą.

Brühl mimo nadzwyczajnej łatwości rozmowy i przytomności, poczuł że mu się wyczerpuje wątek. Położenie jego stawało się przykrém, spojrzał na Franię, bawiła się chusteczką, nie okazując najmniejszego pomieszania.



— Bądź co bądź ja nie odejdę zrozpaczony — dorzucił po krótkim milczeniu. Znam panią od dzieciństwa, jestem jej wielbicielem oddawna; to co mi pani przypisujesz dla hr. Moszyńskiego było chwilową fantazyją, która przeszła i minęła. Moje serce wolne, a pani spodziewam się potrafi się pozbyć dla mnie wstrętu i uprzedzenia.

— Wstrętu nie mam do pana, boś mi najzupełniej obojętny — przerwała hrabianka.

— I to już coś znaczy — rzekł Brühl.

— W istocie to znaczy, że pan się wstrętu możesz dorobić, chcąc na miłość zasłużyć... To być bardzo może.

Brühl wstał, twarz mu pałała.

— Nigdy może pretendent do ręki gorszego nie doznał przyjęcia — odezwał się z westchnieniem... Potrafię jednak stłumić w sobie wrażenie.

— Nie skarż się pan przed królewiczową — zawołała Frania — nasza pani za złe mi mieć nie będzie tego, co za skromność weźmie dziewczycą. Oszczędź mi przykrości z matką i z drugimi.

Jeśli nie zmieni się nic, jeśli się pan uprzesz, jeśli pani nasza rozkaże, jeśli ja mam zostać ofiarą, pójdę do ołtarza, bo muszę; ale pan wiesz kogo bierzesz, i co cię czeka.

To mówiąc wstała; Brühl słodką nad wszelki wyraz przybrawszy fizygnomią, zbliżył się, chcąc sięgnąć po jej rękę, ale mu ją cofnęła i rzekła:

— Żegnam pana!

Nie przedłużając rozmowy, minister wysunął się z pokoju. Twarz jego na chwilę zamurzona w prog, odzyskała pogodę, wesołość i uprzejmość zwyczajną. Niktby był po nim nie poznał, iż zjadł świeżo tak gorzko przyprawne oświadczenie. Zdawało mu się to obojętnym, lubo panował tak nad sobą, iż nie okazał wcale, że to go obchodziło.

Krokiem lekkim przebiegł puste pokoje i wychodził już, gdy u progu ostatniego spotkał matkę.

Hrabina Kolowrath nim przemówiła, badała go pilnie oczyma... nie odkryła nic. Pomyslała nawet, że córka umiała ukryć swe uczucia, co jej było bardzo przyjemnym.

— Widziałeś się z Franią?

— Wracam od niej.

— Jakże cię przyjęła?

Brühl trochę się opóźnił z odpowiedzią.

— Tak jak się przyjmuje kogoś narzuconego, komu się chce dać uczuć, że powinien to wynagrodzić.

— A! macie czas... Ze wszystkich względów nie chciałabym przyspieszać wesela.

— Ja przeciwnie dlatego, że najlepiej starać się o serce, gdy się jest pewnym ręki — rzekł Brühl... Małżeństwo zbliża, daje poznać, a mam nadzieję, że hrabianka poznawszy mnie lepiej i moje przywiązanie...

Lekki uśmiezek przesunął się po ustach hrabinęj.

— Dziś dość — rzekła — *cela viendra!* Frania jest tak piękna, że jej nie można nie ubóstwiać, ale ma dumę i energią bogini, do której jest podobną. Gdyby stary król nasz żył, obawiałabym się go była także, na nim nawet czyniła wrażenie.

Brühl, przemówiwszy jeszcze słów kilka, odszedł z grzecznym pożegnaniem. Gdy siadł do swojej port-chaise, która nań czekała u ganku i znalazł się na chwilę sam, twarz mu się zmieniła i sposepniała.

Radby wiedzieć jednak, kogo kocha! rzekł do siebie w duchu. Miała zawsze tylu adoratorów, a wszystkich tak hojnie obdzielała wejrzeniami i słówkami, iż istotnie trudno odgadnąć, któremu się udało serce jej pochwyć.

A! do serca nie mogę mieć pretensyi... piękność Frani jest mi potrzebną. Któż wie! królewicz nie wytrwa wiernym swęj pani... a w takim razie...

Brühl nie dokończył, tylko uśmiechem.

Może mnie nie kochać, ale wspólne interesa uczynią nas dobrymi przyjaciółmi.

O Moszyńskiego więc wiedzą wszyscy; miłość i kaszel nie dają się utaić, a to miłość dawna i niegdyś nie była zmuszoną się ukrywać.

Pograżony w dumaniach Brühl nie spostrzegł się, jak lektyka jego stanęła w sieniach domu.

Liczna służba czekała tu na niego: kamerdynerowie, lokaje, sekretarze, klienci. W chwili, gdy odsłonięto wyjście, Brühl już miał swą piękną twarz ułożoną wybornie do ludzi,

rozlał po niej uśmiechy i wdzięk, co serca zyskiwał.

Witał uprzejmie i biegł na wschody... Na górze czekał nań już Hennicke.

Wierny sługa ten od kilku dni też wyglądał zdrowszy i weselszy. W fałdach jego twarzy śmiało się szyderstwo zimne. Globig, Stammer i Loss stali w kancelaryi, do której Brühl wszedł, jakby go siła jaka obca rzuciła. Wszycypowstali na powitanie J. excellency, za którą powoli i niedbale ciągnął Hennicke.

Już miał minister zasiąść do pobieżnego przejrzenia papierów, gdy zausznik wierny mu szepnął... — Czekają na was.

I pokazał drzwi salonu.

Po nim przechadzał się w szaraczkowym surducie z czarnymi guziczkami, do niepoznania przebrany Padre Guarini.

IX

Królewicz mógł bezpiecznie odpoczywać: czuwali zań w Polsce liczni zwolennicy, a w Dreźnie pracowali Sułkowski i Brühl.

Równie ambitny, jak jego współzawodnik, Sułkowski pewniejszym był swojego stanowiska. Miał serce królewicza, a co stokroć więcej ważyło — jego nałóg. Fryderyk od najmłodszych lat miał go przy sobie. Z nim razem przeżyli najdziwniejsze zmiany, przeżyli pierwsze wrażenia, urosli na ludzi. Sułkowski znał pana swego, bo patrzył, jak się on wyrabiał na to, czém został wkońcu; Brühl więcęć się go domyślał i odgadywał.

Po nawróceniu na katolicyzm Augusta II dla tronu polskiego, nawróceniu, które było zupełnie dla króla obojętném, gdyż najmniejszej nie miał wiary; papież Klemens XI począł starać się pilnie, ażeby syn nie poszedł za matką, żarliwą protestantką, ale wstąpił w ślady ojca. Dla Augusta Mocnego było to zadanie nadzwyczaj drażliwe.

Elekcyjny tron polski, nie był pewnym: w Saksonii protestanckiej wiara była przeszkodą i niebezpieczeństwem. Zresztą matka królowa Eberhardyna (z domu Beireuth) i babka Anna Zofia (księżniczka duńska) czuwały nad tém, ażeby syn i wnuk nie poszedł za ojcem. Obie te panie były nietylko żarliwe, ale nieublaganie przywiązane do swojego wyznania. August II, co nie jest rzeczą wątpliwą, starał się z Polski uczynić monarchią dziedziczną, choćby część jęć miał poświęcić; w nadziei tęć mógł syna wychować na katolika... inaczej było mu to obojętném. Na nagłce breve papieżkie, August Mocny odpowiedział 4 września 1701 roku, zaprzysięgając papieżowi, iż syn będzie katolikiem, a 8 lutego 1702, zapewnił Stany Saskie, że syn będzie lutrem. W istocie nie wiedział jeszcze co lepiej, co dogodniej i co polityka doradzi.

Młodziuchnemu Fryderykowi dano zrazu do dozoru wychowania jego z ręki babki p. Aleksandra von Miltitz, człowieka wcale niezdolnego do zajęcia się tak ważną sprawą. Babka zaś, jak świadczą współcześni, sama przez się nie wiele miała sądu; rządziły nią protestanckie tartufy, a po obiedzie zwykle mniej jeszcze wiedziała, co robiła, niż z rana. Małego Fryderyka odebrano królowej Eberhardynie, babka miała go przy sobie. Miltitz pedant, skąpiec, nudziarz i leniwiec nie wiele mógł dobrego zrobić swém wychowaniem. W rzeczach wiary obojętny, nie przywiązywał do nich zbytnej wagi, za to protestancy duchowni dworu królowej matki aż do zbytku młodego księcia obsiadali. Katolika nie przypuszczono ani jednego do małego wychowawca. Doniesiono o tém do Rzymu (Fürstenberg), a z Rzymu przyszło napomnienie nowe.

Dwunastoletniego Fryderyka odebrano nareszcie z rąk kobiet i wysłano z nauczycielem w pierwszą podróż, ale z tęć powrócił wkrótce. Obie królowe niespokojne, aby go nie uczyniono katolikiem, w czternastym roku publicznie kazały mu złożyć wyznanie wiary luterskiej i razem według obrzędów protestanckich, poleciły go bierzmować (confirmatio). Król, który podówczas był w Gdańsku, doniósł o tém sam papieżowi, pisząc, że gdyby nie pewne okoliczności, okropnieby ukarał tych śmiałków, co się ważyli na krok tak zuchwały bez jego wiedzy.

Składały się okoliczności tak, iż Rzym Augustowi był potrzebny, musiano się mu zasługiwać, postanowiono więc dotrzymać słowa i nawrócić Fryderyka. Sprowadzono z Polski wojewodę Inflantskiego Kos'a i uczyniono go przy księciu ochmistrem. Sułkowski już naówczas przy nim się znajdował.

W 1711 r. zabrał z sobą syna August do Polski, zkąd zawiózł do Pragi i tu nastąpiły narady z nuncyuszem Albani. Postanowiono zmienić cały dwór i otoczenie królewicza,

dając mu samych katolików. Nie wiedział o tym wcale Fryderyk i za powrotem do Drezna, w niedzielę najpierwszą poszedł do luterskiego kościoła na znak wytrwania, przybierając sobie imię Constans. Wkrótce potem we Frankfurcie przy wyborze cesarza, był także jeszcze na nabożeństwie protestanckim.

Zaraz potem wojewoda Kos wystąpił z rozkazem króla, pożegnał i odprawił dotychczasowego ochmistrza barona Miltitz; cały protestancki dwór królewicza z nim razem, wyjąwszy lekarza, kucharza i kasyera i miejsca ich obsadził katolikami. Dalszym kierunkiem miał się zająć O. Salerno. August II wyprawiał zarazem w podróż syna i rozkazał mu najprzód jechać na karnawał do Wenecji! Było to pierwsze w świat wystąpienie. Sławne jeszcze podówczas bywały karnawały na placu Ś-go Marka. W styczniu 1712 r. wyruszono wprost z Frankfurtu w tę podróż, która dla oddalenia królewicza od wpływów protestanckich, trwała lat siedm.

Listy wszystkie, które pisywał do rodziny, musiały przechodzić przez ręce Kosa i generała saskiego Lützelburga, człowieka bystrego umysłu, ale obyczajów nie zbyt chwalebnych.

Królewicz zrazu zaniepokojony w sumieniu, znalazł środki udania się o ratunek do Anny królowej angielskiej i Fryderyka IV króla duńskiego. Pierwsza zapraszała go do Anglii, drugi oświadczał, że jeśli zostanie katolikiem, utraci prawa do spadku duńskiego.

Breve papieżkie tegoż roku zapewniło Augusta, iż w razie napaści książąt protestanckich, Ojciec Święty gotów mu pomagać, choćby miał na to sprzedać ostatnią koronę swoją. Królewicz tymczasem w towarzystwie Sułkowskiego, który wkrótce stał się jego powiernikiem, będąc do niego wiekiem zbliżony, podróżował po Włoszech incognito pod imieniem hrabiego Miśni lub hrabiego Luzacyi. Dwór jego składali, oprócz Sułkowskiego, wojewoda Kos, generał Lützelburg i O. Salerno, ale ubrany po świecku, jako dworak, a oprócz tego Sas, jezuita O. Vogler. Sekretarzem był także jezuita Kopper pod nazwiskiem pana Weddernoy i w ubraniu świeckim. Wpływ więc na księcia był codzienny i nieustanny, któremu w ciągu lat tylu, oprzeć się było niepodobieństwem. Z Wenecji udali się do innych miast włoskich do Bolonii, gdzie władze papieżkie uroczyście przyjmowały księcia. Tu O. Salerno nareszcie nawrócenia dokonał. Wyznanie wiary złożył w największej tajemnicy królewicz w ręce legata papieżkiego kardynała Cassoni. Później i Albani i Salerno w nagrodę otrzymali kapelusze kardynalskie.

Nawrócenie długi czas pozostało tajemnicą, a że Stany Saskie domagały się powrotu i August nie chciał ich drażnić, wstrzymano zamierzoną już podróż księcia do Rzymu. W 1713 r. wracał do kraju wraz z O. Salerno, który z Werony, pożegnawszy się, pojechał do Rzymu, ale pozostał w ciągłej korespondencji ze swym wychowawcą.

Wprost jednak nie kazano jechać księciu do Drezna, ale najprzód do Düsseldorfu, gdzie jakiś czas mieszkał u kurfirsta Pfalzu gorliwego katolika; później udał się na dwór Ludwika XIV, który przez papieża był o nawróceniu uwiadomiony. W tej podróży było jakieś posądzenie o spisek na porwanie księcia przez jego krewnych protestanckich, ale cała ta sprawa nie jest wyjaśnioną. Obawiano się ciągle, ażeby książę nie wyrzekł się przyjętej wiary. W Paryżu przyjęto gościa bardzo uprzejmie, jak widać z listów stariej księżnej orleańskiej, znajdowano go nawet miłym, chociaż bardzo mało-mównym (i takim na całe życie pozostał).

Wojewoda Kos był najdoskonalszym z dworaków, podobał się też wielce. O zmianie religijnej mało kto wiedział jeszcze, a sam królewicz własnej matce się do tego nie przyznawał. Z Francyi zamiast do Anglii, jak zrazu mówiono, powieziono księcia na Lyon i Marsylią do Włoch i do Wenecyi znowu, gdzie Signoria i szlachta wysadzała się na zabawienie go i przyjęcia. Maskarady, regaty, komedye, bale następowały jedne po drugich.

Z porady Klemensa papieża nakoniec postanowiono dla zapewnienia się o księcia, ożenić go z gorliwą katoliczką; rozpoczęto o to starania w Wiedniu przez O. Salerno, minister Starhemberg i książę Eugeniusz dopomogli do tego tak skutecznie, iż arcyksiężniczka przyrzeczoną została. Zawieziono królewicza do Wiednia, gdyż najmniejszego kroku bez rozkazu ojca uczynić nie mógł i nie chciał.

Nawrócenie zawsze jeszcze było tajemnicą, chociaż względy na królową matkę ustały, bo ta właśnie życie była skończyła. W październiku 1717 roku, jednego poranku hrabia Lützelburg nakazał całemu dworowi księcia stawić się o godzinie dziesiątej rano w jego

przedpokoju. Około jedenastej zaszła przed pałac karetą nuncjusza m-ra Spinoli, naprzeciw któremu wybiegła część dworu, dla wprowadzenia go na pokoje. Wkrótce potem wszedł małeńki człowiek ze skrzynecką zakrytą, a p. Lützelburg wysunął się z pokoju księcia i odezwał do dworaków, że w apartamencie królewicza coś się odbywać ma (*etwas passiren*), czemu panowie protestanci mogą, jak chcą być lub nie być przytomni. Otworzy się drzwi na roścież, nuncjusz przy stoliku czytał mszę, której książę będąc chory, słuchał w łóżku, ale z pobożnością wielką.

Po mszy oddalił się nuncjusz, a książę odezwał się do dworaków swych protestantów: — Teraz panowie już wiecie czém ja jestem, a zatem wkrótce proszę za mną.

Na co generał Kospoth odparł:

— Jeszcze się o tém nie myślało, trudno się tak nagle decydować — a książę dodał: — Masz W. Mość słuszność, trzeba wprzód zostać dobrym chrześcianinem, nim katolikiem...

Tajemnica została odkrytą, w niedzielę następną królewicz poszedł na mszę do Jezuitów i komunikował. Radość ztąd wielka była w Rzymie.

Saxonii dano zapewnienie nowe, iż wiara protestancka poszanowaną zostanie, ale starania o nawracanie były rzeczą nieuchronną i przewidywaną. Królewicza nie puszczano z Wiednia przez siedemnaście miesięcy. August dostarczał obficie pieniędzy na świetny dwór i dawane bale. Tu też odbyły się zaślubiny z Maryą Józefiną w roku 1719.

Sułkowski cały ten czas najbliższym był osoby królewicza i nieodstępny! Z nim razem tegoż roku przy dworze młodej pary powrócił do Drezna, które z największym przepychem przyjmowało córkę Cezarów. Sułkowski z nałogu i z potrzeby podzielał wszystkie ulubione zabawy i zajęcia królewicza, jego myślistwa, konne łowy, zamilowanie w teatrze i w sztuce. W podróżach po Niemczech, Włoszech, Francyi, w towarzystwie pana, widział wiele i wykształcił się znakomicie; nauczył się znać świat, a co najwięcej poznał dobre słabości Fryderyka, umiał z nich korzystać, dogadzać im, rządzić niemi i czuł się tak potrzebnym, że mniemał się nie zwalczonym. Sam na sam królewicz był z nim w największej poufałości, a lata ten stosunek wzmacniały. Stosunki zawiązane na dworach austryackim, francuzkim, papieżkim, ubezpieczały także Sułkowskiego, który wszędzie mnogich liczył przyjaciół.

Nie obawiał się więc ani współzawodnictwa Brühla, ani żadnego podstępów. Przez żonę, niegdy frejlinę królewiczową, pannę von Stein-Jettingen, miał też ucho i poparcie u Józefiny, którego zdawał się pewnym.

Dworak daleko wytrawniejszy od Brühla, ale daleko od niego mniej pokorny i śmielszy, „kawaler” jak naówczas mówiono najlepszego tonu. Pięknej postawy, układny, Sułkowski nie miał zdolności pierwszego ministra, ale dumę i ambycję wielką. Mniej oswojony ze sprawami bieżącymi kraju niż Brühl, który oddawna przy Augustcie w kancelaryi jego pracował, rozumiał to dobrze, ale miał pod ręką człowieka, którym spodziewał się wyręczyć. Siegał więc po władzę w przekonaniu że ją utrzyma i że jęj podola. Życie jego było skromniejszém od Brühla, który pod rozmaitemi pozorami, lubił coraz świetniej występować i kochał się w zbytku. Sułkowskiego dwór nader był szczupły, służba nie wytworna, ekwipaże nie wykwiłtne.

Objęcie ministeryum i zarządu państwa właśnie oddaném mu być miało, gdy jednego poranku, nim się udał do królewicza, Sułkowski posłał po swojego powiernika. Siedział z książką francuzką w ręku w gabinecie, czekając nań, gdy powołany radzca Ludovici nadbiegł zdyszany.

Przy osobie ministra pełnił on te same obowiązki co Hennieke przy Brühlu, był to jego factotum, zastępca, naczelnik kancelaryi, wyręczyciel i poradnik! Sułkowski sam mało wprawny w interesa, posługiwał się nim we wszystkiém.

Jedno spojrzenie na tę figurę dostatecznie ją poznać dawało. Charakterystyczniejszej twarzy trudno było spotkać, ani łatwiej umiejaczej się zmieniać i przybić wszelki wyraz, jakiego położenie wymagało. Lat przeszło trzydzieści Ludovici starszym się wydawał niż był. Twarz cała w fałdach, bystre oczy czarne, usta ruchome, o których trudno było powiedzieć nawet jak rzeczywiście natura je stworzyła, bo i wązkiemi i szerokiemi być umiały; cała postać wylamana i kuglarcko się wyginająca, nieustannie w ruchu, czyniły radzcę Ludovici zjawiskiem nieprzyjemnym i niespokojnym. Trzeba się doń było przyzwyczać aby go módz znieść. Nieustannie patrzył w oczy, badał, wrywał z ust niedokończone

wyrazy. Sułkowski szczęściem był doń nawykły i powagą swą niecierpliwość jego trzymał na wodzy. Ludovici pełne miał wszystkie kieszenie papierów, wszedłszy skłonił się i sparszy na poręcz najbliższego krzesła, czekał co mu pan minister powiedzieć raczy.

— Dokumenta mam z sobą — rzekł nakoniec uderzając się po boku z którego kieszeni papiery wyglądały — jeżeli W. Ekscellencya pozwoli.

— Nie o tém się z w. panem radzić chciałem dzisiaj — odezwał się Sułkowski — mamy o czém inném do mówienia.

Ludovici pochylił się z niecierpliwą ciekawością, oczy mu się iskrzyły.

— O czémże, o czém? W. Ekscellencya raczy...

Sułkowski zdawał się namyślać jeszcze czy ma się zwierzyć zupełnie; ta chwila wy-czekiwania i niepewności, podniosła jeszcze, żywą już ciekawość pana radcy. Ścigał go oczyma, nachylał się jakby wylatujące z ust słowa chciał co najprędzej pochwycić.

Sułkowski zapatrzył się w okno. Wstał, potem powoli w bok się biorąc.

— Jest to dosyć nieprzyjemna rzecz — rzekł — że żyjąc na dworze, nawet tak nie-ograniczonym, będąc zaszczyconym zaufaniem kurfirsta jak ja... mimo to pewne środki ostrożności przeciw zachciankom władzy zachować należy.

Ludovici uśmiechnął się, oczy roztworzył i ręką dziwnie w powietrzu poruszać zaczął, ale przerywać nie śmiał.

— Mogę śmiało powiedzieć — kończył Sułkowski — że się tu nie obawiam nikogo, ale też nikomu wierzyć nie mogę.

— Słusznie, pięknie, sprawiedliwie — dorzucił Ludovici — wierzyć nigdy nikomu nie trzeba. Mówił mi to jeden bardzo rozumny człowiek, że z przyjaciółmi zawsze obchodzić się należy tak jakby jutro naszymi wrogami być mieli.

— Nie o to idzie, mój Ludovici, mogą się stać wrogami, a nic mi nie zrobią; ale o ich ruchach, zamiarach i myślach chcę być uwiadomionym.

— Słusznie, pięknie, sprawiedliwie — wtórował Ludovici.

— Dotąd nie miałem potrzeby, dziś mi się zdaje to koniecznym.

— Słusznym, pięknym i sprawiedliwym — powtórzył radca — tak, tak! musimy mieć ludzi, którzyby oko mieli na wszystkich....

— Tak jest, nawet na osoby wysoko położone — z przyciskiem dorzucił Sułkowski.

Ludovici spojrział i nie będąc pewnym znaczenia tych wyrazów, wyczekującą przybrał postawę. Nie wiedział jak wysoko ma prawo sięgnąć myślą i domysłem.

Sułkowski nie bardzo się chciał jasno tłumaczyć.

— Ja — dodał z pewnym zakłopotaniem — we wszystkie urzędowe czynności moich współkolegów wglądać nie mogę...

— Urzędowe czynności — rozśmiał się Ludovici — ale to nic jest, Ekscellencyi prywatne ich czynności częstokroć nie równie więcej znaczą...

— Radbym więc mieć o tém...

— Słusznie, pięknie, sprawiedliwie, raporcik — wtrącił Ludovici — każdego dnia, regularnie. Tak: pisany, ustny?

Zawahali się oba.

— Ustny mi starczy — rzekł minister — waćpan mi go sam przynosić możesz, ze-brawszy materiały właściwe.

— Ale słusznie, tak! ja... i zapewniam W. Ekscellencyi, że wierniejszego sługi mieć nie może.

Tu skłonił się i w téjże chwili głowa, która była opadła aż na poręcz krzesła, podleciała znowu szparko do góry.

— Pozwolę sobie tu uczynić kilka uwag — szepnął Ludovici ciszéj. — Posłowie obcy, rezydujący przy dworze powinni ścisłemu podlegać nadzorowi, cóż to są bowiem, jeśli nie urzędowe państw swych szpiegi: hm? Nie wyjmuję nawet z przeproszeniem hrabiego Wallensteina, choć jest zarazem wielkim ochmistrem dworu... A cóż dopiero mówić o Waldburgu pruskim? o margrabim de Monti, o rezydencie Woodward, o hrabi Weissbach... i o baronie Zülich.

— A! mój Ludovici, obce państwa nie tyle częstokroć grożą co wewnętrzne intrygi.

— Słusznie, pięknie — podchwycił Ludovici — tak! tak! tak. Nikt nademnie wyżéj nie szacuje i nie ceni ministra Brühla...

W tej chwili Sułkowski bystro spojrzął na radcę, radzca na niego i rozśmiał się szeroko, rękę do góry podniósł, głowę pochylił: zamilkł. Znaczyło to: zrozumieliśmy się, trafiłem we ćwieczek.

— Jestto mój dawny przyjaciel — począł Sułkowski — człowiek, którego niepospolite talenta szacuję.

— Talenta... wielkie, niepospolite, ogromne, straszne! — z gestykulacją żywą potakiwał Ludovici — a tak.

— Radzca masz wiedziéć, że zmarły król silnie go polecił Najjaśniejszemu królewiczowi, że ma się żenić z hr. Kolowrat, że królewiczowa pani bardzo mu sprzyja. Pomimo to wszystko źlebyś sobie tłumaczył to co mówię, gdybyś sądził iż mu nie ufam, że się go lękać mogę...

— Tak, ale ostrożność jest nakazana, a nadzór konieczny... Tamtędy płynie strumień złoty i rzeka srebra...

Sułkowski nakazał milczenie.

— Skarżą mi się niektórzy na język ostry Watzdorfa?

— Młodszego — przerwał Ludovici — tak, tak, niepowściągliwy, ale to młyn, który miele własne kamienie: nikomu to nie szkodzi, oprócz jemu, a jak niéma być zły, kiedy...

Nie dokończył, gdy wielki hałas dał się słyszeć w bliżkiej sieni domu, z której drzwi wiodły do pokojów gościnnych, piskliwy głos, szamotanie się ludzi, chodzenie. Sułkowski nadstawił ucha. Ludovici zamilkł i cała twarz i postawa jego przyoblekła się inaczej; zmieniony do niepoznania, stał się poważnym urzędnikiem z dworaka. Ściągnięte usta wyrażały zadumanie głębokie. Pisk przerywany śmiechem kobiecym rozlegał się ciągle w sieni. Ktoś widocznie domagał się wnijscia i chciał je zdobyć przebojem.

Sułkowski dał znak radcy, że na ten raz konferencya była skończoną i postąpił ku drzwiom. Zaledwie się one otwarły, gdy ten śmiech suchy i dziwno brzmiący wleciał z przedpokoju, a nim gospodarz mógł wyniść na spotkanie, dama, najpocieszniej przybrana w żalobę, wpadła do gabinetu.

Podobne jój figurki chyba na parawanach i z porcelany lepione się trafiają. Niezmiernie strojna i nadzwyczaj brzydka, chuda, żółta, woniejąca węgierską wodą (La Reine d'Hongrie: larendogrą, zastępującą wówczas kolońską), w wysokiej fryzurze, na korkach wysokich, małeńka kobiecina wpadła szastając suknią i mizdrząc się do Sułkowskiego oczkami zmrużonemi, buzią wysnuowaną, w której już połowy niegdyś perłowych ząbków nie było.

W chwili gdy ten niespodziewany gość brał szturmem gabinet, Ludovici nawpół zgięty wysuwał się z niego, a przybyła, pomimo iż była bardzo zajęta, oczyma za nim powiodła.

— *A ce cher Comte!* — zawołała — widzisz, widzisz, niewdzięczny hrabio! nim mogłeś się dowiedzieć że ja tu jestem, ledwie ucałowawszy kolana mojej Najjaśniejszej wychowawicy, przybiegłam do ciebie. *N'est ce pas joli de ma part?*

Sułkowski się skłonił i chciał jój rękę ucałować, ale go klapnęła po ramieniu czarnym wachlarzem.

— Daj pokój... stara jestem, to ci smakować nie będzie; ale daj mi gdzie sięść.

Obejrzała się i na piérwszém krześle upadła.

— Muszę odetchnąć: chciałam z wami pomówić na cztery oczy.

Sułkowski stanął przed nią w gotowości do rozmowy. Podniosła ku niemu głowę.

— No cóż? straciliśmy tego wielkiego, wspaniałego, nieodżałowanego Augusta naszego!

Westchnęła, Sułkowski wtórował.

— Szkoda go, ale między nami powiedziawszy, żył dosyć i użył wiele i nadużył... Ja o tém mówić nie mogę: *Des horreurs!* Cóż teraz będzie z wami, sierotami biédnemi? Królewicz? prawda? nieutulony w żalu? tak? Ja od mojego dworu przybyłam z kondolencją do niego i mojej drogiej Najjaśniejszej wychowawki.

Pochyliła się nieco i sparła niby wdzięcznie na poręczy krzesła, do ust przykładając wachlarz.

— Cóż słyhać? mój hrabio, drogi hrabio? co słyhać? Już wiem, że wy należne wam otrzymaliście stanowisko. Cieszym się z tego wszyscy, bo wiemy że dwór nasz na was rachować może we wszelkim wypadku?

Sułkowski się skłonił.

Z tych wyrazów łatwo odgadnąć, iż przybyła była posłanniczką dworu austriackiego. Była to sławna niegdyś nauczycielka królewiczowej Józefiny, później frejlina, panna Kling, którą posyłano tam gdzie mężkie poselstwo byłoby zbyt oczy zwracało. Panna Kling była jednym z najrzęczniejszych ówczesnych dyplomatów na posługach cesarza.

— Pani już o wszystkim od Najjaśniejszej królewiczowej wiedzieć musi.

— Ale o niczym w świecie nie wiem, drogi hrabio; wiem tylko — prędko mówiła panna Kling — że wam należy pierwsze dostojeństwo, że macie Kurfirsta serce, że Brühl ma wam dopomagać. Ale mówże mi hrabio, co to jest ten Brühl?

Sułkowski się zamyślił.

— Jestto mój przyjaciel — rzekł w końcu.

— A! teraz... to rozumiem. Wiecie, że królewiczowa mu przyrzekła Kolowrathównę i że ona podobno nie bardzo sobie życzy. Wszak Brühl szalał za Moszyńską?

Wszystko to tak prędko biegło z ust panny Kling, że Sułkowski na odpowiedź się namyślić nie miał czasu.

— Tak — rzekł krótko — Brühl podobno się zeni...

— Ale luter jest?

— Ma przyjąć wiarę katolicką.

— Byle nie tak jak, z przeproszeniem nieboszczyka, jak ten wspaniały wielki August II, który swoim ulubionym wyżłom kładł różańce na szyję.

Sułkowski zmilczał.

— Cóż więc? królewicza nie widziałam jeszcze... zmienił się? posmutniał? żal mi go! Żaloba... opery tak długo nie posłyszysz. A Faustyna? cóż? czy ją kto zastąpi?

— Najjaśniejszy królewicz pragnie wszystko utrzymać w takim stanie jak było za rodzica jego ś. p. Augusta... Faustyny niktby zastąpić nie potrafił.

— Ale to stara kobieta i głos ma tylko piękny.

— To też ten w niej tylko zachwyca — odezwał się Sułkowski.

Panna Kling zakryła się wachlarzem i pokiwała głową.

— Prawdziwie — rzekła cicho — dla mnie kobiety nader drażliwe pytanie; ale jestem ciekawą i muszę wiedzieć. Mój Sułkowski! czy on dotąd jest wierny żonie. Ja ją tak kocham, moją Najjaśniejszą wychowanicę.

Hrabia aż się cofnął.

— To nie ulega najmniejszej wątpliwości! — zawołał żywo. — Najjaśniejsza królewiczowa nie opuszcza go ani na chwilę: jeździ z nim na łowy, do Hubertsburga i Dienenburga nawet.

— Ażeby ją zbrzydził i aby mu się prędkiej naprzykrzyła — szepnęła Kling — to nie dobra rachuba. Ja się zawsze lękam tego bałamuctwa, które jest we krwi...

Spojrzała na hrabiego, który głową potrząsał.

— Królewicz jest tak pobożny...

Kling pokryła uśmiech wachlarzem. Okna pokoju, w którym się toczyła ta rozmowa, zwrócone były ku rynkowi. Pomimo że mówiono dosyć głośno, wrzawa, śmiechy i hałas jakiś uliczny pod samymi oknami stał się tak silny, że Sułkowski, namarszczywszy brwi, nie mógł się powstrzymać, aby się nieco ku oknu nie zbliżyć i nie wyjrzieć jaka tego była przyczyna.

W owych czasach uliczny hałas i rozpasanie spóółstwa były bardzo rzadkie. Jeśli się co podobnego trafiało, musiało być spowodowane wypadkiem ważniejszym i niejako urzędowym: wyrokiem jakimś sądowym, wykonaniem jego, lub tym podobnie. W istocie przez okno widać było nagromadzone tłumy, w sąsiednich kamienicach pełno było głów we drzwiach i szybach. W pośrodku ciżby, która się cisnęła i falowała, jakiś pochód niezrozumiały się odbywał...

Panna Kling, niezmiernie ciekawa, porwała się z siedzenia, podbiegła do okna i rozsunąwszy firanki starała się widowisku, które jej badanie przerwało przypatrzeć. Sułkowski spoglądał także.

Tłum właśnie pod samymi przeciągał oknami, a ogromna kupa dzieci i starszych obdartusów gonila za dziwną figurą w ciemnej sukni, siedzącą na osiołku twarzą do ogona.

Ośla prowadził pacholek czerwono ubrany... Smutno było spojrzeć na tego nieszczęśliwego winowajcę, człowieka nie młodego, ze spuszczoną głową, przygarbionego, przybitego wstydem i męczarnią na lata jego ciężką. Chwilami oczy sobie zakrywał... to znowu chwycił się osła aby nie spaść, to opierał na szyi, to na grzbiecie.

Z okna można było rozpoznać dobrze zbladłą, zbolalą, żółtą twarz ukaranego przestępcy, który, wnosząc z sukni, do lepszego stanu należał. Z kieszeni jego wystawały papiery. Z nóg zwieszonych pospadały trzewiki, suknie miał poszarpane i rozpięte. Jakiś rodzaj osłupienia nastąpił widać po doznaniem upokorzenia; machinalnie tylko bronił się od upadku, nie patrząc na to co się koło niego działo. Pomimo że dokoła osła szli z halabardami pacholkiwie miejscy, tłum nielitościwy zawsze i okrutny, wypatrzywszy chwilę ciskał błotem i kamykami na starca. Cała jego suknia okryta już była plamami, a z twarzy ściekało także błoto. Pacholkiwie się śmieli, dzieci biegły, schylały się, gonily i zażarcie dopełniały bezmyślnego okrucieństwa.

— Ale cóż to jest? — zawołała panna Kling — co się tu u was dzieje? nie rozumiem!

— A! nic, nic! — obojętnie zawołał Sułkowski — bardzo prosta rzecz. Nie można bezkarnie dozwolić, aby ta hałastra, gryziopiórki jakieś co papier zasmarowują, śmieli się porywać na sądzenie ludzi klas wyższych i mówienie o nich bez należącego uszanowania.

— Ale naturalnie — odparła p. Kling — a cóżby to było, gdyby im dozwolono tykać najświętszych rzeczy...

— Wiem co to za jegomość, to wydawca jakiegoś pisemka, które gazetami albo nowinami nazywamy, niejaki Erell... Dawnośmy uważali że sobie za wiele pozwala. Na ostatek przeskrobał coś w swoich *Dresdner Merkwürdigkeiten* i kazano go przeprowadzić po mieście na takim osle, jakim on sam jest.

— *Et c'est justice!* — zawołała panna Kling — to bardzo dobrze: z temi ludźmi dosyć surowemi być nie można. Wyborny przykład, radabym, aby go w Wiedniu naśladowano i żeby się nam dostali w ręce ci, co w Hamburgu i Hadze pozwalają sobie odkrywać najskrytsze dworów tajniki!

Patrzali oknem jeszcze, tłum się wrzeszcząc tłoczył. Stary ów Erell, znać wycieńczony, chylił się na prawo i lewo, jakby co chwila z osła się miał zsunąć. Ale pacholkiwie uważni chwytali go pod pachy i umocowywali znowu, a że ich to niecierpliwiło, nie obeszło się bez poprawiania pięścią niezdarne go pismaka, który pozwalał sobie popełniwszy taką zbrodnię, udawać jeszcze delikacika.

Na zawrocie ulicy widowisko to wreszcie wraz z tłumem, który wiodło za sobą, zniknęło za murem, a panna Kling powróciła do swojego fotelu.

Któżby się był naówczas domyślił, że ten którego na pośmiewisko wystawiano tak nielitościwie, przedstawiał sobą jedną z tych potęg nieznanych, do jakiej miało dorosnąć dziennikarstwo?

Nie popsulo to widowisko humoru ani szczebiotliwej pannie Kling, ani Sułkowskiemu. Znikło z pamięci, znikłszy z oczów; poczęły się szeptki i dopytywania. Gospodarz jednak dosyć zimno i ostrożnie odpowiadał na rzucane mu do rozwiązania zagadki.

— Mój drogi hrabio — dodała wkońcu posłanka — powinieneś rozumieć to dobrze, iż dworowi mojemu idzie o to, aby zdrowy wpływ tylko miał przystęp do umysłu kurfirsta, a nawet mojej najjaśniejszej wychowanki. Wprawdzie aktem urzędowym zrzekł się wszelkich roszczeń i przyjął sankcją pragmatyczną — lecz... łacno by ktoś mógł was wprowadzić na pokuszenie. Dwór mój ufa ci kochany hrabio — dodała cicho — i możesz nań rachować, bo wdzięcznym być umie.

— Liczę się do najwierniejszych sług J. Cesarskiej Mości — rzekł Sułkowski.

Panna Kling wstała i otrząsała suknią na rogówce, gdyż pomimo twarzy i wieku, dbała wielce o swój strój. Przejrzała się w wiszącym zwierciadle, uśmiechnęła, dygnęła; Sułkowski podał jej rękę i wychodzącą przeprowadził do oczekującej na nią dworskiej portchaise, do której zaprzężeni dwaj hajducy w kanarkowej liberyi unieśli zaraz kłaniającą się długo i wdzięcznie baronównę.

x

Wkrótce po opisanych tu scenach, w godzinie obiadowej, która naówczas była tak wczesną, że na zamku o drugiej zwykle od stołu wstawano, Brühl niezmiernie zmęczony wpadł do swojego domu.



Na twarzy jego zwyczajnie tak rozpromienionej, znać było rozdrażnienie wielkie. Spojrzał na zegar i nie dając sobie tak potrzebnego wypoczynku, pobiegł do znanej nam garderoby. Czterech lokajów czekało tu na jego ekscelencją, piątym był Hennicke z nadzwyczaj kwaśną twarzą, stojący w progu i zdający się domagać posłuchania.

Zobaczywszy go w zwierciadle Brühl, odwrócił się niecierpliwym.

— Czego chcesz? — zapytał.

— Rzecz niezmiernie pilna — ponurym głosem zawołał Hennicke.

— Ale i mnie też niezmiernie jest pilno... — rzekł niecierpliwie Brühl.

— A mnie pilniej jeszcze, niż waszej ekscelencji — mruknął zausznik.

Widząc że się go nie pozbędzie, minister pobiegł do progu... czekał na to, co mu miał powiedzieć Hennicke. Lecz radca potrząsał głową i wskazał wyraźnie, że tu przy świadkach rozpocząć nie może. Minister szybkim krokiem napowrót przebiegł do gabinetu... Zamknięto drzwi.

— Mów prędko!

Hennicke zapuścił ręce z palcami długimi i kościstymi w głąb kieszeni swęj kamizelki, dobył z nięj powoli coś błyszczącego i milcząc podał Brühlowi.

Była to moneta, czy medal wielkości talara. Brühl poszedł z nią do okna, bo dzień był pochmurny.. oczy jego pilnie zatrzymały się na medalu, którego jedna strona wyobrażała tron z siedzącą na nim figurą z fajką w szlafroku, a poznać w nięj było łatwo, lub domyślić się raczej kurfirsta młodego; trzy figury podpierały tron jego, dwie w paziowskich strojach, a jedna w lokajskiej liberyi. Odwróciwszy medal, mógł przeczytać na nim dystych szyderski, stosujący się do Sułkowskiego, do niego i do Hennickego:

Jest nas tu trzech razem:

Dwóch paziów i lokaj.

*(Wir sind unserer drei*

*Zwei Pagen und ein Lakai).*

Popatrzywszy chwilę Brühl, cisnął medalem o ziemię; ten się potoczył, a Hennicke schylił po niego troskliwie, goniąc toczący się aż pod kanapkę. Podniósł się wreszcie, Brühl stał zamyślony i gniewny.

— Cóż w. ekscelencja na to?

— Co? dajcie mi tego, co to zrobił... zobaczycie — zawołał Brühl.

— Co to zrobił — podchwycił gniewnie Hennicke... to odbito w Holandyi, tam gdzie nasze ręce nie sięgają, ale podyktowane z Saxonii. Któż tam się o to troszczy, czy ja byłem lokajem, a wasze obiedwie ekscelencye paziami. Holendrom to zupełnie wszystko jedno. To wyszło ztąd, z Saxonii.

— A zatem trzeba dojść sprawy — zawołał Brühl, bądź co bądź nie potrzeba żałować na to wydatku... nasłać ludzi.

Hennicke ruszył ramionami.

— Piękna byśmy mieli policją i dobrych szpiegów, gdybyśmy tego dojść nie mogli! Ten medal daj mnie... — dodał Brühl — ja go potrzebuję mieć. Zkąd go masz?

— Mnie go niewidzialna podrzuciła ręka. Znalazłem go w domu na stoliku. Znajdziecie może i wy u siebie.

— Potrzeba surowości do ostatecznych posuniętej granic, do Koenigsteinu na całe... krzyknął minister. Niedawno Erella trzeba było przewietrzeć, oprowadzając po ulicach; ale tego jegomości bezpieczniej zamknąć, aby się nauczył szanować ludzi.

— Najprzód go trzeba znaleźć! — mruknął Hennicke. Postaramy się o to... Mnie w tak dobrém towarzystwie — rzekł z tajonym gniewem — wcale nie wstyd. Ekscelencjom może być przykro stać obok ex-lokaja.

Spojrzał bystro na Brühla.

— Ha! ale ten lokaj potrzebny... bez niego obejśćby się było trudno... dużo rzeczy widział, wiele słyszał, nie mało ich przez ręce przepuścił; gdyby się go pozbywać chciano...

— Cicho, milcz Hennicke — przerwał minister — niepotrzebne czynisz przypuszczenia. Medal wykupimy i zniszczymy, a sprawcę ty znajdziesz. Za kilka tysięcy talarów, wiele zrobić można.

Wyprawić człowieka rozumnego do Holandyi na miejsce.

— Ja sam pojedę — rzekł Hennieke... nie dziś, to jutro namacam tego jegomości. Nie byłby człowiekiem, żeby coś tak dowcipnego wymyśliwszy, nie pochwalił się z tém przed kimkolwiek. Trochę cierpliwości... będziemy go mieli.

Brühlowi było pilno, skinął na konfidenta i wyszedł — Hennieke znikł. Chmurniejszy nieco pobiegł się przestroić, oblać wonną wodą, dobrać sobie do stroju tabakierki, szpady, peruki i kapelusza. Spojrzał na zegarek i kazał zachodzić karecie. Konie stały w gotowości. Za ledwie siadł, uniosły go ku przedmieściu Wilsdrufskiemu. Dzień był piękny, wiosenny, ciepły, słoneczny. U bramy minister stanąć kazał, lekki płaszczyk narzucił na ramiona, wysiadł z powozu i odprawivszy go do domu, stał póki mu z oczów nie zniknął. Obejrzał się potem bacznie, a że wśród przechodzących, nikogo oprócz ludzi z gminu nie było, posunął się żywo za bramę, gdzie się poczynały ogrody. Ścieżką sobie znajomą dostał się do furtki, od której miał klucz w kieszeni i jeszcze raz obejrzawszy się na wszystkie strony, wbiegł do ogródka, którego rozkwitłe jabłonie, okryły go strzęsionemi z gałęzi różowych kwiatów listkami.

W głębi widać było skromny bardzo domek wiejski, cały w bzowych krzakach utulony. Ptaszki świergotały na gałęziach, cicho było i pusto; Brühl szedł ulicą wysadzaną drzewy, powoli, zamyślony z głową spuszczoną. Trzask otwierającego się okna zbudził go. W oknie stała wspaniałej postaci kobieta, zdająca się oczekiwać na niego. Spozstrzegł ją i lice mu się rozjaśniło. Zdjął kapelusz i pozdrowił ją, rękę przykładając do serca.

Ci, co niegdyś znali w całym blasku jęj niezrównanej piękności, dziś zamkniętą w pustym zamku i zestarzałą w tęsknocie i boleści Cosel, byliby w rysach młodej pani, stojącej w oknie, znaleźli do nięj choć dalekie podobieństwo. Nie miała ona blasku matki ani tych rysów rzeźbionych, które do późnej starości zachowały się niestarte nawet łzami, ale miała majestat i powagę, i potęgę jęj wejrzenia.

Stojąca w oknie była to hrabina Moszyńska, której mąż w Warszawie przygotowywał elekcyą królewicza. Ona wolała pozostać w Dreźnie; kilką krokami spiesznemi Brühl znalazł się w progu domku... ona wyszła naprzeciw niego. Wnętrze chatki daleko ozdobniejsze, niżby się po jęj skromnej powierzchowności spodziewać było można, strojne było w zwierciadła, w wytworne sprzęty i wonne od wiosennych kwiatów. W pierwszym dosyć dużym pokoju, stał nakryty do obiadu stoliczek na dwie osoby, świecący od sreber, kryształów i porcelany. Nie było nikogo, oprócz hrabinęj i ptaszków, które w brązowych klatkach świergotały, idąc w zapasy ze swemi braćmi na swobodzie.

— Tak późno! — szepnęła Moszyńska, którą Brühl w rękę całował.

— Prawda, późno — odparł minister, dobywając brylantami kameryzowany zegarek — ale mnie wstrzymano interesem niemiłym a ważnym.

— Niemiłym? cóż takiego?

— Dziś nie mówmy o tém, radbym zapomnieć...

— A ja chciałabym wiedzieć...

— Dowiedzie się kochana hrabino; zawsze zawczasie o rzeczy nieprzyjemnej — rzekł Brühl, siadając naprzeciw nięj i głowę opierając na dłoni. Cóż zresztą dziwnego, że człowiek, co jak ja, po stopniach iść musiał i doszedł trochę wyżej, ma nieprzyjaciół w tych, co za nim pozostali, i którzy się mszczą bezsilnemi szyderstwami.

Hrabina, która słuchała z uwagą natężoną, poruszyła się żywo i z uśmiechem lekceważenia, piękną rączką uderzyła po stole.

— Szyderstwo! potwarzami! słowy! — zawołała — i wy jesteście tak słabi, że na to zważacie? że was to obchodzi? że boli? Musiałabym zwątpić o was kochany Henryku, gdybyście być mieli tak słabi. Kto chce wielką w świecie odegrać rolę, ten na sykanie widzów wcale zważać nie powinien ani się powodować oklaskami. Jedno i drugie nie wiele warto. Jeżeli cię boli posłyszane słówko, żal mi cię: nigdy nie dojdiesz do niczego. Nadto trzeba umieć być wyższym...

— Nikczemne urąganie — wrzucił Brühl.

— Cóż cię to tak może obchodzić, że pies z za płotu szczeka? — spytała piękna hrabina.

— Drażni mnie.

— Nie spodziewałam się tego... wstydz się.

— Nie wiecie o co idzie.

To mówiąc Brühl, dobył z kamizelki medal, który wziął z sobą i posunął ku hrabinie. Ta obojętnie nań rzuciła zrazu okiem, przypatrzyła się rysunkowi jednej strony, powoli odwróciła go na drugą; przeczytała napis, uśmiechnęła się, ruszyła ramionami i chciała wyrzucić przez okno, gdy Brühl rękę jęj wstrzymał.

— Potrzebny mi — rzekł.

— Na co?

— Nie puszcze tego płazem — odparł minister. Koncept wyszedł z Saxonii.

Jeśli dozwolimy nicować nasze czynności i nie ukarzymy zuchwalca...

— Znajdźcie go najprzód — szepnęła hrabina — a potem dobrze się zastanówcie, czy, mszcząc się, nie podniesiecie dzieciństwa do ważności, której ono nie ma.

— Znadto sobie pozwalają! — zawołał Brühl. Niedawno Erella trzeba było na osłe wodzić po ulicach, a autora medalu wypadnie zaprosić do Koenigsteinu.

Moszyńska ruszyła ramionami pogardliwie.

— Zemstę, wierz mi, zostaw Sułkowskiemu — rzekła — a w ogóle dopóki musicie panowanie dzielić z nim, starajcie się, aby na jego ramiona spadało wszystko, co drugich boli, na siebie bierzcie, co miłe. Spodziewam się wszakże, iż długo tój spółki z nim nie będzie — dodała ciszej.

— Jak długo ona potrwa nie wiem — odezwał się Brühl. Mojem zdaniem należy mu dać czas, aby on sam zbytkiem ufności w sobie, i jaką omyłką się zgubił.

— Masz słuszność i to nieochoybnie nastąpi. Sułkowski ma dumę i zarozumiałość ogromną, jest pewnym, że zrobi z królem, co zechce. Należy mu dać plac i pole, na którémby koziołka przewrócił. Tymczasem *il tirera les mazzons du feu*. Rozśmiała się hrabina, ale Brühla rozweselić nie mogła: siedział chmurny i zamyślony.

Wdzięcznie ubrana i figlarnie wyglądająca służąca, w trzewiczkach na korkach, w czepczku białym na kształt owęj sławnej czekoladniczki wiedeńskiej Liotarda; z podpiętym fartuszkim, z rączkami do łokcia obnażonemi i dowodzącemi, że się nie zapracowywała, bo były białe i delikatne; wniosła w tój chwili wazkę srebrną. Uśmieszkiem i wejrzeniem powitała nieznacznie Brühla, a wazkę postawiwszy na stole, wybiegła prędko z pokoju.

Obiad we dwoje począł się przy rozmowie ożywionęj. Moszyńska dopytywała o wszystko: o pannę Kling, o jęj poselstwo, nawet o projektowane małżeństwo Brühla, o którém mówiąc westchnęła i namarszczyła brwi.

— Nie spodziewam się, żeby mi ono odebrało serce wasze Henryku — odezwała się cicho — panna cię nie kocha, ona ci jest obojętną... żenisz się pono więcej dla królewiczowęj, dla staręj Kolowratowęj i dla stosunków, niż dla siebie; ja to wiem i dlatego jestem spokojną.

— Możecie nią być — rzekł minister — serca drugiego nie mam, a to jakim miał oddałem dawno. Żenię się tak samo jak dzielę władzę z Sułkowskim, bo to jest koniecznością położenia.

— Królowi, królowi nadskakuj; stań mu się potrzebnym: baw go, siedź, nie odchodź, poluj choć cię polowanie nudzi. Sułkowski, jeśli się nie mylę zechce odpoczywać, zapraagnie grać rolę wielkiego pana, ty się stań nieodzownym. Król... nazywam go już tak, bom elekcyi pewna i korony, potrzebuje kogo i zawsze przy sobie, dlatego aby mu się choć uśmiechać, jest słaby, łatwo nabiera nałogu twarzy i ludzi. O tęp wszystkim trzeba pamiętać.

— A! droga hrabino! chwytając ją za rękę — zawołał Brühl — bądźcie moją opiekunką, moją Egeryą<sup>21</sup>, moją opatrnością, a o przyszłość mogę być spokojny...

Rozmawiali tak, gdy głosy dały się słyszeć u furtki i wnijścia. Służąca wbiegła przestraszona. Hrabina porwała się od stołu z brwią namarszczoną, gniewna.

— Co to jest? — zawołała.

— Jakiś... ja nie wiem, ktoś ze dworu. Z listem czy zaproszeniem, domaga się gwałtem by był wpuszczonym.

— Tu? tu? ale któż mu mógł powiedzieć że ja tu jestem? Mnie tu dla nikogo niema.

Domawiała tych wyrazów, gdy pomiędzy drzwiami w ogródku, pokazał się mundur szambelański. Ogrodnik zapierał mu drogę, szambelan niezważając nań szedł powoli.

<sup>21</sup>Egeria — kochanka lub druga żona władcy Rzymu, Numy Pompiliusza, doradczyni króla. Dziś mówi się tak o kobietach doradczyniach, ekspertkach. [przypis edytorski]

Brühl schylił się, spojrzal przez okno, poznał Watzdorfa i na znak hrabinę, cofnął się do drugiego pokoju drzwi zamykając za sobą. Pozostał stół nakryty na dwie osoby. Hrabina rozkazała prędko sprzątnąć drugi talerz, a zręczna subretka uniosła nakrycie, zapomniawszy tylko o szklance i kieliszku. Nikt na to nie uważał. Hrabina po chwili siedła do stolika, chociaż bardzo niespokojnym okiem spoglądała ku ogródkowi; brew jęj marszczyła się i ręka drżała z gniewu.

Watzdorf tymczasem przebojem szedł aż do domku, zbliżył się do otwartych drzwi od ogródka, i stanąwszy w nich naprzeciw hrabinę, zwrócił się do goniącego ogrodnika:

— A widzisz... Jęj ekscelencya jest, wiedziałem o tęg dobrze.

To mówiąc z szyderskim skłonił się wyrazem, ciekawie i nieprzyzwoicie rozglądając dookoła, jakby jeszcze kogoś szukał oczyma.

Gdy stanął naprzeciw nięj, Moszyńska przybrała bardzo surową fizyognomię.

— Co pan tu robisz? — zawołała groźno.

— Po stokroć panię hrabinę przepraszam, jestem najnieszczęśliwszym z szambelanów i najniezręczniejszym z ludzi. Królewicz dał mi bilet, pojechałem do jęj pałacu, odprawiono mię z niczem. Bilet królewicza a pana to zawsze rzecz pilna. Puściłem się w pogoń za W. ekscelencyą, szedłem tropem i doszedłem aż tu.

— Że waćpan chcesz naśladować wyżły i gończe, to mnie nie dziwi panie szambelanie — syknęła wstając hrabina — ale ja zwierzyną być nie lubię. Nigdzie więc ukryć się i odetchnąć spokojnie od szambelanów nie można...

Watzdorf zdawał się nasycać tym gniewem. Spoglądał na stół, stało przy nim jeszcze krzesło Brühla z zawieszoną na poręczy serwetą. Hrabina widziała jak się uśmiechał przypatrując się tym sprzętom zdradzieckim. Nie zmieszała się wcale, ale gniew jęj tylko wzrósł do najwyższego stopnia.

— Gdzież ten bilet? — zawołała.

— Ja poczekam, kiedym już raz miał szczęście znaleźć W. ekscelencyę, będę cierpliwym.

— Ale mnie waćpan do niecierpliwości przyprowadzisz, bo ja patrząc nań nic do ust wziąć nie będę mogła — odezwała się Moszyńska.

— Pani mi przebaczy, ale ta cudna woń wiosny, radbym nią tu odetchnąć.

— Wiosna w polu jest jeszcze daleko wonniejszą i piękniejszą; oddaj mi pan bilet i zostaw mnie w mojęj samotności.

Watzdorf się uśmiechał szydersko i powoli po wszystkich kieszeniach szukał biletu.

— W istocie samotność w tym kątku, we dwoje... a! jakby była rozkoszną — mruczał impertynencko.

— Ja i moja *suivanta*, tak jesteśmy we dwie, a ogrodnik który tak nieroztropnie waćpana wpuścił, za co dostanie odprawę... trzeci...

— Gdzież ten bilet królewicza?

Watzdorf szukał go powoli i dobywał różnych rzeczy z kieszeni, między innymi, jakby przypadkiem natrafił na medal i odezwał się:

— Proszę hrabinę, co to za zuchwali i nikczemni są paszkwilanci. Ktoby się to co podobnego spodziewał?

Położył medal na stole, a sam dalej kieszenie przebieirał. Hrabina spojrziała, poznała medal, udała że go wcale nie zna, zaczęła rozpatrywać i z najzimniejszą krwią odrzuciwszy go rzekła:

— Wcale lichy koncept! Ale cóż on komu szkodzi?

Szambelan popatrzył na nią.

— Może królewiczowi poddać myśli niepotrzebne?

— Jakie? — spytała hrabina.

— Dobrania sobie innych podpór do tronu — rzekł W[at]zdorf<sup>22</sup>.

— Kogoż? waćpana, panie szambelanie, Froscha i Storcha?

Watzdorf zakąsił wargi.

— Pani hrabina jesteś złośliwą...

<sup>22</sup>W[at]zdorf — w wydaniu źródłowym fragment nieczytelny; uzupełniony na podstawie innego opracowania. [przypis edytorski]

— Pan mnie nie tylko do niecierpliwości, ale do złości istotnie doprowadzić możesz. Gdzież ten bilet?

— Właśnie jestem w rozpaczy, zdaje mi się że go straciłem.

— Biegając za mną, aby mi przykrość wyrządzić — mruknęła hrabina — aby mnie tu ścigać, gdy pragnę być samą.

— Samą!! — powtórzył Watzdorf z szyderskim śmieszkiem, i popatrzał na zdradzieckie krzesło.

— Rozumiem — wybuchnęła Moszyńska — wejrzenie waćpana zwraca się ku temu krzesłu i więc jeszcze posądzasz mnie? Czy hrabia Moszyński polecił mu straż nademną?

Mówiła jeszcze z gniewem największym i lice jęj zapalało się, co ją piękniejszą jeszcze czyniło, gdy zaszeleściła suknią kobieca, i osoba, która już przez kilka chwil wprzód, wszedłszy pocichu, stała ukryta za chińskim parawanem z laki, który w niej nie jedno osłaniał, wyszła powolnym krokiem, poważnie na środek pokoju.

Watzdorf osłupiał.

Było coś tak dziwnego w tém zjawisku, że nawet hrabina zadrżała ujrawszy je.

Wchodząca powoli kobieta, słusznego dosyć wzrostu, niemłoda, z dziwnie przejmującym wejrzeniem i królewską postawą, z twarzą, na której wiek nieśmiały zniszczyć nadzwyczajnej piękności śladów, była ubraną tak dziwacznie, iż ją prędzej za obłąkaną niż za zdrową na umyśle wziąć było można. Miała na sobie rodzaj szerokiej togi czarnej, obszywanej galonami, ze szkaplerzem dziwacznie w litery jakies szytym na piersiach. Pas, którym druga suknia spodnia była przepasana, miał na sobie czarno na złocie malowane znaki kabalistyczne i zodyakalne. Na głowie, na czarnych, bujnych włosach rodzaj zawoju, przepleciony pargaminowym szlakiem w hebrajskie zgłoski, z dwoma długimi końcami spadającymi na ramiona, mało co, białe i piękne okrywał czoło. Piękne swe wyraziste oczy zwróciła na natręta, brwi ściągnęła, wzgardliwie popatrzała nań i odezwała się głosem surowym:

— Czego tu waćpan chcesz? pocoś tu przyszedł? abyś córkę i mnie szpiegował, a potem zabawiał królewicza opowiadaniem, jak wygląda stara Cosel? Nieodrodny synu „chłopa z Mansfeldu” i bufona, czy i ty mnie prześladować będziesz... Idź precz! idź mi zaraz precz... precz ztąd! Ani mi się waż! Daj mi być z córką samą...

Ręką wyprężoną wskazała drzwi, Watzdorf pomieszany cofnął się. Błysnęły mu oczy, nie rzekł słowa... wyszedł.

Cosel przeprowadziła go oczyma aż na ścieżkę i zwróciła się do córki.

Nie były to pierwsze jęj odwiedziny ze Stolpen w Dreźnie, ale tym razem Moszyńska się jęj nie spodziewała nawet, weszła aby ją uratować od posądzenia. Hrabina wstała na matki przyjęcie... przyszło jęj na myśl, że Brühl który się był cofnął do gabinetu, zobaczywszy odchodzącego Watzdorfa wnijść może i niepotrzebnie ją zdradzić przed matką.

Zmieszała się. Tymczasem Cosel zasiadła spokojnie miejsce Brühla.

Wypędziwszy natręta, zamyślona zdawała się już prawie nieprzytomną. Ręką wychudłą ale białą i piękną jeszcze, uderzała po stole machinalnie, oczy jęj biegały po pokoju.

— Weszłam tu niespodzianie — szepnęła wkrótce, nie patrząc na córkę — ale pozwoliłaś mi w tym domku przyjmować tych, z którymi ja się widzieć potrzebuję: dałam wiedzieć pastorowi, aby tu przyszedł.

Moszyńska okazała zdziwienie.

— Nie lękaj się, on nadejdzie dopiero wieczorem — dodała Cosel. — Ale któż tu był z tobą? dlaczego się skrył??

Moszyńska milczała chwilę, namyślała się, matka patrzała na nią jak w tęczę, z pewnym politowaniem.

— Rozumiem — rzekła z pogardliwym śmiechem — dworskie intrygi. Nowy pan, nowi ludzie, musicie się na tym ślizkim lodzie trzymać jak można, by nie upaść.

To czego się obawiała Moszyńska, stało się w téj chwili: Brühl zjawił się w otwartych drzwiach drugiego pokoju, i ujrawszy tę postać, której nigdy jeszcze nie widział, ale się jęj znaczenia domyślał łatwo, osłupiał nie wiedząc co począć ze sobą.

Moszyńska zwrócona plecami nie widziała go, ale po oczach matki domyśliła się; rumieniec okrył jęj twarz na krótko, zbladła i ośmieliła się wprędce.

Cosel oczy miała wlepione w pięknego mężczyznę i z chłodną krwią tak mu się przyglądała, jakby ciekawemu jakiemuś stworzeniu, którego charakter odgadnąć pragnęła.

— A więc to on jest? — rzekła uśmiechając się.

Moszyńska zwróciła się nagle.

Brühl stał w progu.

— Kto on? — zapytała Cosel.

— Minister Brühl — cicho odpowiedziała Moszyńska.

— Wszystko nowe u was! oprócz potomstwa chłopca... Brühl! o nikim podobnym nie przypominam sobie. Postąp waćpan — rzekła po królewsku dając mu znak ręką — nie lękaj się. Widzisz przed sobą kapłana wiary nowej... arcykapłana... arcykapłankę... Słyszałeś o mnie? Jestem wdową po królu Augustcie Mocnym... byłam jego żoną... hrabinę Cosel widzisz przed sobą, słynną na cały świat ze szczęścia i nieszczęść swoich. U moich nóg leżeli mocarze świata, rozkazywałam milionom. August mnie kochał jedną...

Mówiła powoli, na twarzy córki znać było przykre wrażenie, jakie na niej ta mowa czyniła, ale jej przerwać nie mogła. Brühl stał zdziwiony i niemy, lecz przybrał tę swą słodką i ujmującą, grzeczną i uprzedzającą postać, z którą się zawsze obcym przedstawiał. Pochylony nieco, zdawał się słuchać z nadzwyczajnym zajęciem.

— Masz waćpan szczęście widzieć królowę przybyłą z tamtego świata... umarłą, pogrzebioną, a żyjącą tylko aby niewiernych nawracać na wiarę prawdziwą w jedyne Boga, który się Mojżeszowi objawił w krzaku ognistym.

Moszyńska oczy spuściwszy, poruszona to drżała, to ukradkowem wejrzeniem matkę błagać się zdawała, aby zamilkła...

Czy Cosel to zrozumiała, czy milczenie Brühla widocznie zmieszanego, zamknęło jej usta, dość że<sup>23</sup> wstała z krzesła...

— Pójdę spocząć — rzekła — nie będę przerywała wam konferencji. Córka Coseli powinna Saxonią rządzić. Rozumiem...

To mówiąc tym samym krokiem majestatycznym, patrząc w górę, powoli przeszła poza stołem i doszedłszy drzwi któremi Brühl przed chwilą do pokoju wszedł, znikła im z oczów.

W progu drugich już po kilkakroć napróżno ukazywało się dziewczę z półmiskiem srebrnym w ręku.

— Ja idę — szepnął cicho Brühl, porywając za kapelusze — nie chcę wam być zawadą. Dzień to nieszczęśliwy, lecz niepocziwy Watzdorf, który chciał mnie tu niewątpliwie pochwycić, odszedł z niczém: to mnie cieszy.

— Watzdorf miał medal — szepnęła Moszyńska — cieszył się nim; widzę w nim zajadłego nieprzyjaciela. Coś mu przewinił?

— Ja? nic! chyba żem nadto był dla niego greczny.

— To zjadliwa żmija, ja go znam — szepnęła Moszyńska.

— To bufon tylko jak ojciec — rzekł pogardliwie Brühl, ruszając ramionami — ale jeśli mi wejdzie w drogę...

— Ten wiersz na medalu, nie jestże podobnym do jego niesmacznych ucinków??

Brühl tylko spojrzął na hrabinę, myśl ta zdawała się go uderzać.

— Każę go szpiegować — rzekł krótko — w takim razie nie długo swobodnie chodzić będzie po świecie.

To mówiąc przycisnął rękę hrabiny do ust, chwycił swój płaszcz rzucony u drzwi, który w cieniu leżąc mógł ujść oczów Watzdorfa i wybiegł do ogrodu.

Taż samą ścieżką, którą siedł w nadziei długiej swobodnej rozmowy, wracał nazad myśląc już tylko jak się ztąd dostanie do domu, nie będąc postrzeżonym.

Furtka od której miał klucz, zatraskiwała się wewnątrz; nie potrzebował jej otwierać, wyszedł zaniebawszy wyjrzyć wprzód i całej swjej przytomności umysłu potrzebował, ażeby nie dać poznać po sobie jak go obeszło, gdy stojący na straży Watzdorf, przywitał go nadzwyczaj grzecznym, szyderskim pokłonem.

Brühl oddał mu go, z taką uprzejmością i wesołością swobodną, jak gdyby nie został pochwyconym na uczynku...

— A! to wy, panie szambelanie! — zawołał — jakżem szczęśliwy!

<sup>23</sup>zamknęło jej usta, dość że — w wydaniu źródłowym jest to brakujący fragment tekstu. Został uzupełniony na podstawie innego opracowania. [przypis edytorski]

— Ja to się nazwać mogę tym szczęśliwym — począł Watzdorf — bo nigdy nie spodziewał przyszedłszy tu napawać się wonią rozkwitłych jabłoni, iż mi los pomyślny zdarzy spotkać pod jabłoniami Waszą Ekscelencyę. Jeśli się nie mylę — dodał — to owoc jabłoni zwie się podobno zakazanym owocem?

— Tak jest — zawołał Brühl śmiejąc się — cha! cha! Ale ja tu nie po owoc, a tém mniej po zakazany, przyszedłem. Hrabina Cosel miała prośbę do królewicza pana naszego i kazała mi się stawić.

W nadanym zwrocie rozmowie, tyle było prawdopodobieństwa, iż Watzdorf trochę się zmieształ.

— A pan, panie szambelanie, co tu robisz w tém sielskiém zaciszu? — zapytał minister.

— Szukam szczęścia, którego nigdzie znaleźć nie mogę — mruknął szambelan.

— Pod jabłoniami?

— Trafia się ono i tam — mówił Watzdorf — i chyba prędzej jak na dworze...

— Widzę że panu nie smakuje to życie?

— Nie mam talentu do niego — odparł Watzdorf idąc powoli z Brühlem.

— Ale masz pan dowcip, ostre narzędzie, którém obronny niczego się możesz nie lękać...

— Tak, doskonale narzędzie do robienia sobie nieprzyjaciół — dodał Watzdorf.

Chwilkę szli milczący, szambelan zdawał się namyślać.

— Nie miałem jeszcze sposobności powinszować Waszój Ekscelencyi — odezwał się nagle.

— Czego? — odparł Brühl.

— Powszechnie mówią, że najgenialniejszemu z ministrów, przeznaczono najpiękniejszą pannę z naszego dworu?

Głos którym to mówił zdradzał takie uczucie, iż Brühl spojrział nagle wpadając na myśl, że Watzdorf mógłby być tym, któremu piękna Frania serce oddała. Był to domysł a raczej przecucie: drgnął. Jeśli tak, rzekł w duchu, twórca medalu i kochanek przyszłej mojej żony, powinien się dostać w miejsce bezpieczne.

Lecz ani medal, ani pochwycone serce dowiedzionemi jeszcze nie były. Patrzeli na siebie uśmiechając się, ale z nienawiścią w oczach. Brühl im więcej wstępu miał do kogo, tém dlań czuł się w obowiązku być grzeczniejszym: nie darmo był ze szkoły Augusta Mocnego.

— W. Ekscelencya zbyt królewicza samym zostawiasz — odezwał się Watzdorf — hrabia Sułkowski ma wiele zajęcia, a Frosch, Storch i O. Guarini nie starczą...

Brühl znowu przybrał jak najwdzięczniejszy uśmiech znowu.

— Pan szambelan masz może słuszość, człowiekby chciał dla zasłużenia się tak dobremu panu, iść na wyprzodki choćby z Froschem i Storchem, ale trzeba téż starać się i o pozyskanie serca swój narzeczonej, o której pan wspomniałeś.

— Zdaje mi się że to zbyt uczciwa troska — rzekł Watzdorf — po co temu serce, kto będzie miał rękę i resztę... to jest całą panią. Serce może zostawić komu innemu. Masz W. Ekscelencya doskonały przykład na hr. Moszyńskim, który się o serce hrabiny nie troszczy wcale.

Brühlowi rumieniec wytrysnął na twarz, stanął, uśmiechał się jeszcze, ale cierpliwości mu brakło z tą szczypawką, która go kąsała.

— Panie szambelanie — odezwał się — mówmy seryo: czy zgrzeszyłem czém przeciw wam, że mnie pragniecie żarcikami swemi dojmować; czy to tylko przywyknienie do kąsania, którego nie chcesz się pozbyć?

— I jedno i drugie może — odparł Watzdorf — ale nie spodziewałem się ażeby takiego olbrzyma jak W. Ekscelencya, taka pchła jak ja zaboléc mogła.

— Nie boli mnie też to — przerwał Brühl — ale nieprzyjemnie swędzi. Czy nie bezpieczniejby było mieć we mnie przyjaciela?

Watzdorf wybuchnął śmiechem.

— Ministrowie nie mają przyjaciół — zawołał — to stoi przecie w elementarnym katechizmie polityków.

— Zato na nieprzyjaciółach nigdy im nie zbywa.

Watzdorf uklonił się jakby do niego pito, zdjął kapelusz i poszedł nie oglądając się w boczną ulicę.

Było to jakby wypowiedzeniem wojny. Brühl osłupiał prawie.

— On? mnie? wojnę i przyjaźń wypowiadać? Cóż? oszalał chyba? Co to jest? Zawsze mi był nieznośnym, z kąd nagle taka złość do mnie? To potrzebuje rozjaśnienia.

Szybszym krokiem, zasłoniwszy się płaszczykiem, poszedł wprost ku domowi. Po drodze miał właśnie dom w którym pracował Henniecke i wsunął się doń. Przy kancelaryi, osobny pokój przeznaczony dla ministra, stykający się z tym, w którym radzca zasiadał, był pod kluczem jego. Wszedł więc niepostrzeżony i zastukał do kancelaryi, w której żywe głosy słychać było. Stuknięcie to uciszyło je natychmiast, Henniecke wszedł z piórem za uchem, zdziwiony nieco. Brühl siedział w krześle.

— Każ mi pilnować szambelana Watzdorfa — rzekł — daj mu anioła stróża, niech krok w krok chodzi za nim. Lecz że Watzdorf ma przebiegłości wiele, musisz dobrać człowieka, któryby potrafił uczynić się niewidzialnym, a umiał wcisnąć się wszędzie. Trzeba przekupić sługę i przetrząsnąć jego papiery.

— Watzdorfa? — powtórzył zausznik w zadumaniu — Watzdorfa?? Czy jest nań jakie podejrzenie?

— Wszystkie jakie tylko najgorsze być mogą.

— Czy musi paść? — spytał Henniecke: Brühl zamyślony nie odpowiedział zrazu.

— Zobaczymy — rzekł — nie chcę sobie robić nieprzyjaciół, rosną oni sami; lecz jeśli rzecz się okaże potrzebną...

— Czy zawadza? — pytał znowu pomocnik.

— Nie lubię go.

— Wina gdy będzie potrzebną, znajdzie się zawsze.

— Miejcie ją w zapasie — mruknął pośepnie Brühl — starałem się i staram być miłym dla wszystkich, dobrym, uprzejmym; potrzeba się pokazać że straszny być mogę.

I wstał z krzesła.

Sługa wiódł za nim wzrokiem z wyrazem ironicznym. Brühl nie oglądając się nań, wyszedł z pokoju.

Watzdorf, który na zakręcie ulicy rozstał się z Brühlem, spieszenie z początku uszedłszy kilkanaście kroków, zwolnił chodu i włókł się jakby bez myśli i celu. Twarz jego okryła się chmurą: czuł pono wewnątrz, iż dogadzając rozdrażnieniu jakiemuś, popełnił kilka niedorzeczności, które mógł opłacić drogo. Gniew przeciw Brühlowi zbyt go palił, aby się mógł powstrzymać. Watzdorf wychowany przy dworze, nawykły od dzieciństwa do tego wszystkiego co się na nim widzi i spotyka, syn tego, którego przezwano „trefnisiem“ wyrósł wśród tych wpływów co go popsuc mogły jak innych, na człowieka rażącego swą nieubłaganą prawdomównością i szyderstwem. Wszystko co go otaczało działało nań, jak często na pewne wybrane organizacje działa zło, odrażając od siebie. Atmosfera wśród której żył, napelniała go oburzeniem i wstrętem.

Miłość dla Frani Kolowrath, której piękność zawróciła mu głowę, przyczyniała się także do obudzenia w nim ohydy dla świata, co ten śliczny kwiat wychował na tak zepsutą wcześniej istotę. Widział on w niej wszystkie jej wady, zalotność, płochosć, dumę i egoizm, chłód serca; a pomimo to, od szału dla niej powstrzymać się nie mógł i płakał nad nią i nad sobą. Nie przypisywał jej przywar naturze, ale wychowaniu, dworowi, jego obyczajom, powietrzu, którym oddychała.

Rodzaj rozpaczy go ogarniał... Uważali wszyscy w ostatnich czasach, to usposobienie Watzdorfa do najwyższego stopnia wzmożone i spotęgowane. Czuć w nim było tę złość, jaka w nim wrzała. Gdyby był mógł pomścić się był na kimkolwiek; a że Brühl był narzeczonym Frani, na niego zlewał całą złość jaką serce miał przejęte.

Dworacy i dawni przyjaciele stronili teraz od Watzdorfa, niektórzy z nich mówili otwarcie, że czuć go było trupem.

Nie mając co zrobić z sobą, prawie machinalnie, nieszczęśliwy szambelan posunął się do przyjacielskiego dotąd domu Faustyny. Pierwsza część żaloby już była upłynęła, mówiono o rozpoczęciu opery. Sułkowski zarówno i Brühl skłonni byli namówić króla do tego, znając jak namiętnie lubił muzykę i Faustynę.

Chociaż Hasse liczył się jako mąż divy, nie mieszkali jednak razem: *il divino Sassone*, jak go przezwali Włosi, zapamiętały muzyk zajmował osobną kamieniczkę, w której była



na dole sala do prób dla muzyki. Faustyna po pańsku miała urządzone apartamenta. Od niej płynęły rozkazy, do niej teatralni szli z prośbami klienci.

Watzdorf w przedpokoju spytał lokaja o panią i otrzymał odpowiedź, że jest w domu. Mógł się tego domyślić po głośnej rozmowie na sposób włoski i w języku włoskim prowadzonej, która aż do przedpokoju dochodziła. Gdy oznajmiony wszedł, zastał piękną włoszkę w ubiorze dosyć zaniedbanym, z twarzą gniewną i zapęrzoną, co jej nie dodawało wdzięku, stojącą naprzeciw O. Guariniego, który spokojniuteńko wśród salki po cywilnemu ubrany się przechadzał.

Twarz jego śmiała się z politowaniem: Faustyna ścigała go z pięściami zaciśnionymi.

Guarini zobaczywszy szambelana, wskazał mu włoszkę obu rękami.

— Patrz, patrz! co ta kobieta ze mną wyrabia — śmiał się — z najspokojniejszym człowiekiem w świecie, który w imię spokoju i zgody do niej przychodzi. *Furioso! diavolo! furioso!* Żebyż zamiast krzyczyć śpiewała...

Faustyna odwróciła się do Watzdorfa: — Biorę was za sędziego — zakrzyczała — chce mnie uczynić malowaną lalką, chce abym się kłaniała wszystkim, abym nie miała woli. Jutro mi jego protegowani teatr do góry nogami obrócą. Nie! musi iść precz, pójdzie precz!

— Za co? za co? — cicho i wysuwając z kołnierza głowę jak żółw ze skorupy, szepnął Guarini — dlatego że piękny młodzian nie pali ofiar przed tobą? że mu niebieskie oczy francuzki wdzięczniej świecą niż twoje?

Faustyna plasnęła w dłoń.

— Słyszysz go, tego *prete*<sup>24</sup> obrzydłego! — krzyknęła, rękami poczynając mu wywijać przed samą twarzą — alboż to ja potrzebuję hołdów? albo mi ich mało? albo mi nie miały czasu obrzydnąć?

— O! kobiecie kadzidło! — zaśmiał się Guarini.

— Ale o kogoż idzie? — spytał Watzdorf.

— *Un poverino*<sup>25</sup> — odezwał się Jezuita — którego ta nielitościwa chce wypędzić z teatru.

— *Un assassino! un traditore! una spia!*<sup>26</sup> — wołała Faustyna.

Watzdorf jakkolwiek smutny tą pocieszoną kłótnią, codziennie się odnawiającą pomiędzy aktorką a księdzem, pobudzony był do śmiechu.

— Ja państwa pogodzę! — zawołał — czekajcie!

Zwrócono nań oczy, gdyż zgoda była bardzo pożądaną.

— Niech winowajca idzie precz — rzekł Watzdorf — a na jego miejsce jak skoro aktora dobrego potrzeba, weźcie jednego z ministrów. Niema lepszych nad nich! a że Faustynie z ministrem się nie zechce kłócić, będzie zgoda.

Guarini pokiwał głową: Faustyna umilkła jakby zrozpaczona i poszła się rzucić na sofę. Jezuita wziął pod rękę szambelana i odprowadził go do okna.

— *Carissimo*<sup>27</sup> — rzekł łagodnie — jeszcze do kanikuly daleko, a wy coś zdajecie się jakby rażeni od upału.

— Nie, jeszcze się nie wściekł — rzekł Watzdorf — nie zaręczam jednak żeby do tego nie przyszło.

— E! cóż ci jest? spowiadaj się.

— Chyba kolana Faustyny za konfesyonał będą służyły...

— Poganin jakiś! — zaśmiał się Jezuita — co ci jest? pytam.

— Ale nic mi, mój Ojczy, świat mi się wydaje głupim i po wszystkim.

— *Carissimo perdonna*<sup>28</sup> — rzekł Jezuita — głupim, to ty mi się wydajesz plotąc rzeczy niezdrowe. Wiész, ja ci dam jedną radę. Gdy cię taki humor napadnie, idź w pole, gdzie nikogo niema, w las, gdzie tylko sarny możesz popłoszyć; wyklnij się, wylaj, wykrzycz i powracaj do miasta uspokojony. Wiész, że tego środka już w starożytności używali ci, co języka wstrzymać nie umieli.

Słuchał Watzdorf obojętnie.

<sup>24</sup>*prete* (wł.) — ksiądz. [przypis edytorski]

<sup>25</sup>*un poverino* (wł.) — nieborak, biedaczysko. [przypis edytorski]

<sup>26</sup>*Un assassino! un traditore! una spia!* (wł.) — Zdrajca! zabójca! szpieg! [przypis edytorski]

<sup>27</sup>*Carissimo* (wł.) — najdroższy. [przypis edytorski]

<sup>28</sup>*Carissimo perdona* (wł.) — najdroższy, wybac. [przypis edytorski]

— Żal mi waćpana — dodał O. Guarini.  
— Żebyś Ojcie wiedział, jak mnie żal was wszystkich — westchnął Watzdorf — ale któż tu nas rozsądzi przy kim prawda i czyj żal lepszy?  
— Dajmyż sobie pokój — odezwał się Jezuita i pochwycił za kapelusz.  
Faustyna jeszcze swą włoską furię wydechowała na sofie, Guarini podszedł do niej i skłonił się pokornie:  
— Raz jeszcze ośmielam się prosić Waszój Ekscellencyi za tym *poverinem*: uczynicie to dla mnie.  
— Wy uczynicie bezemnie co się wam podoba — odparła Faustyna — ale jeśli mnie zmusicie do znajdowania się z nim na scenie, daję słowo, że mu publicznie dam policzek.  
Guarini na obie strony pokiwał głową, ukłonił się i poszedł z raportem do królewicza.  
Była to ta godzina miłego spoczynku, który Fryderyk używał z rozkoszą po całodzienném próżnowaniu: godzina jego fajki, szlafroka, Froscha i Storcha, Sułkowskiego, Brühla i O. Guariniego, gdyż oprócz nich, nikt do niego wówczas przystępu nie miał.  
Guarini wchodził, gdy mu się podobało. Nie było też mniej zawadnego, a miłszego towarzysza. Król lubił się śmiać, śmieszył go; chciał milczeć, pomagał do zachowania milczenia: zapytywany odpowiadał wesoło, a nigdy w niczém się nie sprzeciwiał.  
W pokoju kurfirsta nie było nikogo, oprócz Brühla.  
Stał naprzeciw krzesła pańskiego w postawie przymilenia pełnej i coś szeptał. Królewicz słuchał pilnie i głową znacząco potrząsał.  
— Słyszycie, mój Ojcie, co mówi? — rzekł do wchodzącego Jezuitę.  
Ten zbliżył się.  
— Mów dalej — odezwał się Fryderyk.  
Brühl posłuszny począł, mierząc znaczącym wzrokiem O. Guarini.  
— Umysł niespokojny, szyderski i od niejakiego czasu z niewiadomych powodów, stał się tak ostrym i nieznośnym...  
— O! o! — szepnął królewicz — to źle...  
— O kim mowa? — cicho spytał Jezuita.  
— Ośmieliłem się zwrócić uwagę Najjaśniejszego pana, na szambelana Watzdorfa. Guariniemu na myśl przyszło spotkanie z nim przed chwilą.  
— W istocie — rzekł — i ja go znajduję w usposobieniu szczególném.  
— Tém gorszém — dodał Brühl — że to jest na dworze choroba zaraźliwa i czepiająca się drugich...

Królewicz westchnął, widocznie już go to nudziło, nie odpowiedział nic.  
— Gdzie ten błazen Frosch? — zawołał nagle — pewnie już śpi gdzie w kącie.  
Jezuita pośpieszył do drzwi i skinął. Frosch i Storch poczęli wyprzedzając się biedz do królewskiego pokoju i wpadli tak, że Storch się wywrócił, a Frosch siadł mu zaraz na grzbiecie. Królewicz począł się śmiać serdecznie, biorąc za boki.

Rozstąpili się widzowie.  
Storch upokorzony natychmiast szukał pomsty nad nieprzyjacielem, podniósł się sądząc że nagłym poruszeniem wywróci go, ale ostrożny malec zsunął się po nim i drapnął do kąta, chowając za krzesła.

Trzeba było widzieć z jaką pociechą oczy Fryderyka poszły za zapaśnikami, ciekawe końca tej walki. Za krzesłami oba trefnisie kwicząc i piszcząc poczęli zwykłą, rozweselającą królewicza, w najsmutniejszych życia godzinach, bitwę na słowa i pięście. Oboje sypało się gradem... Fryderyk śmiał się, zapomniawszy już o wszystkiém co dnia tego słyszał... Nie wiem jakby to długo było trwało, gdyby O. Guarini nie szepnął na ucho N. panu, że godzina wieczornego nabożeństwa w kaplicy nadeszła i wprost od pajaców swych, nagle spoważniały wielce królewicz, udał się wraz z Jezuitą do zamkowej kaplicy, gdzie nań już żona czekała.

## Brühl

OPOWIADANIE HISTORYCZNE

## TOM II

### I

W mieszkaniu Sułkowskiego, pod wieczór wiosennego dnia siedzieli naprzeciw siebie dwaj wszechwładni ministrowie w długim milczeniu, jak gdyby obadwa zbadać się pragnęli a nie mogli. Od kwadransa już prawie Sułkowski ze swą pańską dumą, przechadzał się po salonie, stając niekiedy w oknach i patrząc w ogród. Przez otwarte jedno z nich, słychać było śpiew wesoły kosów i szczygłów. Zdaleka dolatywał odgłos wozów i karet, toczących się po bruku.

Twarze dwóch współzawodników napozór nie wiele się różniące charakterem, przedstawiały nadzwyczaj wybitną sprzeczność dla bacznego spostrzegacza. Ktoby był się przypatrzył Brühlowi, gdy ten sądził, iż go nikt nie widzi, dostrzegłby pod jego uśmiechem, prawie dobrodusznym i pełnym uprzejmości, chłodną przewrotność, której głębinę przeźrzeć mogły. W oczach jego błyszczała żywa pojętność, spryt ten światowego człowieka, który nie potrzebuje nic się uczyć, a zgaduje wszystko i rozumie; który jasnowidzeniem sprężyny ruchów społecznych przenika i nie zawaha się nigdy żadnej z nich pochwycić, gdy bezpiecznie może, a dla własnej tego potrzebuje korzyści.

Sułkowski był w dumę wbitym podpankiem, który urosłszy na pana, sądził się tak bezpiecznym na wysokim swym stanowisku, iż mniemał, jakoby mu wszystko już było wolno. Z pewnym lekceważeniem, za rodzaj *malum necessarium*<sup>29</sup>, uważał Brühla i z góry nań spoglądał z tą wyższością pewną siebie, która najbliższego nawet nie dostrzega niebezpieczeństwa. Nie zbywało mu na myślach, lecz leniwo one krążyły w głowie, która bardzo się silić nie widziała potrzeby.

Patrząc na nich, można było i odgadnąć walkę nierówną i lękać się o jej wypadek łatwo przewidziany. Nigdy piękniejsza i miłsza twarz, więcej chytrości i fałsu nie kryła pod swą maską. Brühl wszakże, gdy wiedział że nań patrzano, przybierał tak niemal łatwowną, naiwną, dziecinną fizyognomią, że się zdawał zupełnie niewinnym stworzeniem.

Dwaj tacy ludzie, postawieni przy sobie i zmuszeni do współzawodnictwa, nie mogli długo wytrwać bez walki. Tu jej wcale jeszcze nie było, owszem najczulsza zawsze panowała przyjaźń. Instynkt czasem jakiś sprawiał, że Sułkowski czuł, domyślał się w Brühlu antagonisty, ale się sam śmiał z tego. Brühl doskonale wiedział, że do panowania absolutnego nad królem nie dojdzie, nie obaliwszy Sułkowskiego. Sam on poniekąd dawał oręż przeciwko sobie. Jakkolwiek umiejący dyssymulować i czekać, Sułkowski się czasem z tém wydawał, że mu panowanie duchownych i jezuitów na dworze ciążyło, że przewaga królowej mu zawadzała.

Nie zwierzał się z tego Brühlowi, ale nie ukrywał przed nim tak dalece, aby się nie dał odgadnąć. Gdy Brühl z O. Guarinim był w najściślejszych stosunkach, Sułkowski nigdy go z sobą do poufności nie dopuścił. Dla królowej był z najgłębszym szacunkiem, nie uchybił jej pewnie, ale ani się bardzo nabijał do łask, ani nadskakiwał jej otoczeniu, ani dosyć służył. Czasami wyrывało mu się jakie słówko o tém, że za Augusta II dogodniej było z faworytami, niż teraz z jedną i to tak surową królewiczową.

O. Guarini, wiedząc jak był w łaskach u króla, kłaniał mu się, lecz zdaleka.

Sam na sam z Brühlem tak swobodnie, jak dziś, spotykali się rzadko; jeden z nich prawie zawsze przy panu być musiał na służbie, aby mu się nie dać nudzić samemu.

Znać wszystko, o czém mówić mieli wyczerpali, gdyż Sułkowski milczał, a Brühl mu nie przerywał, nie odchodził jednak, jakby coś jeszcze na koniec zostawił.

Po długiej dosyć przechadzce, hrabia się zwrócił do siedzącego i rzekł cicho:

— Wszystko to niech pozostanie między nami. Dom habsburgski się kończy, saskiego wielkość rozpocząć powinna. Wiem to doskonale, żeśmy się rzekli wszelkich praw do spadku, że sankcją pragmatyczną przyjmujemy, ale ze śmiercią cesarza, rzeczy dla nas obrót nowy przybrać muszą. Co najmniej powinniśmy wziąć Czechy, a nawet Szląsk, gdzieindziej wynagradzając Prusy. Mówiłem wam, że skreślił w cichości plan cały. Kazałem go napisać Ludovicemu.

— Radbym mieć go i rozważyć — odezwał się Brühl — plan jest genialny i godny was, a dla przyszłości Saxonii najwyższej wagi. Nie potrzebuję mówić nawet, że do

<sup>29</sup>*malum necessarium* (łac.) — zło konieczne. [przypis edytorski]

spełnienia jego, najszcześniejszym będę, jeśli się zdołam przyczynić. Masz hrabia we mnie gorącego współzawodnika i służę.

Ale kaźcie też Ludovicemu ten plan przepisać dla mnie.

— Plan ten podziału Austrii — odparł Sułkowski, któremu pochlebiało uznanie — nie chcę, aby dwa razy przesuwiał się przed oczyma Ludovicego, ale ja go dla was w wolnej chwili, sam własną ręką przepiszę.

Brühl z najmiłszym uśmiechem podziękował.

— Uczynisz mi hrabio największą łaskę — rzekł — tak olbrzymi pomysł, zawczasu już powinien być opracowany i środki wykonania przedsięwzięte. Moźnaby zdaleka i ostrożnie wymacać w Berlinie...

— A! — zawołał Sułkowski z uśmiechem — tam, nie ma najmniejszej wątpliwości, z otwartemi przyjmą go rękami: o to ja jestem spokojny, znajdziemy łatwego i chętnego sprzymierzeńca.

— I ja się tego spodziewam — dodał minister — idzie tylko o to, aby sobie zbyt drogo płacić nie kazał.

— Ale też nie czas jeszcze przystąpić do układów.

— Ale pora się przygotować do nich i strategią całą rozważyć, jakiej nam użyć wypadnie.

To mówiąc Brühl powstał i wyciągając się od niechcenia, odezwał:

— Mam prawie pewność, że ten niepocziwy medal, to jest pomysł doń, wyszedł z Drezna, a nawet silne nader podejrzenie mam o twórcy.

Szybko odwrócił się ku niemu Sułkowski.

— Któżby był tym śmiałkiem?

— Któż, jeśli nie dworak, ufający w swe położenie — mówił Brühl — małeńki człowieczek na tak niebezpieczną rzecz nie ważyłby się: pachnęłaby dlań katem i pręgierzem.

— Tak, a dla dostojniejszego pana, może czems gorszym grozić, bo bezkarnie tego puścić niepodobna.

— A! spodziewam się! — rzekł Brühl — po głowachby nam jeździli. Zuchwałstwo już i tak dochodzi do najwyższego stopnia, a dobroć pana i wspaniałomyślność wasza ośmiela do wybryków najswawolniejszych. Czy też hrabia uważałeś, ile sobie Watzdorf młodszy pozwala?

Sułkowski, który był ku oknu zwrócony, posłyszawszy te wyrazy, popatrzał na Brühla, jak gdyby z pewnym politowaniem.

— Wy, bo nie lubicie Watzdorfa — rzekł. Jak ojciec tak i on bufonuje, ale to tam nie jest niebezpieczne.

— Przepraszam — podchwycił Brühl żywo — bardzo przepraszam. Kto sobie zwykł ze wszystkiego żartować, nie poszanuje nic. Dostanie się mnie, wam, panie hrabio, a wkońcu i panu naszemu.

— Na to się nie odważy.

Zaczawszy mówić hrabia przerwał, zwrócił się do Brühla i biorąc go za guzik od fraka, rzekł poufale:

— Wy bo do niego coś macie? przyznajcie się: zawadza wam?

— Nudzi mnie — zawołał Brühl — przyznaję, czepia się mnie, żarcikami swojemi dojada...

— Wy sobie pono wyobrażacie, jeśli się nie mylę — pocichutku odezwał się, śmiejąc Sułkowski, — że on się kochał w Frani Kolowrathównie.

— Tobi był tylko dowód dobrego gustu i tegobym mu za złe mieć nie mógł — rzekł Brühl, pokrywając rozdrażnienie pozorem obojętności — ale dokucz hrabinie Moszyńskiej, dla której mam najwyższy szacunek.

— A! a! — rozśmiał się hrabia.

— Hrabinyby się obroniła sama, szepnąwszy słowo królewiczowi — mówił dalej Brühl — ja jej nie potrzebuję w pomoc przychodzić; daleko gorzej jest, że drwi z nas wszystkich, nie wyjmując nikogo.

— Jakto? i ze mnie? — spytał Sułkowski.

— Zdaje mi się, że i tobym mu dowiodł.

— O! toby było nadto śmiało! — rzekł Sułkowski sucho.

— Wierzcie lub nie, powiem otwarcie: ja go mam za twórcę medalu... — zawołał Brühl i rękę położył na piersiach.

Rzuciwszy to słowo parę razy, przeszedł się po salonie.

— To prosty domysł, mój Brühl, to prosty domysł.

— A może i coś więcej, niż domysł — począł minister — wiem już na pewno, że trzy, czy cztery medale rozdał.

— Komu?

— Dworskim osobom. Zkądże ich ma tyle, i co za osobliwsza ochota do rozpowszechniania rzeczy, którą ja wykupuję i niszczę?

— Lecz czyż pewno?

— Hennicke da wam spis osób.

— To już wcale co innego — przerwał Sułkowski — to fakt, i chociaż ja go sobie tłumaczę więcej jego niechęcią dla was, niż dla mnie, zawsze i mnie to dotyka.

— Tak jest — potwierdził Brühl. Powiem wam szczerze, kazałem w jego mieszkaniu potajemną zrobić rewizję. Jeśli się tam znajdzie zapas medalów, mam go za ich autora i proszę was, aby mu to bezkarnie nie uszło.

Wam — dodał, rozgorączkowując się niby Brühl — obojętną to być może rzeczą, ale dla maleńkiego jak ja człowieczka...

Sułkowski się zmarszczył.

— Watzdorfa nigdybym nie sądził zdolnym do takiej nikczemności.

— Przekonacie się — kończył minister. Jeśli dowody będę miał w ręku, w takim razie nie chcę nic u królewicza wyjednywać bez was, nic sam przez się czynić, o nic bez waszej wiedzy prosić; ale z góry was błagam: tego płazem nie puścimy. Na Koenigstein...

Zamyślił się Sułkowski.

— Szkodaby mi go było — rzekł — lecz jeśli się okaże jawnie winnym...

— Ja królewicza o to prosić i mówić mu o tém nie będę — powtarzam — was proszę, wy czyńcie: jam wasz sługa i pomocnik, ja sam przez się niczém nie jestem i być nie chcę, tylko pomocą Sułkowskiego, jego podręcznym...

Skłonił się, Sułkowski wziął go za rękę i rzekł z dumą sobie właściwą:

— Przyjaciela chcę mieć w was, tylko przyjaciela, mój Brühl, a z méj strony służę wam będę po przyjacielsku. Wy mi jesteście potrzebni, ja wam się też przydam.

Ścisnęli się serdecznie; Brühl z wielkiego wzruszenia, które było znakomicie odegrane, pocałował go w ramię.

— Słuchajże Brühl, jak przyjaciel ci to mówię: wiele osób wie, że Watzdorf się kochał w Frani; jeśli go dlatego chcesz oddalić, nie na mnie, ale na was krzyżać będą.

Brühl odskoczył aż z podziwu udanego.

— Ale mój hrabio — krzyknął uderzając się w piersi — ja nie jestem nic a nic, a nic zazdrosny, alem o honor pana, o wasz i o mój, troskliwy...

Dziś — dodał — zaczepiają nas i otarli się o tron, jutro ośmieleni na sam tron się rzucą i na najdroższego nam pana. Trzeba swawoli zapobiedz, bo nic świętego nie będzie.

— Masz słuszność — zimno odparł Sułkowski — ale winy trzeba dowieść.

— Oczywiście — dorzucił Brühl, chwytając za kapelusz, i począł się żegnać.

— Ale spotkamy się przecie...

— Tak, na strzeleniu — rzekł Brühl — królewicz potrzebuje rozrywki. Bądź co bądź, należy mu ich dostarczyć... namiętnie strzelać lubi. Przecież to tak niewinna zabawa...

Brühl pośpiesznie zabierał się do wyjścia, jakoż nadchodziła godzina, w której dwór miał się udać do bażantarni, gdzie tarcze przygotowano. Nie chciano urządzać tego rodzaju zabawy w zamku, aby zachować jeszcze resztkę pozorów żałoby.

W bażantarni, lasku pobliskim Drezna, w którym już stało kilka domków i pałacyk za Augusta II zbudowany, dwór się bardzo często zabawiał. Przepyszne aleje z lip, ogromne buki i dęby, całe posągów szeregi, stawek wykopany świeżo, czyniły to miejsce jedném z najwdzięczniejszych w okolicach Drezna. Niespełna pół godziny drogi dzieliło je od stolicy. Ogród dziki w pośrodku, w którym i amfiteatr był urządony, opasywał zewsząd gęsty las odwieczny. Wśród niego gdzieniegdzie stojące posągi i ogromne wazy marmurowe wytwornie rzeźbione, cudnie wyglądały na ciemnej drzew zieleni. Woń

świeżo rozwitych drzew, cisza dokoła, klomby kwiatów, łąki szmaragdowe ubierały to zacisze.

W amfiteatrze urządzono do strzelania tarcze. O. Guarini nie kontentując się tém, co tam przygotowują łowczy i myśliwski dwór króla, znając charakter Fryderyka, chciał mu tu uczynić niespodziankę i od rana się nad nią krzątał. Trzymano ją w jak najgłębszej tajemnicy. Nieopodal od amfiteatru z tarcic wystawiono szalas, przy którym stała straż, nie dopuszczająca doń nikogo; zawierał w sobie tę tajemnicę Ojca Guariniego. Trzy razy tego dnia z rozmaitemi pudłami przyjeżdżał jezuita i za każdym razem on, i kilku pomocników siedzieli tam dosyć długo. Twarz Ojca nabrała po południu, gdy raz ostatni tu przybył, wyrazu zadowolenia i źle tłumionej uciechy. Próżno okrywał się powagą swojego stanu, oczy mu się śmiały mimowoli. Znać już wszystko gotowem być musiało, bo Pater łożywszy ręce w tył, przechadzał się spokojnie, po wiodącej do amfiteatru uliczce, gdy na placyku około pałacu turkot się dał słyszeć. Ekwipaże dworskie jeden za drugim, poprzędzane laufkami, z hajdukami i lokajami na stopniach z boku i z tyłu, konni kawalerowie, kobiety strojne, wszystko to jedno za drugim przybywać zaczęło. Królewicz wiódł pod rękę żonę, która go zwłaszcza przy zabawach i gdziekolwiek kobiety znajdować się miały, nigdy nie odstępowała. Kolowrathowa z córką, frejliny, szambelanowie, pazie, dwór cisnął się za królewiczem na wyznaczone sobie miejsca. Sułkowski i Brühl w wykwintnych myśliwskich strojach, szli tuż przy Fryderyku.

Zawczasu przygotowano sztucce, paziowie, myśliwcy do nabijania i podawania ich stali w amfiteatrze. Właśnie gdy Fryderyk zajmował z widoczną niecierpliwością miejsce swe i strzelanie już się miało rozpocząć, na zielonych wschodkach wiodących z bocznej uliczki do amfiteatru, ukazał się O. Guarini po cywilnemu (bo często bardzo chodził w tym stroju) z laską w ręku.

Udawał niezmiernie zdziwienie na widok dworu i zbliżył się pokornie do królewicza, choć wesoły żarcik zdawał się ulatywać na jego ustach.

— A! Najjaśniejszy Panie — zawołał — co ja widzę, strzelanie do tarczy: co za wyśmienita zabawa.

— Hm? prawda? — śmiejąc się rzekł Fryderyk — ale wy strzelacie do dusz tylko...

— Zawsze jednak do celu, i to dosyć nieszczęśliwie... rzadko trafiam — westchnął jezuita. — Postarzałem. Tu zaś świetne pewnie będą wyścigi... ale gdzie nagrody?

— Jakie nagrody? — spytał zdziwiony nieco królewicz.

— Niech mi Najjaśniejszy Pan daruje — odparł Guarini — po ludzku rzeczy biorąc, tym co najtrafniej strzelać będą, należy coś w nagrodę i na pamiętkę.

— O tém nie pomyślałem — zawołał królewicz, obracając się wkoło i szukając kogoś oczyma.

— Jeżeli mi wolno będzie — przerwał kłaniając się Guarini — to ja zaofiaruję nagród pięć. Wiele nie mogę, ubogi jestem, ale na uciechę mojego najdroższego pana, składam mój mały dar u stóp jego.

Królewiczowi oczy się rozśmiały.

— No co? co? — zapytał.

— A! to moja tajemnica! — zawołał Padre — tego wydać nie mogę przed czasem.

Wskazał ręką na budkę.

— Nagrody moje tam się mieszczą. Pięć najlepszych strzałów je otrzyma.

Zakrawało to na jakąś farsę zabawną, bo O. Guarini liczył się do najgorliwszych króla zabawiaczy; silił się często na koncepta niekoniecznie świeże i wymuskane, byle dobroduszny uśmiech wyprowadzić na twarz spokojną milczącego pana.

— Tom ciekawy — rzekł Fryderyk.

— Wymawiam sobie tylko — dorzucił O. Guarini — abyś N. P. nie należał do współubiegających się o te nagrody. Nie ma wątpliwości, że tu nikt lepiej nie strzela, ale ja dla mojego pana nagrody godnej jego rąk, nie mam. Więc...

Mruknięcie jego oczów, dopowiedziało resztę.

Niecierpliwie sam Fryderyk wziął się do strzelania pierwszy. W istocie od dzieciństwa wprawiając się w użycie broni, strzelał tak, iż mało mu kto mógł zrównać, a gdy w rękę wziął sztuciec, tak już był zajęty i zapalony, że nic w świecie nie widział, nie słyszał, o niczym nie pamiętał, oprócz o strzelbie i kuli. Tarcza była tak urządzona, iż kula, trafiająca

w sam cel jęj, podnosiła do góry chorągiewkę zielono-białą, z barwami saskimi. Kule uderzające w tarczę poza kołem pierwszym, oznaczała chorągiew żółto-czarna, barwy miasta; naostatek najdalej padające, czarną się oznajmywały.

Gdy Fryderyk zaczął strzelać i raz po raz sadzić kule do celu, oklaski i okrzyki mu towarzyszyły. Strzelił tak razy kilkadziesiąt, nim drudzy z kolei poczęli: Sułkowski, Brühl, posłowie obcych dworów, stary generał Baudissin, hrabia Wackerbarth-Salmour, hrabia Loss, baron Schönberg, hrabiowie Gersdorf i inni. Liczono strzały chybione i celne każdego ze współbiegających się. Królewicz zdawał się z niecierpliwością wielką wyglądać rozdania nagród O. Guariniego, który stał na boku skromnie, z rękami w tył założonemi.

Trafiło się przy obliczaniu strzałów, iż stary Baudissin, ociężała dobra figura, poslušna i skromna, wygrał los pierwszy. Królewicz aż wstał z krzesła, szukając oczyma O. Guariniego, który z powagą wielką zawołał dając znak do budki, po włosku, aby wyniesiono pierwszą nagrodę.

Ciekawość obudzona była do najwyższego stopnia. Drzwi się otworzyły, dwóch w liberyi pańskiej pacholków w kanarkowych frakach z granatowemi wyłogami, wyniosło wielki kosz okryty oponą białą, w którym się coś trzepotało.

— Panie generale — odezwał się Guarini z powagą — nie moja wina, że wy na wasz wiek niestosowną otrzymujecie nagrodę; los tak zrzędził: nikt się swojemu przeznaczeniu obronić nie może.

Na dany znak otworzono kosz, podniesiono oponę i na trawniku ukazała się... ogromna gęś, ale nie w tym stroju naturalnym, w jakim przysłała na świat. W rękach znakomitego artysty, stała się ona najpociesznieszem w świecie stworzeniem. Na skrzydłach miała rozpiętą z wytwornej materji suknię, jaką naówczas modne damy nosiły; na nogach trzewiczki, na głowie fryzurę i pióra.

Przestraszone stworzenie, którego ukazanie się ogromny śmiech powitał, poczęło się kręcić chcąc uciec; ale skrzydła pętała suknia, nogi trzewiki, do których gęsi nienawykłe; otwarła więc dziób, jakby wołając o ratunek i potoczyła się między widzów.

Królewicz wzięwszy się za boki, śmiał się do łez, śmieli się więc wszyscy, nawet surowa królewiczówna.

— Drugi, drugi numer! — wołał Fryderyk.

— N. Panie — rzekł O. Guarini — ta pierwsza nagroda zowie się *Angela o l'amorosa*<sup>30</sup>!

— Któż bierze drugą nagrodę?

Druga należała Sułkowskiemu, który jakoś kwaśno ten żarcik Guariniego przyjmował.

Wyniesiono kosz drugi i — w stroju arlekina włoskiego teatru, wyskoczyła z niego małpa, nie mniej od gęsi przestraszona; ale ta, mimo stroju, jak tylko się uczuła wolną, poczęła zmykać i dopadłszy najbliższego drzewa, dosyć zręcznie wdrapała się na nie.

Królewicz nie namyślając się, pochwycił coprędzej sztuciec i strzelił: małpa krzycząc, po gałęziach się czepiając, krwawiąc, upadła na ziemię.

Nagrodą trzecią dla Brühla, który jęj wcale nie pożądał, był przyniesiony w koszyku ogromny zając, przebrany także za *Crispino*. Królewicz i tę nagrodę ubił kulą. Niezmiernie zdawał się ożywiony i szczęśliwy, ręce mu drgały, oczy połyskiwały, śmiał się... i zaledwie przysiadłszy, zrywał się, gdy przyniesiono nagrodę.

Czwartą był szary królik ustrojony za *Scaramuzzia*, który też chciał zmykać przerażony i padł ofiarą myśliwskiej gorączki Fryderyka.

Ostatnia była jedną z najpociesznieszich, i ta, równie jak gęś, ocalała: z kosza wydobył się ogromny indyk ubrany za *Dottore* we fraku, peruce, kamizelce i wszystkiem, co do jego urzędowego stroju należało. Tego komiczna powaga ocaliła.

Śmieli się wszyscy.

Królewicz podziękował Guariniemu i zdobył się na przydłużony frazes, w którym go zapewnił, że nie tylko póki życia tęj doskonałej farsy nie zapomni, ale ją każe naśladować.

Strzelano potem jeszcze dla zabawy, dopóki mrok dozwolił; wieczór był spokojny, piękny i miły, powietrze wonne, widok czarowny. Nikomu się nie chciało wracać z bażantarni. Dwór rozpadł się nieco dokoła.

Los chciał, by w tłumie szambelan Watzdorf stał przy pięknej Frani Kolowrath. Wcześniej to zobaczyła matka, a że za wachlarzem łatwo było rozmowę prowadzić niepostrze-

<sup>30</sup>*Angela o l'amorosa* — wszystkie te nagrody są historyczne. P. Vehse. [przypis autorski]

żonym, usiłowała córkę postawić gdzieindziej, nie mogąc odsunąć Watzdorfa. I to się jej wszakże nie udało. Nie chcąc więcej się dać domyślać patrzącym niż wypadało, musiała ich zostawić z sobą.

Watzdorf nie omieszkiał z tego korzystać. Tego wieczora, zwykle szyderski, był jakoś smutnym i przygnębionym. Nikogo blisko bardzo nie było, mógł więc półgłosem odezwać się do panny Franciszki:

— Prawdziwie jestem wdzięczny losowi za dzień dzisiejszy, a rzadko mi się zdarza być mu wdzięcznym. Winienem mu, że panią moją po raz ostatni pożegnać mogę.

— Jakto po raz ostatni? — podchwyciła Kolowrathówna — nie patrząc na niego.

— Niestety, tak jest. Watzdorfa cień tylko tu stoi; czuję, że nademną wisi nie ubłagana zemsta tego ministra-pazia. Jestem szpiegowanym na każdym kroku, być może, iż i sługi moje kupiono. Nie znalazłem wielu papierów, a inne w nieporządku. Domyślam się rewizyi tajemnej. Jeśli ją dopełniono, jestem zgubiony.

— Uciekaj! — zawołała hrabianka gwałtownie — zaklinam cię na wszystko, na miłość moją, na twoją... uchodź. Tu na ciebie nikt nie patrzy, pierwszy lepszy koń i jesteś w Czechach.

— Tak, i Austriacy mnie jutro tu przywiozą.

— Do Prus, do Hollandyi, do Francyi — mówiła żywo Frania.

— Nie mam ani o czem, ani jak — odparł Watzdorf z zupełną obojętnością — A co gorzej, straciłem ochotę do życia, do wszystkiego. Cóż mi tam? Dla mnie niema szczęścia...

Franiu — dodał cicho — nie wiem, co się stanie zemną; ty jedna może nie zapomnisz o mnie, i ty się pomścisz za Watzdorfa. Będziesz żoną tego człowieka: bądź jego katem...

Musieli zamilknąć dla wrzawy, Watzdorf spojrzął w jej oczy, które strzeliły ku niemu ogniem.

— Jeżeli jutro nie pokażę się na dworze, zemsta mnie dosięgła — rzekł — mam przeczucia, których się pozbyć nie umiem.

— Ale zkadże podejrzenia? zkad domysły?

— Przed godziną wróciwszy do domu, znalazłem wszystko przewrócone; sługa znikł, a z nim to, co mnie mogło najciężej obwinić.

Bądź zdrowa! — dodał głosem wzruszonym. — Ty będziesz żyć, ja zagasnę gdzieś między czterema murami, wśród głuchego milczenia. Franiu, zaklinam cię, upuść chustkę, zgub rękawiczkę; położę ją na sercu: ukoj mój ból twojém wspomnieniem.

Wzruszona Kolowrathówna zręcznie upuściła z rąk chustkę, Watzdorf się schylił i niepostrzeżenie wcisnął ją za suknię, na piersi.

— Dziękuję ci — odezwał się — jeszcze chwila, zgasną dla mnie oczy twoje i innym będą świeciły. Franiu, bądź zdrowa! adio na wieki!...

Temi wyrazami dokończył, widząc zbliżającą się matkę, która prawie gwałtem już, korzystając z zamętu i gwaru, odciągnęła córkę. Watzdorf ustąpił nieco w tył. O kilkanaście kroków tylko od niego, gdy królewicza zabawił O. Guarini i żona, spotkali się na stronie Brühl z Sułkowskim.

— Słowo, — rzekł pierwszy poruszonym głosem — nie omyliły mnie moje domysły.

— Jakże? co? — spytał hrabia dosyć obojętnie.

— Zrobiono rewizyę u Watzdorfa, przetrzęsiono papiery; pełno paszkwilów — mniej-sza o to: pięćdziesiąt sztuk medalów i list fabrykanta, który mu się tłumaczy, iż rysunek przysłany jak mógł najlepiej wykonał.

Dowód tak zabijający, iż więcej na zgubienie człowieka nie potrzeba...

Słyszając to Sułkowski, pobladł.

Brühl wsunął mu w rękę papier.

— Weźcie to, proszę; ja sam przez się nic czynić nie chcę — uczynicie co się wam podoba; lecz jeśli Watzdorfa nie wsadzicie do Koenigsteinu... Któż wie, czy tam jeden z nas później nie zajmie miejsca dlań przeznaczonego. Zuchwalstwo i bezwstyd wiele mogą... Czyń hrabio co chcesz, ja ręce umyвам, osobistój krzywdybym nie poszukiwał... Królewicz jest dotknięty... To zbrodnia obrażonego majestatu, a za tę karzą śmiercią...

To mówiąc Brühl, szybko się usunął; twarz jego przybrała zwykły uśmiech. O kilka kroków zobaczył hr. Moszyńską i zwolna zwrócił się do niej, witając ją z poszanowaniem



i ceremonialną unizonością, na co piękna Fryderyka dumnym i zimnym skinieniem głowy odpowiedziała.

Frana Kolowrathówna szła jakby ciągniona przez matkę, pół martwa, dumna, milcząca, ale bez łzy w oku. Kilka razy obejrzała się, gdzie stał Watzdorf, który się zdawał też ani słyszeć co się dookoła niego działo.

Wśród tego zamyślenia gorzkiego zjawiał się przed oczyma Kolowrathównę hrabia Brühl z niskim ukłonem i wdzięcznym uśmiechem. Dumnemu dziewczęciu oczy zajaśniały, wyprostowała się, i z góry, z pewnym rodzajem wzgardy zmierzyła wzrokiem ministra.

— Nieprawdaż — odezwał się słodko — że zabawa była nadzwyczaj dowcipna i piękna?

— A panowie strzelaliście do podziwienia trafnie — odparła Frana — i nie wątpię, że równiebyście i do ludzi potrafiли...

Brühl spojrział bystro.

— Niewiele w tym mam wprawy — rzekł zimno — ale gdyby w obronie Najjaśniejszego Pana przyszło wziąć jakkolwiek broń w ręce, nie wątpię, że celniebym strzelał i śmiało.

Pani się także bawiłaś, jak uważałem, doskonale, rozmową z szambelanem Watzdorfem — dodał spoglądając na nią.

— W istocie — odezwała się Kolowrathówna — Watzdorf jest niezmiernie dowcipny: strzelał słowami jak panowie kulami.

— Niebezpieczna to broń, kto się z nią dobrze obchodzić nie umie — rzekł Brühl — można nieostroźnie zabić się samemu...

Stara Ochmistrzyni przerwała tę niemiłą rozmowę, wejrzenie Frani ją zamknęło. Chciała zrazu przemówić do Brühla, duma jej nie dozwoliła; nie była też pewną, czy Watzdorf nie przesadził niebezpieczeństwa i nie tłumaczył fałszywie kradzieży popełnionej w domu.

Królewiczówna nieco wcześniej wyjechała z damami, Fryderyk w poufałym gronku pozostał. Oddawna już Sułkowski usiłował się zbliżyć do niego. Część drogi chciał królewicz przebyć pieszo, skorzystał z tego ulubieniec i zajął miejsce przy nim.

Inni szli opodal nieco.

Brühl uparcie towarzyszył Ochmistrzyni.

Gdy pozostali sam na sam z królewiczem, który był w bardzo wesołym usposobieniu, Sułkowski nie chciał czekać dłużej ze sprawą Watzdorfa. Ciężyła mu ona, rad się był jej pozbyć co rychlej, a być może, iż lękał się ucieczki szambelana, gdyby postrzegł się zdradzonym.

— Po takiej miłej zabawie — odezwał się Sułkowski — co to za niemiły obowiązek, być zmuszonym zasmucić W. Królewiczowską Mość.

Posłyszawszy to Fryderyk, posępną zrobił minę i spojrział z ukosa na ministra, jak gdyby mu się chciał wypraszać, ale ten po małym przestanku mówił dalej:

— Rzecz jest nie cierpiąca zwłoki, wystawieni jesteście ja i Brühl, a nawet pan nasz najmiłościwszy na pośmiewisko Europy; nie mówiłem o tym wprzód, chcąc oszczędzić przykrego wrażenia, jakie niewdzięczność obudza... W Holandyi wybito medal szyderski... ohydny.

Fryderyk przestraszony, zżymnął się, stanął; twarz mu zbladła jak ojcu, gdy w gniew ów straszny wpadał i od pamięci odchodził.

— Nie chciałem wspominać o tym, dopóki nie odkryliśmy sprawcy — kończył Sułkowski. Ja i Brühl przebaczylibyśmy obrazę naszą, ale obrazy majestatu jako ministrowie nie możemy puścić bezkarnie.

— Ale któż? kto? — zapytał Fryderyk.

— Człowiek okryty łaskami waszemi, którego cała rodzina winna wszystko Najjaśniejszego Pana ojcu i jemu. Niewdzięczność i zuchwalstwo bezprzykładne...

— Kto? kto? — nalegał królewicz.

— Szambelan Watzdorf...

Królewicz powiódł oczyma osłupiałemi dookoła.

— Macie dowód?

— Przy sobie: w ręku trzymam list znaleziony u niego i medale...

— Widzieć nie chcę, nie chcę — odparł królewicz, ręką się zasłaniając — ani ich, ani jego: precz... precz.

— Puścić go bezkarnie? — zapytał Sułkowski — nie może być. Poniesie za granicę potwarze i szerzyć je będzie, kto wie jakie? Może na ś. p. ojca W. Królewskiej Mości...

— Szambelan Watzdorf? Watzdorf młodszy? — powtarzał Fryderyk — lecz cóż? lecz jakże...

To mówiąc, otarł pot z czoła.

— Königstein — rzekł krótko Sułkowski.

Nastąpiło milczenie... ze spuszczoną głową szedł z wolna królewicz: była to pierwsza za jego panowania wina i kara tak surowa.

— Gdzie Brühl? — spytał.

— Brühl zostawił to mnie i poruczył — odpowiedział hrabia.

— Watzdorf! Königstein! — powtarzał wzdychając Fryderyk; potem stanął, wlepił oczy w Sułkowskiego i rzekł:

— Nie chcę o tém słyszeć więcej; dość — nie chcę. Róbcie co chcecie...

Sułkowski odwrócił się ku idącemu za niemi O. Guariniemu, który królewicza najlepiej umiał rozśmieszać i skinął nań. Padre przybiegł copędzój, nie domyślając się więcej nic, oprócz że był tu na coś potrzebny.

— Jestem w rozpacz! — zawołał — gęś moja, *Angela o l'amorosa*, zginęła... uleciała, widząc się pogardzoną przez Baudissina; musiała się puścić w lasy szukając śmierci. Biegałem za nią i miałem to nieszczęście, że trzy panie nasze brał z kolei za gęsi: nigdy mi tego nie darują...

Smutna twarz królewicza, w miarę jak słuchał rozjaśniać się zaczęła. Jak z posępnego nieba chmury, schodziły z pięknego jój czoła marszczki; usta ściśnięte rozchodziły się, na policzkach pierwiosnek uśmiechu zarysował dwa ledwie znaczne fałdy; białe zęby pokazały się z pod warg powoli. Patrzał na jezuitę, jakby w jego pogodnej, naiwnie uśmiechniętej twarzy, trochę przypominającej włoskiego pulcinella, chciał zaczerpnąć potrzebnego mu wesela...

Guarini przeczuwszy, że coś dlań niezrozumiałego musiało dobrego pana zasmucić, wysilił się z całym swoim dowcipem, aby co rychłej zetrzeć ślady nie miłego wrażenia.

Jakoż w miarę jak się sypały włoskie żarty i przycinki, królewicz zdawał się zapominać o doznanej przykrości i dobrodusznie znowu mu się uśmiechał. Lecz trzeba było wysiłków kilku wesołego Ojca, aby całkowicie znieść powracającą chmurę tę i nie dał spoczynku królewiczowi, aż póki nie posłyszał tego znanego sobie głośniego, szczerzego śmiechu, który zwiastował, że Naj. Pan o troskach tego świata zapomniał całkowicie.

Nazajutrz znikł radzca i szambelan królewski Watzdorf. Nikt się nie śmiał dopytywać zrazu, co się z nim stało: była to pierwsza tego panowania ofiara. W kilka dni pocichu zaczęto szeptać sobie, iż go zawieziono do Königsteinu. Królewicz nigdy więcej imienia jego nie wspominał; Sułkowski i Brühl zdawali się nie chcieć wiedzieć o tém.

Trwoga padła na dwór i nieprzyjaciół skrytych obu ministrów. Brühl, przy zdarzonej okoliczności, o ile mógł głośnie, umył ręce od téj sprawy, zarzekając się, iż wcale o niej nie wie i do niczego się nie mieszał.

W Merkuryszu historycznym, rodzaju gazety francuzkiej, wychodzącej naówczas, stały wkrótce potem następujące słowa:

„Ci, którzy znali zblizka swawolny i satyryczny sposób myślenia tego młodego pana, który w sprawach bezpośrednio po śmierci Augusta Mocnego zaszłych, nie jedną miał zręczność, z kaustycznym swym się popisać dowcipem, nie będą zdziwieni katastrofą, jaką mu oddawna wprzód przepowiadano.”

Watzdorf już się nigdy więcej nie pokazał światu. Po czternastoletniem więzieniu na Königsteinie, zmarł dobity tęsknotą i niewolą.

## II

W rok po tych wypadkach, pałac w którym Brühl mieszkał, jaśniał rzęsistemi światłami. Nigdzie wspaniałej jak w Dreźnie nie umiano występować przy uroczystościach, nigdzie się nie bawiono z większym przepychem, którego tradycje po sobie August Mocny zostawił. Od dworu zbytek ten przechodził do otaczających pana, potem do zetkniętych z nimi: do mających stosunki z wyższem towarzystwem, w części nawet do zamożnego

mieszczanstwa. Bankierowie ówczesni dawali bale dla dworu, mile był widziany każdy, kto się do zabawy przyczyniał, a umiał się czémś niespodziewaném przysłużyć.

Ognie sztuczne, illuminacye, wieńce, kwiaty, muzyki, obrazy występowały, ilekroć najmniejsza nastroczała się zrzęczność<sup>31</sup>.

Brühl był jednym z najrozrzutniejszych dorobkowiczów swojego czasu, dziwił on tych nawet, którzy się czemukolwiek dziwować przestali. Oświecenie jego pałacyku wytwornością swą przechodziło oddawna widywane w stolicy. Ogromny tłum ludu w pewném przyzwoitém oddaleniu przypatrywał się z poszanowaniem należném kamienicy tak możnego pana, błyszczącej różnokolorowemi lampami, jakby wieńcami drogich kamieni i kwiatów. Na samym szczycie nad bramą w owalnej tarczy, po nad którą spadały dwie girlandy różowe z zielnią, białemi gwiazdy wysadzone, świeciły dwie czule z sobą złączone głoski: *F* i *H*. Trochę niżej dwie w transparentach tarcze herbowe, pochylone ku sobie i sparte, mieściły dwa pola niezrozumiałemi dla gminu hieroglifami heraldycznymi zapisane. Dworacy tłumaczyli ciekawym, że to były nowożeńców rodowe znamiona.

Cizba stała już dość długo przed pałacykiem, gdy od strony zamku z pochodniami, z laufrem, z pocztylionami przodem nadjechała karetka. Wiozła ona matkę i państwa młodych, którzy po przyjęciu i balu na zamku do własnego powracali domu. Piękna pani pierwszy raz miała jego próg przestąpić.

Chociaż nad nią nie spodziewano się innych gości, od sieni aż na pierwsze piętro wiodące wschody zajęte były po obu stronach całym szeregiem w pyszną liberyą postrojonych lokajów; na górze stali kamerdynerowie, marszałek dworu i pазie ministra.

Królewsko już urządzony był dom jego na przybycie żony: wyświeżony, odnowiony i powiększony. Świecił cały od porcelany, srebro, bronzów, kobierców i tysiąca fraszek a cacek, któremi wiek ów otaczać się lubił. Brühl tłumaczył się z tej okazyłości tém, że panu swojemu honor nią czynił; żaręczał, że ostatni grosz oddawał na nią, aby przepychem swoim saskiemu domowi przyczynić blasku. Gdy powóz zatrzymał się przeddrzwiami pałacu i wielka ochmistrzyni wysiadła z niego z pomocą zięcia, dano jej pierwszy krok i sama powoli weszła na górę. Brühl chciał podać rękę żonie, która udawa, że tego ruchu nie widzi i poszła obok niego sama. Piękna twarz panny Franciszki na ten dzień miała wyraz powagi, dumy i smutku, obudzający w świadkach podziwienie. Śladu weselnego szczęścia na tém obliczu pochmurném nie było. Wszystkie cuda i świejące przystrojenia kosztowne domu obojętném mierzyła okiem, jakby ich widzieć nie chciała; szła jak ofiara zrezygnowana, która wie, że się losowi nie oprze, ale się szczęścia nie spodziewa. Znać miała czas ostygnąć, rozmyślić się, oswoić z położeniem swoim, bo i straszego bólu nie niosła na twarzy, ale chłód tylko przerażający.

Ból jeśli był, stał się chorobą trawiącą, powolną, która się z życiem splotła.

W salce na górze, której ściany rzęsystemi wiązkami jarzącego światła były okryte i błyszcząły całe lustrami, kryształowemi lzy i iskrzącemi ramami obrazów, zatrzymała się hrabina Kolowrath, obejrzała się, szukając córki idącej za nią. Frania szła i stanęła przy niej milcząca. Z drugiej strony Brühl w fioletowym ze złotem fraku aksamitnym ślubnym, w białej ze złotem kamizelce i koronkach, z uśmiechem na ustach, z bukietem u guzika, stał z pokorą i słodyczą uśmiechając się do matki.

Milcząco przysunęła się ona do córki, pochyliła głowę, przyłożyła usta do jej czoła i długim pocałunkiem żegnała odchodzące dziecię, które nie wzruszyło się tym czułości dowodem. Matce, choć dwór i życie ostudziły ją dawno, lzy się zakręciły w oczach.

— Bądźcież szczęśliwi — szepnęła — błogosławię was! Bądźcie szczęśliwi — i rękę przyłożyła do oczów wzruszona. Brühl pochwycił drugą, okrywając ją pocałunkami.

— Potrzebujecie być sami — dodała głosem złamanym. — Moim obowiązkiem było odwiedzić tu was i pobłogosławić; niechce was męczyć: ja sama muszę spocząć po tych wrażeniach...

Odwróciła się do Brühla.

— Polecam ci żonę — rzekła — bądź dla niej dobrym, bądź przywiązanym mężem. Frania przywiąże się też do ciebie: bądźcie szczęśliwi! Szczęście na ziemi kochać i niestałe... słodzić sobie należy dni życia a nie zatruwać. Franiu, ufam, że będziesz i ty dobrą dla niego...

<sup>31</sup>zrzęczność (daw.) — dziś: sposobność, możliwość [przypis edytorski]

Zakryła oczy, jakby jakaś myśl dopowiedzieć jej przeszkadzała, co miała w duszy, jakby coś wstrzymywało jej wyrazy na ustach; jakby się byli powinni dorozumieć wiele, czego dotknąć nie mogła.

Jeszcze raz pochyliła się do czoła córki, która stała jak posąg marmurowy. Brühl pocałował ją w rękę, ruszyła się do powrotu. Zięć podał jej rękę z wdziękiem i nadskakującą grzecznością i prowadził znowu na dół do oczekującego dworskiego powozu, do którego wsiadła, słowa nie mówiąc, w. ochmistrzyni i rzuciła się w głąb jego, ukrywając od oczów ciekawej gawiedzi.

Na górze pozostała sama jedna na chwilę pani młoda, jeszcze się nie poruszyła z miejsca zadumana, a gdy Brühl powrócił i rękę jej chciał ująć, spojrzła nań niemal zdziwionymi oczyma, jakby zapomniała i gdzie była i że się stała żoną jego.

— Na miłość Bożą! — szepnął minister — tysiące oczów i z ulicy i w domu patrzy na nas: bądźmy choć dla nich szczęśliwi. Na scenie życia wszyscyśmy aktorami (był to ulubiony i często powtarzany aksjomat jego), odegrajmyż dobrze naszą rolę.

To mówiąc, podał jej rękę i obojętną poprowadził przez cały szereg oświeconych pokojów, ku jej apartamentom. Wszystko, co roztargnione oczy jej spotykały, było tak wspaniałe, bogate i piękne, że w każdym, prócz niej wywołałoby okrzyk zachwycenia. Ona szła nie patrząc i nie widząc. Znaleźli się wreszcie w gabinecie toaletowym pani, poprzedzającym wyświeżoną sypialnię, w której dwie alabastrowe na kolumnach lampy, blade, tajemnicze światło roztaczały.

Młoda pani zobaczywszy przed sobą drzwi otwarte, stanęła: oczyma poszukała krzesła i padła na stojące przed gotownią. Sparła rękę na stole okrytym koronkową oponą i zadumała się milcząca.

Tu byli sami, szmer tylko ciżby z ulicy, podziwiającej illuminacją dochodził.

— Pani — rzekł Brühl głosem słodkim i miękkim — jesteś w swym domu, a pierwszy twój sługa stoi przed tobą.

Chciał przyklęknąć przed nią; Frania powstała nagle, westchnęła, jakby z piersi zrzuciła ciężar i zawołała głosem, w którym smutku nie było:

— Komedyi dosyć mamy dzień cały, z sobą jej grać nie potrzebujemy: uwolń mnie pan od niej i siebie. Musimy być szczerzy i otwarcie bądźmy nimi od pierwszego dnia. Zawarliśmy nie małżeństwo, nie związek serca, ale kontrakt: starajmy się go korzystnym dla obu stron uczynić.

Zaczęła przed gotownią, nie patrząc na stojącego za nią Brühla, zdejmować wieniec z głowy i długą zasłonę. W głosie wzruszenia czuć nie było.

— Jeśli pan nie życzysz sobie — dodała — aby naszą rozmowę podsłuchiowano, racz się upewnić, żeśmy sami.

— Tego pewien jestem, bo wydałem rozkazy — zawołał Brühl zimno — a moje rozkazy zwykle są szanowane.

Frania nie mówiła nic: z flaszki, stojącej na gotowni wzięła dla orzeźwienia się Larendogry i odwilżyła nią skronie.

— Szczęśliwą jak bywają inne kobiety — mówiła głosem jasnym, stojąc ciągle u gotowni i rozpinając drobne stroju swego dodatki, Frania — szczęśliwą być nie mogę... ten którego kochałam, nie kryję się z tym, leży w więzieniu na słomie wilgotnej i niema promyka słońca, ani niebios widoku... Wacpan kochasz inną, jesteśmy sobie obojętni; chociaż nikt mi nie mówił, na jaką jestem przeznaczona ofiarę, rozumiem to dobrze. Ale chcę życia użyć i użyję go... swobodnie, wszystkich jego przyjemności i rozkoszy. Trucizna musi być osłodzona; to mi się należy... Lubię przepych i mieć go będę około siebie, potrzebuję roztargnienia, aby nie płakać; wrzawy, aby głosu serca nie słyszeć: wszystko to być musi... Pan mi jesteś obcym, ja panu... możemy być dobrymi przyjaciółmi, jeśli zasłużysz na to... Któż wie, mogę mieć fantazją jaką i przez parę dni stać się miłą dla niego, ale niewolnicą niczyją nie będę... nawet...

Odwróciła się ku Brühlowi, który stał niemy i zakłopotany.

— Rozumiesz mnie pan?

Minister milczał.

— Nikt mi o niczym w świecie nie mówił — ciągnęła dalej — kobiecym instynktem odgadłam wszystko; przeznaczenie moje znam i wiem...

— Pani — przerwał Brühl — są rzeczy, które przez usta przechodzić nie powinny, które zdradzić, jest to się skazać...

— Nie potrzebujesz mi mówić tego, ja wiem wszystko; powtarzam panu nawet to, co się panu zdaje tajemnicą. August II potrzebował sławy i rozgłosu ze swych miłostek, pobożny syn jego nie dopuści nawet podejrzenia na siebie. Dlatego wszystko się musi ułożyć tak, aby ludzkie oko nie widziało, ludzkie nie słyszało ucho.

I sucho śmiać się zaczęła.

— Spodziewam się, że dając panu władzę... potęgę, łaskę, sama też korzystać z nich muszę, i żądam, aby moje fantazje były poszanowane; a że mieć będę fantazje, to niezawodna. Ciekawą jestem życia, łaknę go, potrzebuję się upić, aby o bólu zapomnieć.

— Myślisz — poczęła żywiej — że mi w którejkolwiek życia godzinie zniknie z oczu obraz tego nieszczęśliwego? Widzę mury, któremiście go otoczyli; izdebkę ciemną, tarcz<sup>32</sup> twardy, twarz stróża i oblicze jego zwiędłe, w długich jak wieki dniach, wpatrzona w małe okienko. Ale w tym człowieku mieszka wielki duch co go trzyma, co go może będzie trzymać tak długo, aż się kiedy drzwi więzienia otworzą. Prawda to, że druga wasza ofiara, biedny Hoym już się obwiesił w więzieniu?

Brühl patrzył w podłogę.

— Tak — rzekł sucho — i szkoda nie wielka: ja po nim płakać nie będę.

— Ja także nie — odparła Frania — ale tamtego nie zapomnę. Rozumiesz pan, że ręka co go tam strąciła, choć ją z moją u ołtarza związano... ścisnąć méj dłoni nie może... Jesteśmy i będziemy sobie obcy.

Uśmiechnęła się szydersko.

— Przyjąłeś pan katolicką wiarę dla mnie — rzekła — chociaż i to być ma tajemnicą. To także zaleca mi was niepospolicie! Co za takt i polityka!! Król polski potrzebuje ministra katolika w Polsce: Brühl jest tam katolikiem; Kurfirst saski musi mieć protestanta w Saxonii: Brühl tu będzie gorliwym luteraninem. Gdyby Zinzendorf został królem u Morawskich Braci, panbyś pewnie należał do herrnhuckiej gminy... *C'est parfait! c'est délicieux!*

— Pani! — zawołał głosem wzruszonym Brühl — nie wiedząc, dotknęłaś mnie najboleśniej. Ja jestem chrześcjaninem i pobożnym; wyznanie dla mnie rzeczą podrzędną, ale ewangelia i jój przepisy, miłość Zbawiciela...

Wzniósł oczy w niebo.

— To należy do pańskiej roli: rozumiem — odezwała się Frania — a więc usuńmy to. Jabym spocząć pragnęła i być samą.

Spojrzała mu w oczy.

— Lecz cóż powiē służba? co pomyślą ludzie, jeśli pani mnie ztąd wypędzisz? To nie może być!

— Ale inaczej być nie może — zawołała Frania — pan możesz tu w gabinecie na sofce, na fotelu, gdzie chcesz przepędzić noc, ja pójdę do sypialni i zamknę się.

Brühl spojrzał na nią niespokojny.

— Pozwolisz więc pani, abym poszedł się przebrać i powrócił tu. Nikt w świecie stosunku naszego znać ani się go domyślać nie powinien. To pani wiadomo.

— Rozumiem! rozumiem! musi to być wszystko tajemnicą, a my najczulszemi małżonkami. Wyznaj pan, że po białym dniu to platoniczne małżeństwo nasze, będzie nadzwyczaj zabawne. Ludzie będą panu zazdrościć, kobiety mnie; bo pan dla innych jesteś nie brzydkim mężczyzną, ale król daleko od was piękniejszy i — król w dodatku! Wołę być tajemną króla kochanką, niż prawdziwą ministra żoną.

Z szyderstwem śmiać się zaczęła.

— Wystawiam sobie jak N. pan na mnie przy żonie obawiać się będzie rzucić okiem, jaki będzie musiał być chłodny...

— Pani — łamiąc ręce przerwał Brühl — ściany mają uszy!

Frania ruszyła ramionami.

— Pani wiēsz — szepnęła — że gdyby się to nietylko wydać miało, ale gdyby najlżejsze posądzenie, cień tylko prawdy wyszedł na świat, dla mnie i dla was wszystko zgubione.

<sup>32</sup>tarczan (daw.) — dziś: tapczan. [przypis edytorski]

— Szczególniej dla mnie — odparła kobieta — bobym została z panem *en tête à tête*, bez żadnego widoku pociechy, a toby mi życie struło...

Więc — cicho.

Brühl, nic nie mówiąc, wysunął się z pokoju. Salony, które przechodził, jeszcze stały oświetlone; przesunął się przez nie wolnym krokiem i na drugim ich końcu wszedł do swojego gabinetu. Kamerdyner i lokaj czekali tu na niego, wiedząc, że przyjdzie się przebierać.

Na stoliczku leżał strój ranny: paradny szlafrok z lyońskiego atlasu niebieskiego w żywo barwione kwiaty i świeża, biała jak śnieg bielizna, i lekkie buciki jedwabne. Wszystko to było niepokalaną świeżością.

Ponieważ przejście przez salony miało być znakiem pogaszenia światła, kamerdyner wziął dwa srebrne lichtarze w ręce i poszedł przodem, świecąc mu do sypialni. U drzwi jój Brühl go skinieniem odprawił i wszedł.

W gabinecie nie było nikogo, oprócz zrzuconej zasłony i wianka pani młodej, jój rękawiczek i chustki. Drzwi dalsze od sypialni, były zamknięte.

Nocna lampka paliła się w kątku... w pokoju mrok panował i cisza. Zégar w mieście bił późną nocy godzinę. Brühl spojrzął najprzód przez okno, w ulicy już było pusto, illuminacya gasła. Po nad czarnymi kamienicami, stojącymi w mrokach, księżyc się wzbil wysoko i pływał w bawelnianych chmurach białych.

Noc była ciepła, letnia, milcząca... otworzył zdaleka okno, bo go powietrze dusiło.

W sypialni najmniejszego nie słychać było szelestu.

Mąż pięknej Frani, przeszedłszy kilka razy po pokoju, obejrzał się, szukając miejsca dla spoczynku. Maleńka sofka i przystawione do niej krzesło, musiały mu zastąpić posłanie. Sparł się na rękę i dumał... uśmiech ironiczny przebiegał mu usta, kilka razy spojrzął na drzwi sypialni i wkrótce, wszedłszy w innego rodzaju rozmyślenia o przyszłości, znużony drzemać zaczął.

W snach przed oczyma śniło mu się złoto, świeciły brylanty, przewijały koronki, sunął cały przepych królewski, niemy, bez twarzy ludzkiej, bez serca; potem obłoki białe, na nich cyfra z hrabiowską koroną i mroki.

Gdy oczy znużone otworzył, dzień już był biały, który go nieco przestraszył. Ruszył się coperędzej z improwizowanego, a niewygodnego łóżka swego, krzesło postawił w miejscu, obwinął szlafrokiem i na palcach wyszedł do swoich pokojów.

Oczy jego szukały najprzód zégara... z przerażeniem ujrzał na jednym z nich godzinę szóstą ranną, o której zwykł był dzień już rozpoczynać. Wchodząc do gabinetu swego, spostrzegł też stojącego już w pośrodku O. Guariniego, w swym rannym surducie szarym z czarnymi guzickami, uśmiechającego się dobrodusznie.

Jezuita pozdrowił go milczący uściskiem ręki, którą Brühl ucałował, zarumieniony nieco i zmieszany. Nim przemówili, oczy ich nawzajem się badając, po kilkakroć spojrzały na siebie wzajemnie.

Guarini zbliżył się doń z tajemniczą twarzą.

— Ministrowie, jak wy, nawet nazajutrz po ślubie, nie mają prawa wysypiać się długo, szczególnie tacy, jak wy, co macie nieprzyjaciół groźnych.

Rękę podniósł do góry,

— Z wami Ojcie i przy pomocy królowej, obawiać się ich nie mam potrzeby — odezwał się Brühl.

— Obawiać się i być ostrożnym potrzeba zawsze — szepnął O. Guarini... Zawsze, choćbyście mieli za sobą królową nawet, bo królowe nie zawsze panują, mój drogi.

— Ale wy Ojcie — jeszcze ciszej dodał minister — panujecie i panować spodziewam się będziecie sumieniu króla, a pana naszego zawsze.

— Moje dziecko, ja też nie jestem nieśmiertelny, jestem stary i czuję żem grat, który wkrótce pójdzie na śmietnisko.

Chwilkę pomilczeli. Guarini się przeszedł po pokoju z rękami w tył założonemi.

— Księcia Lichtensteina trochę przysposobiłem i ja, i królowa — rzekł — ale powoli idzie, ogłędnie i w ogóle z tą całą kampanią naszą spieszyć nie można.

Dajmy czas królowi, mnie, okolicznościom, aby naszego pana przysposobiły. Dotąd Sułkowski u niego pierwszym. Sułkowski wszystkiem... Wy pamięć ojca macie za sobą; starajcie się mieć coś więcej...

Zamilkł O. Guarini.

— *Piano, piano, pianissimo!* — szeptał.

Do naszego pana, trzeba umieć mówić, umieć trafić. *Al canto si conosce l'ucello, ed ad parlar il cervello* (Ze śpiewu poznać ptaka, a z mowy mózgownicę).

I uśmiechał się pocziwy Padre, a że lubił włoskie, ludowe pogadanki dodał: *Duro con duro non fan mai muro*. (Twardy z twardym muru nie zlepi). Sułkowski bywa *duro*, waćpan powinienes być mięciuchny i giętki.

*Ma piano, piano!*

Tu zbliżywszy się do ucha, począł coś szeptać żywo i ruchami rąk sobie dopomagając, potem na zégar spojrzawszy, chwycił za kapelusz i wyniósł się pospiesznie.

Z drugiej strony już pukano.

Żółta, pokrzywiona twarz Henniecke, pokazała się ostrożnie we drzwiach napół ode-mkniętych i cały radzca wszedł za nią. Pod pachą dźwigał masę papierów; najprzód zmierzył okiem Brühla, jakby z twarzy się dobadywał termometru humoru.

— Ekscelencyo — rzekł — najprzód powinszowania moje.

— Najprzód interesa — przerwał minister... — pieniędzy potrzebujemy, pieniędzy i zawsze pieniędzy dla dworu, dla spraw w Polsce, dla króla, dla mnie, dla ciebie, nie licząc Sułkowskiego... Henniecke — pieniędzy!

Zaciął usta ex-lokaj.

— Piszczą łajdaki — odezwał się — szlachta się zżyma, miasteczka burzą, odwołują się do przywilejów, do *immunitates*, do uchwał.

— Kto? — zapytał Brühl.

— Prawie wszyscy.

— Ale któż ich prowadzi? Któż najgłośniej gada?

— Jest ich dosyć.

— Trzech lub czterech... posłać szwajcarów niech wezmą i do Pleissenburga; tam rozum przychodzi: reszta będzie siedzieć cicho.

— Ale kogo wybrać — spytał Henniecke.

— Zwątpiłbym o sobie, gdybyś tego nie rozumiał. Za wysoko nie sięgaj, żeby którego z Sułkowszczyków nie zaczepić. Za nisko nie bierz, bo to się nie zdało na nic. Człowieka, co ma stosunki na dworze, nie ruszaj; ale pokaźnych parę...

— A racya? — spytał ex-lokaj.

Brühl się rozśmiał. Czy ja ci potrzebuję racyą dyktować? Słowo głośno wyrzeczone, obraza majestatu; rozumiesz, lub... głupiś... Henniecke.

— Rozumiem — rzekł Henniecke i westchnął.

Brühl się zaczął przechadzać żywo.

— Nie wiem, czy Globiga dziś zobaczę; trzeba, żebyś mu powiedział odemnie, że moich rozkazów nie spełniają.

Na ostatniem polowaniu o włos mały, nie podano petycyi królowi... Szlachcic się zaczął w krzaku. Na kilka godzin wprzód przed polowaniem, przejażdżką, wyjściem, drogi powinny być oczyszczone, postawione warty: żywej duszy nie można się dać docisnąć... Kto wie, w jakim zamiarze...

— Ja, Ekscellencyo, wszystkiego sam dopilnować nie mogę... a Loss, a Stammer, a Globig, a inni, co robią?

— Henniecke powinien mieć rozum za wszystkich, jeśli za nich chce mieć łaski.

Znowu rozmowa w poufały się szept zmieniła, ale ten trwał niedługo. Brühl ziewał znużony. Henniecke zrozumiał to i wysunął się. Przyniesiono czekoladę. Połknął ją z kilkoma biszkoptami prędko Brühl, wody się napił i dzwonił już na swojego mistrza garderoby.

W pokoju do ubierania było wszystko gotowém, tak, że ranny strój nie wiele czasu kosztował. *Port-chaise* stała u ganku z hajdukami.

Była godzina dziewiąta prawie, gdy minister kazał się wieźć do mieszkania posła austriackiego, księcia Wacława Lichtensteina. Poselstwo naówczas zajmowało jeden z domów w Starym Rynku; podróż więc długą nie była. O téj godzinie zwykle Brühl bywał już u króla, tego ranku korzystał ze swobody, jaką mu dawał ślub wczorajszy, aby odwiedzić księcia Lichtensteina.

Gdy oznajmiono o Brühlu, ksiązę sam wyszedł naprzeciw niego do sali. Minister nie zapominał o tém, że dziś dla całego świata powinien mieć twarz najszcześliwszego

w świecie człowieka. Choć trochę znużenie na niej widać było, promieniowała doskonale przybraną radością i swobodą.

Książę Lichtenstein w całym znaczeniu wyrazu pan i dworak, jednego z najstarszych w Europie domów panujących, miał fizyognomią do swej roli wybornie stworzoną. Słuszny, piękny, rysów szlacheckich, postawy pańskiej, grzeczny, miły, w oczach miał polski rozum i przebiegłości dyplomatycznej. Jakkolwiek Brühl niedawno małym był szlachetką, dziś pierwszy minister spokrewnionego z austriackim domem, mąż hrabianki Kolowrath, stał prawie z Lichtensteinem na równi. Miał jednak takt nie okazywać tego po sobie i z grzecznością tylko, ale z uszanowaniem, przywitał gościa.

Wymieniwszy słów kilka, wyszli do gabinetu. Książę podał mu krzesło i posadził go naprzeciw siebie.

— Wracam — rzekł — do wczoraj tak nieszczęśliwie przerwanej rozmowy.

Mój drogi panie Henryku, zapewniam was, możecie się wszystkiego dobrego spodziewać od mojego dworu: tytułu, majątku, protekcji, opieki w każdym razie, ale musimy z sobą iść ręką w rękę... rozumiecie mnie.

Brühl podał rękę natychmiast.

— Musimy iść ręką w rękę — rzekł — tak jest; ale rąk naszych nikt nie powinien widzieć... najgłębsza tajemnica: inaczej wszystko to pryśnie jutro. Padnę ja, a ze mną ten, co wam jeden służy tu wiernie.

— Czyż wątpicie? — zapytał książę — moje słowo waży, jak cesarskie...

— Pierwszego mi starczy — podchwycił Brühl.

— Jesteż to prawdą, możeż to być, ażeby Sułkowski miał jakieś myśli i plany na przyszłość? — spytał książę.

— To nie ulega wątpliwości.

— Ale nic określonego.

— A! — zawołał Brühl — określonego tak dalece, iż wiem, że się tyczy zajęcia Czech... plan jest osnuty nie w myśli, ale na papierze...

— Wyście go widzieli!

Brühl się uśmiechnął tylko.

— Moglibyście go mieć? — dodał nagle książę Lichtenstein.

Uśmiech ministra stał się jeszcze wyrazistszym.

Książę pochylał się doń i pochwycił go za obiedwie ręce.

— Jeśli mi dacie ten plan na piśmie, jeśli mi go dacie...

Zawahał się nieco.

— To tak, jakbym głowę moją dał w ręce księciu — odparł cicho Brühl.

— Ale spodziewam się, że moglibyście i ją mi powierzyć — przerwał Lichtenstein.

— Bezwątpienia — mówił dalej minister — lecz gdy plan będzie w rękach waszych, naówczas nie ma innej alternatywy: jeden z nas paść musi. Wiecie książę, jak król jest do niego przywiązany...

Lichtenstein porwał się z siedzenia.

— Ale my mamy królową, my mamy O. Guariniego, my mamy was i O. Voglera, i Faustynę! — zawołał szybko.

Brühl się uśmiechnął.

— Sułkowski ma słabość i serce królewskie.

— Prawda, że ludzie słabi bywają uparci — odezwał się książę — lecz na słabych zawsze powolnie i zręcznie działając, wpłynąć można. Nigdy nagle, bo ich słabość, którą czują sami, rodzi upór: należy ich tak brać, aby nie wiedzieli, że są wzięci, aby sądzili, że działają przez się sami. Od czegoż poczciwy O. Guarini!

— Sułkowski jest towarzyszem młodości króla, jest jego powiernikiem w tych sprawach, w których król nie zwierza się nikomu.

— Nie przeczę, że robota trudna; nie uznaję jej jednak niepodobną — odparł Lichtenstein... Ale ten plan? na Boga! widzieliście go? czytaliście go?!

Niecierpliwą tę natarczywość księcia, powstrzymał Brühl zimną twarzą i postawą.

— Pozwolisz książę, abyśmy mówili najprzód o warunkach.

— Z największą chęcią.

— Ubolewam nad tym, bo cenię Sułkowskiego z innych względów — mówił minister — jest przywiązany do króla, jest mu wierny; zdaje mu się, że Saxonią uczyni



potężną — ale, jeżeli wpływ jego się zwiększy, ambicya może na niebezpieczne poprowadzić drogi. Sułkowski świętej naszej królowej ocenić nie umie, Sułkowski nie dosyć szanuje duchowieństwo...

— A! mój Brühlu kochany — przerwał Lichtenstein — ja go znam, jak wy, a może lepiej, bo się przedemną nie maskuje, znam go, gdy był z królem w Wiedniu.

— Sułkowskiego obalić potrzeba — rzekł Brühl stanowczo. — Więcej nie żądam nic, ale tego dla dobra króla i państwa wymagać muszę. Naówczas ja się potrafię utrzymać sam, a we mnie mieć będziecie najwierniejszego sługę cesarskiego domu.

— Ale ten plan? ten plan? — powtarzał Lichtenstein — daj mi go, na wszystko się zgadzam.

Brühl jakby od niechcienia rękę prawą założył za suknię, szukając bocznej kieszeni; na ten znak książę drgnął, przysunął się, ręce obie podniósł.

W białych palcach powoli Brühl podniósł do góry papier, trzymając go przed oczyma księcia.

W chwili gdy z ręki jego miał on się przenieść już do ambasadora, zapukano do drzwi; kamerdyner oznajmił:

— Hrabia Sułkowski!

W mgnieniu oka papier znikł w kieszeni, a Brühl rozparty zażywał tabakę z małej emaliowanej tabakiereczki, którą już dobył z kamizelki.

Sułkowski stojąc w progu mierzył oczyma Lichtensteina i Brühla. Z większą ciekawością niż na posła, zwracał oczy na swojego towarzysza, który się pochylił i z uśmiechem doń dłoń wyciągał.

— Otóż to ranny ptaszek! Od młodej żony nazajutrz po ślubie już biega po ambasadorach. Sądziłem — mówił Sułkowski — żeście jeszcze u nóg swjej pani.

— Obowiązki przedewszystkiém — odparł — powiedziano mi, że książę wyjeżdża do Wiednia, nie mogłem się powstrzymać, aby mu nie złożyć mojego uszanowania.

— Książę wyjeżdża do Wiednia? — zapytał zdumiony Sułkowski, zabierając pierwsze miejsce na kanapie — nic o tém nie wiem.

Lichtenstein zdawał się nieco zakłopotany.

— Nie wiem jeszcze, może... może — wyjąknął po chwili — wczoraj coś podobnego powiedziałem na dworze, i widzę, że Brühl, który wie wszystko, wie już i o tém dzisiaj.

Zaśmiał się, Sułkowski ramionami ruszył.

— Więc to niepewna jeszcze...

— Nie wiem, ale być może — rzucając znaczące wejrzenie na Brühla — rzekł Lichtenstein. — Czekam na pewne depeze, jeśli te otrzymam, choć mi żal Drezno opuszczać, pojedę.

Rozmowa zwróciła się ku plotkom miejskim.

### III

Najpoufalsze stosunki łączyły jeszcze dwóch przeciwników, chociaż z obu stron rozpoczynała się walka dla oczu niewtajemniczonych nie dostrzeżona. Tego samego poranku Sułkowski z Ludovicim, powiernikiem swym mówili o zamążpójściu Kolowrathównej.

Ludovici podejrzliwszym był daleko od swojego naczelnika.

— Panie hrabio — rzekł mu — ożenienie to powinno nam dać do myślenia. Hrabia Brühl nie z jedną Kolowrathówną się ożenił, ale z dworem austryackim, z O. Guarinim, z Wielką ochmistrzynią, a potrosze z królową.

Brühl jest jak miód słodki, ale podstawił nogę Fleuremu i Manteuflowi, wyrócił Wackerbartha i Hoyma; wpakował na Königstein Watzdorfa i Hoyma się z jego łaski obwiesił: ja Brühlowi nie wierzę.

Sułkowski śmiać się zaczął i ramionami ruszył.

— Mój Ludovici — rzekł z dumą — pamiętaj kto oni byli, a kto ja? Mnie on razem z O. Guarinim i Austryakami nie obali... O. Guariniego i cały ten pułk Jezuitów ztąd wypędzę. Królowej dam dwór inny. Księża ci mi już dokuczili: nie lubię ich.

Co się tyczy Watzdorfa i Hoyma, mylisz się; ja sam ich oddaliłem, ja, nie on.

— To jest on, rękami w. ekscelencyi; *is fecit cui prodest*, jako adwokat pamiętam prawniczy ten aksyomat. Watzdorf mu pannę bałamucił.

— Już tylko ty w rzeczach dworskich nie ucz mnie rozumu — odezwał się Sułkowski — wiem ja co czynię, a żaden z was nie wie, jak stoję mocno.

— Ja o tém nie wątpię — rzekł sucho, kłaniając się Ludovici.

Krótką tą rozmową utkwiała jednak w pamięci Sułkowskiego. Chociaż nawet przed najpoufalszym ze swych powierników, jakim był Ludovici, nie wydawał się z tą myślą: hrabia oddawna nie dowierzał Brühlowi. Nadewszystko znaczącem wydawało mu się, iż na wzór jego, nieustannie był przy Fryderyku Augustcie, towarzyszył mu wszędzie i godzinami odbywał milczącą służbę razem z trefniasiami i O. Guarinim. Król się do jego twarzy przyzwyczajał. Kilka już razy dawała mu się czuć niebytność dłuższa Brühla i zapytywał się o niego. Zwolna nabierał doń nałogu.

Sułkowski nie mógł nawet przypuścić, ażeby to zagrażać mu miało, ale rywalów nie chciał, był zazdrosnym, pragnął być sam tylko w łaskach...

— Brühla oddalić należy — rzekł w duchu. — Znajdziemy pozór łatwo...

Króla należy przygotować.

Po obiedzie tegoż dnia, gdy król swoim zwyczajem wrócił do swych pokojów i natychmiast rozebrał się do koszuli, aby wdziać szlafrok, sięść w krzesło i fajkę zapalić, Sułkowski był już na zwykłym stanowisku.

Tym razem nie sam. Do przedpokoju za nim wniesiono tajemniczą paczkę, którą odebrawszy od służącego, sam wniósł do królewskiego pokoju.

Król w czasie swojej włoskiej podróży karmiony był widokiem arcydzieł malarstwa włoskiego. Pragnąc być podobnym do ojca i przejąwszy jego zamiłowanie w muzyce i w myślistwie, w wystawności, w teatrze, w jarmarkach nawet lipskich, przejął też miłość obrazów i dzieł sztuki. Z wielką namietnością powiedzieć można, uganiał się za obrazami, lubował w nich i chciał zbogacić nimi już znaczny za Augusta II zawiązek geleryi drezdeńskiej.

Chcąc się przypochlebić N. Panu, nie było lepszego sposobu jak nastreczyć mu lub ofiarować piękne dzieło sztuki. Zimny zwykle i flegmatyczny August III na widok pięknego obrazu przeistaczał się, stawał innym człowiekiem, oczy mu się zapalały tak jak od śpiewu Faustyny... Myśl zdawała żywiej krążyć po głowie, usta nawet, zawsze tak oszczędne w słowa, zdobywały się na wykrzykniki i zdania.

W największym smutku godzina opery, lub oznajmienie obrazu, rozjaśniały lice króla. Sułkowski nie mniej od innych znał tę słabość swego pana.

August III dobywał właśnie pierwszego dymku z fajki, gdy Sułkowski ze szkatułką zjawił się na progu. Spojrzał nań, wyprostował się i nie mówiąc nic, rękę wyciągnął chciwie. Odgadł znać, co zawierała paczka, którą jego ulubieniec sam się nie wahał mu przynieść.

Oczy pańskie zajaśniały... Nie lubiąc mówić, nie rzucił fajki, ręką tylko i ruchem całego ciała naglił Sułkowskiego o pokazanie.

— N. Panie — odezwał się hrabia cicho — jest to arcydzieło sztuki, to pewna, ale... ale...

— Ale cóż? — bąknął król trochę namarszczony.

— Ale — mówił minister — przedmiot jest trochę za mytologiczny, i gdyby uchowaj Boże, Jój Królewiczowska Mość nadeszła...

Król sposepniał i przestał nalegać, twarz stała się poważną, poruszył głową znacząco.

Sułkowski w kątku pokoju postawił pudełko: oko Augusta poszło za nim.

— A kto malował? — zapytał.

— Mistrz włoski — rzekł Sułkowski — jestto arcydzieło Tycjana; choć drobnego rozmiaru, ale przedziwnego wykonania.

Usłyszawszy nazwisko, król się skłonił, jakby samego Vecellego witał, i szepnął:

— *Gran Maestro! Maestro!*

Sułkowski jakby już o obrazie nie było mowy stanął i zaczął co innego. Król popatrzał nań jakby nie rozumiał, słuchał, zamyślił się i sam do siebie rzekł:

— *Troppo mithologico!* hm...

Po chwili gdy minister mówił już o polowaniu — przerwał:

— Co przedstawia?

Hrabia ręką w powietrzu zamachnął.

— Bardzo nieprzyzwoitą scenę.

— A! pfui! schowaj go! Gdyby królowa nadeszła, albo O. Guarini... a pfui!  
Mimo to nie spuszczał król oka ze skrzyneczki.

— Najlepiej będzie gdy ja to precz wyniosę — odezwał się Sułkowski, zabierając się do paczki.

Nie śmiał król nic powiedzieć, ale się zmarszczył.

— Przecie co? co reprezentuje...

— Marsa i Wenerę, w chwili gdy ich *in flagranti* Wulkan siecią obrzuca.

Król oczy przymknął, ręką potrząsł.

— Pfui, pfui — zawołał.

Sułkowski brał pod pachę obraz.

— No, widzieć dla malowania — odezwał się król — dla sztuki grzech powszedni, to się wypowiadam O. Guarini... trzy *pater* i po wszystkich...

Rękę wyciągnął. Sułkowski uśmiechając się nieco, otworzył skrzyneczkę, podniósł wieko, dobrał światło i zbliżył obrazek do kolan królewskich. Fajka wypadła patrzącemu z ręki.

Było to istotnie małe arcydzieło, wykończone jak miniatura, znany typ *tėj belli* Tycyana, która mu do jego Venery i Danai służyła; cudnego wdzięku niewiasta, ale w istocie w nader mytologicznej sytuacji.

Król chciwie patrzył, a znać było, że się ciekawości swój i uwielbienia wstydzil; zarumienił się, niby odpychał od siebie obrazek a jednak go nie puszczał. Powtarzał *Un gran Maestro!* i lajał razem. Oczy jego iskrzyły się. Może zapomniał, że go kto słucha, może nie zważał na Sułkowskiego, i począł szeptać: Venus bardzo piękna... kształty klasyczne! co za wdzięk! co za śliczna *tavola*.

Nagle coś mu na myśl przyszło: obejrzał się, odsunął obraz, splunął, przeżegnał się i surowo rzekł:

— Precz z nim! precz z nim! Nie chcę gubić duszy... Co ty mi takie pokazujesz rzeczy...

— Ale malowanie, N. Panie.

— Mistrz jest, ale precz z nim, precz z nim.

Sułkowski prędko zamknął skrzyneczkę i myślał ją wynieść, gdy król go za rękę wstrzymał.

— Czekaj, lepiej jest aby się drudzy nie gorszyli; postaw ją, tam w kącie; potem obaczymy... spalimy...

— Takie arcydzieło?

Król zamyślony umilkł i fajkę palił. Minister zsunął paczkę za kanapę i wrócił na swe miejsce. Pod wrażeniem obrazu ciągle August mruczał: *Diavolo incarnato!* i ruszał ramionami; ale obrazek bardzo piękny... Gdyby nie było tam Marsa i gdyby Wenus mogła się przerobić na pokutującą Magdalę, powiesiłbym ją w pokoju.

— N. Panie, w rzeczach sztuki niéma nic nieprzyzwoitego: ceni się pędzel mistrza.

Król milczał.

— I muszę się spowiadać O. Guariniemu.

— Najj. panie — rzekł dosłyszawszy Sułkowski — sam Padre z przyjemnościąby popatrzał na to arcydzieło i wcaleby o spowiedzi nie myślał.

— *Siete un birbante!* — mruknął król — *Tace, basta!*

Skończyła się tedy rozmowa o Wenerze Tycyana, a że Brühla nie było, król kilka razy o niego się upomniał. Sułkowski westchnął. Oczy Augusta podniosły się na niego.

— Brühl, jak widzę, z łaski W. K. Mości mnie ruguje — odezwał się hrabia — boli to mocno starego sługę wiernego. Przyznam się, że za toż samo jużbym go mógł nie lubić.

Król odchrząknął znacząco.

— Nie przeczę, że pożyteczny człowiek, ale ma swe wady, — mówił Sułkowski — obawiam się go. Miesza się do wszystkiego, zagarnia wszystko... pieniędzmi rzuca, zbytek lubi...

— O! o! o! — przebąknął król głową trzęsąc.

— Tak jest N. Panie.

— Mój ojciec go cenił — rzekł krótko August III — to dosyć.

Sułkowski zamilkł, ale smutnie; królowi się go żal zrobiło.

— Nie lękaj się Sułkowski — rzekł — na was dwa miejsca dosyć, a tyś u mnie zawsze pierwszy.

Po tych wyrazach, które już stanowiły wysiłek ze strony milczącego zwykle Augusta, Sułkowski przyszedł do ręki pańskiej i z przejściem ją ucałował. Król przycisnął go do piersi.

— Ty mój stary przyjaciel, ale Brühl mi potrzebny.

Nie szło też Sułkowskiemu na ten raz o pozbycie się współzawodnika, chciał tylko zagaić tę sprawę, obiecując sobie do niej powrócić i powoli działać na króla. Nie mógł się wprawdzie uskarżać na Brühla, ale widział z pewnym niepokojem, że się do niego August przywiązywał coraz więcej.

Król pykał już fajkę siedząc wyprostowany, zamyślony, mrugając tylko brwiami i oczyma jak miał zwyczaj, gdy czuł że mu na świecie wcale dobrze było; wtém puknięto skromnie. Oznaczało to jedną z osób uprzywilejowanych, które do pokoju pańskiego miały przystęp zawsze bez oznajmienia i nie mógł to być kto inny, chyba O. Guarini albo Brühl. Wszedł powoli Padre ze skromnym uśmiechem i złożonemi rękami, król go skinieniem głowy przyjacielskim powitał, chrząknął i fajkę palił, okiem mrugając. Sułkowski stał trochę opodal milczący.

Oko jezuita sznurkując po pokoju, padło na skrzyneczkę za kanapą. Wstał Padre i jakby zdziwiony przytomnością tu sprzętu nieznanego sobie, wybrał się w podróż dla sprawdzenia coby to było. Na widok tego pochodu, którego cel łatwo było odgadnąć, król się mocno zarumienił i z wymówką spojrzął na Sułkowskiego. Minister poskoczył, zabiegł księdzu drogę i szepnął mu coś na ucho, a August wcześniej się uniewinniając, mruknął Guariniemu:

— Ja nie widziałem, nie chciałem na to patrzeć: mytologia.

— E! — śmiejąc się odparł Ojciec — W. K. Mości mytologia może być niebezpieczną, ale mnie staremu...

Sułkowski wstrzymywał, Ojciec nalegał, król był mocno zawstydzony i zakłopotany, marszczył się na ministra. Guarini nie chciał ustąpić i powtarzał: — A! kiedy już tu jest, zobaczyć trzeba.

Położenie Sułkowskiego stawało się przykrém, gdyż obrazem tym niejako króla kompromitował, który chciał uchodzić w oczach ludzi za człowieka surowych obyczajów.

— *Sentite!* — zawołał Guarini do Sułkowskiego — jeśli mi nie pokażecie obrazu, mogę sądzić, żeście tu nie wiem jaką przynieśli szkaradę i że chcąc razem dwom bogom służyć: rządząc państwem i zajmując się sztuką, jedno z dwojga nie ciekawie spełniacie, bo: *Chi due lepri caccia, una non piglia e l'altra lascia...* (kto na dwa zające poluje, jednego nie złapie, a drugiego wypuści).

Ostatnia przymówka ubodła Sułkowskiego i poszedł do skrzynki, a jezuita za nim. Król ku oknu głowę odwrócił. Uchyłono wieko: O. Guarini przysiadł na ziemi i uderzył w ręce.

— Arcydzieło! — zawołał — *meraviglia!* Ale cóż mówicie, że obraz nie moralny: owszem! Winowajców spotyka zasłużona kara, Wulkan ich łapie, a Wulkan tu *sensu paganorum* wystawia sprawiedliwość Bożą. Co się tyczy Wenery! biédaczka, trochę nieubraną ma...

Jezuita ręką machnął. Król nań spojrzął i rozśmiał się uszczęśliwiony z tego wykładu, wołając na Sułkowskiego:

— Pokaż tu! pokaż tu!

Minister niósł obraz znowu. Z widoczném zajęciem przypatrywał się król pięknej Wenerze, gdy co mogło najokropniejszego się stać, czego najbardziej obawiali się wszyscy, to właśnie przyszło jak nieuchronna kara za niepotrzebną ciekawość.

Wszyscy nachyleni zachwycali się tą nieszczęsną Wenerą Tycyana, gdy drzwi otwarły się jakby piorun uderzył, drzwi od pokojów królowej. Królowa Józefina jak widmo mściwe, ze swą dumną twarzą habsburską i niemilemi rysy, ukazała się w progu.

W mgnieniu oka zapadło wieczko, O. Guarini cofnął się ku oknu; król wyprostowany patrzył w sufit, a Sułkowski z paczką swą uchodził zrećźnie, ukryć się ją starając. Lecz przed oczyma podejrziwej i zazdrośnej kobiety, możeż ujść cokolwiek? Królowa Józefina jednym rzutem oka objęła wszystko, odgadła, zarumieniła się, brwi zmarszczyła i posunęła się żywo ku królowi, który powoli wstawał na jój przyjęcie.

— Mamy dziś operę — rzekł — Faustyna śpiewa.

— Tak — odparła królowa, patrząc na Sułkowskiego — ale widzę, że tu mieliście inną zabawę, którejbym i ja była ciekawa. Cóż to jest, z czym się hrabia tak starannie ukrywa?

Królowa Józefina sama zajmowała się malarstwem i lubiła dosyć sztukę, łatwo jęj po formie paczki odgadnąć było co zawierała. Król znając jęj surowość i nadzwyczajną skromność dochodzącą do przesady, zmieszał się.

— Dosyć sobie ciekawe malowidełko — rzekł król — trochę swawolne, mytologiczne...

Józefina zarumieniona i gniewna spojrziała na Sułkowskiego.

— Ja też bardzo cenię sztukę — rzekła — ale nie tę, która służy najgminniejszym instynktom zwierzęcym człowieka; najpiękniejszy pędzel nie okupi niepoczciwęj myśli.

Miała królowa przecucie, że jęj nie wypadało nalegać na pokazanie obrazu, lecz wystawiła go sobie może gorszym niż był i Sułkowski łatwo odgadł, iż mu miała za złe karmienie króla podobnemi widokami. W istocie brzydkięj królowęj zdawało się zawsze, iż ktoś jęj męża odbierze, że go dworacy wciągną w podobne miłostki jak ojca, a drogą do nich uważała nastęrczanie Augustowi tego rodzaju widoków.

O. Guarini bardzo zręcznie rozmowę odwrócił, Sułkowskiego osłonił, króla uratował i zaczął mówić o kłótniach aktorów włoskich, które on zawsze godzić musiał, a te dziś ledwie uśmierzone, jutro z nową gwałtownością się odradzały.

Królowa Józefina pozostała zamyśloną i posępną, nie umiała ona uczuć swych taic i nie potrzebowała z niemi się ukrywać. Król wiedział, że w cztery oczy dostanie surową admonicyę, za dawanie zbytnich przywilejów i swobód Sułkowskiemu... westchnął tylko i wyglądał godziny opery, aby zapomnieć w muzykalnym zachwycie o wszystkich troskach nieodłącznych od życia ludzkiego, nawet na takim tronie, na którym przez pół dnia można było fajkę palić w szlafroku, okiem mrugając i uśmiejając się fantazyom powolnie grającęj imaginacyi.

Sułkowski i O. Guarini wysunęli się zaraz, zostawiając małżeństwo sam na sam z sobą, co było najlepszym sposobem przywrócenia królowęj dobrego humoru.

#### IV

Jedną z zabaw najulubieńszych i najkosztowniejszych dworu saskiego za panowania obu Augustów, była opera i muzyka, nieustępujące najlepszym ówczesnym w Europie, a z wielu względów przechodzące może najświetniejsze teatru i kapele.

Jeszcze za Augusta Mocnego, dobór śpiewaków w operze był znakomity; nie utracił on wcale pod panowaniem syna, który się muzyką zachwycił. Słuchanie jęj uwalniało go od mówienia, którego nie lubił, a dozwalało się pograżać w tych dumaniach, w których całe niemal spędził życie. Muzycy wokalni francuzcy, to jest śpiewacy króla, na których czele stał kompozytor Louis André, składali kompanię z dwudziestu głosów; a wśród nich posiłkowo występowali i Niemcy, jak tenor Götzl, i Włosi. Annibali alt, zajmował tu pierwsze miejsce. W orkiestrze nadwornęj pod wodzą sławnego Hasse, męża z imienia Faustyny, było osób około pięćdziesięciu, dwóch kompozytorów (jeden Czech Zelenka), koncertmajster, solistów mnóstwo, a polska kapela oprócz tego stała osobno. Tą polską, czyli małą kammermuzyką dowodził Schultze, a liczyła osób siedemnaście. Król bierał ją z sobą, gdy dłużej bawił w Warszawie. Naprzemiany grywano opery i komedye francuzkie, do których było jedenastu artystów i szesnaście kobięt, a dla urozmaicenia widowisk, francuzki balet, sześćdziesięciu Francuzów pod panem Favier. Ale któż to wyliczy?... summy ogromne szły na utrzymanie tych zabaw i ludzi do nich nieodbitcie potrzebnych.

Gdy przedstawiać miano operę Hassego *Ezio*, do której Metastazio pisał libretto, w tryumfalnym pochodzie Cezara zwycięzcy nad barbarzyńcami, występowało na scenie sto koni, cały rzymski senat, rycerstwo, liktorowie, pretoryańskie gwardye, lekka i ciężka jazda, piechota, łupy od srebra i złota ze skarbcu królewskiego pożyczone scenie. Zachwycali się widzowie, słupiała orkiestra i pamiętnęm jest, że bijący w bęben, z zachwytu wybił w nim tego wieczoru dziurę. Dwieście pięćdziesiąt osób było na scenie; operę oświecało 8, 000 świec woskowych, a maszynistę sprowadzono umyślnie z Paryża. Był nim Servandoni: przedstawienie niektórych oper kosztowało po 100, 000 talarów. Nadzwyczajny

urok wywierała na Augusta III piękna jeszcze postacią, a zachwycająca śpiewem Faustyna Bordoni... Powtarzano jedną operę po kilka miesięcy, a nigdy zadumany król nie znużył się tą jedną powracającą pieśnią, która go do marzeń tak rokosznie kołysała.

Właśnie w tych czasach, obok Faustyny rządzącej samowładnie Włochami zakulisowemi, zjawiała się tak zwana „Faustyna druga” Teresa Albuzzi Todeschi, nie młodsza od niej, piękniejsza może, również śmiała. Głos powszechny przyznawał protektorstwo nad nią szczególne Brühlowi.

Miano tego dnia powtarzać nie wiem po który raz *Cleofidę*. Król już w swęj łoży siedział, teatr był pełen, godzina zwykła nadeszła... a zasłona się nie podnosiła.

Było w tém coś nadzwyczajnego. Lecz artyści włoscy, szczególnie *la diva* Faustyna, mieli swe przywileje; czekano cierpliwie...

Tymczasem za kulisami wrzała burza. Faustyna nie chciała śpiewać obok Teresy... Teresa zaklinała się, że z tą niegodną Bordoni nie wyjdzie na scenę.

Ciemnym było i tajemniczym dla wszystkich o co im szło, co ich tak podrażniło. Obie zapalczywie, zajadle, wściekle kłóciły się z sobą, ale nawet puściwszy wodze językom, nie wypowiadały właściwego powodu tego gwałtownego zajścia.

Pilaja, trzecia i nie tak wysoko patrząca śpiewaczka, stała z założonemi rękami, przysłuchując się potokowi najmniej dobranych i strojnych wyrazów ulicznych, i uśmiechała się jako widz na doskonałej komedyi.

Zza kulisów dochodziły wykrzykniki niektóre do sali, i Sułkowski niespokojny wystął pazia na zwiady.

Paź wrócił, nie mogąc nic więcej donieść nad to, że Neptuna z trójzębem trzeba było, ażeby rozigrane uśmierzył fale. Szepnął Sułkowski królowi coś na ucho, posłano pazia po jedyne co umiał zakląć i ukoić, po O. Guariniego.

Tymczasem Faustyna i Teresa stały naprzeciw siebie jak do boju, obie ubrane jak na scenę, nie zważając, że gniew niszczył farby, któremi miały pomalowane twarze, i miał bogate szaty, w których występować musiały.

W oddaleniu Indyanie i Grecy w strojach teatralnych, ale niektórzy z fajkami, spokojnie się przyglądali temu duetowi przekleństw i słuchali ich jak szumu kaskady.

Jużby było może przyszło do pojedynku, gdyby jak *Deus ex machina*, nie wpadł w swym surducie szaraczkowym O. Guarini. Na widok jego ucichły obie, jakby wspólnemi siły na tego nieproszonego pośrednika rzucić się miały. Padre spojrzął na nie, i odciągnął na bok najprzód królową Faustynę. Zdawał się ją spowiadać łagodnemi słowy.

Cisza oczekiwana nastąpiła po walce. Słychać było orkiestrę, strojącą instrumenta. Bordoni wprost od tój spowiedzi poszła do zwierciadła, co było dobrym znakiem, a Guarini wziął Albuzzi na konfessaty, grożąc jój palcem na ogromnym swym nosie. Teresse zabierało się na łzy. Szepłano długo, Padre rozsunął ręce i zawołał:

— *Pace!* — Jeśli się uprzesz Teresso miła, możesz *cader dalla padella nelle brage*, (z pieca na łeb upaść); dość tego. Niech kapela rozpoczyna uwerturę; król czeka.

W tój saméj chwili zjawił się i Brühl za sceną, spojrzął na Faustynę najprzód, pozdrawiając ją, potem na Albuzzi, której dał znak potajemny, i wśród dźwięków muzyki, wszyscy na swych miejscach stanęli.

O. Guarini skinął na ministra i wyszli z nim razem przez ciasne przesmyki, w których panowali maszyniści, władający piorunami, burzami, niebiosami, pogodą i bóstwy (spuszczanemi na ziemię na drutach), aż do pustego pokoiku za sceną, którego gotownia i porozrzucone resztki kobiecych strojów, dawały odgadnąć garderobę jednéj z tych pań przed chwilą tak zajadłych, a teraz już rozpoczynających trele pełne pogody i wesela.

Guarini i Brühl obaj byli zmęczeni i milczący, siedli obok siebie, spoglądając wzajem na swe twarze. Jezuita się zaczynał uśmiechać.

— Tu — rzekł — ani nas nikt nie podsłucha, ani podpatrzy, to schówka tój zmiyki Albuzzi, jesteśmy w niéj bezpieczni. Mówmy...

Uderzył go szeroką ręką po kolanie.

Brühl nachylił się do ucha Ojcu.

— Plan jest w rękach Lichtensteina, jedźcie z nim do Wiednia.

— *Va bene* — odparł Guarini — ja przysposobiłem królowę. Wiem z pewnością, iż Sułkowski grozi, że nas wszystkich ze dworu wypędzi, że króla oderwie od żony i da mu inną.

Jezuita się rozśmiał i ruszył ramionami.

— O tém trochę zapóźno pomyślał!!

Twarz Brühla przybrała wyraz posępny.

— Z nim, z tą poczciwą naturą naszego pana, trzeba wiedzieć jak postępować — mówił Guarini — Nie winien on, że po ojcu dostał w spuściznie jego namiętności i walczyć musi z niemi. Otóż to, co pismo nazywa pokutą za ojców grzechy. Dając mu życie, Wielki August przelał w niego naturę swą niepohamowaną. Nie podoła jój król pobożny, trzeba przynajmniej od grzechu odjąć zgorzenie, pokryć go tajemnicą, osłonić go, nie dopuścić podejrzenia nawet.

Gdybyśmy od niego wymagali zupełnej wstrzemięźliwości, mogłoby przyjść do wybuchu, któryby nas wszystkich w gruzach pogrzebał. *Cosa fatto capo ha*. Co się stało, dobrze się stało... Sułkowski źle rachował i przerachował się nieborak: miejsce zajęte, sprawa skończona, a choć król go lubi, ale przed nim swój tajemnicy nie wyda. Jesteśmy panami sytuacji; a ja cieszę się, bo nie wątpię, że zbawiam duszę... Co tam w tém grzechu, biorę na siebie.

Poczęli szeptać cicho.

— Sułkowski — rzekł Brühl — nudzi się nieco, jest generałem z łaski N. Pana, a w pokoju nie może się czynami rycerskimi wsławić. Wspomniał mi, że chętnieby uczynił wycieczkę wojskową nad Ren, do Węgier. Czyby król sam mu nie poddał téj myśli! Przez ten czas...

Guarini mrugnął, że kończyć nie potrzeba, że rozumie wszystko i głową potwierdził dobrą radę.

— Powiem królowi, że ten poczciwy Sułkowski powinienby po tak ciężkiej pracy mieć prawo wytchnąć nieco: i zrobi się.

Włoch szparko mignął palcami, jak kuglarz przed oczyma Brühla i wstał.

— Idź do króla — rzekł — poklaskuj Faustynie, abyś mu się podobał. I cicho szepnął na ucho: — Nie wstrzymuj Sułkowskiego od zbliżenia się do króla, nie przeszkadzaj mu. Z pewnych znaków wnoszę, że ma myśl poddania N. Panu pewnych wad, których król nie przyjmie, które odepchnie ze zgrozą, a to się przyda, to się przyda...

Rozśmiał się O. Guarini, szybko głową poruszył, otworzył drzwi i wysunąwszy się w ciemne labirynty zakulisowe, zniknął wśród nich, jak człowiek doskonale z miejscowością obeznany.

Daleko ostrożniej i trudniej było wydobyć się z tych ciemności na światło Brühlowi. Po chwili jednak znalazł się w łoży królewskiej.

Sala opery jaśniała światłami rześnistemi. Dwór również wspaniała jak za Augusta II, przepelniał wszystkie miejsca. Świeżo przybyli z Polski senatorowie w swych bogatych strojach, lamowanych pasach złocistych, ze spinkami z brylantów, guzami z rubinów, zajmowali pierwsze miejsca. Król na nich niekiedy z przyjaznym poglądem uśmiechem.

W rzędach kobiet widać było najświetniejsze gwiazdy dworu: strojną hrabinę Moczyńską, dumną panią Brühl, cichą Sułkowską, żony posłów, frejliny królowej i wszystko, co do dworu przystęp miało.

Król z nadzwyczajną bacnością zwracał się ku scenie, ilekroć na nięj zjawiała się piękna Faustyna, a słuchając jój głosu w błogim upojeniu przymykał oczy, jakby śnił o aniołach. Niekiedy przyklaskiwał *divie*, a naówczas klaskali za nim wszyscy i panie wiewały chustkami.

Rzadko bardzo wzrok pański ze sceny zszedł na salę, a jeśli się oczy jego zabłąkały czasem na różnobarwne rzędy piękności, zdawały się przebiegać po nich z trwogą i powracały do Faustyny.

Uwielbienie dla nięj tłumaczył głos, uniewinniała muzyka.

Prawie na przodzie naprzeciwko króla siedziała pani Brühlowa, ubrana wytwornie, podparta od niechcenia na brzeżku swęj łoży i zadumana. Piękność jój wyzywająca, śmiała, imponująca, wszystkich oczy ściągała ku sobie; jeden tylko król zdawał się jęj nie widzieć, albo nie chciał zobaczyć, wymijał ją, unikał i gdyby August III nie był tym dobrodusznym człowiekiem, prostoty pełnym, możnaby go było posądzić, iż się z czemś ukryć pragnął.

Tuż obok Brühlowej siedziała skromnie ubrana hr. Sułkowska, frejlina niegdyś królowej jako panna von Stein-Jettingen. Piękna jęj twarz spokojna, nie miała tego uroku

drażniącego, jakim Brühlowa najobojętniejsze oczy wabiła ku sobie. Na parterze siedzący młody Tarło starosta jasielski i Działyński, poglądali po kobietach, i ostatni szepnął w ucho sąsiadowi:

— Starosto, duszo moja, jesteśmy jak owi młodzieniaszkowie wrzuceni w piec gorący; nie wie człowiek gdzie schować oczy. Spojrzę przed się, stoi ta Włoszka gdyby marmurowy posąg napół obnażony, a wywodzi trele aż po duszy chodzą; odwróć się w prawo, siedzi jójmość strojna, której oczy jak dwie wędkę zaprawne; odchylę się w lewo, patrz, starosto co za cudo!

Spojrzał młody Tarło i oczy mu przyłgnęły do tego zjawiska, które się poraz pierwszy ukazywało na dworze.

Okolo hr. Sułkowskiej i pod jój opieką, wprost naprzeciwko króla samego, siedziało dziewcze młode. Nikt go tu nie znalazł na dworze. Z towarzystwa hrabinéj, ze stroju jój i z twarzy można się było domyślać znacznego rodu i znakomitego pochodzenia.

Ówczesne piękności w ogóle, więcej pełnością wdzięków i kształtów się odznaczały niż dzisiejsze. Drobne i wątłe dziewczątka mało się komu podobały. Owe słynne ulubienice Augusta II, wszystkie niemal doskonałe Amazonki, lubiące łowy, strzelbę i konie, wyglądały jak leśne boginie nielekające się spotkać ze zwierzem i z człowiekiem. Nieznajoma dziewczica siedząca przy hr. Sułkowskiej była z rodzaju tych piękności bujno uposażonych i jak zdrowy silny kwiat wyrosły na krzepkiej łodydze. Biała, różowa, zbudowana jak Diana, czarnooka i czarnobrewa, patrzała śmiało i dumnie. W téj odwadze dziewczęcicia czuć jednak było raczej nieświadomą świata niewinność, niż wyzywające go doświadczenie. Oczy jój z dziecinnym zachwytem i śmiałością spoglądały na wszystko co ją otaczało.

Czarna suknia i koronki, ożywione tylko szkarłatnymi wstęgami i trochę złota, podnosiły jeszcze tę piękność zachwycającą, na którą ze wszech stron teatru podnosiły się wejrzenia ciekawe i jedni drugich zapytywali rozgorączkowani:

— Któż to taki?

Wzrok pani Brühlowej badał ciekawie także nieznaną sąsiadkę. Hr. Moszyńska nie spuszczała z niej oka. Na zwiady poleciała młodzież do służby hrabinéj Sułkowskiej, ale z niej nic, nawet datkiem dobyć nie umiała, oprócz, że to była krewna hrabinéj przybyła z Wiednia.

Gdy się to działo na sali, Sułkowski ujrawszy, iż Brühl ceremonialnie poszedł żonę powitać i że reszta służby nieco się oddaliła, schylił się do ucha króla.

— N. Panie — rzekł cicho — dzieła sztuki warte są uwielbienia, ale dzieła Stwórcy godzi się także uczcić wejrzeniem. Chociaż hrabianka Stein jest mojej żony daleką krewną, ośmielam się zwrócić uwagę W. K. Mości na jój nadzwyczajną piękność. Żaden Tycjan ani Paul Veronese nic podobnego nie stworzył.

Słyszac te słowa, król zwrócił się jakby przestraszony do ministra, spojrzał nań z pewnym rodzajem wymówki i podziwienia i natychmiast zagłębił się znowu w kontemplacji wdzięków i uwielbieniu głosu Faustyny.

Sułkowski odstąpił. Znał tyle już pana swego, iż wiedział, że walcząc z sobą odegra tu pewnie tę samą scenę, co z obrazem Tycjana i zakazaną Wenerą. Nie omyliła go rachuba. Król z nadzwyczajną ostrożnością i niby gdzieindziej idąc oczyma, powiódł niemi tak, iż trafiły na twarz pięknej panny Stein.

Jakby przerażone tém zjawiskiem, uciekły.

Po chwili głowa królewska nie śmiejąc już zwrócić się w tamtą stronę, posłała oczy tylko. August III patrzył głową na scenę, ale źrenice z pod powiek przymkniętych pochylały się tam, gdzie ta nowa jaśniała gwiazda i szybciej niż poszły, wróciły.

W tym pochodzie musiały zaczepić o panią Brühl, która zapewne jakimś przypadkiem, białe paluszki miała jakby z groźby przytknięty do marmurowego noska.

Król w tymże momencie uderzył w dłonie śpiewaczce, jak gdyby jój tylko słuchał i na nią spoglądał, a za znakiem pańskim idąc, sala biła brawo! Ktoby był bocznie śledził grę oczów, dostrzegłby, jak Faustyny brwi się marszczyły na króla, jak nań spozierała niecierpliwie Brühlowa, jak Moszyńska szpiegowała wejrzenia męża, ministra i uśmiechała się złośliwie. Krzyżowały się tam i inne w różnych kierunkach wzroki mniej wydatnych, skrytych po kątach osobistości nieznanych, którym odpowiadały błyski oczów przelotne z łóż pańskich.



Nareszcie ostatni chór brzmiał już potęgą wszystkich głosów... i rozléwał się w powietrzu jak fala tęczowa... wszyscy się poruszali; opera się kończyła. W łóżach podnosiły się panie i piękna Stein, bohaterka tego wieczora podniosła się, jakby chciała pokazać śliczną swą postać. Królewskie oko już się w tę stronę skierować nie śmiało.

Król znikł z ostatnimi dźwiękami muzyki.

— Człowiek po tém widowisku — zawołał Działyński do Tarły — prostoby powinien iść do konfesjonu... My, cośmy nie nawykli do téj rozpusty oczów i uszu, pijani wyjdziemy, a póki się wszystko ukołysz w głowie i piersi, a przyjdzie do należytego porządku, dobrze się człek namęczy. To mospanie wodzenie na pokuszenie i po wszystkiém.

Tarło się roześmiał: — nie wiem czy gdzie na świecie tyle pięknych kobiet razem zobaczyć można.

Działyński pochylił mu się do ucha.

— Syreny są, moja duszo, naprzeciw którym nietylko uszy, ale i oczyby sobie pozalepiać trzeba i uciekać.

Dwór po widowisku i wieczery, jak powszednich dni przed północą się rozchodził. Brühl wzięwszy rozkazy króla, pojechał do domu; Sułkowski został. O. Guarini, choć często i wieczorem jeszcze przychodził króla zabawiać, tego dnia się nie pokazał.

Frosch i Storch już wieczorem spali po kątach. August III znowu się dostał do szlafroka i po wieczery u siebie fajkę palił, bo we wspólnych z królową apartamentach, tytuniowi się znajdować nie było wolno. Wszyscy co go palili, mieli dlań izby osobne; a kobiety czując w nim nieprzyjaciela, cierpieć go naówczas nie mogły.

Król ze swym ulubieńcem znaleźli się więc sam na sam. Tego wieczora Sułkowski bardzo był ożywiony. August III zamyślony mocniej, niż kiedykolwiek.

— Najjaśniejszy Panie — odezwał się minister — nie wiem, czy raczyłeś zwrócić swe królewskie oko na Adelajdę Stein; co to za piękność! co to za wdziek! Gdyby ś. p. pan nasz miłościwy król August Mocny żył jeszcze, pewien jestem, że nie spuściłby z niej wzroku.

Żywo odwrócił się król, popatrzał na Sułkowskiego i zamilkł, chociaż już był usta otworzył, chcąc coś powiedzieć.

Sułkowski się rozśmiał, przyszedł do ręki pańskiej i pocałował ją.

— Jam stary sługa W. Kr. Mości — rzekł — wydziwić się nie mogę cnocie pańskiej. Królom się coś więcej przecie niż prostym śmiertelnikom należy, a W. K. Mość żyjesz jak skromny szlachcic, nie śmiejąc podnieść na świat oczów.

W czasie dzisiejszego teatru, patrzałem jak kobiety z uwielbieniem, ukradkowo spoglądały ku słońcu, a słońce na nie spojrzeć nie chciało. Adelajda Stein przyznała się przed żoną moją, że piękniejszego mężczyzny nad W. Kr. Mość nie widziała w życiu.

Umilkł. Król fajkę porcelanową odléwał i nie śmiał nań spojrzeć, udawał nawet, że kusiciela nie słucha.

— Faustyna śpiewała jak bogini! — rzekł zwracając rozmowę.

— Ale Faustyna ze swym śpiewem i wdziękami tylko na scenie uchodzi. Ona, jeśli się nie mylę, ma lat trzydzieści kilka, a Włoszki prędko starzeją. Stein, to prawdziwy anioł, ale W. K. Mość nie spojrzaleś nawet na nią.

August zamiast odpowiedzi, popatrzał na Sułkowskiego i ramionami ruszył.

— Niech mi wolno będzie szczerze wyrazić podziwienie moje: świętym być możesz W. K. Mość, ale szczęśliwym trudno. Mnie prawdziwie żal mojego króla i pana, wszak to klasztor nie dwór pański.

August III słuchał, poprawiając szlafrok na sobie, patrząc w sufit, to na podłogę, to spluwając potrosze.

— W. Kr. Mość pozwolisz, aby moja żona na dworze hr. Stein przedstawiła — mówił nieustraszony milczeniem minister.

— U królowej, u królowej — dorzucił August z pewną niecierpliwością.

— Jestto sierota, która postradała rodziców, familii prawie żadnej; nasza, to jest żony mojej, krewna bardzo daleka. Chcielibyśmy się zająć jój losem. Przy łaskawej protekcji W. K. Mości, latwobyśmy tu jój męża znaleźli na dworze, a widzę, że się jój tu wszystko wielce podobało, że radaby pozostać.

Przestał mówić, czekając słowa lub znaku. Milczenie w błąd go wprowadziło, sądził, iż oszczędzając niememu królowi słowa, powinien był może stać się wyraźniejszym jeszcze.

Zaczął tylko przystąpiwszy bliżej, mówić ciszej trochę:

— Gdyby się Stein W. Kr. Mości podobać mogła, nikt w świecieby się nie domyślał stosunków żadnych. Przecież W. Kr. Mość tak zawsze pozostać nie będziesz mógł...

Spojrzał mówiąc to na króla, którego twarz pobladła, a oczy zapadały, ręce mu zaczęły drżeć. Sułkowski przestraszony umilkł nagle. August wstał z krzesła, rzucając oczyma dokoła, jak gdyby szukał ratunku.

— Sułkowski! — zawołał stłumionym głosem — ja, ja się na ciebie gniewać nie chcę... nie chcę, ale ty, ty się *zapominasz*.

Wielkimi krokami widocznie mocno wzruszony król przeszedł się kilka razy po pokoju. Na twarz jego bladą zaczynał zwolna powracać rumieniec. Widocznie walczył z sobą, ażeby nie wybuchnąć gniewem; zaciął usta.

Nigdy jeszcze ulubieniec nie widział go tak wzburzonym ze swój przyczyny; uląkł się i kolano zginając, wyciągnął rękę po dłoń króla. Zawahał się August III, ale mu ją podał w końcu.

— Proszę cię, ani słowa: to skończone, zapomniane. Stein niech jedzie ztąd, proszę.

To mówiąc, odwrócił się żywo.

— Jutro — odezwał się po krótkim milczeniu — do Hubertsburga wyprawić przodem psy i ludzi; nie polowałem dawno. Brühl i wy, jedzicie ze mną... królowa, naturalnie: zawsze trzy dni chcę tam polować. Piérwszego dnia na jelenie, drugiego *par force*, trzeciego na cietrzewie.

Sułkowski się skłonił.

— Natychmiast wydam rozkazy.

— Niech wszystko będzie gotowém... Jedziemy rano...

I skinieniem głowy pożegnawszy Sułkowskiego, który stał nie mogąc przyjść do siebie, skierował się August III ku pokojom królowej. Niespokojny minister rzucił się jeszcze raz ku niemu w milczeniu, domagając się ręki królewskiej. August zdawał się już zapominać o tém co zaszło, podał mu ją chętnie i uśmiechnął się tak obojętnie i dobrodusznie jak zawsze.

Nazajutrz i dni następnych polowano w Hubertsburgu i sąsiednich lasach. Król był w tak dobrym humorze jak zwykle, gdy łowy wypadły szczęśliwie. Brühl i Sułkowski mu towarzyszyli. Piérwszego wieczora królowa coś wspomniała, jakby słyszała od Padre Guarini, który bardzo Sułkowskiego kochał, że hrabia wdychał do wycieczki rycerskiej nad Ren, albo do Węgier. Przypisywano to jego chęci wprawienia się w wojskowe rzemiosło, aby tém skuteczniej mógł służyć Saxonii. Król wysłuchał żony i głową potrząsnął.

— On i tak dowódcą jest wyborym, ja się bez niego obejść nie mogę.

Królowa Józefina nie nalegała. Trzeciego dnia z łowów powrócono do Drezna i tegoż wieczora król urządzić kazał strzelanie do celu w dziedzińcu, a bawił się niém do późna i był bardzo wesołym. Zwykli towarzysze musieli z nim razem próbować zręczności, a Brühl choć strzelał wybornie, starał się pilnie, ażeby króla ilością trafnych strzałów nie przeszedł.

Ledwie dzień jeden spoczawszy, król się wybrał na nowe łowy do Klappendorf. Drugiego uganiał się za jeleniem pod Grossenheyn, trzeciego pod Stauchitz, a nocował w Moritzburgu.

Następnego rana wrócił do Drezna, bo Faustyna śpiewać miała. W operze nie śmiał prawie podnieść oczów. Też same miejsca zajmowały panie dworu. August patrzył tylko na Faustynę. Dopiero później, gdy spostrzegł przy sobie generała Baudissina, zwracając się ku niemu, powiódł oczyma po łóżach.

Hrabina Sułkowska siedziała w swojej sama, nikogo przy niej nie było. Król swobodnie jakoś odetchnął. Mruknął coś kilka razy do starego dworaka, który mu się kłaniał bardzo nisko, a gdy śpiew znowu się rozpoczął, biegnąc oczyma ku scenie, prześliznął się tylko po nad Brühlową, która siedziała zadumana, strojna, piękna, ale jakby jój świat cały był obojętnym, spoglądała nań z jakąś niewysłowioną pogardą.

v

Wkrótce potem d. 7 października obchodzono urodziny królewskie, w ulubionym zamku jego Hubertsburgu. August III pilnował bardzo starych zwyczajów i dworskiej etykiety, do której nawyknięcie królowa też z sobą przywiozła. W Dreźnie zaś cokolwiek za Augusta II zaprowadzoném było, zachowywało się jak najtroskliwiej. Cały dwór wystąpił przystrojony galowo... Zrana o godzinie ósmej czekał on w sali na przechodzącego

króla, który o tej godzinie na mszę się udawał. Wszyscy wdziali na ten dzień cytrynowe mundury, ale że polowanie zaraz po śniadaniu nastąpić miało, byli w butach. Wprost ze mszy, korzystając z bardzo pięknego poranku, król, królowa i co żyło, a przypodobać się chciało, ciągnęło do tak zwanego Rubensteińskiego krzyża... Ztąd rozpoczęto łowy, i król z zapalem rzucił się za jeleniami, które już osaczone stały. Sułkowski, Brühl, stary generał Baudissin i wszyscy dworscy towarzyszyli panu, który był w jak najlepszym usposobieniu ducha. Z rana królowa Jmć uczyniła mu miłą niespodziankę, był to jej własny portret przez nią malowany, i ofiarowany na pamiątkę. Z uczuciem ucałowawszy rękę dostojnej artystki, August kazał szacowne malowidło zawiesić w swoim pokoju. Sułkowski sprowadził za pośrednictwem Giurtinianiego z Wenecyi bardzo piękny obraz Palmy starego, który złożył u nóg królewskich; Brühl przyniósł mu piękny portret Rembrandt'a, nabyty w Hollandyi. Obrazy wprawiały zawsze króla w najlepszy humor. Te, które mu się podobały, kazał najprzód stawić w swoim pokoju, długo się w nie wpatrywał nic nie mówiąc, i dopiero gdy się widzeniem ich nasycił, do nowej galeryi przenosić je kazał.

Trzy jelenie wzięto dnia tego, co humor pański jeszcze lepszym uczyniło; nie mówił więcej, ale się uśmiechał, okiem mrugał, głowę podnosił do góry, i całym obliczem zdradzał wewnętrzne zadowolenie. Sułkowskiemu szczególnie para znaczących uśmiechów się dostała, jakby dla zatarcia wrażenia, po owym nieszczęśliwym jego zapomnieniu się.

Wcześniej bardzo szczęśliwe łowy się skończyły; poobijano rogi na pamiątkę zabitym rogaczom, i zawieziono je w tryumfie do Hubertsburga, gdzie obiad już czekał. Przez cały czas polowania, królowa była jak zwykle nieodstępna, i choć na posępnej twarzy jej znać było zmęczenie, starała się uśmiechać i być grzeczną dla wszystkich. Sułkowski nawet zbliżywszy się do niej, słów parę dobrych pozyskał.

Zaledwie obiad się skończył, konie i powozy stały już w gotowości do Drezna, gdzie na króla opera i trzy balety w międzyaktach oczekiwały, uśmiech Faustyny i kantata ułożona umyślnie przez Hassego na cześć pana. O piątą w teatrze oświeconym z przepychem, przepelnionym dworem i ciekawymi w galowych ubiorach, podniosła się kurtyna, i Faustyna, która się na ten dzień z nadzwyczajnym przybrała staraniem, wystąpiła z oczyma wlepionymi w lożę królewską.

Rozpromieniony siedział w niej nowy król, w stanie ubłogosławienia, milczący, spokojny, szczęśliwy tём, że mu płynęło życie według programu, niezamącone niczём, jak w zegarku. Więcej nigdy od losu nie żądał nad to ani sławy, ani zdobyczy, ani rozgłosu swych czynów, tylko tego spokoju, któryby mu dozwalał zjeść spokojnie, śmiejąc się z Froscha i Storcha... wypalić fajkę, popatrzeć na piękne obrazy, posłuchać gwarzenia patra Guarini, nasycić się śpiewem Faustyny i pójść spać bez troski o jutro.

W międzyaktach przyciemnionych tego życia — co pokrywała tajemnica, tego — oprócz zaufanych, nikt w świecie nie powinien był się ani domyślać. Nikt lepiej nie znał króla i jego charakteru nad Sułkowskiego, został mu tylko zakryty ten tajemniczy zakątek jego, w którym się kryły nieubłagane namiętności, wstydząc świata i ludzi.

Jeden Ojciec Guarini powiernik pański wiedział co się tam działo, i on jeden mógł pomódz do zupełnego zawojowania króla, wskazując pewne środki i drogi. Za jego wskazówkami idąc Brühl z pomocą W. Ochmistrzyni i żony swój, owdładnął tą twierdzą niezdobytą i był jej panem, nim się Sułkowski o jej posiadanie pokusił. Gdy krok ten nieszczęśliwy przedsięwziął, już było zapóźno. Miejsce zostało zajętём, nikt więcej przystępu doń mieć nie mógł, nawet najzaufanszy z przyjaciół. Brühl, który doskonale udawał, że nic nie wie i nic wiedzieć nie chce, który nigdy żadną aluzją się nie zdradził, na którego milczenie we własnym jego interesie, rachować było można — stał więc mocniej jeszcze od Sułkowskiego, gdy ten oślepiiony, nie dostrzegł nic i nie przypuszczał nawet, aby ktoś królowi nad niego mógł być potrzebniejszym.

Po owej próbie z p. Stein, czuł się jeszcze bezpieczniejszym, uważając to za dowód, że króla nikt mu w ten sposób odebrać nie może, jeżeli on tego nie dokazał. W chwili właśnie gdy się tak ubezpieczonym czuł i pewnym siebie, stał u brzegu przepaści niewidocznej. Faustyna wysilała się dnia tego, a fioritury płynęły z jej piersi jak perły czystej wody... Król wznosząc oczy ku niebu, z uśmiechem na ustach zachwycał się. Zdawał się nią tylko zajęty, na nią patrzył tylko, chociaż niekiedy baczne oko byloby dostrzegło strzelające ku Brühlowej wejrzenia.

Zachwycającą była dnia tego pani Brühlowa. Dziwili się wszyscy, jak mężowi i jej starzyć mogło na ten przepych niezmierny, który ją otaczał. Chciała snąć być najpiękniejszą Frania, i włożyła białą, złotemi przetykaną deseniami suknię, w której wyglądała dziewczę... Prześlicznie do wdzięcznej twarzy zastosowana fryzura, której długie loki spadały na gors śnieżny, brylantowe kolczyki w uszach, lśniąco jak dwie gwiazdy, nad czołem strumień diamentów z wielką perłą, która się chwiała w pośrodku, brabanckie koronki, których matowa białość wychodziła malowniczo na połyskującym stroju atłasie; na tle śnieżnym bukiet kwiatów żywemi barwami młodości śmiejący się, czynił ją królową tego wieczoru.

Piękną była Moszyńska z surową swą twarzą, przypominającą Cosel, ale z Brühlową walczyć nie mogła. Wszystkich oczy zwracały się ku niej, ona nie patrzyła na nikogo. Wsparta na rękę zwróconą była ku scenie, ale jej oczy wlepione w jakiś kątek, stężyły bezmyślnym wzrokiem.

Zazdroszczono Brühlowi — on się uśmiechał. Co się w jego sercu działo, któż zgadnie. Strojny jak żona na cześć króla przepysznie, wyglądający młodo, świeżo, miał raczej pozór roztargnionego próżniaka, niż najpracowitszego z ministrów, na którego ramionach spoczywały państwa losy. Po pierwszym akcie wystąpił balet francuzki, wiedziony przez p. Favier, ze sławnym solistą Desnoyers, z paniami Rottier i Vauriaville, które w strojach idealnych wieśniaczek, wyglądały jak boginie.

Wybór dworu, najdostojniejsi panowie, najpiękniejsze panie, po operze zaproszeni byli na uroczystą wieczerzę, naśladowaną z tych tradycyjalnych Augusta Mocnego, co się zwykle kończyły małańką orgią w ciasnym kółku.

Olbrzymią zwana sala na zamku, wcześniej już tysiącami świec była uilluminowaną; w pośrodku przepysznie zastawiono stół na osiemdziesiąt osób dla gości, a na podwyższeniu dla króla i królowej, która do swojego stołu mało kogo, nawet z posłów cudzoziemskich przypuszczała. Wedle etykiety dworu austriackiego, tylko kardynałowie zapraszani doń bywali; uczyniono jednak wyjątek dla pierwszych ministrów. Wprost z opery wszyscy przeszli do sali. Rzadko można było widywać króla w tak słonecznym humorze. Królowa była jak zazwyczaj chmurną, niespokojną i smutną. Piękności co ją otaczały, w których blasku gasł jej majestat, smuciły ją i drażniły, choć król najmniejszego nie dał powodu do zazdrości. Owszem, czułym był i nadskakującym, a na żadną z pań nie wejrzał nawet.

Ceremonialnie bardzo podawano wieczerzę, przynoszono uroczyście półmiski, a za każdym zdrowiem, muzyka na galeryi odzywała się trąbami i bębniami, dając znać światu jaki toast wznoszono, a działa na Krakowskim Przedmieściu stojące, były salwy na cześć królewskiej pary.

Wszyscy w dobrych humorach po dziesiątej wstali od stołów; król z Sułkowskim i Brühlem cofnął się spiesznym krokiem do swoich pokojów. Przechodząc obok rzędem stojących pań, August III miał głowę podniesioną, z pewną afektacją patrzył przed siebie; jednak mijając Brühlową, która nań śmiało spoglądała, wymienił z nią niedostrzeżone, błyskawiczne wejrzenie.

Sułkowski ani się go domyślał, ani zobaczył. Miał właśnie zamiar korzystając z humoru pana, poufale z nim pomówić i życzył sobie odprawić Brühla, nie wiedział tylko, jak się miał wziąć do dzieła. August z równą czułością dnia tego patrzył na obu.

Już byli weszli do pokojów, gdzie szatny czekał z szlafrokiem, a kamerdynerowie natychmiast pomogli do zdjęcia stroju. Oba ministrowie stali przed rozpromienionym panem, gdy wyciekawszy, aby się służba miała czas oddalić, Sułkowski szepnął coś cicho królowi, który się uśmiechnął nieznacznie i Brühla wskazał.

Skinienie to jego baczności nie uszło: zbliżył się.

Sułkowski żywo sypnął mu słowami do ucha. Widać było jak one nie smakowały Brühlowi, który wzrok zwrócił na pana, zawahał się nieco, jakby mu żal było stanowisko opuścić, ale z uległością skłoniwszy się, natychmiast się oddalił.

Po odejściu jego, gdy drzwi się zamknęły, August III uśmiechnął się siadając, wskazał na nie i rzekł ze zwykłym swym lakonizmem:

— Niema jak ty i Brühl.

Ostatnie nazwisko nie było może do smaku Sułkowskiemu, ale je przelknąć musiał.

Przed królem stały ofiarowane mu dnia tego obrazy, w które się z widoczną radością wpatrywał. Sułkowski śledził wzrok, rad był myśli odgadnąć.

— Brühl w istocie — rzekł po namyśle — jest z wielu względów nieoceniony. I macie z nim dobrze; posłuszny, skromny, daje sobie wytłumaczyć co potrzeba, nie sprzeciwia się nigdy, kieruję nim jak chcę, jestem z niego kontent.

Król tylko głową pokiwał. Może mu się to trochę dziwném zdało, że Sułkowski pozwalał sobie być zadowolnionym z niego, ale nie okazał tego po sobie.

Minister chodził swobodnie po pokoju.

— Nie mam najmniejszego powodu — mówił dalej, w sprawach powierzonych mi z Brühlem się ścięrać. Człowiek pojętny, zdolny, ma jednak wady...

Król bystro spojrział — Sułkowski kończył nie zmieszany:

— Niepomierne rozrzutny i żyje na zbyt wielką stopę... będzie *nas* wiele kosztował.

To mówiąc, stanął hrabia przed królem, jakby czekał, co mu na to powie — Król głośno chrząknął, spojrział w górę i milczał.

— Dobry człek, dobry człek... szepnął nareszcie, widząc że hrabia na odpowiedź czeka. Resztę dopełnił milczący pan uderzeniem ręki po krzesła poręczy, i zapatrzył się na obrazy.

— Gdyby pan mój miłośniwy pozwolił mi wypowiedzieć całą myśl moją — ciągnął Sułkowski.

Głową tylko potwierdził to August.

Minister stanął i pochylił się nieco.

— Nie teraz, bo nam Brühl jest potrzebny, ale później — dodał zcicha — należałoby go z podarkiem jakim usunąć. Rozrzutności się nie oduczy, małemi urzędnikami obejdziemy się bez niego, oszczędzi się wiele, a nie da mu czasu nabrać ambicyi. Choć ja się w sercu mojego miłośniwego pana nie lękam współzawodników, ale na cóż go czynić nieszczęśliwym i wbijać w pychę.

W Czechach Kolowrathom cesarzby pewnie na prośbę króla nadał jakie dobra. Mogliby później tam spocząć sobie.

Patrzył Sułkowski, jakie to na królu uczyni wrażenie, ale zapatrzony był tak w obrazy, że zdawał się nie chcieć słuchać, czy słyszeć planu tego.

Hrabia parę razy dorzucił: — później, później! — a August popatrzawszy nań, wstrzymał się od zaprzeczenia i potwierdzenia, zbył go milczeniem.

Po krótkiej chwile wstał król przypatrywać się obrazom, kazał sobie poświecić, zawrócił się po pokoju kilka razy, popatrzył w zwierciadło, pogładził brodę i ziewnął. Był to znak, że chciał iść do łóżka, a dla Sułkowskiego odprawa. Niedosć zadowolniony wieczorną audyencyą przystąpił do ucałowania ręki pańskiej i bardzo powoli się oddalił.

Gdy się to działo na zamku, Brühl pod jakimś pozorem odesłany, odszedłszy z pokorą, kazał się nieść do domu. Godzina już dosyć była spóźniona. Dziwnym trafem złożyło się tak, że o kilka kroków przed jego *port-chaise*, dostrzegł ludzi niosących drugą podobną i poznał w niej lektykę żony. Zatrzymała się ona w sieni pałacu i państwo razem prawie wysiedli. Brühl rzadko się spotykający z żoną, z wielką uprzejmością podał jej rękę. Zrazu zdziwiła się tém i niemal cofnąć chciała, ale po namyśle z szyderskim tłumionym uśmiechem, ostrożnie wzięła rękę męża, i nic nie mówiąc, zwolna z nim poszła na górę.

Brühl na wschodach nie odezwał się wcale. Na górze w salii chociaż pani zdawała się chcieć od jego towarzystwa uwolnić, nie puścił ręki i przeprowadził ją do jej pokojów. Znaleźli się znowu w tym gabinecie, w którym pierwszego wieczoru po ślubie, tak ciekawą rozmową rozpoczęli małżeńskie pożycie...

Od téj chwili spotykali się tylko albo na bardzo krótko, albo przy świadkach. Rankami matka bywała u córki, zabierała ją z sobą, a niekiedy pod różnemi pozorami nie dawała jej nawet powracać do domu. Brühl miał tylko obowiązek dogadzać wszystkim zachciankom żony, co spełniał zawsze z jaknajwiększą uprzejmością; zresztą byli z sobą ni źle ni dobrze, jak dwie osoby prawie obce, które się muszą ocierać o siebie, starać jak najmniej zawadzać sobie. Brühl był cierpliwy i greczny. Spotykał niekiedy ciekawe oko żony wlepione w siebie, badające go, i uciekające natychmiast, gdy je na tém badaniu pochwycił.

Frania wielce się przez ten czas zmieniła, nabrała śmiałości jeszcze większej i fantazyj dziwnych, nauczyła się rozkazywać w domu i wymagać aby w mgnieniu oka jej wola była spełnioną. Brühl widywał ją nienaturalnie wesołą, czasem szyderską nielitościwie,

niekiedy zalotną z obcemi aż do rozbudzenia zazdrości nawet w mężu zrezygnowanym i obojętnym, jakiego on grał rolę. Frania stawała się piękniejszą codzien. Jakkolwiek rozmiłowany w Moszyńskiej, chociaż mu przypisywano czule stosunki z piękną Albuzzi, był młodym i nie mógł być obojętnym na te wdzięki, które się zdawały z niego i jego namiętnych wejrzeń uragać...

Gdy weszli do gabinetu, pani Brühl odebrała mu swą rękę i poszła do zwierciadła, zrzucić przed niemi rękawiczki i błyskotki. Wśród tego zajęcia, jakby się spodziewała że mąż ją pożegna i odejdzie, odwróciła się zdziwiona ku stojącemu uporczywie między progiem a stolikiem.

Wzrok ten wyraźnie mówił: pan tu jeszcze? Na twarzy Brühla błędził uśmiezek niezrozumiały, niby odpowiedź: tak pani, czekam.

— Czy mamy co z sobą do pomówienia? — zapytała obojętnie.

— Pani mi może pozwoli usiąść, spocząć i choćby na jęj piękność popatrzeć z uwielbieniem.

Odwróciła się Frania i rozśmieiała, ruszając białemi ramionami; ale natychmiast wróciła oczyma do zwierciadła, nie bez pewnego zalotnego ruchu, który nie uszedł oczu Brühla.

— Przyznasz pani, że moje położenie bardzo szczególne?

— Moje także, to prawda; lecz ani pan, ani ja dziwić się mu nie powinniśmy.

— Paniś mi uczyniła nadzieję, że kiedyś... możesz mieć choć fantazyę dla męża.

— A! może! nie przypominam sobie — odpowiedziała obojętnie — to pewna, że jęj nie mam wcale. Jedź pan sobie na karty do Moszyńskiej, lub na zabawę do Albuzzi, ale mnie daj pokój. Nudzisz mnie.

— Ja tylko proszę o chwilkę rozmowy.

— Mówmy, ale o czém inném.

— Więc może o królu? — rzekł Brühl.

— Nie wiem czy mi wolno — śmiejąc się odparła Frania.

— Między nami... przecież jeśli nie mamy sentymentów, mamy wspólne interesa.

— Dobrze pan mówisz, a więc...

— Jak król jest usposobiony dla Sułkowskiego? — zapytał Brühl.

Nastąpiło długie milczenie. Ktoby był zstąpił do duszy tęg kobiety, mógłby się przekonać, że ją pytanie ubodło. Widziała jak mało znaczyła dla tego człowieka, a przez dziwny kaprys chciała go drażnić i pragnęła mu się podobać, aby mieć przyjemność obchodzenia się z nim srogo. Zapytanie obojętne uraziło ją, ale tego nie pokazała po sobie.

— A! — odezwała się nagle — chcesz pan, bym była szczerą? Sułkowski, wy, a nawet król, nudzicie mnie okrutnie! Co mi tam do waszych ambicij i sporów? Ja chcę żyć!! Król jest lalką bez życia.

— Na miłość Boga! — krzyknął Brühl łamiąc ręce.

— Przecież nas nikt nie słucha — poczęła obojętnie Brühlowa. — Tą lalką kazaliście mi się bawić, albo raczej daliście mnie jęj na zabawę, ale nie możecie żądać, abym się w nięj kochała! Waćpan wiesz najlepiej, co jest nasz król... Piękny, dobry, niezdolny do niczego, mężczyzna — namiętny bez uczucia, przywiązany bez odwagi, pobożny i zabobonny a lubieżny i rozkosznik, skryty, bojaźliwy, bezmyślny, nudny, śmiertelnie nudny.

— Pani — zawołał Brühl — gdyby to nawet wszystko było prawdą, pani mówić, a mnie się słuchać nie godzi.

— Ziewajmyż — odparła kobieta i otworzyła szeroko usta, a potem padła na fotel jakby osłabła, z głową zwieszoną na piersi, z rękami opuszczonemi bezwładnie; w tęg postawie smętnęj, kapryśnej, była niezrównanie piękną: Brühl spojrział i westchnął.

— Pytałeś mnie o Sułkowskiego? — zwolna poczęła Frania...

Minister ruchem głowy potwierdził.

— Któż odgadnie, co się w tęg lalce dzieje? czy tam jest serce? czy tam może mieszkać miłość? czy on kogo kocha, czy się może przywiązać? Do Sułkowskiego ma nałóg jak do trefnisiów nadwornych; więcj nie wiem.

— Ale my, jeśli mu panować mamy, pani i ja, ja przez panią — dodał Brühl — musimy go usunąć.

— Jak Watzdorfa do Königsteinu? — brwi marszcząc, podchwyciła Brühlowa.

Wspomnienie tego imienia jak kamień padło między nich; minister się zmieszał.

— Daję pani słowo honoru, że ja Watzdorfa nie posłał do Königsteinu, ale Sułkowski.

— Słowo honoru ministra? dyplomaty?

— Nie, uczciwego człowieka — podchwycił Brühl, rękę kładąc na piersi. — Przecież nie przez zazdrość się go ztąd pozbyto... Ja do niej *dotąd* prawa nie mam.

— Cóż to znaczy *dotąd*? czy pan spodziewasz się mieć to prawo?

— Tak mi się zdaje — grzecznie rzekł Brühl — nie dziś, to jutro, znudzona, ktoś wie? raczysz pani spojrzeć na sługę swego.

— Zdaje mi się, że na to poczekasz pan długo — szepnęła kobieta.

— Będę cierpliwy — odezwał się Brühl.

— *Croyez-y, et buvez de l'eau* — szydersko dorzuciła kobieta.

Brühl drgnął, ale natychmiast z zimną krwią począł.

— Pani powinnaś pomódz do obalenia Sułkowskiego.

Brühlowa spojrzała.

— Tak, matka mi mówiła toż samo. Każą mi się obawiać, aby panny Stein lub jakiejś innej nie wprowadził.

Ruszyła ramionami. — Czyż mnie to obchodzi?

— Ale pani lubisz brylanty, stroje, przepych, życie? — zapytał Brühl. — Spojrzeli sobie w oczy.

— Panibyś na wygnaniu i w ubóstwie żyć nie potrafiła.

Wyrazy te zdawały się trafiać do jej przekonania.

— Bardzo dobrze — odezwała się — obalimy Sułkowskiego, będzie to zemsta za mojego Watzdorfa; będzie to rozrywka. Obalimy tego pyszałka.

Ziewnęła znowu. — Więc skończone? — spytała. — Dobranoc?

Brühl się zatrzymał.

— Właśnie o tém pomówić należy. Obalić go przecie nie można odrazu, potrzeba ostrożności, trzeba...

Zbierał się długo zapewne wykladać teorią obalenia, gdy Frania wstała żywo z krzesła, jakby jej cierpliwości zabrakło.

— To wymaga instrukcyj? nieprawdaż? — poczęła śmiejąc się. — A na cóż ja jestem kobietą? Pan myślisz, że mnie uczyć potrzeba jak być chytrą? jak po kropelce sączyć truciznę? jak podstępnie szeptać słowa? kiedy w ucho rzucić dwuznacznik, co zabija, podejrzanie, co podkopuje?

Al! panie, jam się od dziecka wychowała na dworze, ja patrzałam na was, na mistrzów; jam miała nauczycielkę w matce, jam z kolebki wyniosła umiejętność kłamstwa, wprawę w szalbierstwa, miłość fałszu!

I śmiać się zaczęła dziwnie, prawie rozpaczliwym głosem.

— Bądź pan spokojnym, potrafię obalić jego, a gdy zechcę i gdy mi się to podoba, was, i...

Zamilkła nagle, chustkę przyłożyła do oczów i nie mówiąc słowa, krokiem poważnym, milcząca, weszła do sypialni. Drzwi zatrzasnęła za sobą, słychać było klucz okręcający się w zamku: Brühl pozostał sam.

## VI

W małej uliczce pod murem starego miasta, która po wolnej pochyłości schodziła ku Elbie, stał domek w ogródku, wśród drzewek, otoczony murem, z zamczystą bramą. Poznać było po nim łatwo, że go niedawno wzniesiono, starając się, by trochę wdzięczniej od innych kamienic wyglądał. Na ścianach poczepiał budowniczy girlandy kamiennych kwiatów, wkoło okien pospłatał sznury, powyginał ozdoby tak, aby twardy piaskowiec wydawał się miękką masą, którą jeden podmuch fantazyi zmusił ułożyć się w zalotne kształty jakiejś, niewidzianej architektury. Nigdzie linia prosta nie ostała się długo, kaprys rysownika kazał się jej zginać, opadać, zakreślać owale, zacierać kąty, a ze szpar patrzyły wszędzie to wytrysłe niespodzianie liście, to wymarzone owoce, to gałęzie suche zwijające się pośmiertnym uściskiem.

Na bramie stały dwa wazon, niby z Włoch kędyś skradzione i przyniesione aby je przypominały. Z jednej strony domu wystawka bluszczem opleciona, przypominała też włoskie *pergole*. Przodem kamieniczka zwrócona była ku Elbie, jakby na miasto patrzeć

nie chciała. Zdala przed nią świecił pałac Japoński. Posadzone drzewa choć młode rosły tu bujnie i już trochę cieniu rzucały, a dwie starsze lipy pozostałe z dawnych czasów, z popróchniałymi pniami, szeroko rozciągały gałęzie.

Nad znakiem u pierwszego piętra, jednego wieczoru jesieni na balkonie kamiennym, siedziała kobieta sama jedna. Istny to był obraz tęsknicy. Młoda, piękna, smutną była jak noc; czarne brwi ściągnięte, w ciemnych oczach świeciły lzy niewyронione, ręce oparła na kolanach obie, na białych dłoniach zwiesiła głowę przechyloną i patrzyła w dal zadumana.

Łatwo w niej włoszkę poznać było, bo tak bujnie rosną tylko kobiety i kwiaty pod tamtym słońcem ożywcem; tak piękne kształty nadaje tylko natura wybranym dzieciom w atmosferze woniejącej kwiatem pomarańczowym i morskimi zapachy. Na różowych ustach wół otwartych, z pod których perłowe wyglądały zębki, błąkała się piosenka. Myśl ją przerywała, głos ustawał i po chwili jakby od niechcienia, cichy płynął z piersi, niby senny, stłumiony i umierał milczeniem znowu i rodził się westchnieniem.

Była sama z sobą, cała w sobie, skamieniała tęsknicą, zdrętwiała nudą, znękana życiem. Pieśń płynęła z nałogu, lzy płynęły z serca.

Ubrana jak w domu i do domu, mogła śnić o włoskiej cieplej jesieni, tak dzień był gorący, a powietrze parne prawie. To też zaledwie osłonięta, dała białej sukni spadać z ramion, a czarnym włosom płynąć po ziemi i na nogach miała tylko pantofelki, a ręce do pól wychodziły jakby na okaz dla snycerza. Wieku trudno było odgadnąć, pierwsza młodość uciekała ledwie, a poczynały się te lata, co tęsknią już za nią i pragną przyszłości a lękają się jęj razem. Oczy już płakać umiały, a usta śmiały się nieraz pocałunkom i nie zdawały się ich pragnąć. Myślą była gdzieś daleko, za morzami, za górami, ale nie tu nad smutną Elbą i pod niebem bladým Północy.

Niekiedy jakby wewnętrzna jakaś fala nią poruszała, kołysała się tak siedząc i naówczas śpiewka głośnieję dobywała się z jęj piersi, lza spłynęła po twarzy, oko po nieję czarniejszym i płomienistszym się zdawało.

Na lewo w pomarańczowych blaskach zachodziło słońce, ku tęg części nieba miała zwrócone oczy. Wtém zaszleściło coś w ciasnej uliczce: slychać było jakby pospieszne kroki. Odgłos ich uderzył ucho zamyślonęj kobiety i obudził ją ze snu. Strwożyła się, stanęła, slychała w milczeniu.

W bramę ktoś stuknął. Przerażona, otulając się suknią, chwytając włosy rozrzucone, wbiegła do domu i znikła.

Drugie stuknięcie dało się slyszuć w bramie, w domku było cicho; ktoś uderzył raz trzeci i furtka się otwarła. Męczyzna stary, odarty, w bieliźnie tylko i narzuconym na ramiona aksamitnym przyodziewku zszarzanym, w czapce włóczkowej zblakłęj, na siwych rozczochranych włosach, wyjrzał rozglądając się ciekawie. Przed bramą stał płaszczkiem otulony młody męczyzna, pięknej twarzy, który nie patrząc i nie pytając, natychmiast wcisnął się do wnętrza. Stary pomruczawszy zamknął za nim i włókl się do domu.

Po włosku zapytał go obracając się przybyły, czy Teressa w domu, i odebrał obojętną odpowiedź potwierdzającą. Szybkiemi krokami posunął się do domku, którego drzwi od ogrodu stały otworem. Sień na przestrzał była pusta, przez drugie drzwi widać było dwa laurowe drzewa w wazonach, kwiatem bujnym okryte. Na wschodkach wszędy pusto było i cicho, a gdy przybyły gość drzwi usiłował otworzyć, oparły mu się. Pukaniem długim rozbudził wreszcie starą kobietę, z siwym włosom, napół wypęzłym, nędznie ubraną, która popatrzawszy nań, ustąpiła mu i wpuściła go do środka. Pokoiki przybrane wdzięcznie mogły być wesole, a smutne były jak pustka.

Mnóstwo w nich porzucanych rzeczy, ubiorów, nut, w największym nieładzie błąkało się po sprzętach nowych a już zniszczonych. Drzwi szklane na balkon stały otworem. Gość wszedł tu szukać kogoś i znalazł tylko niski stołeczek, na którym włoszka siedziała przed chwilą. Widok ząd tak był ładny, że się zatrzymał spojrzeć i zadumał trochę.

Wtém po zanim zaszleściła suknia. Powolnym krokiem szła ta sama kobieta, którąśmy widzieli przed chwilą, ale w sukni ciemnej, szerokiej, którą na siebie narzuciła, i z włosami związanemi niedbale. Nózki tylko pozostały bosc, a na twarzy ten sam wyraz znużenia.

Gość odwrócił się witając, odpowiedziała mu skinieniem głowy. Rozmowa toczyła się po włosku.

— Cóż ci to jest? — spytał przybyły.



— Jestem chora, no! umieram z nudy i tęsknoty — odparła włoszka zniechęconym głosem — tu żyć nie można, nie, nie!

— Zkądże te rozpacz?

— Z powietrza! — zawołała kobieta rzucając się na sofę.

Mężczyzna wziął krzesło i siadł przy niej blisko. Oparła się na ręce, na której białych ale przybrukanych palcach widać było pełno pierścieni.

— Z powietrza! — powtórzyła — tu nie ma czém oddychać! nie ma czém żyć; tu trzeba umierać!

— Cóż ci to?

— Pytacie? widzicie.

— Więc znowu te tęsknoty wracają?

— Nigdy mnie nie opuszczały.

— Znowu zawiniła pewnie Faustyna — rzekł przybyły.

Był nim Brühl, jak się domyśleć łatwo.

— Faustyna? — powtórzyła rzucając nań okiem gniewnym. U was jest jedna ona: na myśli, na języku, we wszystkim.

— A dlaczegoż nie starasz się zaćmić Faustyny? podobać N. Panu, zwyciężyć ją? Starsza...

— Stara jędma jak świat — przerwała żywo Teresa — obrzydła kuglarka. Ale z tym królem...

— Proszę z respektem o królu!

Teressa usta wykrzywiła.

— Więc nic nie powiem.

Posiedzieli trochę w milczeniu.

— Dam ci jedną dobrą radę — odezwał się Brühl — gdy śpiewasz, zwracaj się do króla, patrz na niego, uśmiechaj mu się, bądź zalotną. Gdy on ci pokłaśnie, będziesz królową.

— A tymczasem królową stara Faustyna. Król ma nałogi, fe! a nie ma oczów ni smaku. Śpiewa mu głosem ochrypłym, włosów połowę ma siwych. Cóż z tego? Ona *diva* a my *comparsy*?

Z boleścią domówiła tych słów.

— Słuchaj Teresso — rzekł Brühl — nie rozpaczaj, to się zmieni. Faustyna wróci do domu, ty zostaniesz.

— Wolalabym przeciwnie! — mruknęła Teresa i zamilkła nagle.

— Dziś nie ma czasu mówić o tém — odezwał się Brühl — za chwilę, tylko co nie słyhać, ktoś zapuka do bramy, niech go stary Beppo wpuści. Nie mogłem swobodnie, niepostrzeżony rozmówić się z Padre Guarinim, przyjdzie tutaj. Daj mu co słodkiego, tylko nie ust twoich, które są najslodsze, i zostaw nas samych.

Teressa słuchała obojętnie; potem jakby zmuszona do posłuszeństwa wstała z sofki i gnuśnie poszła ku drzwiom, wołając starą matkę, której kilka słów szepnęła. Brühl niecierpliwie przechadzał się po pokoju, patrząc w ziemię.

Teressa zwróciła się, spojrzała nań, i poszła nazad na swe miejsce.

Gluche uderzenie do furtki, zaledwie usiadającą poruszyło, wstała gotując się na przyjęcie Guariniego, rozpatrując po izbie, którą sprzątać dopiero zaczęła.

Żwawy krok dał się słyszeć na wschodach, długa twarz jezuity, nos jego spuścisty i dobronudszny uśmiech dał się widzieć na progu.

Zobaczył krzątającą się Teresę.

— Porzuć! — zawołał — jam nie gość, ja u moich w domu. Beppo mnie w rękę pocałował, stara o mało nie uścisnęła aż mi lżej, gdym ze współwyznawcami.

Teressa także pocałowała w rękę Ojca, co mogła zabrała i znikła.

Brühl szybko się zbliżył do Guariniego.

— A cóż? — zapytał — jedzie? nie jedzie?

— Jedzie — rzekł śmiejąc się Ojciec — król sam mu powiedział, że powinien się rozerwać po pracy.

Rozumiesz mnie? — rozśmiał się.

Nadzwyczaj zręcznie rzecz była osnuta. Nigdybym się nie spodziewał, ażeby królowa tak potrafiła dyssymulować. Z największym współczuciem dla niego namówiła króla, aby go sam do tego zachęcił.

„Wiem, rzekła, że ci Sułkowskiego brak będzie, że zatęsknisz po nim... my ci go nie potrafimy zastąpić, ale on się zabija tą pracą. On stworzony na żołnierza, do życia czynnego... niech sobie spocznie, niech się przejedzie i powącha prochu: wróci odmłodzonem. Król w rękę pocałował za to królowę i ucieszył się z jej współczucia dla przyjaciela... Dziś jeszcze rozkażę Sułkowskiemu jechać i dam mu piękny wiatyk na podróż. Nie trzeba żałować na to pieniędzy; niech jedzie! niech jedzie!” — zawołał O. Guarini.

Brühl mu wtórował.

— Niech jedzie!

— Zabawi kilka miesięcy — mówił Padre — będziemy mieli dosyć czasu, aby przygotować odprawę. Król się odzwyczał od niego.

Brühlowi twarz się wyjaśniła.

— Przez ten czas, ja wam nie potrzebuję mówić, co do czynienia macie — dodał Guarini. Wy nie potrzebujecie działać przeciwko niemu osobiście, toby było szkodliwem. Zostawcie to królowej i mnie; Sułkowski dość swoją dumą narobił tu sobie nieprzyjaciół, jak skoro ludzie postrzegą, że szczęście może się odwrócić od niego, pomogą nam nieproszeni. Wam należy dotrwać wiernym przyjacielem do końca.

— Tak też myślałem — odezwał się Brühl — będę nawet czekał, aż mi o wyjeździe powiedzą, a może zlekka przeciw niemu protestował, dowodząc, że mi się bez Sułkowskiego obejść będzie trudno.

— Doskonale — zawołał Guarini — *Al nemico il ponte d'oro che fuge...* gdy król zażąda pieniędzy, sypcie.

— Choćby ostatnie — odezwał się Brühl i zatarł ręce, a potem jakby sobie przypomniał obowiązek, księżka uścisnęła i w rękę pocałował.

— *Lontano degli occhi, lontano dal cuore* — pomrukiwał Padre powoli. — Król się oduczy od niego, a wy mu go zastąpicie.

Zaczęli chodzić po pokoju obaj... Padre jednak był zamyślony.

— Żonę zostawia, będzie mu donosiła — rzekł cicho.

— Koło niej trzeba mieć ludzi.

— Dosyćby było jednego — uśmiechnął się Guarini — ale tamto pono trudno... a i kandydata na tę funkcję znaleźć mi nie łatwo.

Zaczęli coś szeptać pocichu...

— *A goccia à goccia si cava la pietra* — dodał Padre...

Z drugiego pokoju wyszła w tej chwili powoli Teresa, trochę już przez poszanowanie dla duchownego przybrana, niosąc w ręku talerz owoców... który z uśmiechem na stoliku postawiła.

Ksiądz ją na sposób włoski po ramieniu poklepał, ona pocałowała go w rękę. Dobył z za sukni medale na sznurku, a było ich razem związanych kilka i wydzieliwszy jeden Teressie, dwa przyrzucił dla matki i starego Beppa, za co otrzymał jeszcze jeden ręki pocałunek.

Mówili potem z Brühlem długo, cicho, a żywo; minister z pokorą przyjmował instrukcje, lecz z zamyślenia i roztargnienia jego wnosić było łatwo, że sam w tej chwili układał swe postępowanie. Zaczynało już dobrze zmierzchać, gdy O. Guarini się wyniósł pocichu. Teresa wbiegła, aby coś powiedzieć czy prosić o coś u Brühla, ale i ten już spieszył, obiecując jej przyjść później.

Została więc znowu sama i siadła w pustej izdebce tak zadumana i smutna, jak wprzódy. Stara matka z założonemi rękami, milcząca, przyszła naprzeciw niej przysiąc także; lecz tęsknica na nie obie jakaś powiała i przemówić nie miały o czém: wzdychały tylko.

Jeszcze nie myślano o zapaleniu lampki, aby przez otwarte drzwi do domu nie ściągnąć równie dokuczliwych z nad Elby, jak włoskie komary, gdy stukano znowu do bramy. Teresa się nie podniosła nawet z siedzenia, choć może ciekawą była kto przyjdzie; któż jej tu mógł jaką przynieść pociechę?

Na wschodach słychać było głos i rozmowę włoską z Beppem, po tym głosie poznała Albuzzi kobietę, i machinalnie przyglądając włosy zerwała się z siedzenia, a matka widząc

to, wstała także. W mroku zobaczyły na progu stojącą postać kobiety słusznego wzrostu, po pańsku ubraną i pańskiego oblicza.

Przybyła strojną była jak najwykwintniej, w jedwabną suknię, fryzurę, koronki i obwieszona ulubionymi włoskimi błyskotkami.

Teressa z podziwieniem poznała w niej swoją nieprzyjaciółkę i współzawodniczkę, Bordoni-Hasse, słynną Faustynę.

Zakulisowa królowa rozpatrywała się w mieszkaniu swój rywalki i zdawała namyślać co ma powiedzieć.

Teressa stała milcząca naprzeciw niej.

— Widzisz, przychodzę do ciebie: ja! — zawołała, śmiejąc się Faustyna — czekałam próżno, ażebyś ty na zgodę przyszła do mnie; widzę, że ja muszę ci pierwsza podać rękę! E! Teresso moja! myśmy przecie obie włoszki, obie z pod tego pięknego nieba, pod którym pomarańcze i cytryny kwitną i zamiast sobie życie słodzić, my je sobie trujemy. Daj mi rękę, bądźmy siostrami!

Teressa zawahała się, na płacz się jej zebrało i wybuchnąwszy nim, rzuciła się na szyję Faustynie.

— Jam nigdy nie była nieprzyjaciółką tobie! — zawołała — jam ci nie odebrała ko-chanka, nie powiedziała złego słowa.

— A! dosyć! dosyć! niech przepadnie przeszłość — odparła Faustyna — nie wspominałmy jej, weźmy się za ręce i idźmy zgodnie. Życie nasze i tak ciężkie a smutne, trują je drudzy; myśmy nie powinny.

Faustyna westchnęła.

— Przyszłam do ciebie, bo mi cię z duszy żal; ale cóż pomoże dobra rada i dobre słowo? przyjdzie zapóźno, a co konieczne, tego żadna siła nie przemoże.

Zamilkła chwilę; matka Teressy wyszła powoli, ona sama na niskim stołeczku siadła u nóg Faustyny, podparła się na rękach jak wprzódy i zadumała.

— Ludzie nam szczęścia zazdroszczą — mówiła Faustyna — a my łzy lyać musimy. To nie nasz świat... a na dworze ich, jak na ich lodzie ostrożnie chodzić potrzeba, ażeby się nie pośliznąć i nie paść. Szczęściem ja mam króla, a ten mojemu głosowi będzie wiernym. Dobre stworzenie, które jak do żłobu idzie do swój łoży, a ja mu obrok zasypuję piosenką.

Rozśmiała się, pochyliła do Teressy i pocałowała ją w czoło.

— Ciebie mi żal, tyś wpadła w ręce. Albuzzi...

Zniżyły głos. Teressa obejrzała się bojaźliwie i szepnęła cicho i ostrożnie: ja się własnej matki boję!

— A ja nikogo — odparła Faustyna — ale znaszże ty tego przyszłego króla, który ci chustkę rzucił?

Wzdrygnęła się. To straszny człowiek! Miły, słodki, dobry, ale mi jego śmiech syczy jak gadzina; on ma uśmiechy ale serca niema. A taki pobożny, a taki pokorny...

I wstrzęsła się Faustyna.

— Przyszłam doprawdy użalić się nad tobą, bo on wkrótce nam tu wszystkim panować będzie... a biada nam pod panowaniem jego, jeśli z nas która sprzeciwić mu się odważy: *Poverina!*

Teressa zmilczała; Faustynie lice gorzało.

— Dla ciebie dobrym on może! lecz gdybyś ty jak ja codzien słyszała jęki i skargi na uciski i tłumione łzy ludzi, o! jakbyś go nienawidziła.

— Moja dobra Faustyno — odezwała się w końcu Teressa — trafiłaś na dzień taki, gdy mi to łzy jeszcze nie oschły od płaczu. O! myśmy tu bardzo biedne. Śpię i we śnie słyszę szum mojego Adryatyku, zdaje mi się, że tam znowu na progu domku wieczorem; *lucciole* migają w powietrzu. Andrea brzdąka na gitarze... piosnka brzmi w powietrzu, wiatr przynosi zapach kwiatów i liści. Budzę się, słucham: szumi, ale wicher, szumi ze śniegiem i brzmi mowa nienawistna i ludzie się śmieją, których sztyderstwo rani, a miłość upokarza.

Zakryła twarz rękami Teressa.

— Droga moja — odezwała się Faustyna, całując ją — więc nie dogryzajmy sobie wzajem, pomóżmy na cierniowej drodze.

I podała jej rękę, szepcząc w ucho:

— Strzeż się tego, który cię opanował: straszny jest! i niech cię Madonna ma w swęj opiece.

Teresa wstała, odprowadzając ją do drzwi.

— Adio! — rzekła — niech ci Bóg płaci dobre serce; przyszedł w smutku... jaśniej mi teraz, gdy nas dwie razem a nie przeciw siebie.

Tak się rozstały, a zamyślona Faustyna, której *port-chaise* czekała u bramy, szepnęła ludziom, ażeby ją nieśli do domu.

Przez odsłonięte okna lektyki mogła widzieć wszystko, sama nie będąc widzianą. Z uliczki, przy której stał nowy domek Albuzzi, czekając aż jej wspaniałą protektor rotundę wzniesie na Frydrychstacie, Faustyna prędko dostała się do bramy i miasta. Wązką uliczką musiała przejeżdżać na Zamkową. Z roztargnieniem spoglądała przeciwko siebie. Mrok w mieście nie był jeszcze tak gęsty jak w domach, twarze ludzi rozeznac było łatwo. Z przeciwnej strony spostrzegła niesioną szybko od zamku lektykę; poznała, a raczej domyślała się w niej Sułkowskiego, którego blada twarz i czarny wąsik, mignęła jej wśród cieni.

Szyby dwóch lektyk o mało się nie otarły o siebie, Faustyna, jakby nagłe jakies rozbudziło się w niej męztwo, w chwili, gdy lektyka Sułkowskiego mijala ją, zadzwoniła w okno swojej i zawołała:

— *Fermate!*...

Sułkowski, który był głęboko zanurzony na siedzeniu, wychylił głowę i spojrzal... Lektyki obie stanęły, ludzie niosący postawili je tak okno w okno, że siedzący w nich wygodnie z sobą rozmawiać mogli.

Spuściła okno Faustyna i wychyliła się wzruszona. Minister ze swęj strony zdziwiony trochę, zbliżył twarz ku oknu.

— Niech wasza Excellencya trochę kaze ludziom ustąpić, albo pozwoli mi mówić po włosku; potrzebuję poufale, choćbym zginąć miała, mówić z wami.

Na te słowa hrabia drgnął i przechylił się ku niej.

— Piękna divo — zawołał — jeśli chodzi o jaki spór, na to jest padre Guarini; jeśli idzie o łaskę jaką, król pan nasz nigdy wam nic nie odmawia, a ja... ja czasu nie mam, piękna pani.

— Hrabio, tu nie idzie o mnie! ani o łaski, bo temi mnie obsypujecie, i ja od was nic nie żądam, nic... idzie o was i o króla — odezwała się śmiało Faustyna.

Sułkowski zdawał się nie rozumieć, jednakże kazał podnieść wieko, wydobyl się z lektyki i podszedł ku śpiewaczce.

— Jestem na wasze usługi i słucham — rzekł z uśmiechem.

— A gdybyście też i wierzyć nie chcieli! — westchnęła...

Hrabia milczał, widać było zniecierpliwienie, które przemódz usiłował.

— Hrabio — mówiła żywo Faustyna — prawdaż to, że się oddalacie? że myślicie odjechać? że się usuwacie, i zostawujecie plac wolny nieprzyjaciolom waszym?

Sułkowski poczał się śmiać.

— Ja nie mam nieprzyjaciół — rzekł spokojnie — a gdybym był tak szczęśliwy i miał ich (bo za zaszczytbym poczytał zarobić na nieprzyjaźń służąc panu), wcalebym się ich nie lękał.

— Czy wy niedowierzacie? — przerwała Faustyna — i szczerem nie chcecie być z biedną śpiewaczką! Ale z za kulis wiele widać świata, ale za niemi lepiej się poznaje ludzi niż w salonach; ja wam hrabio dobrze życzę, bo wy kochacie króla i chcecie dobra dla tego kraju, który ja za drugą uważam ojczyznę. Wy jesteście czyści i pragniecie, aby pana kochano; drudzy myślą o sobie, a o kraj nie dbają wcale.

Namarszczył się Sułkowski.

— Ale któż! kto!

— Jakto, wyście tak ślepi! — zawołała zapalając się Faustyna — czy nie widzicie nic? Czyż ja wam to pierwsza odsłonić i pokazać muszę? Królowa Pani nawet zazdrości wam łaski króla, macie nieprzyjaciela we wszechmogącym Ojcu Guarinim, a współzawodnika w Brühlu. Długo knuty spisek w cichości nareszcie doprowadzili do skutku; was wyprowadzają ztąd aby wasze posiąść miejsce, aby wam serce króla odebrać! I wynie widzicie tego! wy dobrowolnie zaprzędajecie swoją przyszłość! Ten człowiek pochwydzi wszystko; dla was tu miejsca nie będzie.

Mówiąc to, załamała rękę. Sułkowski stał, słuchał, ale nie czyniło to na nim wrażenia, drgnął tylko i wnet rumieniec mu na twarz bladą wystąpił.

— Kochana pani — rzekł — to doprawdy sny są i przywidzenia. Ja wyjeżdżam, ale sam prosiłem o to; ja nie mam nieprzyjaciół, a mam serce króla, którego tak jestem pewny, że żadna moc w świecie odebrać mi go nie potrafi...

— Uspokójcie się signora, to są czcze plotki, które około każdego dworu jak komary nad błotami latają. Wierzcie mi, ślepy nie byłem i nie jestem, i oszukać mnie nie łatwo i pozbyć się mnie.

Począł się śmiać wesoło.

— A! signora Faustina — rzekł — wierzcie mi, że wam wdzięczny jestem za tę troskliwość o mnie, za to dobre mniemanie. Wierzcie mi, że o tej naszej rozmowie nikomu w świecie nie wspomnę: zostanie ona między nami.

Chciał odstąpić kłaniając się od lektyki, gdy załamawszy wyciągnięte ku niemu ręce Faustyna zawołała:

— Hrabio! byćże to może, abyście wy do tego stopnia ślepemi byli? Jestże to podobna? Szlachetny wasz charakter nie przypuszcza zdrady, ale ona w oczy bije: wszyscy widzą to, czego wy widzieć nie chcecie.

— Ale bo to są przywidzenia, domysły, potwarze! Brühl winien mi wiele, i aniby się mógł ważyć porwać na mnie, choćby miał tak potężnych sprzymierzeńców jak N. Pani i najczcigodniejszy Padre...

Potrząsł głową.

Faustyna zamilkła i spuściła oczy.

— A więc co przeznaczone, to nieuniknione! *Chi alta corte è destinato muore santo o disperato* — szepnęła jakby sama do siebie — *adio, signor Conte*, i niech Opatrzność was prowadzi i przyprowadza... Nie bawcie długo... Kiedyś może przypomniecie przestrogę głupiej Faustyny, ale już będzie po czasie.

Skłoniła głowę smutnie, hrabia ujął ją za rękę ze wzruszeniem.

— Śliczna i dobra Bordoni — rzekł — wierzcie mi, że wam wdzięczny bardzo; zawsze to, coście uczynili, wielkiego serca dowodzi. Mało go jest między nami i cenić go umiem. Lecz nie jest tak źle jeszcze... a! nie. Króla mogę nazwać przyjacielem, ufam mu i nie zawiodę się; bądźcie o mnie spokojni.

Faustyna nic nie mówiąc już, rzuciła się w głąb *port-chaisy*, a hrabia, uśmiechnąwszy się jęj i skłoniwszy głowę siadł do swojej.

Lecz zmienił w tej chwili postanowienie, i ludziom co go nieśli, kazał iść do pałacu Brühla.

Godzina była, w której go mógł zastać jeszcze. Zamyślony przebiegł niewielką przetrzeń, dzielącą od niego, w bardzo krótkim czasie. Nie potrzebował ani pytać, ani prosić o przyjęcie, byle minister był w domu, bo przed wszechmogącym Sułkowskim, drzwi się naówczas wszędzie otwierały jak w zamku.

Brühl był u siebie.

Nie pytając więc co robił, Sułkowski wbiegł na górę, nie uważając, że go poprzedził paź, który drugimi drzwiami wpadł o nim oznajmić.

Brühl naradzał się z Hennickem, którego odprawił szybko i nim Sułkowski zmuszony przechodzić przez cały szereg sal i pokojów doszedł do gabinetu, padł na kolana przed krucyfiksem stojącym na rodzaju klęcznika, ręce złożył i zatopił się w ekstatycznej modlitwie.

Łatwość, z jaką mu przyszło przybrać tę postawę, dowodziła, że nie po raz pierwszy używał jęj, gdy mu było potrzeba, ażeby go ktoś niby niespodzianie, zastał oddanego modlitwie. Ta postać strojnego dworaka, w aksamitnym fraku, przy szpadce i w peruce fryzowanej, na rozmowie z Panem Bogiem, wydałaby się może śmieszną, gdyby kiedykolwiek modlitwa być nią mogła.

Bardzo często, jak świadczą współcześni, zastawano Brühla zatopionego w takich religijnych rozmyślaniach.

Sułkowski nie pukając, otworzył drzwi i stanął w progu zdumiony; po raz pierwszy w życiu trafiło mu się pochwycić Brühla na modlitwie; oczom swoim nie wierząc prawie, stał nie ruszając się, a Brühl jakby otwierających się drzwi nie usłyszał, klęczał ciągle

plecami do nich odwrócony, z głową podniesioną, wydając głośnie westchnienia. Wreszcie prawą rękę podniósł i począł się bić w piersi, schylając głowę z taką gorącością ducha, z takim zapalem, jak żebrak pod kościołem, gdy chce na jałmużnę zarobić.

Sułkowski nie ruszał się z miejsca, nie mógł przypuścić, aby to wszystko udaniem było i komedią, wszedł bowiem nie oznajmiony dosyć szybko, a mrok wieczora lektyki jego w ulicy widzieć nie dozwalał.

Ta scena niema trwała długą chwilę. Brühl schylił się do ziemi, rozkrzyżował ręce, słychać było szmer modlitwy. Ilekroć prawa dłoń jego się podniosła, hrabia mógł na niej dostrzedz przywiązany różaniec. Nareszcie zlekka odkaslnął.

Usłyszawszy głos, Brühl jakby przerażony porwał się, poskoczył, a ujrawszy Sułkowskiego, zakrył sobie oczy.

— A! hrabio kochany, przepraszam... wstydzę się... zastaliście mnie na uczynku! Czasem dusza potrzebuje zbliżyć się do Stwórcy swojego. Tyle czasu poświęcamy rozkoszom ziemskim, choć chwilę pragnę oddać Bogu i modlitwie<sup>33</sup>.

— To ja was przepraszam — odparł powoli wchodząc Sułkowski — i buduję się istotnie pobożnością waszą.

Przebaczcie mi, żem przerwał modlitwę.

— A! ona się już kończyła! — zawołał Brühl i wskazał kanapę.

Świece dwie paliły się już na stole.

Człowiek, który się tak modli, pomyślał w duchu Sułkowski, złym być i zepsutym nie może: to niepodobieństwo. Ciężar mu spadł z serca. Popatrzał na Brühla. Ten miał minę ledwie rozbudzonego po modlitwie, rozmarzonego nią jeszcze, nie ostygłego po ekstazie.

— No — rzekł Sułkowski powoli, rozpierając się wygodnie — wiecie że jadę?

Spojrzał Brühl, nie okazał wzruszenia, smutną twarz przybrał.

— Czyniecie, co się wam podobało — odparł powoli — ja ani pochwalałem téj podróży, anim wam jój radził! Szczerze powiedziawszy, byłem przeciwko niej i jestem. Najprzód, że przy królu nikt was nie zastąpi: to próżno. Z wami otwartym być mogę i muszę, powinienem. Z ciężkością mi to wymówić przychodzi, królowa jest panią świętą, pobożną, przywiązaną do króla, ale kobietą. Wpływ jój, który tylko wasz mógł przeważać, zwiększy się przez to, król popadnie w niewolę jój i Ojca Guariniego.

Znaleźliście mnie na modlitwie, widzicie, żem pobożny, katolikiem zostałem i jestem nim szczerze; ale, ale nie radbym, aby księża zbyt wyłączny wpływ mieli na umysł króla. Nasz drogi pan i tak aż nadto im jest posłusznym, a zraża swych saskich poddanych.

Sułkowski słuchał z uwagą wielką.

— Mój Brühl — rzekł — masz najzupełniejszą słuszność w tém co mówisz, ja całkowicie podzielam zdanie twoje. Wszystko to prawda. Lecz ty tu zostajesz w miejscu, a ja nie zabawię długo. Masz mi za złe że jadę, ale ja żołnierzem jestem. Król mi dał dowództwo, wojny się spodziewam, przekonałem pana, że jest nieuchronną, że Saxonii korzystać musi z położenia Austrii i upomnieć się o swe prawa. To powód, dla którego chcę wprawy rycerskiej nabyć, jadę więc, jak widzisz, nie dla fantazyi.

— A wolałbym żebyście nie jechali — dodał Brühl. Mówicie, że ja zostaję, ale ja takiego wpływu na króla nie mam.

— Tymczasem wiesz, co ludzie roją i mówią? — zapytał Sułkowski.

Brühl zdziwiony podniósł głowę.

— To w istocie ciekawe — opowiadał Sułkowski powoli. Przestrzegają mnie, abym się miał na baczności, że na mnie wy z Ojcem Guarinim uknuliście spisek, że oddalacie mnie umyślnie, aby podkopać i obalić.

Brühl ręce załamał, zerwał się z krzeselka i wybuchnął gwałtownie:

— Dajcie mi tego potwarce! Na mnie, na mnie to śmieją mówić!!

Ha! nie ma na świecie nic, czegooby obłudzać niemożna. Na mnie!! Ja i Ojciec Guarini! ja, który go się lękam jak ognia, ja i królowa, która mnie nie cierpi. No, powiedzcież!!

Ja miałbym się porwać na was, mizerny robak przeciw człowiekowi, którego król przyjaciелеm nazywa. A! toby było okropne, gdyby nie było śmieszne, głupie, i podle!!

— A! a! uspokójże się — śmiejąc się, obojętnie zawołał Sułkowski — powtarzam ci to tylko, abym dowiódł, co ludzie marzą, o co posądzają. Przecież nie sądzicie, abym wam

<sup>33</sup>Historyczne. [przypis autorski]

nie ufał i lękał się.

I po chwili dorzucił:

— Mógłby zapewne człowiek ambitny a mialkiego rozumu porwać się na co podobnego; lecz srodzeby tego musiał pożałować. Ja króla jestem pewnym, dla mnie on nie ma tajemnic.

Ruszył ramionami pogardliwie.

— Wszystko to prawda — rzekł poruszony Brühl — ale kiedy tak jest, tém mocniejbym obstawał przy tém, ażebyście się podróży wyrzekli.

— Przepraszam cię, to właśnie powód, dla którego ja jechać muszę, ażeby dowieść głupcom i przekonać ich, iż się nikogo nie lękam, że się z tego śmieję, że gardzę.

Ramionami rzucił i Brühl ręką machnął.

— A że to niema sensu! to gdzieś ulica wymyśliła, albo z Berlina przyszło, gdzie się dla Saxonii plotki płodzą... to głupie.

— Mój Brühl, u mnie wszystko gotowe, jutro ruszam do Pragi — wtrącił, rozmowę umyślnie przerywając Sułkowski — nie bez przyczyny obieram tę drogę. Muszę Pragę strategicznie obejrzeć, bo my ją brać i zająć natychmiast będziemy zniewoleni. Chcę się przekonać, jakich sił potrzebować możemy, jaką obrać drogę. Jutro rano się puszczam, proszę cię, pożegnałbym żonę waszą.

Brühl pochwycił za dzwonek.

Wszedł galonowany kamerdyner.

— Pani w domu?

— Tak jest.

— Sama?

— Tak sądzę, ekscelencyjo!

— Oznajm hrabiemu Sułkowskiemu z pożegnaniem i mnie.

Kamerdyner wyszedł żywo, w pokoju panowało milczenie.

Bardzo prędko otworzyły się drzwi.

— Pani prosi!

Sułkowski z ciężkością, jakby zmęczony, powstał z kanapki i poszedł ku salonowi, Brühl za nim.

Mimo wstrząśnięcia, jakiego doznał, niktby go z jego twarzy nie wyczytał; gotowało mu się wewnątrz, ale się uśmiechał obojętnie.

W salonie zastali stojącą piękną panią Brühlową. Właśnie wracała z asambli u królowej, które zwykle trwały od godziny 4-tój do 6-ój po obiedzie. Strojna była i jaśniejąca pięknnością, która więcej dziwiła niż ujmowała. Coś dzikiego błyskało w jej oczach, coś okrutnego śmiało się czasem w ustach, jakiś niepokój ogarniał patrząc na nią. Było to odbicie tego niepokoju, jaki w jej duszy panował.

Spojrzała na Sułkowskiego.

— Przychodzę się pamięci pani polecić, — z pewną niedbałością pańską rzekł obojętnie, trochę głowę uchylając Sułkowski — wiesz pani zapewne, że jadę. Smutno mi tak miły dwór opuszczać, ale są konieczności. Szczęściem spodziewam się, że to nie potrwa długo.

— A! — odezwała się piękna Frania — a! słyszałam właśnie u N. pani na *cercle*, że hrabia nas osierocasz. Niezmiernie mnie to zdziwiło.

— Mąż pani o tém nie wspomniał? — spytał Sułkowski.

— Mąż! — minkę strojąc dziwną zawołała pani Brühlowa — mój pan mąż tak jest zajęty, że czasem po miesiącu się z nim nie widzimy, mieszkając w jednym domu. Jam zmuszona o nim się od obcych dowiadywać.

— Powinnaś go pani skarcić za to!

— A! nie — zaśmiała się szydersko Frania — on swobodny, ja także; czy może być co milszego w małżeństwie? Nie mamy czasu się sobą przesyć, i dlatego bardzo jesteśmy szczęśliwi.

Spojrzała szydersko na męża; Brühl wesoło to brał i śmiał się jak mógł najnaturalniej.

— A hrabina zostaje? — zapytała Brühlowa.

— Niestety! muszę ją porzucić! — odezwał się Sułkowski — Choćbym najmocniej pragnął na koń ją wsadzić, aby przy mnie kampanię odbywała, niepodobieństwo.

— To pan myślisz wojować? — spytała Frania.

— Tak jest! Niechże mi pani życzy powodzenia, abym głowę Turka mógł jój przywieźć.  
— Ja od tego uwalniam — odezwała się figlarnie. — Hrabio, przywieź nam tylko swoją całą, a będziemy mieli dosyć. Laurą przepasana będzie się ładnie wydawać, kiedyś na medalu.

Wspomnienie medalu, które jój na myśl przyprowadziło Watzdorfa, ogniem dzikim zapaliło źrenice.

— Życzę panu hrabiemu szczęścia! — odezwała się z ukłonem.

Oczy mówiły co innego.

Sułkowski się od niechcenia znowu skłonił. Brühlowa zwróciła się ku swoim pokojom. Gospodarz ujął go pod rękę i tak poufale szepcząc coś, powoli nazad skierowali się ku gabinetowi.

## VII

W kilka miesięcy po wyjeździe Sułkowskiego, szarym wieczorem zimowym O. Guarini wszedł do królewskiego gabinetu. Była to godzina o której zwykł był August III udawać się do królowej, na operę, słuchać muzyki, lub strzelać do celu.

Strzelanie do różnych stworzeń było mu ulubione, że niekiedy zdechłego konia rzucono pod murem, a gdy się błędne psy cisnęły do padła, Król J. Mość z muru do nich palił. Że zaś psówby w końcu zabrakło, nie zabijano je na śmierć, kaleczono tylko, aby pozdrowiawszy, znowu się na podobny podwieczorek zbierać mogły.

Tego dnia jakoś i strzelania nie było, i opery nie zapowiedziano, i do królowej na muzykę August nie spieszył. Dwa razy przychodzili szambelanowie, odprawił ich mruczając. Był to znak bardzo złego humoru. Dano natychmiast wiedzieć o tém Ojcu Guariniemu, który do króla pospieszył.

On jeden mógł z niego coś dobyć, innym się to nie udawało. Stary księżyna wszedł z tą swą spokojną miną, zawsze wesołą lub do uśmiechu skłoną.

Król nań chmurno popatrzył i głowę odwrócił.

Pomimo zimnego przyjęcia, Padre usiadł na taborecie i podparłszy się na rękę odezwał:

— Czy wolno spytać W. Kr. Mości, co tak zasępiło jego czoło? Wierny sługa się tém martwi.

Odwrócił się August, pokiwał głową; coś niewyraźnego zamruczał i chwycił fajkę. Nastąpiło milczenie.

— Lżejby było W. Kr. Mości — rzekł Padre — gdybyś raczył mi się zwierzyć.

— Głupstwo! — rzekł król.

— Nie warto się gryźć — odparł Ojciec.

— Głupstwo! — powtórzył raz jeszcze.

To powiedziawszy król wstał; począł się przechadzać wzdychając, i jak miał zwyczaj, kiedy go co niecierpliwiło, nogą podrzucał co na drodze znalazł, lub co mu się zdawało leżeć na drodze.

Guarini wpatrywał się w niego jak w tęczę.

— To bo niedobrze jest — rzekł — że W. Kr. Mość, przy takiej pracy nie szukasz sobie rozrywki. Rozrywka jest człowiekowi koniecznie potrzebna, S. Jan na Pathmos miał hodowaną kuropatwę.

— Kuropatwę!! — powtórzył król zamyślony — ja wolę polować na cietrzewie; kuropatwa mała zwierzyzna.

I chodził znowu powzdychiwając....

— Trzebaby albo muzyki, albo opery, albo obrazów, albo polowania.

August ręką machnął.

— Gdzież Brühl — spytał Ojciec.

— A! Brühl! jeden Brühl.... ale on zajęty, zajęty niebożátko, niech odpocznie sobie. Brühl dobry człowiek.

— Wyśmienity! — potwierdził Guarini — do niego W. Kr. Mość żalu nie masz?

— Ale co znowu!! Brühl... złoty Brühl — rzekł król, ale głowę zwiesił.

Trudno się było dowiedzieć.

— Jużciż W. Kr. Mość nie tęsknisz tak za Sułkowskim.

Drgnął król i stanął nagle. Guarini poznał że do rany rękę przyłożył.



— Otóżto Sułkowski: widzisz Ojczy — bąknął król. — Józefina go nie lubi. Jak można Sułkowskiego nie lubić?... he? powiedz ty?

Guarini zamilkł. Pytanie było wymierzone wprost jak strzał do piersi, jednak nie odpowiadał na nie.

Król nie lubiący mówić, powtórzył ciszej:

— Ojczy? jak można Sułkowskiego nie lubić?

Jezuita namyślał się bardzo długo. Chwila była stanowcza: należało przypuścić atak umiejętności; rozważał właśnie jak ma to uczynić. Spodziewał go się oddawna, przyszła godzina walna, trzeba tedy było począć.

— N. Panie — odezwał się — ja przeciwko Sułkowskiemu osobiście nie mam nic. Jako katolik chłodny jest i obojętny, to prawda...

Zdawało mi się też zawsze że naszą świętą królową panią nie dosyć czci i szanuje.

— O! o! o! — przerwał król — o! o!

— Przynajmniej ludzie tak i inni sądzili — mówił nie zmieszany Guarini. — Płochy jest to pewna, w pychę niepomierną wzbila go łaska pańska...

Zamilkł król posępnie słuchając.

— N. Panie — żywo zawołał zbliżając się Guarini — jesteśmy sami, nikt nas oprócz Boga nie słyszy. Proszę mi z ręką na sumieniu odpowiedzieć jak na spowiedzi, czy nigdy Sułkowski nie wodził króla a pana swego na pokuszenie??

Na te słowa August oczy otworzył wielkie, zarumienił się i nagle plecami odwróciwszy, nic nie odpowiadając chodzić zaczął.

Milczenie było dostateczną odpowiedzią.

Guarini się począł śmiać cicho.

— A nie jestże to zuchwalstwo? he? Pojmuję nawet że sługa i przyjaciel może chcieć czasem i na sumienie coś dla miłości pana wziąć, ale jużci by też mógł poczekać, aż mu z góry skiną.

Spuściwszy głowę król chodził.

— Królowa ma przezcucie — mówił Padre — co to się dziwić!! ale o tém, *satis*. Alboż to nie wiadomo szeroko, że on żywi myśli zdobywcze względem Austrii, względem domu któremu zawdzięczamy królowę Jchmość i przeciwko najświętszym przyrzeczeniom naszym...

August siadł w krzesło jakby znużony i patrzył na mówiącego.

— A najgorsza ze wszystkich ta ambicya i ta ufność że mu to wolno co zechce i że z królem a panem swym uczyni co mu się podoba. Są ludzie co to od niego słyszeli. Trochę pokory czy upokorzenia by mu nie zawadziło.

Alboż to dobrze, by ludzie mówili że on w Saxonii panuje, a nie król nasz miłościwy.

— E! e! e! — rzekł król — kto mówi? kto? to go powiesić!

— Tacy mówią, co słyszą jak się Sułkowski wychwała....

— Wychwała! to źle! — odparł król — uszy mu natrę.

Guarini uznał że doza lekarstwa zaadministrowana była na jeden raz dostateczną i zamilkł. Dopiero po chwili pochylił się do ręki króla.

— N. Panie, przebaczenie, darujcie, zapomnijcie. Duchownym jestem, suknia na mnie wkłada obowiązek mówienia prawdy. Ludzie światowi cofnąć się mogą przed nią, ksiądz musi rzec co ma w duszy. A komuż szczerzej jak temu co ludom panuje i co rzadko prawdę usłyszeć może?

— *Evero!* — szepnął król.

Ale z miny i głosu wyczytał ksiądz że rozmowy téj królowi było już nadto, że jój miał do przesyty. Szukał już czémby go zabawił, pewien że rzucone ziarno wnijdzie później sobie.

Niewiadomo czyby się udało Guariniemu wynaleźć przedmiot rozweselający, lecz wtém właśnie wszedł szambelan oznajmując że na pokojach królowej czeka N. Pana muzyka.

— Chodźmy! — odezwał się wzdychając August.

Guarini się uklonił, poszli.

Służba ze światłem poprzedzała króla.

Pokoje królowej wcale różnie wyglądały teraz gdy je Józefina zajmowała. Nie było tu przepychu, skromność i powaga wielka, ale majestat cesarskiego domu w niéj znać było.

Obrazy przyozdabiające ściany, wszystkie niemal religijnej były treści. Oprócz tego godła pobożne, krzyże i relikwiarze po gabinetach stały zamiast zwykłych świecideł.

Cały dwór trzymany w etykiecie surowej przez w. ochmistrzynię i marszałka dworu, składał się z kobiet podżytych i dobranych tak, aby ich piękność nie uczyniła królowi roztargnienia.

Tego dnia w wielkiej sali koncertowej, koncertmajster Jan Jerzy Pisendel, najsłynniejszy skrzypek swojego czasu, miał się popisywać wraz z kilku najprzedniejszymi solistami. Oprócz niego, na nowo przez siebie wynalezionym instrumencie, w rodzaju clavicembalo, miał się produkować sam wynalazca jego Pantaleon Heberstreit, który z Pisendelem o lepszą grywał na skrzypcach.

Na flecie mieli grać dwaj mistrze: Buffardia niezrównany wirtuoz i rywal jego Quanz, oba doskonali w swęj sztuce. Było więc czego posłuchać.

Królowa trochę już kwaśna przechadzała się oczekując na męża, gdy wszedł nareszcie. Zbliżyła się żywo ku niemu usiłując wyczytać coś z twarzy, zrozumiała tylko iż był niezadowolony. Ale na to radziła skutecznie muzyka.

Gdy król siadł wygodnie, oczy przymrużył, a Buffardia mu zaśpiewał na flecie, mgły przechodziły i czoło się wypogadzało. Król wśród stojącego dworu do swojego krzesła spieszył, gdy Józefina nieco przyzostawszy za nim skinęła na Ojca Guariniego.

Nie miała jednak czasu dłużej z nim się rozmówić. Włoch szepnął jęj tylko na ucho: — *Poca roba... Sulkowski.*

Królowa przyspieszyła kroku i znalazła się prawie równocześnie z mężem u stojącego obok krzesła. Znać tylko na przybycie N. Pana czekano, bo też kapela się ozwała z uwerturą świetną i huczną, której król zaczął słuchać z uwagą wielką.

Na twarzy Józefiny w czasie muzyki więcej znać było zajęcie mężem i sprawami jakimiś ważniejszymi niż koncertem. P. Pisendel napróżno się popisywał swym smyczkiem. Królowa zdawała się go nie słyszeć. Oprócz innych osób dworu, pani Brühlowa także siedziała obok matki, a tuż za krzesłem pana stał wyprostowany Brühl, niewinny baranek, ze spuszczonei oczyma, skromny jakby nie był pierwszym i jedynym ministrem.

P. Guarini przesuwając się około niego, szepnął mu nieznacznie:

— Wojna się rozpoczęła, nieprzyjaciel się broni, wszystkie siły skupić należy; zatem bacność!....

Brühl stał jakby nie słyszał, delektując się muzyką. Grano już duet, w którym Buffardin z Quanzem szli na wyprózdki. Król zupełnie zamknięte miał oczy, używał muzyki nie doznając dystrykcji żadnej. Ktoby był zobaczył z boku skierowane nań szyderskie wejrzenie Brühlowej, przeląkłby się był pogardy z jaką nań patrzeć śmiała.

Tuż za jęj krzesłem stał dwór ministra dopuszczony na koncert, a wśród niego odznaczał się piękny, młody mężczyzna, tak dziwnie do Watzdorfa podobny, iż się go jak widma przelęknąć było można. Wzrok Brühlowej czasem powłoczysto, zwołna szedł ku niemu, zatrzymywał się na pięknej jego twarzy, szukał oczów; wejrzenia się żeniły i rumieniec występował na lice młodego chłopaka. Brühl który w tamtą stronę nie patrzył, ilekroć on się czerwienił, bladł powoli; zdawało się że mu czegoś znużone drgają oczy i poruszają się usta: musiał to być skutek muzyki.

Trwał ten koncert dosyć długo, potem podano wieszczę, na osobnym stole dla królestwa obojga, przy marszałkowskim dla dworu. Król jadł tak i pił, iż zdawało się że o wszystkim zapomniał; jednakże po wieszczy natychmiast zażądał z Brühlem odejść do swych pokojów.

Większa część dworu rozpierzchła się; kobiety pozostały na wieczorne pacierze. Był bowiem zwyczaj w niektóre dni tygodnia, odmawianie modlitw i litanii pod przewodnictwem O. Guariniego, przy których bliższe osoby królowej panie zawsze bywały przytomne.

I tego dnia *exercitia* duchowne odbyły się w małej domowej kaplicy królowej i dopiero po nich reszta dworu uwolnioną została.

Miał i O. Guarini odchodzić, gdy królowa nań skinęła. W. ochmistrzyni usunęła się zaraz i stanęła w przyzwoitem oddaleniu.

— Cóż było mój Ojczę? Król...

— Sam zagaił o Sulkowskim. Wielce go boli, że niektóre osoby są mu przeciwne. Zagadnięty, nie mogłem zmilczeć, trzeba było wojnę rozpocząć.

— I cóż? i co? — spytała ciekawie królowa.  
— Mówilem dosyć długo: tyle, ile można, aby króla nie znużyć — kończył Guarini — powiedziałem wszystko com miał na sercu.

— A król?

— Milczący słuchał.

— Jakże się wam zdaje? zrobi to wrażenie na nim.

— Nieochybnie, ale teraz powtarzać potrzeba ataki. Sułkowski wraca, rzecz nie cierpi zwłoki; powinien zastać już króla nawróconym: inaczej przemówi nałóg, odezwie się przyjaźń dawna, zajmie swe miejsce i nic go już z niego wyrugować nie potrafi.

N. Pani — dodał Guarini — nie wymagajmy za wiele: nie można żądać, aby go spotkał los Hoyma. Winy nie są tak wielkie, dowieść mu ich niepodobna. Byleby się oddalił, na tém dosyć.

— Dosyć? — spytała Józefina — lecz znacie słabość króla dla niego? nie odezwiesz się ona później, nie skorzystaż on z niej? nie znajdzie dróg? człowiek bezbożny, bo takim jest to pewna, wszystkiego chwycić się może. Widzieliście go kiedy z dobrej woli w kościele? Wiécie, że nigdy nie zachowuje postów.

Wzdrygnęła się królowa i na chwilę zamilkła.

— Ja nie ustąpię — dodała — wy także powinniście działać. Brühl nie może.

— Chyba w ostatniej chwili — szepnął O. Guarini — i to ostrożnie. Do dobrego dzieła wszelkich sprężyn użyć należy: Bóg pomoże; Bóg pomoże. Kiedy powraca?

— Żona się go spodziewa co dnia: pisał do króla, że będzie w tym tygodniu. Spieszycy należy — dodała królowa.

Guarini skłonił się nisko i wyszedł.

Nazajutrz rano, wedle obyczaju Brühl był w pokoju króla, jak tylko wstał z łóżka. Nie była nużącą ta służba, ale nudną. Zwykle August milczał; trzeba było stojąc patrzeć nań i na uśmiech lub chrząknięcie, odpowiadać ukłonem.

Daleko więcej zachodu miał Brühl rozciągając pilną straż około osoby J. Kr. Mości. Dla spokoju jego potrzeba było zapobiedz, ażeby nikt nie spodziany nie miał doń przystępu; przy wszystkich audyencyach bez wyjątku Brühl musiał być przytomnym. Jeśli król szedł na mszę, oczyszczano wprzód drogę najstaranniej z obcych osób, nie należących do dworu. Nikt się do niego zbliżyć nie mógł bez pozwolenia ministra w jego nieobecności. Zdaje się że król August, który spokój lubił nadewszystko i niespodzianek się lękał, rad był z tego, nigdy bowiem z pod kurateli nie próbował się wyzwolić i swoim stróżom okazywał wielką wdzięczność.

Po mszy i po niezbędnych posłuchaniach, na które nie wiele grzecznych słów wyszafował roztargniony pan, Brühl został z nim sam na sam.

Mógł się domyślać że o czémś mowa będzie, bo król chodził niespokojny, stawał często naprzeciw niego, mrugał, uśmiechał się smutnie, odchodził, wracał znowu i stawał uporczywie, nie mogąc się jakoś zdobyć na rozpoczęcie rozmowy. W ostatku zatrzymał się, położył rękę na ramieniu ministra i spytał:

— Brühl, co ty mówisz o Sułkowskim?

Jakkolwiek przygotowany Brühl się zaciął i oczy spuścił.

— N. Panie — odparł zrećznie bardzo — ja pewno nieinaczéj o nim trzymam jak W. K. Mość.

— A wiesz ty co ja o nim myślę?

— Nie wiem, ale jestem wiernym sługą Pana mego, i mam za przyjaciół tych których on widzi dobrze, za wrogów tych co mu są nie mili. W. K. Mość byłś łaskaw umieścić przy swéj osobie dwóch moich braci, otóż gdyby jeden z nich miał nieszczęście zasłużyć na gniew króla, wyparłbym się brata.

Królowi się twarz wypogodziła.

— Brühl! ja ciebie kocham! — zawołał.

Minister schylił się do ręki pana.

— Brühl, ja ciebie bardzo kocham — dodał August — i dlatego chcę się ciebie poradzić. Słuchaj, mnie nim straszają...

Spojrzał w oczy Brühlowi z natężeniem.

— Mów śmiało, mów...

— Ja osobiście nie mam nic przeciwko Sułkowskiemu, ale że łaska pańska która mnie pokorniejszym czyni, jego w pychę wzbija, to pewna, że może się czasem chwalił że on robi co chce, nie tylko w sprawach państwa, ale nawet z Najjaśniejszym Panem: to być może.

— Hm! to być może powiadasz! to być może, a tak! to być bardzo może — rzekł król. Prawdę powiedziawszy na muzyce mizernie się zna, a na obrazach też nie wiele; jemu aby gołe, aby gołe! Ale tst! — dodał król — żeby Guarini nie słyszał — jaką on tu Venus przyniósł raz, com ja biędy miał z królową. Spalić ją kazała. A była bardzo piękna. No, i to prawda, że pozwał sobie czasem...

Niedokończywszy August zapatrzył się w okno, zamyślił i ziewnął.

— Jak ty myślisz — zapytał — czy to prawdziwy Ribera ten co go wczoraj przysłali z Wenecyi?

Brühl ramionami ruszył.

— Ja, N. Panie jestem w tém zdania W. K. Mości.

— To może być Ribera — mruknął król cicho.

— Tak, to mógłby być Ribera — powtórzył Brühl.

— Ale mógłby być *il Frate*...

— O! niezawodnie że podobny bardzo do *Frate*.

— Ty się znasz Brühl.

— Uczę się przy W. Kr. Mości.

Począł się przechadzać August bardzo zadowolony, zbliżył się do ucha Brühlowi i rzekł:

— Królowa chce abym go odpędził, bo jej ktoś szepnął, że mi doradzał bałamuctwa...

— Ale o to W. Kr. Mości nikt w świecie nie może posądzać! — krzyknął Brühl — nikt! wszyscy wiedzą o jego życiu przykłym...

— Ja nigdy nie dopuszczę żeby mnie posądzano — szepnął król — nigdy, nigdy! wołę... wołę...

Nie mógł dokończyć. Brühl się doń zbliżył i szepnął: żywa dusza, nikt! nie może posądzać W. K. Mości.

I rękę położył na piersi.

— Tak być powinno — szepnął August — i zniżywszy głos jeszcze cichuteńko do ucha mu rzekł: Myślisz że on co wie? posądza? he? he?

— Z pewnością nie wie nic i wiedzieć nie może, ale ciągle będąc tu, nieustannie szpiegując, mógłby... ktoś to przewidzieć potrafi.

Król się zatrzwożony wyprostował.

— Kiedy tak, to go trzeba oddalić: tak, tak! lepiej będzie. Ty mi go zastąpisz.

Brühl znowu do ręki pańskiej pospieszył. Na czole Augusta widać jednak było troskę, wzdychał ciężko, kosztowało go rozstanie z przyjacielem młodości: lżę miał w oku.

— Brühl, to postanowione, tak królowa chce. Guarini radzi, ty nie masz nic przeciw; ale jak? jak? mów... ale mów...

Minister spuścił oczy w dół, palec położył na ustach, przybrał postawę zadumanego i zafrasowanego. Król śledził każdy ruch jego i minę, czekał, aż zawyrokuje. Nagle podniósł głowę.

— N. Panie — odezwał się cicho — powodów do nielaski starczy: dosyć przypomnieć mu że sobie mógł pozwolić względem króla a pana zbytnej poufałości. Nigdy nie będę W. Kr. Mości radził surowości zbytnej, dosyć go oddalić od Jego oblicza, aby był najsrożej ukarany. Wygnanie od dworu będzie dlań najcięższym wyrokiem.

— Tak jest — przebąknął król — nawet mu małą pensję zostawię.

Spojrzał na Brühla, ten potwierdzał co król mówił i kłaniał się.

— Więc wygnanie — dodał August — a jak to zrobić? zostawiam tobie, ulóżcie, żebym ja nie miał z nim przykrości, żadnego gadania długiego; nic, nic! Niech sobie jedzie...

Mówili jeszcze, gdy August już rozpromieniony tém, że zbył się kłopotu i zrzucił go na cudze ramiona, ruszył się żywo.

— Brühl — rzekł — oznajmić królowej, że mam z nią do pomówienia. Królowa jeżeli się nie modli, to maluje; jeśli maluje, ja tam mogę przyjść.

Brühl się wymknął natychmiast; w pięć minut potem, król w towarzystwie szambelana pospiesznie dążył do pokojów żony. W istocie zastał ją przy pastelu. Młody artysta z założonymi rękawami i krédą w rękę, stał w postawie pełnej uszanowania za królową, która siedziała u trójnoga przed naciągniętym papierem. Na nim rozpoczęta była głowa Chrystusa, około której pracowała najjaśniejsza artystka, niekiedy zwracając się ku swojemu pomocnikowi. Nie wiele tam w istocie było pracy N. Pani, bo pomocnik przysiadł się w jej niebytności przerabiając fałszywe tony i prostując zatarte rysy; ale na-za-jutrz królowej Józefie zdawało się, że ona to malowała sama i z roboty swój była wielce zadowolniona. Tym sposobem postępował dalej obrazek i w końcu zwał się dziełem rąk pańskich, a dwór cały uwielbiał talent córki Cezarów.

Gdy król wszedł nie wstała nawet Józefina, wskazując mu tylko na robotę rozpoczętą. August stanął za nią i długo z przyjemnością wpatrywał się w rysunek, który od wczoraj mało co popsuty jeszcze, wcale dobrze wyglądał. W końcu król powiedział komplement, a z boku spojrzawszy na artystę, dał mu znak ażeby się do przyległej salki oddalił, co biedny malarz spełnił kłaniając się aż do ziemi z nadzwyczajnym pośpiechem.

Obejrzał się August i schylił do ucha Józefiny.

— Więc — rzekł cicho — stanie się jak każesz, oddalimy Sułkowskiego: tom przyszedł powiedzieć.

Królowa się odwróciła szybko uśmiechając do męża.

— Ale tst! ani słowa — dodał August — maluj. Brühl to ułoży, ja nie chcę się tęp gryźć.

— Nie potrzebujesz — rzekła Józefina — wezwij Ojca Guarini... Brühla, oni to dopelnia.

Nie chciał już o tęp dłużej mówić August i natychmiast zwrócił rozmowę na obraz.

— Kolorytu mogę powinszować — rzekł — *tres fin*, i bardzo świeży. Liotard nie zrobiłby lepiej, słowo daję; malujesz ślicznie... nie daj tylko temu artyście psuć sobie i nie słuchaj żadnej rady.

— On mi tylko krédę temperuje — rzekła królowa.

— Głowa piękna! powieszę ją u siebie, gdy mi ją zechcesz darować. I uśmiechnął się z galanterią.

Ponieważ godzina obiadu jeszcze nie wybiła, król skłonił się, pocałował w rękę Józefinę i odszedł, po drodze wskazując artyście wygnanemu do sali, aby królowej w pomoc pośpieszył.

Na twarzy pańskiej malowało się teraz zadowolenie ze zbytego ciężaru i wyswobodzenie od troski. Do wczorajszego całkiem był nie podobny: czoło miał wypogodzone, uśmiech na ustach, oddychał swobodnie i myśleć mógł o czém inném. Nie szło mu tyle o Sułkowskiego, co o zamęcie drogiego spokoju, o kilka dni życia struty i zepsuty. Gotów był człowieka poświęcić, ale rad się był zbyć sprawy jak najrychlej i nic już o tęp nie wiedzieć. Na wieczór zadysponowano strzelanie do tarczy przy pochodniach.

Gdy nazad powrócił do swych pokojów, poznać go nie było można.

Brühl z powodu tak wyjątkowych wypadków był na zawołanie, nie oddalał się wcale. Spojrzawszy nań król rozśmiał się i rzekł:

— Rzecz skończona: po obiedzie strzelanie, wieczór muzyka, jutro opera.

Pospiesznie się zbliżył do oczekującego.

— Niech nikt o nim nie wspomina: rzecz skończona; ani nazwiska, ani nazwiska, proszę...

Podumał chwilę.

— Użyjcie kogo zechcecie, kładę to na was... byłem już o niczém nie wiedział.

Zamyślił się i nagle zakończył:

— Słuchaj Brühl, to Ribera...

— Tak jest N. Panie! to Ribera — potwierdził minister.

## VIII

Karnawał w tym roku obiecywał się świetnym. W Saxonii wszystko szło jak najpomyślniej, szlachtę która skowyczyć śmiała, wysyłano na rekolekcje do Plejssenburga; w Polsce zapewniały spokój, sejm pacyfikacyjny i śmierć ostatniego z Sobieskich. Faustyna śpiewała zawsze cudnie, a na grubym zwierzu w lasach Hubertzburskich nie zbywało. Ostatni

jarmark lipski, na którym się król bawił, przedziwnie obfitował w konie i psy myśliwskie. Dzień po dniu w cudownie najprzód obmyślanym szły porządku.

W tak błogimto spokoju zwiastowany powrót Sułkowskiego, napęlił trwogą, przyspieszył szturm królowej i wywołał wyrok na niego. Spodziewano się, że ulubieniec pański nawet do osoby króla przypuszczonym już nie zostanie.

Hennicke i jego pomocnicy pilnować kazali po wszystkich drogach i gościach; strażę stały w bramach, poprzebierani ludzie zdala otaczali pałacyk Sułkowskich, aby jak tylko przybędzie, środki stanowcze przedsięwzięte zostały.

Ekwipaże generała-ministra i wielkiego ochmistrza dworu już były nadeszły wcześniej. Żona miała ku Pradze wyjeżdżać przeciwko niemu. Tego właśnie się lękano i bardzo zrećcznie pani Kolowrathowa oznajmiła jej o woli królowej, ażeby w gotowości była przybyć do zamku, gdy jej znać dadzą i raczyła się nie oddalać z Drezna. Hrabina rada nie rada, posłuszną być musiała.

Nad wieczór 1 lutego (1738), hrabia Sułkowski znajdował się już w Pirna, gdzie koniom tylko chciał dać wytchnąć, aby przed nocą do Drezna pospieszyć. W gospodzie kurjer jadący przodem wszystko przygotował na przyjęcie ministra. Nikt w świecie jeszcze nie spodziewał się, nie podejrywał, nie domyślał tak nieprawdopodobnego upadku. Wszystko co żyło w miasteczku, urzędnicy, burmistrze, rada, w paradnych strojach czekali na mrozie przed gospodą na przybycie tego, którego za wszechwładnego uważano, przed którym drżało wszystko.

Kurjer zapowiedział przybycie to jego ekscelencyi na godzinę czwartą; lecz że w wigilią dnia tego śniegi zawiąły drogi i kopno było na górzystych gościńcach, przyjazd się opóźnił.

Właśnie wszystkich oczy skierowane były w stronę Pragi, gdy od Drezna jeździec płaszczem obwinęty, na koniu zgrzanym nadbiegł i zsiadł przed gospodą. Była to najlepsza ze wszystkich pod *Koroną*, a właściciel jej Jonasz Hender, człek bardzo śmiały i rezolutny, zobaczywszy podróżnego, któremu by innym razem był rad bardzo, teraz poskoczył przeciwko niemu, aby go uprzedzić, że tu dlań miejsca nie było.

W klasycznym stroju dawnych gospodarzy, z fartuchem na piersiach białym jak śnieg, w futrzanej czapeczce na głowie, Jonasz ze swą rumianą i wesołą fizyognomią, stworzoną na uśmiechanie się do ludzi, przystąpił grzecznie ku nieznanemu.

— Przepraszam was... spodziewamy się jego ekscelencyi, hrabiego Sułkowskiego; kąta nie mam w domu, ani dla konia, ni dla was; ale pod *Palmową gałęzią*, choć zapewne nie to co u mnie, znajdziecie popas wcale dobry i człowieka miłego: to mój szwagier.

Przybyły zaledwie zdawał się chcieć słuchać Jonasza. Cugle koniowi rzucił na szyję, sam patrzył ku gospodzie roztargniony. Był to człowiek średnich lat, ale o wieku tylko z oczów i marszczek koło nich sądzić było można, gdyż zapewne dla zimna brodę i usta miał zawiązane chustką, a czapkę na czoło głęboko nasuniętą.

— Właśnie — bąknął stłumionym głosem z pod chustki, nie podnosząc jej — dlatego że tu stanie jego ekscelencya, i ja zajechać muszę: ja do niego jestem posłany.

Skłonił się oberżysta i własnoręcznie konia pochwylił.

— A! to co innego — zawołał — to co innego; proszę do mnie, niech się pan ogrzeje. Wino ciepłe z korzeniami gotowe, a niema na chłód jak glühwein: to doświadczone. Konia wezmą do stajni.

Parobek na skinienie poskoczył i chwycił zmęczonego siwego. Gospodarz w nadziei może iż się coś dowie, prowadził idącego do izby. Wpatrywał się weń, aby odgadnąć kto to mógł być taki, a ze stroju, ani z miny odgadnąć tego nie umiał. Ubiór był pospolity, mowa czysta i nie saska, obejście się bardzo poufale znamionowało dworaka; lecz nic znowu tak bardzo znakomitego, na koniu, bez sługiby nie przybyło w takim niepozornym płaszczu i butach.

Jonasz zwykł był bystrym okiem rozpoznając znaczenie ludzi, trafiać zawsze w ton właściwy i obchodzić się z niemi jak komu przystało. Tym razem nie wiedział z jakiego ma zagrać tonu, ale spodziewał się po odsłonienu oblicza odgadnąć czy miał z masztalerzem do czynienia, czy z urzędnikiem. Zdumiało go to że wchodząc do domu podróżny, wcale najwyższym urzędnikom miasta, stojącym na mrozie nie oddał czolobitności. Mógł z tego wnosić, że się od nich sądził wyższym; lecz dworscy i wszyscy, co się ocierają o panów, tak bywają zarozumiali.

Ponieważ dla tak wielkiego jak Sułkowski pana, nie jednej izby potrzeba było, bo jechał dwornie i musiało mu być przestronno; została więc tylko izba samego gospodarza, do której Hender zaprosił nieznanego.

Można tu było spocząć bardzo przyjemnie, bo na kominie palił się ogień wesoły, rumiana gosposia coś przy nim warzyła; dwoje dziewczątek zwijało się pomagając jej, a izba była przystrojona całe pięknie i w sprzęt czysty zamożna. Hender pomógł nieznanemu rozwinąć się z ogromnego płaszcza i chusty, z pod której wyszła chuda, koścista, dziwna, a nie miła postać, z twarzą kancelaryjną, wcale nieprzyjemną. Oczy jej patrzyły jak dwoma świdrami w człowieka, a usta krzywiły się dziwnie i fałdowały.

Spojrawszy nań, Jonasz który był niepospolitym ludzi znawcą, zaraz sobie rzekł w duchu:

— To jakiś niebezpieczny człek.

Lecz tém gościnniejszym wypadło być dla tak strasznie wyglądającego posła ze stolicy. Choć mieszkańcy Pirny w Saxonii za Reatczyków uchodzą, a Hender był rodem z tego miasta, nie zbywało mu na roztropności. Stał fartuchem krzesło, przybliżył je do ognia i zaprosił siedzieć przybyłego, który bardzo obojętnie wszystkie świadczone sobie grzeczności przyjmował. Był jakby przybity i pogrążony w smutnych myślach jakichś.

Kilka razy gospodarz się coś odezwał, ale nie odebrał odpowiedzi. Przyniósł szklaneczkę grzanego wina na miseczce i podał ją z uśmiechem: podróżny ją przyjął, lecz ani mu głową nie kiwnął.

— To musi być ważna figura! — rzekł w duchu Jonasz — nieinaczéj.

Podwoił więc grzeczności i dzieciom się kazał trzymać z daleka, gdy wtém dała się słyszeć trąbka, klaskanie z batów, szmér w ganku. Sułkowski nadjeżdżał. Gospodarz jak oparzony wyleciał na spotkanie.

Nieznanomy gość pozostał nieruchomy, zamyślony ze szklaneczką wina w ręku. I to miało swe znaczenie. Właśnie w tryumfie wprowadzano ministra do przeznaczonych dlań pokojów: gwar był wielki, bo znużony pan dziękując, wszystkich do domów odprawiał. Służba zносиła skrzynki z wiktuałami...

Hender, którego téż we własnym domu wyproszono za drzwi, wszedł dosyć kwaśny do swojego mieszkania i niepomału się zdziwił zobaczywszy nieznanego, który pił wino zamyślony i w ogień patrząc, miny do niego robił nieprzyjemne. Zdawał się nic nie słyszeć i nie widzieć nawet gospodarza...

Ten stanął i czuł się w obowiązku głośno oznajmić:

— Jego ekscelencja przybyć raczył!

Kiwnął głową dziwny gość i skrzywił się; namyślał się widocznie. Wina dopiwszy, na pektoralik dobyty popatrzył, zrobił minę do niego nie dobrą, potrząsł znowu głową, za czapkę wziął i wyszedł...

Gdyby pan Jonasz Hender bywał w Dreźnie, a miał sprawy w wyższych urzędach, poznałby był radcę Ludovici w tym gościu.

Zwolna i jakby ze wstrętem radzca przyłożył rękę do klamki i nie pytając o pozwolenie, wsunął się do izby gościnnéj.

Stół był w niéj nakryty, służba się krzątała, młody adjutant generała stał w oknie, Sułkowski z wyciągniętymi nogami leżał na kanapie.

Zobaczywszy we drzwiach znaną twarz Ludovici'ego, porwał się rozpromieniony.

— To wy! — zawołał — a to przedziwnie! mieliście tę pocziwą myśl wyjechania naprzeciw mnie: cudownie! Niezmiernie wam wdzięczny jestem, przecież się coś dowiem o stolicy; ostatnie listy próżne były i czcze.

Jak się masz Ludovici, jak się masz...

Twarz radzcy, który się kłaniał jakoś smutnie, nic dobrego nie wyrażała. Przywitanie było milczące.

Ludovici z ukosa spojrział na adjutanta. Sułkowski poszedł do drugiego pokoiku, w którym ogień palił się téż na kominie. Zdziwiła go tajemnicza jakaś, przeciągnięta twarz Ludovici'ego.

Hrabia był w humorze jak najlepszym. Nad Renem i w Węgrzech, polecony wszędzie listami, imieniem swém i stanowiskiem jakie zajmował, jak najlepiej był przyjęty. Wracał szczęśliwy z wycieczki, dumniejszy niż kiedy, pewniejszy siebie niż dawniej.

Zaledwie weszli do drugiej izby, począł zasypywać pytaniami pana radzcę. Odpowiedzi płynęły skąpo, Ludovici jakby nie miał odwagi ust otworzyć; przypatrywał się ze smutkiem tej radości, którą miał jednem słowem zniszczyć i może w rozpacz zamienić.

Dał się zrazu wygadać Sułkowskiemu, który śmiejąc się, swe powodzenia, honory jakie mu oddawano i doświadczenie jakie zdobył opisywał szeroko. Zdawało się, że w przyszłości obiecywał sobie głowę Maurycego saskiego.

Ludovici patrzył i głową potrząsał tylko.

— Cóżci to radzco, przemarzył czy strząśles się? co ci jest? usta ci się otworzyć nie chcą.

Ludovici się dokoła obejrzał.

— Nie mam się czego spieszyć — rzekł ponuro — bom z niczém dobrém nie przybył.

— Żona zdrowa?

— Chwała Bogu!

— Król zdrów?

— Tak, tak, zdrów! ale...

Radzca spojrział na hrabiego i rzekł smutno:

— Z tém przybyłem, nie znajdziesz go w. ekscelencya jakimś go odjechał. Zmieniło się wiele rzeczy: ja tej podróży zawsze byłem przeciwny, jam ją odradzał.

— Ale cóż się tak złego stało? — zawołał lekceważąco Sułkowski.

— To, co najgorszego stać się mogło — odezwał się Ludovici. — Nieprzyjaciele pańscy oskarżyli go, królowa na czele, Guarini, hr. chytry Brühl... nie mam co goryczy sączyć po kropelce: jesteśmy zgubieni...

Sułkowski, który nań patrzył jak na człowieka coby zmysły postradał, ruszył ramiona i rozśmiał się.

— Co ci się śni? co ci się śni?

— Dałbym wiele, ażeby to snem być mogło — mówił dalej radzca tonem ponurym.

— Nie czas się ludzić, należy się ratować, jeżeli ratunek jeszcze możliwy. Przybyłem, wykradłem się, ważąc życie, aby was ostrzedz. W bramach strażę, w domu szpiegi... jeżeli przyjedziecie do Drezna tak że was w bramie poznają, nie dopuszczą was do króla nawet. Takie są rozkazy!

— Ale to nie może być! — gwałtownie wybuchnął hrabia — to głupia mistyfikacya, któs ci napłótl niedorzeczności, a tyś dobrodusznie mu uwierzył. Niéma na świecie człowieka, coby mi mógł serce króla odebrać. To proste niepodobieństwo, to bałamuctwo, to nikczemne kłamstwo! Ja się z tego śmieję! Mnie, mnie do króla nie dopuścić? Ludovici, tyś zmysły postradał...

Radzca ręce złożywszy stał, patrząc na ministra z pewnym rodzajem politowania.

Sułkowski począł się przechadzać po pokoju żywo, śmiejąc się niekiedy sam do siebie.

— Skądże ty te głupie plotki pobrales? — zapytał.

— Ale z najlepszego w świecie źródła — rzekł powolnie grobowym głosem Ludovici. Dałem słowo że nie odkryję tego, czy tej, co mnie przestrzegła i jechać kazała. To co mówię, jest najświętszą prawdą.

— Na Boga, ale jakże się to stać mogło? — zawołał Sułkowski nieco strwożony — mów?

— Król jest słaby — począł Ludovici — królowa jest kobiéta i upartą, O. Guarini jest najprzebieglejszym z ludzi, a Brühl umie doskonale nas cudzemi zagrzebywać rękami. Otóż cała tajemnica. Nie taileś wasza ekscelencya swęj niechęci dla mnichów, masz ich pracy owoce.

Wszystko ułożone. Spiskowi wymogli na królu oddalenie wasze, choć się opierał długo. Pójdziecie na honorowe wygnanie z małeńką pensyjką, abyście Brühlowi nie przeszkadzali robić milionów. Lękają się wpływu waszego, słabości serca króla, więc was do tego nie dopuszczą.

Sułkowski się zmarszczył.

— Jesteś tego pewnym? — rzekł krótko.

— Najpewniejszym: w bramach rozkaz mają strażę, w zamku pilnują także. Dostaniecie odprawę... jak skoro ukażecie się w mieście.

— I król widzieć mnie nawet nie zechce? — wybuchnął Sułkowski.

— Król jest niewolnikiem — rzekł Ludovici.



Przez chwilę zdawał się namyślać Sułkowski.

— Jeżeli myślicie z całym dworem ruszyć do miasta — odezwał się Ludovici — rzecz skończona; wpadniecie w ich ręce. Może jest jakiś środek dostać się mimo nich do króla: użyjcie go. Macie wpływ, probujcie działać; ale to walka o śmierć, o życie, z królową, ze spowiednikiem i z Brühlem.

Z namarszczoną brwią chodził Sułkowski długo, zbliżył się potem do radzcy i poklepał go po ramieniu.

— Jesteś pewnym tego?

— Jak że żyję.

— No, to milcz... ja się ich wszystkich nie boję: mnie tak zgnieść jak Hoyma i innych nie można. Jam twardy.... Zobaczymy...

Najmniejszego nie dawaj znaku po sobie; chodźmy jeść: siadam z tobą na konia. Dwór zostanie tu, za kilka godzin będziemy niepoznani w Dreźnie. Ciekawym kto mi się odważy jutro drzwi królewskich zabronić! Zobaczymy...

Wszak do miasta się dostaniemy niepoznani?

— Musimy — odparł krótko Ludovici.

— Trzeba jeść, aby ludzie się z głodu czego nie domyślali. Chodź!

To mówiąc wprowadził radzcę do pierwszej izby, gdzie stół był już zastawiony. W milczeniu lub rozmawiając o rzeczach obojętnych, zaczęli się posilać, ale Sułkowski mało się czego dotknął. Pił wino i łamał chleb, którym stół przed sobą zarzucał. Radzca zmęczony jadł za wszystkich.

Sułkowski się odezwał do młodego adjutanta:

— Hrabio Alfonsie, i wy i konie pomęczone: nocujcie w Pirnie. Ja chcę żonie uczynić niespodziankę, siadam na konia i razem z radczą przetrzęsę się trochę do Drezna.

Adjutant zdał się niezmiernie zdziwiony. Sułkowski zwyczajnie podróżował wygodnie i z pewną okazałością; takie *incognito* w brzydką porę, po drogach śniegami zawianych, pod wieczór, wydało mu się dziwnym. Z wejrzenia jego wyczytawszy zdumienie, Sułkowski dodał z przymuszonym uśmiechem:

— Nie ma w tym nic tak nadzwyczajnego, czasem i fantazyi młodzieńczej w starszym wieku trzeba dogodzić.

To mówiąc wziął na stronę owego hr. Alfonsa i cicho dał mu polecenie.

Adjutant wyszedł natychmiast.

Sułkowski stał milczący i zamyślony.

Wkrótce dwa świeże konie osiodłane stały u wrót gospody; radzono ministrowi aby choć służyć lub mastalerza wziął z sobą, lecz stanowczo odmówił. Podróż ta dla adwokata, który już drogę z Drezna do Pirny raz przebył, nie bardzo będąc do konia nawykły, przykrzejszą była jeszcze niż dla pana; lecz nie chciał Sułkowskiego odstąpić.

Szcześnie dla obu, niebo się wyjaśniło, śnieg przestał pruszyć i mrozek tylko ostry wziął na noc. Konie były nawykłe do drogi którą często przebywały, dosyć więc było puścić im cugle, aby się trzymały bitego gościńca. Słońce się miało ku zachodowi, puścili się kłusem wyciągniętym, hrabia przodem, adwokat za nim, nie mówiąc słowa do siebie.

Wkrótce mrok padać zaczął, lecz śnieg nieco przyświecał i konie szły instynktem. Pomijali szybko rozrzucone nad drogą osady, domki i gospody.

Już było ciemno i noc nadchodziła i światła gęste zwiastowały Dreźnie. Gościńiec też zaczynał być więcej ożywionym; lekkie sanie, jezdni, piesi i ciężkie wozy wymijały się nawołując. Na wypogodzonem niebie czarne wieże kościołów widać było zdala....

Sułkowski zwolnił kroku i musiał zaczekać trochę, nim go Ludovici napędził.

— Jeżeli w bramach pilnują — odezwał się — trzeba pewnych ostrożności przy wjeździe.

— W. ekscelencyja zawiniesz się płaszczem i będziesz musiał na ten raz jechać za mną, jako mój towarzysz. W bramach pilnują wprawdzie, ale patrzą na ekwipaże i dwór z którym się spodziewają pana.

— Mówiłeś że i około domu mojego pilnują także?

— Z pewnością — odparł Ludovici.

— Więc albo do domu nie pojedę i ukryję się u was, lub muszę pieszo tam wniknąć niepostrzeżony.

— I tegobym nie życzył — przerwał radzca — w terażniejszych czasach za sługi ręczyć niepodobna: ktokolwiek zobaczy i doniesie.

Sułkowski się zamyślił i rozśmiał gorzko.

— To zabawne — zawołał — któżby mi dziś rano był powiedział, że nie będę gdzie miał bezpiecznie przenocować w Dreźnie!!

Ruszył ramionami.

— Jeżeli tak jest w istocie ze mną źle — bąknął po chwili z wyrazem dumy — nie chcę narażać nikogo.

Mój Ludovici, podejmij się tylko konia odesłać na pocztę, ja pójdę pieszo i miejsce sobie wynajdę, a co mam czynić będę wiedział.

To powiedziawszy zawrócił konia Sułkowski, okrył twarz. Ludovicego puścił przodem, przygarbił się na siodle i z miną pacholka, który się wlecze za swoim panem, pojechał w trop za radzcą.

Zbliżyli się do bramy. W istocie jak zwykle stały w niej straże, lecz radzca dał im jakieś zmyślane nazwisko na pastwę, niebardzo się nawet dwukonnym przypatrywano i bez przeszkody wjechali do miasta.

Już byli o kroków kilkanaście od wrót, gdy żołnierz przypadł do Ludovicego.

— Zkąd pan? z Pirny może?

— Z Pirny, tak jest — rzekł radzca.

— Nie słyszałeś pan o J. ekscelencyi hrabi Sułkowskim, który dziś miał przybyć właśnie.

— Owszem — zawołał dobrodusznie Ludovici, zwracając się na siodle ku pytającemu — gospoda pod *Koroną* zamówiona dla J. ekscelencyi, ale nadbiegł kuryer z oznajmieniem, że dopiero za parę dni z Pragi wyruszy.

Żołnierz odbiegł rad że to ich od pilnej straży nocnej uwalniało, a radzca i hrabia ruszyli dalej.

W mieście ruch jeszcze był dosyć wielki, jak zwykle czasu karnawału. Około stariej poczty Sułkowski zsiadł, oddał konia Ludovicemu, kilka słów mu szepnąwszy i zadumany udał się pieszo ku domowi.

Nie wątpił już teraz po zapytaniu u wrót, że to o czém mu doniósł radzca, prawdą było; musiał więc z pewnemi ostrożnościami dostać się do domu. Zawahał się nawet czyby mu raczej gdzieindziej nocować nie wypadło, ale duma nie dopuszczała kryć się jak winowajcy. Szło mu tylko o to, ażeby mógł wniknąć przez służbę, której nie dowierzał, niepostrzeżony. Odwykły dawno od podobnych tajemnych wycieczek i szukania środków skrytych, Sułkowski zrazu nie bardzo umiał sobie poradzić.

Dziwném uczuciem przejmował go widok ulic, ludzi których poznawał, powozów przesuających się, całego tego wesołego ruchu karnawałowego. Mijali go mniejsi urzędnicy i słudzy różnych dworów, których on widywał a którzy się w osłoniętym pieszo idącym człowieku nie domyślali wcale tego, przed którym niedawno mało na kolana nie padali. Położenie własne wydawało się Sułkowskiemu bajeczném niemal, cała przyгода marzeniem, niebezpieczeństwo urojeniem jakimś. Gniwał się niemal że temu mógł uwierzyć. Mierzył stanowisko jakie zajmował z groźbą upadku i nie pojmował ażeby coś podobnego ziszczyć się mogło....

Śmielęj jakoś pod panowaniem tych myśli zmierzał ku swemu pałacykowi. Na staję już od niego będąc, dostrzegł ludzi kilku przechadzających się dokoła i niby oczekujących na kogoś. Postacie te, kryjące się po kątach, potwierdziły iż straże koło wrót nań czatowały. Za każdym zbliżającym się powozem, ludzie ci wyskakiwali z za węglów i kryjówek i kołując biegli się przejeżdżającym przypatrywać. Sułkowski wsunął się w boczną uliczkę; niepewnym był co pocznie. W tej chwili na myśl mu przyszedł człowiek jeden, któremu zdawało się że mógł zaufać. Był nim Ojciec Vogler Jezuita, dawny spowiednik króla, człowiek stary, który się napozór dobrowolnie oddalił od dworu, ustępując Ojcu Guariniemu.

Żył on prywatnie, do niczego się nie mieszając, rzadko pokazując na dworze, teraz zatopiony w książkach. Niedgdy ulubieniec króla, wyszedł z łask jego nie umiejąc go zabawić, nie starając się podobać, podkopywany powoli. Był to człowiek milczący, surowy, pracowity; zresztą tajemniczy i ukrywający się z sobą. Sułkowski miał go za kapelana

i spowiednika w swym domu i zyskał sobie jego życzliwość. Chociaż Vogler napozór żył zdala od wszystkich intryg dworskich, sam nawet O. Guarini zdawał się go lękać i okazywał mu wielkie uszanowanie. Vogler nie krył się ze swym wstrętem dla Brühla, a choć mówił mało, znać było, iż cały ten dwór i wszystko co się tam działo w smak mu nie szło.

Przypomniawszy sobie teraz Sułkowski iż przed wyjazdem Vogler go przestrzegał, ażeby na długo się nie oddalał, zbytecznie laskom nie ufał, i tym co przyjaźń dlań odgrywają nie wierzył.

Jeżeli kto to Vogler musiał być najlepiej o wszystkiém uwiadomiony. Hrabia zmuszony przekradać się przez stary rynek i ludną ulicę zamkową, przy której mieszkał Jezuita, zasłonił się płaszczem jak najstaranniej i szedł w cieniu pod kamienicami, aby nie mógł być poznanym. Powozy i lektyki dążyły ku zamkowi; poznał port-chaise Brühla, którą jego hajducy klusem nieśli do zamku; minął ją, uśmiechając się sam do siebie z goryczą, którą pierwszy raz poznał w życiu. Na myśl mu teraz nie wiedzieć dlaczego przyszła ta scena uliczna z Erellem prowadzonym na ośle i zdało mu się że go spotkał los nieszczęśliwego dziennikarza.

Dom w którym mieszkał Vogler należał do zamku, a wniósł doń było w małej uliczce bocznej, na której teraz ciemność panowała. Drzwi główne stały jeszcze otworem, ale na wschody musiał się drapać omackiem. Wiedział że Vogler zajmował mieszkanie na drugiem piętrze. Zadzwoił więc do drzwi, które z trudnością mógł wynaleźć w ciemnościach.

Zakrywszy twarz czekał długo aby mu otworzono. Mały chłopaczek z ogarkiem w ręku drzwi uchylił.

— Pater Vogler?

Chłopak się wpatrywał bojaźliwie w nieznanego przychodnia i wahał co ma odpowiedzieć.

— Pater Vogler? — powtarzał hrabia głośnie — interes pilny, bardzo pilny! Czy sam jest?

Chłopak nie umiał sobie poradzić, drzwi zostawił otwarte, a sam ze świecą umknął. Dopiero po chwili powrócił ręką pokazując nieznanemu aby wszedł. Sułkowski nie zrzucając z siebie płaszcza wbiegł do mieszkania.

Była to cela uczonego. Wpółrodku stół foliantami zarzucony, przy ścianach proste półki, na których stały i leżały w nieładzie wielkie stopy ksiąg i papierów. Na stole paliła się lampka z umbrellką. Przed nią stało wysiedziane krzesło skórą obite, z którego tylko co powstał człowiek chudy, wysokiego wzrostu, przygarbiony, łysy, z oczyma przymrużonemi. Zdawał się odwiedzinami nocnymi niezmiernie zdziwiony i oczy osłabione pilno zwrócił na wchodzącego, który jeszcze był osłoniiony cały. Dopiero gdy chłopak drzwi zamknął, Sułkowski zrzucił nakrycie z głowy, odkrył twarz i zbliżył się do O. Voglera, który pochwywszy go za rękę, krzyknął z podziwienia.

— Tst! — zawołał Sułkowski.

Vogler go uściśnął milczący i posadził, ale najprzód wyszedł do przedpokoju, aby dać rozkazy stosowne chłopcu.

Hrabia sparty na stoliku milczał a myślał.

— Widzę — rzekł drżącym głosem wracając Jezuita — że musisz wiedzieć o wszystkiém, choć tu u nas nikt nie wie nic jeszcze.

Nikt nie widział was?

— Wprost tu przybywam z podróży — rzekł hrabia. — W Pirna dowiedziałem się o tym spisku, którego potwierdzenie z ust waszych słyszę, domyślam się. Więc to prawda? więc śmiano?...

Vogler poruszył ramionami.

— Tak jest, czekają na was z tą niespodzianką dobrzy przyjaciele — rzekł zwolna — do króla was nie dopuszczą.

— Właśnie na tém mi zależy, abym ja im niespodziankę uczynił i do króla wszedł mimo ich wszystkich — zawołał Sułkowski. — Mylą się ci panowie; król na niewidziane może podpisać wyrok, ale jeśli ja go zobaczę, jeśli ja z nim godzinę pomówię tylko, odzyskam dawną władzę: a naówczas... Naówczas — zawołał Sułkowski, wstając i podnosząc pięć ściśniętą do góry — nie ja pójdę precz, ale ci co się na mnie targnąć śmieli.

Zamilkł.

Vogler załamane ręce podniósł do góry.

— Idzie o to, ażeby miał gdzie przenocować i przeczekać do jutra, aby o przybyciu mojem nie wiedział nikt. Na dworze nikomu z pewnością nie wydano rozkazów żeby mnie nie dopuszczono, z prawa i z urzędu mam o każdej godzinie przystęp do N. Pana: nikt mi go wzbronić nie może. O godzinie jedenastej król sam: Brühl niema.

Jezuita słuchał z uwagą, nie okazując jak sądził plan hrabiego.

— Nie macie nic do stracenia, próbować należy; potrzeba: musicie.

— Odważycie się mi dać nocleg u siebie? — zapytał Sułkowski z uśmiechem zwątpienia.

Nie namyślając się O. Vogler odpowiedział:

— Proszę: nie będzie wam wygodnie; ale moje mieszkanie na usługi wasze. Jesteście tu bezpieczni, bo do mnie albo nikt lub rzadko kto przychodzi. Rozgośćcie się panie hrabio i niech Bóg pomoże dobrej sprawie.

Sułkowskiemu oczy błysły.

— Jeśli do króla dostąpię, jestem pewny, wygrałem sprawę...

— Daj Boże! — szepnął Vogler.

Nazajutrz rano Brühl przez Hennickego wiedział iż Sułkowski za parę dni dopiero ma przybyć. Posłano ajenta tajemnego do Pragi, ażeby tam i w powrocie czuwał nad nim. Na dworze cały spisek ten największą był tajemnicą, hrabina Sułkowska którą królowa uprzejmie przyjmowała na zamku nie miała najmniejszego przeczucia. Król odzyskał był humor wyborny, a karnawał obyczajem dawnym, obiecywał się świetnie.

O ranniej godzinie minister stawił się po rozkazy, odebrał je i zostawiwszy O. Guariniego na zwiadach przy królu, sam do pałacu odjechał. Tu przywdziawszy ubranie nowe, gdyż kilka razy na dzień etykieta zmieniać je zmuszała, kazał się nieść w lektyce do hrabiny Moszyńskiej. Był u niej teraz jak w domu. Hrabia mąż jęj przed kilką miesiącami życia dokonał, została wdową i Brühl był pewnym równie jęj serca, jak tego że ręki nie odda nikomu. Stosunki jego czulej przyjaźni z piękną panią nie były tajne. Codziennie z nią odbywały się narady, co wieczora pani Moszyńska, jeśli Brühl przyjmował u siebie, przyjeżdżała do niego. Wiedziano że nim rządziła. Często bardzo Hennicke, gdy pilno wypadło mu o czémś donieść, bo radzić się nie potrzebował, szukał ministra u hrabinęj.

I tego dnia Brühl wszedł tu jak do domu, dla wytchnienia. Moszyńska odpoczywała z książką w ręku, w żalobie jeszcze po mężu, piękna w tym stroju i majestatycznie poważna.

Zobaczywszy w progu wchodzącego zdala zawołała doń hrabina:

— Sułkowski? cóż Sułkowski? jest? przybył?

— Nie ma go! Z Pirny dali wiedzieć że dopiero za dwa dni przybędzie.

Fryderyka głową poruszyła z nieukontentowaniem widoczném.

— To nienaturalne — odezwała się — to podejrzone. Żona mi mówiła że najpóźniej miał być wczoraj. Ktoś mu mógł dać znać.

— Niepodobieństwo! Nikt nie wie!

Hrabina się rozśmiała.

— Liczmy osoby przypuszczone do tajemnicy — rzekła wydobywając piękną rękę białą i na paluszkach zaczynając rachować: królowa, Kolowrathowa, król, Guarini, wy Henryku, ja i zapewne żona wasza. Ta, gdyby jęj nie powiedziano, odgadłaby; dodajmy Hennickego...

Słyszeliście kiedy, żeby tajemnica ośmiu osobom powierzona utrzymać się mogła?

Brühl głową potrząsł lekceważąc to sobie.

— Choćby się dowiedział, to go nie uratuje. Królowi żona tak dogryzła Sułkowskim, że dla najdroższego mu pokoju wyrzec się go musi.

Tak rozpoczęta rozmowa, przeszła wkrótce na inne przedmioty. Brühl wszakże pomimo pozornego spokoju, trochę był zamyślony i ponury. Około południa brał za kapelusz i miał zatrzymującą go hrabinę pożegnać, gdy zapukano do drzwi i jak widmo błąd, nieczekając pozwolenia, wpadł Hennicke.

Zmieniona jego twarz i samo wnijsie szturmem do salonu zwiastowało już jakąś katastrofę. Hrabina się porwała z siedzenia.

Brühl pobiegł ku niemu.

Hennicke mówić nie mógł, oczy mu latały obłąkane na wszystkie strony.

— Co ci jest? Hennicke: opamiętaj się! — krzyknął Brühl.

— Co mi jest! Sułkowski potajemnie od wczoraj był w mieście, o godzinie jedenastej zjawił się na zamku, nikogo nie pytając wszedł do króla. O. Guarini, który przy nim był, powiada że król zbladł jak marmur.

Hrabia jak gdyby o niczym nie wiedział i nie domyślał się niczego, w najczulszych wyrazach pozdrowił króla, przyklęknąwszy, i oświadczył że pierwszym jego krokiem było i pragnieniem, upaść do nóg pana. Król się rozczulił i uściśnął go. Zaczął opowiadać wesoło o podróży, o przygodach, króla rozśmieszył... i wszedł wprost w dawne swe obowiązki, nikogo nie pytając.

W chwili gdy to mówię, Sułkowski jest u N. Pana: na zamku popłoch; królowa płacze, O. Guarini blade chodzi... wszystko stracone.

Brühl i Moszyńska spojrzeli na siebie.

Brühl nie zdawał się przelęknionym, ale podrażnionym mocno. Zaciśnął usta.

— Słuchaj Hennicke, Sułkowski tam przecież pozostać przez cały dzień nie może; spotkać się z nim nie mam ochoty: dać mi znać, gdy do domu odejdzie.

Doskonale pilnowano po bramach i wybornie spełniono moje rozkazy — dodał minister sucho.

Podszedł do hrabinęj, pocałował ją w rękę szepcząc słów kilka i skinąwszy na Hennickego oddalił się z nim razem.

W krótkich słowach opisana przez radzcę scena, w istocie była ciekawą. Na zamku upiór żaden nie byłby uczynił większego wrażenia nad niespodzianie zjawionego Sułkowskiego, który nie pytając o pozwolenie wszedł do króla. August osłupiał na chwilę, bo nic w świecie przykrzejszym dlań być nie mogło, nad wymówki i spory. O. Guarini mimo mocy nad sobą nie mógł ukryć pomieszania. Sułkowski z pozorną wesołością przywitał pana na klęczkach, potem począł opowiadać o sobie, radować się że miał szczęście oblicze króla oglądać. To uspokoiło nieco Augusta. Uważał tylko Ojciec Guarini, że słowa prawie się nie odezwał, mruzczał i uśmiechał się.

Zrazu Padre chciał pozostać do końca rozmowy i nie zejść ze stanowiska; później przyszło mu na myśl że był obowiązany donieść o wypadku królowej, aby natychmiast środki właściwe przedsięwziąć. I choć król niespokojnie się oglądał, Guarini po godzinie prawie przysłuchiwania się wyjść musiał. Sułkowski mówił wesoło i żywo, ale jakby gorączkowo. Chociaż najmniejszym słowem nie tknął położenia swojego, nie dał poznać że wie co go czeka, domyślać się było można z rozdrażnienia, ze śmiałości z jaką występował, że waży ostatnią stawkę na kartę. Król oglądał się jakby przestraszony i przybierał postawę coraz surowszą; chwilami się dawał rozchmurzyć i wnet wracał do sztywności jakiejś zimnej.

Dopóki Ojciec Guarini znajdował się w pokoju, hrabia mówił tylko o swjej podróży i wyprawach; gdy za nim drzwi się zamknęły, zmienił nieco ton i przedmiot.

— N. Panie — mówił z niewypowiedzianą tęsknotą — spieszyłem tutaj; miałem jakieś przeczucia przykre, choć te się dzięki Bogu nie sprawdziły, i serce W. Kr. Mości ręczy mi za to że się ziścić nigdy nie mogą. Służę panu mojemu od dzieciństwa, poświęciłem mu życie, gotowem oddać jego resztę; potrafiłem pozyskać łaskę i zaufanie, w sumieniu mojem czuję się czystym; nie obawiam się spisków nieprzyjaciół, choćbym ich miał, a nie sądzę ażebym mógł ich mieć, bo nikomu nic złego nie uczyniłem... Król słuchał z tą powagą przymuszoną ciągle, która nic dobrego nie zwiastowała.

Sułkowski odezwał się jeszcze raz o ucałowanie ręki. Dał mu ją król zmieszany, mrużąc, przestępując z nogi na nogę, ale nie odzywając się żadnym zrozumiałym słowem. Hrabia zapalał się coraz mocniej i mówił ze zwiększającą się, rosnącą coraz gorączką.

— Królu mój, panie mój, w twe serce ja wierzę jak w Boga! bogdajby tylko intryganci przewrotni jakimi i chytremi podszeptami mi go nie odebrali.

— O! o! — przerwał August — tu intrygantów nie ma.

— A na jakież dwór się oni nie wcisną? jakież oni sukienki nie wdzieją? — zaśmiał się Sułkowski. — N. Panie, jam żołnierz i rąbię po rycersku; w bawełnę nic obwijać nie umiem. Są źli ludzie, a ci co najśłodszy, najpokorniejszy, najusłużniejszy, ci właśnie najniebezpieczniejszy. Panie i królu mój! nie chcę innych wymieniać, ale Brühl... Brühla się pozbyć potrzeba lub o władnię wszystkiem i odbierze W. Kr. Mości prawdziwych przyjaciół, aby sam tu władał i rozporządzał.

Mówiąc to patrzył na twarz królewską, która się okryła purpurą a w chwili jednej bladła i stała się białą a siną. Oczy Augusta nabrały dzikiego wyrazu, jaki nadaje gniew wstrzymywany w sobie. Sułkowski znając go wiedział że trzeba było wybuch taki raz zwyciężyć, aby miłującego pokój pana opanować; nie trwało to nigdy długo. Król miał popęd gwałtowny czasami do rozerwania więzów, ale spróbował ledwie swęj siły, cofał się przed tém co go użycie jęj kosztować miało. Hrabia widział go nieraz w położeniu podobném i zamiast się ustraszyć, stał się śmielszym jeszcze.

— N. Panie — zawołał doganiając króla, który zwolna wstawszy ku oknu się cofał. W. Kr. Mość czcisz słusznie w pamięci wielkiego rodzica swojego, niech on Wam za wzór służy. Ten nad sobą nikomu panować nie dawał, ani królowęj, ani faworytom, ani ministrom, ani mnichom. On panował wszystkim. W. K. Mość możesz skinąć tylko, chcieć, rozkazać, a zamilknie co szemrze, poleci precz co cięży i więzi... Trzeba mieć odwagę życia i panowania, trzeba użyć żywota i władzy, którą Pan Bóg dał: trzeba te więzy potargać.

Król słuchał, ale coraz bardziej przerażony, oburącz zatknął sobie uszy i zamiast dać jakąkolwiek odpowiedź, jeszcze się dalej usunął ku oknu.

Sułkowski który już zaszedł tak daleko, że cofnąć się było niepodobieństwem; bił, jak mu się zdawało żelazo póki było gorące.

— Czuję tu — rzekł — że się targam na wielkie rzeczy, ale czynię to przez miłość dla mojego pana, którego chcę widzieć tak wielkim jak był rodzic jego, tak szczęśliwym jak on. Co warto to życie klasztorne! Pragniesz W. K. Mość spokoju, ale go będziesz miał przy sławie i dobrej myśli, jak skoro skinąć zechcesz i energicznie objawić swą wolę.

Tych opiekunów nie prosznych jak Pater Guarini i pan Brühl trzeba odprawić. Królowa, święta pani, cnót wielkich, niech się za nas modli, niech buduje swym przykładem, a my N. Panie, pojedziemy lada dzień Węgry zdobywać, bo Jego Cesarska Mość Karol VI, nie długo pociągnie. W obozie dopiero odetchniesz N. Panie.

Rozśmiał się Sułkowski...

Król patrzył w okno ponuro: żaden ruch i słowo nie zdradziło myśli jego.

Widocznie znużony był.

Szczęściem w tęg chwili, ruch na korytarzach zwiastował godzinę obiadową; August ruszył się z miejsca, jakby nie czekając dworu chciał iść. Sułkowski podszedł do ręki, wziął ją prawie siłą, zaczął całować gorąco. Rumieniec na twarz króla wystąpił. Wszedł właśnie W. marszałek dworu i zastał hrabiego żegnającego się z N. Panem w tak czuły sposób, iż najmniej nie powątpiewał o lasce w jakieg faworyt zostawał.

Część tęg rozmowy, niestety, królowa sama z za drzwi, wraz z O. Guarinim wysłuchała, ręce łamiąc.

Sułkowski wyszedł oślepony, pewien siebie, ufając w to że potrafi przerobić wszystko, i że nic mu nie grozi więcéj. Z dawniejszą swą butą i zarozumiałością przywitał dworzan i urzędników, których na zamku spotkał, i po krótkieg rozmowie z nimi, kazawszy sobie podać lektykę dworską, do domu nieść się polecił.

W jego przekonaniu wszystko było jak najszczęśliwiej skończone i zwyciężone. Wierzył w serce króla, widział walkę jaką stoczył z sobą, lecz pewien był że zwyciężył. W domu przywitał żonę pogodną twarzą, rozkazał zwołać Ludovicemu urzędników, przynieść papiery po południu i złożyć sobie raporta z czynności.

Ludovici nadbiegł pospiesznie i został odprawiony z tém, ażeby do dnia następnego były wygotowane punkta jak najmocnieć mogące Brühla potępić, wykazujące nadużycia, fałszywe rachunki, zaległości i t. p.

Cała część dnia i noc następna miały być poświęcone zgromadzeniu dowodów jak najbardziej obarczających.

Radzca odebrawszy te rozkazy, wyruszył natychmiast dopilnować ich spełnienia.

Gdy się to działo u Sułkowskich, król przy obiedzie z początku do ust nic wziąć nie chciał. Znano go zbyt dobrze, ażeby nie użyto najskuteczniejszego środka. Frosch i Storch znaleźli się naprzeciw stołu, wyprostowani oba... mierząc się oczyma zwiastującami wkrótce mającą wybuchnąć walkę. Frosch rozkraczony z rękami w kieszeniach, ani chciał spojrzeć na Storchą, raz nań czy dwa wzgardliwém rzuciwszy okiem; Storch przekrzywiwszy usta, zmrużywszy powieki, pokazywał nań palcem i stojąc wyprostowany nieznacznie, zwolna sunął się ku niemu. Dla niepoznaki nogi jego sklezione nie poruszały

się, ale całym ciałem przyparty do ściany dźwigał się cicho ku współzawodnikowi, zdającemu się nań nie zwracać uwagi.

Gdy się znalazł tak blisko Froscha, iż między niego a ścianę mógł się wcisnąć, podniósł nagle kolano i na niem podrzucił go w górę. Frosch uderzony krzyknął, król spójrzał i twarz mu się rozmarszczyła.

Zwykle owe trefne żarty rozpoczynały się z mimiką wyrazistą, ale w milczeniu. Okrzyk Froscha był znakiem rozpoczęcia wojny na języki. Oba ci bohaterowie slynęli z rodzaju dowcipu, który starczył na dni powszednie królowi.

— Zdrajco! — zawołał Frosch stojąc naprzeciw Storcha — nie masz odwagi, mnie bohatera zaczepić i wyzwąć do walki, bo wiesz że starłbym cię na pył, na proch i jednym dmuchnięciem nieczyste szczątki puścił na cztery wiatry! Zachodzisz mnie podstępem, niktzemnie, podle, więc kara cię należna nie ominie.

Storch udając skruszonego i przestraszonego, przyciem oczy mu się wywraçały tak, że w nich tylko białka widać było; nagle padł na kolana, złożył ręce i zdawał się błagać miłosierdzia. Nieporuszony tém Frosch rzucił się na schylonego i złożyło się tak, że przez głowę mu się przewaliwszy, nogami zawisł na ramionach; Storch wstał chwyciwszy go za pięty i zaczął z nim biegać po pokoju, ale go tymczasem obu rękami Frosch bił w plecy a w końcu za uszy pochwyił i oba się potoczyli na ziemię.

Król o wszystkiém zapomniawszy począł się śmiać i aż się wychylił, aby przyjemnego tego widowiska nie stracić; przywróciło mu to nawet apetyt i zaraz jeść łapczywie począł.

Królowa, choć ją to wcale nie bawiło, a na sercu miała troskę wielką, udawała że się śmieje.

Wkrótce potem przy niskim stolczku Frosch i Storch grali w warcaby najpocieszniej w świecie, zrywając sobie peruki i biegając za sobą po kątach.

Wszystko to wraz z kilkoma szklankami dobrego wina, poprawiło znacznie humor królowi, tak że Józefina nie wątpiła iż po obiedzie do pilnego dzieła przystąpić będzie można, które niecierpiałoby zwłoki.

Brühl z Ojcem Guarinim oczekiwali w królewskich pokojach. Minister nie wahał się w zamku na własną już odpowiedzialność wydać rozkazy, aby w razie zjawienia się Sułkowskiego, powiedziano mu iż N. Pan przyjąć go nie może. Szambelanowie mieli polecenie złożyć się czém chcieli, a na żaden sposób hrabiego nie dopuścić.

Była to walna bitwa, która niewiadomo czyjém skończyłaby się zwycięstwem, bo mowa Sułkowskiego pewne na królu uczyniła wrażenie, gdyby nie to że królowa Józefina slyszala część znaczną śmiałych wykrzykników hrabiego i poduszczeń do odzyskania niepodległości.

Jak zwykle August po obiedzie aż do opery lub muzyki śpieszył przywdziać szlafrok i zamknąć drzwi swe natrętom, i już zęgnął Józefinę nic o Sułkowskim nie wspomniawszy, gdy ona go sama zatrzymała w gabinecie.

— Auguście — zawołała — slyszalam co ci mówił i do czego cię nakłaniał Sułkowski.

— Gdzie? jak?

— Byłam u drzwi! — przerwała Józefina — i dobrze się stało że tam znalazła przypadkiem. Ty jesteś aniołem dobroci, ale król takim być nie powinien. Ten zuchwalec obraził majestat królewski, mnie, ciebie; śmiał się zapomnieć do tego stopnia, aby ci radzić życie bezbożne. Auguście, jeżeli noga tego człowieka postanie na dworze, pioruny i kara boska ścigać nas będą.

Tys to ścierpiał...

— A, a cóż? a jakże? — zapytał August — to mnie męczy. Ja potrzebuję spoczynku. Wypędzić go... no... wypędzić.

— Daj natychmiast rozkazy.

August posłusznie głową skłonił. Niedowierzająca mu jednak królowa, posłała natychmiast po Guariniego i szepnęła mu, aby działał niezwłocznie.

Brühl pośepny i zmieszany czekał na pana. Zobaczywszy go nie powiedział nic August, tylko z wymówką pokiwał głową, pogroził, i rzucił się na krzesło.

Prawie w tėje chwili wchodził śmiejąc się O. Guarini.

— A! a! zguba się nam znalazła! N. Panie. Sułkowski powrócił, znać pomiarkował że niepotrzebnie szukać chciał szczęścia po świecie. *Chi sta bene, non si muova*. Żle mu tu

znać było, jednak wrócił, bo gdzieindziej jeszcze gorzej!

August fajkę palić zaczynał, i wskazał nią na Brühla.

— Ten winien? ha? po co wpuścili! Królowa słuchała, głupstwa gadał... Pfuj!

— Nie jam winien, ale nas ktoś zdradził N. Panie — zawołał Brühl.

— Rób co chcesz — rzekł król żywo — nie chcę widzieć. Napisać rozkaz, do podpisu dać, posłać...

— Ale niema się czém trapić! niema sobie czém psuć humoru i zdrowia. N. Panie — dodał Guarini — Faustyna dziś śpiewa razem z Albuzzi, są w najczulszej zgodzie, kochają się jak dwie gołąbki.

Obejrzał się August i zamruczał:

— *Amor, quel che piace!*

Był to początek śpiewu, którego o mało nie zanucił, lecz zaraz się zajął fajką.

O. Guarini dbały o to, ażeby smutne przerwać myśli, nastroił tak rzeczy, iż natychmiast wniesiono przysłany z Wenecyi przepyszny portret Giorgiona. Ujrawszy go król porwał się w uniesieniu:

— *A, che bello!*

Zapomniał o wszystkim.

— Co to za miękkość! jaka słodycz... co za koloryt, jakie życie! — wołał lubując się arcydziełem i oczy mu się uśmiechały.

W pół godziny potem w jakimś niezmiernie ważnym teatralnym interesie prosiła o posłuchanie Faustyna i otrzymała je.

Cofnęli się wszyscy. Nadzwyczaj ożywioną rozmową bawiła króla dobre pół godziny, a gdy wyszła August ją wzrokiem przeprowadzał tak rozpromienionym, jak gdyby ani ministrów, ani interesów, ani żadnego utrapienia na świecie nie było. Chmury zostały rozproszone do jednej.

Nie tak było łatwo niepokój królowej i innych osób, wpływających do spisku rozpedzić. Znano śmiałość Sułkowskiego, przywiązanie króla do niego, środki jakich mógł użyć ażeby się docisnąć, wiedząc obyczaj Augusta i mając na dworze przyjaciół i protegowanych wielu. Straże więc tego dnia rozstawiono wszędzie, około pałacu hrabiego, który się ruszać nie myślał, około opery, na zamku, u drzwi bocznych, u wnijscia na wschody wiodące do apartamentów królewskich...

O. Guarini nie odchodził na chwilę, królowa czuwała. Brühl naradzał się, biegał, hr. Moszyńska jeździła, Hennicke ze wszystkiemi podwładnemi, Globig, Loss, Stammer, cała czereda sekretarzy i służby Brühla, rozsypali się po mieście zajmując przeznaczone im stanowiska.

Ruch ten wszystek wcale nie obchodził Sułkowskiego, pewnego swojego zwycięstwa i wygotowującego notaty, któremi miał położyć przeciwnika. Hrabia swém ranném wystąpieniem dumny, przekonany był, iż niém wrażenie na królu uczynił, które wszelkie inne przeważy.

Zona mniej dowierzająca, pojechała wieczorem do królowej. Nie przyjęto ją zrazu. Zaniepokojona tém, domagała się usilnie chwilowego posłuchania i wreszcie je otrzymała.

Józefina przyjęła ją bardzo zimno, lecz z narady O. Guariniego odegrać miała rolę całkiem nieświadomej spraw dworu i nie mieszającej się do niczego.

Hrabina Sułkowska panną będąc była freiliną królowej, miała jęć łaskę i niczém na zmianę uczuć nie zasłużyła. Weszła do pokoju, w którym Józefina nad książką pobożną siedziała, niewiedząc sama jak ma rozpocząć rozmowę.

Z przybranym uśmiechem oznajmiła N. Pani, że przysłała się szczęściem swém z nią podzielić z powrotu męża. Z tego zręcznie przeszła do pogłosek, jakoby nieprzyjaciele jego szkodzić mu usiłowali.

— Moja hrabino — przerwała królowa — mówmy o czém inném, proszę cię; ja zajęta jestem mojami dziećmi, modlitwą, sztuką, ale do żadnych spraw i intryg dworskich się nie mieszam i wcale o nich wiedzieć nie chcę.

Jeszcze raz usiłowała użalić się hrabina, królowa powtórzyła zimno:

— O niczém nie wiem. Król się mnie wcale nie radzi, ja się do jego spraw nie wtrącam...

Po krótkiej rozmowie zwróconej zaraz przez królowę na świeżo nawróconego i ochrzczono-  
nego Izraelitę, którego hrabina była kumą, potem na nabożeństwo postne, jakie się od



Popielca zaczynać miało; pani Sułkowska wstała i ze smutkiem pożegnała królowę.

Czy uwierzyła w tę całkowitą nieświadomość wszystkiego, w to usunięcie się zupełnie od dworskich intryg, odgadnąć trudno. Dostyc spokojna, bo nawykła wierzyć w męża, odjechała do domu.

Późno w noc nadszedł Ludovici, ale w humorze nie zwiastującym nic dobrego. Przychodził z oznajmieniem, że w poszukiwaniu aktów znajdował nieprzełamane przeszkody, że urzędnicy nie byli na swych miejscach po biurach, że wszystko się dnia tego rozpręgało, że go zbywano rozmaitemi nieprawdopodobnymi i śmiesznymi pretekstami i że na jutro w żaden sposób gotowym z papierami być nie może.

IX

Są charaktery podobne Sułkowskiemu, które niebezpieczeństwa do ostatniej chwili widzieć i uwierzyć w nie nie chcą. Ani to co mu od królowej przyniosła żona, nie kryjąc iż była zbyt zimno i obojętnie przyjętą, ani to co mu oznajmił Ludovici, nie odjęło zaufania w siebie i wiary w przyszłość.

Zdawało mu się że król doń był nadto nawykłym, aby się bez niego mógł obejść. Pewien był, że na nim silne uczynił wrażenie ostatnią rozmową, jeżeli się to w ten sposób nazwać mogło; nie wiedział zresztą może sam na co rachował, lecz był zupełnie spokojnym. Żona, kobieta skromna, bojaźliwa, znająca dwór i dwory i to co się zwykło zwać łaską pańską, choć nie okazywała tego po sobie, w śmiertelnej była trwodze. Wiedziała dobrze iż nielaska w Saxonii, zwłaszcza gdy się zajmowali przygotowaniem jej nieprzyjaciele, nie kończyła się na prostym usunięciu i wygnaniu. Szła za niemi pod jakimkolwiek pozorem konfiskata dóbr, a często i wiekiste więzienie bez sądu i bez wymiaru... trwające życie całe. Sułkowski popadłszy w nielaskę, zawsze mógł być strasznym swym nieprzyjaciółom, przez stosunki na dworach: francuzkim, austryackim i pruskim; cóż więc naturalniejszego było nad obawę, aby go nie zamknięto dla własnego bezpieczeństwa?

W śmiertelnej trwodze spędziła noc pani Sułkowska, kryjąc łzy swe, któremi mężowi męztwa odejmować nie chciała.

Hrabia przeciwnie był w wybornym humorze, zwierając się żonie co mówił królowi i jakie na nim uczynił wrażenie. Pochlebiał sobie że sieci zastawione przez nieprzyjaciół potargał, że wszystko powróci do dawnego stanu i że on teraz obali tę klikę nieprzyjazną, a królowę usunie tak i otoczy, aby niebezpieczną być przestała.

Nazajutrz rano d. 5 lutego hrabia po męczącej podróży nie zasnął długo, obudził się o zwyczajnej godzinie, ubrał i wedle dawnego obyczaju pojechał do króla na zamek.

Gdyby był cokolwiek więcej miał przebiegłości a mniej zaufania w sobie, dostrzegłby był z łatwością, że zobaczywszy go, wszystek dwór spowaźniał; że niektórzy się nieznacznie z drogi usuwali, a ci co nie mogli uniknąć z nim spotkania, nadzwyczaj byli małomówni i chłodni. Sułkowski miał dawniej swobodę wchodzenia do króla, kiedy mu się podobało i gdziekolwiek się znajdował.

Dążył więc prosto do pokoiów króla, wiedząc gdzie go szukać o tej godzinie, gdy Löwendahl zaszedł mu drogę grzecznie bardzo i oznajmił, że król w swoim gabinecie pilnemi sprawami jest zajęty i bez wyjątku żadnego, nikogo a nikogo wpuszczać nie kazał.

— Ale to się do mnie stosować nie może! — zawołał Sułkowski, uśmiechając się.

— Nie wiem — odparł Löwendahl — może się to później wyjaśni, lecz darujesz mi hrabia, że ja ściśle się muszę pilnować rozkazów i nie śmiem ich tłumaczyć.

Nie chcąc się poniżyć do sporu Sułkowski, pewien iż się później pomścić potrafi tego niewłaściwego znalezienia się; ukłonił zdala, zawrócił i odszedł.

Postanowił przyjechać powtórnie o godzinie jedenastej, gdy król wszystkich zwykł był przyjmować. Schodząc ze wschodów, zdala zobaczył port-chaise Brühla i to go mocno ubodło.

— Ale cierpliwości — rzekł w duchu — cierpliwości; są to ostatnie wysiłki tych ichmościów, przecież nie będą śmieli drzwi mi zamknąć przed nosem. Zobaczymy...

Pojechał do kancelaryi Ludovici'ego i znalazł go bladym i pomieszanym.

— Papiéry? macie papiéry? — zapytał.

— Dotąd ich nie mam, zbieram to co wprzód było przygotowane; jest coś w obejściu się ze mną urzędników tajemniczego, nic dobrego i nic nam nie zwiastującego pomyślnego: chodzą, a raczej uciekają jak poparzeni.

— Ja to rozumiem bardzo dobrze — zaśmiał się Sułkowski — jakże chcesz, aby kto widząc swój upadek nie stracił głowy. Ja się jeszcze do N. Pana docisnąć nie mogłem, powiedziano mi że zajęty w gabinecie. Musi być walna narada co tu zrobić z Sułkowskim, który wszystkim szyki pomięszal.

Zaczął się śmiać, a Ludovici westchnął, ale z błędu wyprowadzać nie myślał.

Ważyło się przez chwilę, czyby nie jechać do Brühla. Właściwie on powinien był już być u Sułkowskiego; usunięcie się także było rodzajem wypowiedzenia wojny. Nieczyste ma sumienie, rzekł w duchu, nie śmie mi się na oczy pokazać, a może węzełki zwija czując odprawę. To pewna, że nie dam mu tu popasać długo. Ludovici nie był tego dnia do rozmowy, milczał, zamyślał się, stawał nie słysząc co doń mówiono; przechadzał, stękał. Sułkowskiego to prawie śmieszyło.

Nie mając co począć z sobą, dla żartu postanowił odwiedzić hr. Moszyńską, aby zobaczyć jak go też przyjmie i czy bardzo się przestraszy.

Ruszył więc do hrabinęj, ale tu przeproszono go że godzina była ranna, a hrabina nie ubrana. Wrócił do domu, gdzie żona go u progu spotkała niespokojna...

Sułkowski, żartując z jęj przestachu, powiedział że natychmiast jedzie napowrót do króla. Zamilkła na to. Było trzy kwadranse na jedenastą, gdy Sułkowski na zamek udał się znowu. W przedpokojach osób znalazł bardzo mało. Frosch i Storch, którzy tylko przy królu byli tak pocieszni, siedzieli z minami powszednimi ludzi znudzonych i nie mających najmniejszej ochoty do błaznowania. Storch miał od padania na ziemię bóle w kolanach, a Frosch posępny wyglądał jak noc i nie widać było w nim najmniejszego do wesołości usposobienia. Siedział z obowiązku, oczyma i sercem będąc za oknem gdzieś w domu.

Gdy Sułkowski do drzwi apartamentu się zbliżał, paź króla przybiegł i oznajmił mu że N. Pan był u Najj. Pani. Do królowej iść ani chciał, ani mógł Sułkowski; tam potrzeba się było anonsować i mógł być nie przyjętym. Przeszedł się kilka razy po przedpokojach i nie wiedząc co z sobą począć, udał się napowrót do lektyki. Chciał się kazać nieść do domu, ale wiedział że widok tak wczesnego powracającego zaniepokoi żonę, wołał więc przebyć tę chwilę gdzieindziej.

Ta powtórna niebytność króla mogła mu dać do myślenia: w istocie dorozumiewał się intrygi, lecz w skutek jęj nie wierzył. Postanowił stałością i cierpliwością przemódz te przeszkody, wytrwać na stanowisku, nie okazywać zniecierpliwienia i był zawsze jeszcze pewien że zwycięży.

Po drodze był dom Faustyny... Postanowił wstąpić do nięj. Znał on admiracyą króla dla śpiewaczki i jęj usposobienia, miał nadzieję jeśli się nie dowiedziéć czego od nięj, to przynajmniej wyrozumiéć.

Już w przedpokojach dochodziła go taka wrzawa włoska, że niemal chciał się cofnąć, aby nie wpaść w niewłaściwe towarzystwo... Wtém drzwi się otworzyły i Amorevoli, Monticelli, Albuzzi, Puttini, Pilaja, kilku francuzów krzycząc i kłóćąc się jeszcze poczęło się wysypywać z pokoju. Zobaczywszy Sułkowskiego, wszyscy natychmiast umilkli, rozstępując się i kłaniając mu nisko.

Faustyna, która ich wypędziła, właśnie stała na progu: zdziwiła się na widok hrabiego i zmieszana nieco, z uśmiechem wymuszonym zaprosiła go aby wszedł.

— Kiedyż w. ekscelencyja wróciliście? — zawołała — my nic nie wiemy o jego powrocie.

— A, bo ja dotąd napół jestem *incognito* — rozśmiał się hrabia — proszę sobie wystawić, piękna pani, że od wczoraj nie mogłem dostąpić szczęścia oglądania pana mego. Trzy razy byłem w zamku, a dwa nie zostałem przyjętym. Ja!! — dodał Sułkowski, wskazując palcem na siebie.

— Zaczynam sądzić, że kilkumiesięczne oddalenie, uczyniło mi dwór i jego obyczaje niezrozumiałemi i przychodzę do was prosić o tłumaczenie.

— Hrabia sobie przyjemne żarty ze mnie stroisz — odparła Włoszka spoglądając nań z pewnem politowaniem i uwagą — ja znam tylko dwór ze sceny. Na scenie królową jestem lub boginią, a szedłszy z desek, zupełnie nieświadomą istotą tego co się w świecie dzieje.

— Jednakże — ciszej począł Sułkowski — powiedźcie mi, słyszeliście co? czy się tu jaka burza na mnie zebrała staraniem waszego przyjaciela Guarinięgo naprowadzona...

— Nic a nic nie wiem — trzęsąc głową ozwała się Faustyna — mnie moje kłopoty teatralne starczą. Być bardzo może że na was panie hrabio spiskują, ale wy przecież obawiać się tego nie potrzebujecie.

— Ani się też lękam, lecz chciałbym *tirer au clair*<sup>34</sup>, co to jest?

— To jest zazdrość i współzawodnictwo — odezwała się Bordoni — my w teatrach doskonale to znamy: rzecz niezmiernie powszednia.

— A lekarstwo na to?

Faustyna ruszyła ramionami.

— Kto może się usunąć, uciec, a kto ma ochotę walczyć musi się bić i trwać w boju, bo spokojności nie znajdzie nigdzie i nigdy.

Sułkowski nie śmiał jęj przypomnieć przestroóg, jakie mu dawała przed kilką miesiącami, teraz mowa jęj i usposobienie były całkiem zmienione: Faustyna lękała się.

Widząc że się niewiele dowięd, hrabia spytał o nową operę, o muzykę, o Hassego; przeszedł się po saloniku kilka razy i pożegnał Faustynę.

Postanowił wprost jechać do domu. Pomimo wiary która go dotąd nie opuszczała, chmurne miał czoło i musiał się powstrzymywać, aby nie okazać niecierpliwości jakiejś doznawał.

Przed pałacem znalazł ekwipaż dworski. Baronówna Löwendahl córka w. ochmistrza dworu była u jego żony. Sułkowski poszedł do salonu.

Na kanapie siedziały dwie panie zajęte żywą i niespokojną rozmową. Widząc go wchodzącego panna Löwendahl, żywa osobka, niezbyt już młodziuchna, która zawsze o wszystkim była najlepiej uwiadomioną, porwała się z kanapki i podbiegła ku niemu. Na twarzy jęj widać było pomieszenie i rozdrażnienie niezwykłe.

— Hrabia mi to najlepiej objaśnisz — zawołała witając się. Na dworze zaszły czy gotują się jakieś zmiany. Nie możemy odgadnąć co to być może.

— Ale zkądże panie to wnoszą? — zapytał witając się gospodarz.

— Wiem doskonale — poczęła żywo panna Löwendahl. Przed godziną król posłał po starego generała Baudissina, który leży na podagrę chory i kazał mu do siebie przyjechać.

Generał który ledwie o kiju się może po pokoju przechadzać, kazał przeprosić króla, tłumacząc się chorobą; mimo to posłano po niego raz drugi i widziałam na moje oczy sama że musiał jechać i pojechał na zamek.

— Nie wiem co to może być — odpowiedział spokojnie Sułkowski — Byłem na zamku dwa razy, ale oba razy najśmieszniej w świecie trafiłem tak że króla widzieć nie mogłem.

Zaczął się śmiać, panna Löwendahl ciągnęła dalej szczebiocząc żywo.

— Od kilku dni już głoszą że Baudissin, który kilka razy napróżno o dymisję prosił, dostanie ją nareszcie. Nic mu tak złego nie będzie, bo dawno odpocząć potrzebuje. Gorzej daleko, bo drudzy mówią że mój ojciec może także być odprawionym.

— Nie sądzę — rzekł Sułkowski — ale żem od kilku miesięcy nie był w Dreźnie, nie rozumiem tego wszystkiego, nie jestem *au courant*.

Panna Löwendahl spojrziała nań.

— Domyślić się łatwo. Miejsca są potrzebne dla nowych kreatur.

— Cicho! cicho! — przerwała hrabina — doprawdy ja się lękam już i słowa...

Hrabia ramionami ruszał.

— Popłoch próżny — rzekł — zmieni się to wszystko wprędce.

Na te słowa wszedł kamerdyner.

— Jego ekscelencja w. ochmistrz baron Löwendahl i J. E. generał Baudissin.

Wszyscy po sobie spojrzeli, marszałkówna poblądła i cofnęła się ku kanapie.

— Prosić — zawołał idąc ku drzwiom Sułkowski.

W téjże chwili wchodzili już oznajmieni goście, a Löwendahl zobaczywszy córkę, zdziwiony nieco na nią popatrzał, jakby wymawiał że ją tu znajduje.

Przywitanie było zimne, Sułkowski sztywnie i chłodno przyjmował gości, nie umiając sobie wytłumaczyć ich odwiedzin. Wskazywał im siedzenia, gdy Baudissin zbliżył się do niego i rzekł:

<sup>34</sup>*tirer au clair* (franc.) — wyjaśniać. [przypis edytorski]

— Hrabia pozwolisz ażebyśmy mogli mówić bez świadków; przychodzimy z polecenia króla.

Twarz Sułkowskiego nie zmieniła się wcale, wskazał natychmiast drzwi przyległego gabinetu.

Kobiety które cichęj rozmowy posłyszć nie mogły, siedziały przestraszone i zaciekawione. Sułkowska błada, drżała czując że to nie zwiastowało nic dobrego.

Panna Löwendahl chciała odjechać i nie miała siły, hrabina zatrzymywała ją gwałtownie.

Gdy się we trzech w gabinecie znaleźli, Baudissin, stare, posłuszne żołnierzysko z widoczną przykrością dobył z kieszeni fraka papier... rozkaz z królewskiej kancelaryi przysłany i przez króla własnoręcznie podpisany.

W milczeniu podał go Sułkowskiemu, który w przejściu z salonu do gabinetu, jak gdyby próg innego świata przestąpił, stał błady i widocznie rażony jak piorunem.

Drżącymi rękami ujął ten papier, oczy nań zwrócił, czytał a nie rozumiał: stał jak obłąkany.

Löwendahl któremu i żal się go zrobiło i szło o to aby copędzój się ztąd wydobyć, widząc że hrabia stoi, milczy i nie zdaje się rozumieć, o co idzie, stanął za nim i głośno czytać zaczął powoli...

Pismo było w niewielu wyrazach krótko zredagowane.

„J. Kr. Mość zauważywszy, że hrabia Sułkowski po kilkakroć i ostatni raz przy widzeniu się z nim, zapomniał się a uchybił J. Kr. Mości; uznał właściwem, urzędy jakie przy J. Kr. Mości sprawiał odjąć i od obowiązków wszystkich przy sobie uwolnić. Jednakże ze względu na długoletnią służbę jego, raczył mu pensją jako generałowi pozostawić”....

Coś gorszego może spodziewał się zapewne Sułkowski wnosząc z tego co innych spotykało, rozpatrzywszy się więc w piśmie, przyszedł wkrótce do siebie i odzyskał przytomność.

— Wola Najjaśniejszego Pana — rzekł — jest dla mnie świętą. Jakkolwiek czuję się niesprawiedliwie dotkniętym, skutkiem zapewne poduszczeń nieprzyjaciół moich, zniósę co mi przeznaczono.

Jeżeli się nawet zapomniał w obec J. Kr. Mości, pewnie to raczej było skutkiem mojej miłości dla N. Pana, niż braku poszanowania.

Baudissin i Löwendahl nie odpowiedzieli nic. Sułkowski przed którym niedawno jeszcze, niemal na twarz padali, ujrzał na nich pierwszych skutek niełaski.

Dawna grzeczność zapomnianą została: Baudissin obchodził się z nim jak z równym, a Löwendahl jak z podwładnym. W twarzach było widać zakłopotanie i chęć jak najrychlejszego uwolnienia się.

Oba skłonili się z dala, obłudno, Sułkowski oddał im ukłon i wyprowadził do sali. Tu zdaleka tylko pożegnawszy siedzące panie, wyszli co najrychlej. Hrabia niewiele już po sobie okazując wrazenia, przeprowadził ich grzecznie do sieni i powrócił spokojny niemal tak, że żona domyślić się z twarzy nie mogła co się stało. Potajemna ta narada nie była daremną.

Panna Löwendahl dosiadywała chcąc się o czémś dowiedzieć.

Nieśmiano go pytać.

Z zimną krwią Sułkowski przystąpił do stołu i spojrzał na żonę, której twarz wyrażała niespokojną ciekawość.

— Winszuję pani — rzekł głosem, w którym lekkie przebijało się drżenie — jesteśmy wolni. N. Panu podobało się ze swęj służby mnie odprawić. Nie boli mnie to nic a nic, chociaż dobrego i kochanego pana żałuję. Na dworze tym jednak w takim składzie okoliczności jaki jest dzisiaj, wytrwać uczciwemu człowiekowi było trudno.

Żona rzuciła się na kanapę zasłaniając oczy.

— Moja droga — rzekł hrabia — uspokój się, proszę. Przyczyną odprawy ma być to że się w obec króla J. Mości zapomniał, co znaczy że mówił niemiłą i nieproszoną prawdę; król mi zostawił raczył pensję generalską a dał mi nieoszacowaną swobodę — dodał rękę wyciągając ku żonie — pojedziemy do Wiednia.

Panna Löwendahl patrzyła na hrabiego z podziwieniem. Nie mogła pojąć tēj spojności z jaką przyjął nagły swój upadek ze szczytu. W istocie duma Sułkowskiego nie

dozwalała mu ani mocno uczuć wrażenia, ani go okazać. W prędkim czasie po pierwszym osłupieniu przyszedł do siebie i po pańsku przyjął co los mu wydzielił.

Być bardzo może, iż spodziewał się jeszcze zmiany...

Hrabina płakała.

Uczuła panna Löwendahl że była tu zbyt uczynną, bo pocieszyć nie mogła, a przytomności swą nie dała się im wynurzyć przed sobą; ścisnęła więc w milczeniu rękę przyjaciółki i wysliznęła się z pokoju.

Sułkowska padła twarzą na kanapę.

— Droga moja — zawołał hrabia — zaklinam cię na wszystko, bądź mężną. Nie przystoi nam dać poznać żeśmy dotknęci. Zawdzięczamy sercu króla, że ja nie jadę jeszcze do Königsteinu na miejsce Hoyma i że zamiast mi odebrać majątek, zostawia mi pensję. Wygnanie w Uebigau, na które jestem wskazany, niema w sobie nic strasznego i nie wyłącza nadziei... obalenia tego całego rusztowania, które zręczna ręka poczciwego, słodkiego, wiernego mojego przyjaciela Brühla zbudowała....

Uspokój się proszę cię.

Ale niełatwo łzy ukoić było.

Sułkowski nic nie mówiąc spojrzął na zegarek, podał rękę żonie i szepcząc pocichu, przeprowadził ją do jej pokojów.

x

Jeżeli co może w człowieku obudzić najwyższą wzdrgę dla plemienia ludzkiego, to widok zmiany nagłej, jaką wywołuje ruina i upadek, przed chwilą jeszcze bałwochwalczego czczonego ulubieńca losu.

Jest w tém coś tak nikczemnego, tak upadającego, iż serce wzdryga się na to; ale w takich tylko razach człowiek poznaje świat i wypróbować swych współbraci. Kto nie przeszedł przez podobne przesilenie sam, nie odczuł tego co ono budzi w sercu, nie pojmie jaką goryczą zapływa.

Sułkowski który od dzieciństwa był przy królewiczu i nawykł uważać się za przyjaciela, który nie przypuszczał nawet, ażeby coś podobnego jemu się trafić miało, znosił swą dół z dumą chłodną; lecz nie mógł się powstrzymać od najwyższej pogardy, jaką w nim już obejście się dwóch królewskich posłów wzbudziło.

Wysłał natychmiast po Ludovicego. Radzca był mu winien wszystko, był mu do ostatniej chwili wiernym; lecz... obawa o los, o miejsce, o stanowisko sprawiły że teraz już na zawołanie nie przybył, wymawiając się zajęciem urzędowym.

— Wypadnie więc — rzekł zimno hrabia — ażeby ja poszedł do niego z wizytą, choćby dla odebrania papierów, jeśli te nie są już w ręku Brühla, i jeśli niemi nie okupił przebaczenia.

Wybrawszy popołudniową godzinę, hrabia tegoż dnia udał się na zamek. Pochód ten był prawdziwą drogą krzyżową.

W mieście już od dwóch godzin wiedziano o upadku Sułkowskiego; chociaż jedną chyba dumą tylko mógł zawinąć względem podwładnych i nikomu nic złego nie uczynił, a dla wielu był aż nadto dobrym, wszyscy się czuli w obowiązku okazywać mu, jak się radowali niepomierne z jego upadku.

Przechodził około kancelaryi Brühla; zobaczyli go pisarczykowie przez okno: cała zgraja ich z piórami za uchem, z rękami w kieszeniach, ze śmiechem na ustach, wybiegła na ganek, w ulicę, żeby się wczorajszemu władcy, a dziś skazanemu winowajcy przypatrzeć.

Sułkowski słyszał i widział co się wkoło działo, ale miał tyle mocy nad sobą że się ani obejrzał, ani dał poznać iż coś widzi i czuje. Przeszedł wolnym krokiem i pominął ich, choć długo szyderstwa i wykrzyki dochodziły jego uszów.

Po drodze co krok spotykał kogoś z tych co wczoraj mu się najuniżeniej kłaniali, a dziś udawali że go nie widzą, lub wpatrywali się natrętnie nie zdejmując kapelusza, ażeby okazać iż sobie drwią z niego.

Mijały go powozy, z których ciekawe wychylały się głowy i ściagały go oczyma. Na zamku, wnijsie nieboszczyka nie uczyniłoby było pewnie większego wrażenia: szepty, cofania się, śmiechy, lub usuwanie się z drogi witały go wszędzie.

Nieśmiano mu drzwi zamknąć, ale służba nawet nie ustępowała idącemu. Przy tych usposobieniach trudno się było do kogo odezwać, nie było kogo zapytać.

Sułkowski cofnąłby się był może i nie powstał tu więcej, ale chciał i postanowił raz jeszcze króla zobaczyć.

Wiedząc godziny łatwo mu było obrachować, iż król nawykły do bardzo regularnego życia, przechodzić będzie przez garderobę, idąc do królowej. Tu szczęściem nie było nikogo. Wprawdzie służba mogła oznajmić N. Panu i przestrzedz o nim, lecz ważył się już na wszystko.

Przez kilkanaście minut, ów mocz co niedawno trząsł całym dworem i królem, pozostał sam, w kątku rozmyślając nad tém jakie los mu zgotował koleje. Zadumał się tak, gdy drzwi się otworzyły; król nie patrząc i nie widząc go wszedł z szambelanem, a gdy Sułkowski nagle przypadłszy do nog mu się rzucił, chciał przerażony cofnąć się nazad.

Hrabia za nogi go pochwycił.

— N. Panie — zawołał — niegodzi się abys sługę twego niewysłuchawszy odpędzał. Od dzieciństwa miałem szczęście wiernie sprawować me obowiązki przy osobie W. Kr. Mości.

Na twarzy króla zbladłego odmalowało się jak największe pomieszenie i trwoga. Głosem przerywanym zawołał:

— Sułkowski... ja nie mogę... idź... ja nie chcę słyszeć nic...

— Na Boga W. Kr. Mość zaklinam — podchwycił hrabia — nie domagam się nic oprócz tego abym czysty odszedł, bo się nim czuję i jestem w sumieniu. Racz W. Kr. Mość przypomnieć lata które przebyłem u jego boku, czym kiedy zawinił, czym się prze-niewierzył, czym się zapomniał i przekroczył przeciw winnemu poszanowaniu....

Są ludzie którzy mnie chcą usunąć, aby oko pilne strzegące ich czynności, czuwać nie mogło; chcą mnie oddalić dlatego żem wierny. Królu...

Podniósł oczy, August swoje drżącymi rękami zasłaniał i niecierpliwie nogami tupał powtarzając:

— Nie chcę nic słyszeć...

— Ja się chcę tylko usprawiedliwić.

— Dość — zawołał król — mam najmocniejsze postanowienie rozstać się z wami: to się już zmienić nie może. Ani wam, ani rodzinie waszjej, ani nikomu nic się złego nie stanie... bądź spokojny, ale idź, idź, idź!!

Król mówił to tak gwałtownie i z takim przestachem, jakby się obawiał aby kto nie nadszedł na tę scenę, lub żeby lzy go nie zmięczyły.

— N. Panie! — krzyknął w rozpacz hrabia porywając się z ziemi — nie chcę nic, ale niechże mi choć wolno będzie za doświadczone od W. Kr. Mości łaski i dobrodziejstwa złożyć ostatni raz dzięki; o ostatnią łaskę proszę: niech królewską rękę, której winienem tyle, ucałuję.

Królowi także na lzy się prawie zbierało, ale miał za sobą szambelana, świadka i szpiega zarazem; wyciągnął więc rękę drżącą, którą hrabia pochwycił okrywając pocałunkami.

— Królu mój! — zawołał — i tażto ręką mnie dziś odpycha niewinnego! Niewinnego powtarzam, bom chyba zbytmiem miłości dla W. Kr. Mości mógł zgrzeszyć.

Niepokój i trwoga w królu rosły widocznie.

— Dosyć! — krzyknął — ja was słuchać nie mogę, nie chcę, i rozkazuję odejść.

Sułkowski zmilczał już, skłonił się i odstąpił. August pominął go i rzucił się co żywiej do drzwi ku pokojom królowej wiodącym, które się zaraz za nim zamknęły.

Hrabia potrzebował chwili aby zebrać myśli i siły, sparł się o mur, ręką ucisnął czoło, pozostał tak jakiś czas i miał już odejść, gdy nadchodzący szambelan w sposób najnie-przyzwoitszy oznajmił mu ażeby dłużej tu nie bawił.

— N. Pan rozkazuje panu przezemnie natychmiast zamek opuścić, i nie pokazywać się więcej na dworze. Wolą jest N. Pana abys pan zamieszkał w Uebigau.

Sułkowski spojrział dumnie, nic nie odpowiedział i wyszedł.

Wrzało w nim wszystko, umiał się jednak pohamować; ostatni wysiłek nadaremny był zrobiony: nie pozostawało nic nad wypicie tego kielicha bez wzdrygnięcia. Chęć jakiejś pomsty odzywała się w sercu, ale ją umiał przytłumić; wiedział że onaby raczej nieprzyjaciółom posłużyła niż jemu.

Powrócił do domu, aby rozchorowaną żonę uspokoić i zapewnić że się niczego lękać nie mają.

Wygnanie do Uebigau pod samém Dreznem, dozwalało się spodziewać i spotkania z królem i może wytłumaczenia. Chciał więc w pierwszej chwili Sułkowski zająć pałacyk mu przeznaczony, ale żona słysząc i mówiąc o tém nie dozwoliła.

— Brühl się tém nie ograniczy, będziemy w jego rękach! Znajdzie powód do nowego prześladowania, jedźmy natychmiast, uciekajmy z przeklętej Saxonii. Do Polski, do Wiednia, gdzie chcesz, byle nie tu!!

Przez cały ten wieczór około domu Sułkowskich widać było krążących ludzi, kupki stojące ciekawych przypatrujące się oknom, śledzące życia, pragnące widzieć i nasycić się drganiem ofiary. Sułkowski chwilami z za firanek niewidzialny, stawał i nawzajem wpatrywał się w tę tłuszcę nikczemną, ze wzgardą i oburzeniem. W ciągu wieczora nie ukazał się nikt, nie przyszedł, nie odezwał. Na dole tylko kamerdynerowi oddano urzędowy papier, którym J. Kr. Mość uwalniał hr. Sułkowskiego od sprawowania obowiązków ministra spraw zewnętrznych, wielkiego podkomorzego dworu i wielkiego koniuszego.

Papier ten rzucił hrabia na stół nie mówiąc słowa.

Tegoż wieczoru po powrocie z zamku, było przyjęcie u Brühla. Nim się goście zjechali, minister wyszedł do sali, aby być gotowym na ich przyjęcie. Twarz jego zdradzała poruszenie wielkie i niepokój, znużony był po ciężkiej walce. Rzucił się właśnie na fotel, gdy z przeciwnej strony weszła pani Brühlowa.

Nim ją zobaczył zatopiony będąc w myślach, miała mu się czas przypatrzeć. Z szynkierskim nieco wyrazem poglądała na niego.

Postrzegł ją nareszcie i wstał.

— Powinnam powinszować panu — odezwała się — jesteś jedynym panem sytuacji, królem Saxonii i Polski, Hennicke namiestnikiem, Los, Stammer i Globig wice-królami! nieprawdaż?

— A pani królową — rzekł uśmiechając się Brühl — *a double titre!*<sup>35</sup>

— Tak jest — rozśmiała się Brühlowa — i zaczynam się oswajając z mym stanem, znajdując że jest wcale znośnym.

Ruszyła ramionami.

— Byle to dłużej trwać mogło niż królestwo Sułkowskiego. Zapomniałam — śmiejąc się szepnęła — że waćpan rozumnie bardzo oparłeś swój tron na ramionach kobiet. Królowa, ja, która jestem drugą, Moszyńska i pani Sternberg, to coś znaczy; nie licząc Albuzzi, bo ta jest nadliczbową.

— Pani sama jesteś temu winną, iż muszę obcej pomocy szukać i serc poza domem.

— A! serc! serc! — przerwała Brühlowa — ani pan ani ja o sercach mówić nie mamy prawa. Mamy fantazyje nie serca, mamy zmysły nie uczucia, ale... tak lepiej.

Odwróciła się od niego.

— Jedno słowo — odezwał się Brühl podchodząc za nią — jedno ciche słowo; później przyjdą goście i nie będę miał szczęścia rozmówić się z panią.

— To słowo?

Brühl się prawie do ucha przybliżył: — pani się kompromitujesz!

— Naprzykład?

— Ta młodzież z mojej kancelaryi...

Brühlowa zarumieniła się, minkę nastroiła dumną i gniewną.

— Mam moje fantazyje! — rzekła — a nikt mi ich zabronić nie może. Proszę się do nich nie mieszać, jak ja się nie wdaję w to co pan minister robi. Bardzo proszę!

— Pani!

Na te słowa, które zdawały się małą małżeńską sprzeczkę rozpoczynać, weszła hrabina Moszyńska, ożywiona, promieniejąca. Zbliżyła się do Brühlowej podając jej rękę i zawołała głośno:

— A zatem zwycięstwo! *sur toute la ligne!*<sup>36</sup> W mieście całém mówią tylko o tém: dziwiają się, drżą...

— Cieszę — dodał Brühl.

<sup>35</sup>*a double titre* (franc.) — podwójnie. [przypis edytorski]

<sup>36</sup>*sur toute la ligne!* (franc.) — na całej linii. [przypis edytorski]

— No, nie wiem doprawdy — przerwała Moszyńska — ale nam na tém dosyć że my się cieszymy z upadku tego prokonsula<sup>37</sup>. Jesteśmy przecież raz *en famille*<sup>38</sup>, i nie potrzebujemy się kłaniać pysznemu panu.

— Cóż słycać? co myśli? — spytał minister.

— Jeżeli go znasz — zawołała Moszyńska — powinienes się domyślcć. Pojedzie naturalnie do Uebigau, będzie siedział potrząsając głową po dawnemu i starać się nieomieszka zabiegać drogę królowi, intrygować, aby do łaski powrócić.

Brühl się rozśmiał.

— Tak, to bardzo do prawdy podobne; ale, droga pani... od Uebigau niedaleko do Drezna, ale też blisko i do Königsteinu... Wątpię... wątpię...

Nadchodząca hrabina Sternberg, żona nowego posła austriackiego, piękna czarnooka Wiedenka, pańskiego oblicza, arystokratycznej postawy, uchodząca także za Egeryę Brühla, wtrąciła, prawie nie witając się:

— Trzymam zakład że pojadą do Wiednia.

Brühl się skrzywił.

Dwie panie rozpoczęły z sobą rozmowę pocichu, a Moszyńska wzięła Brühla na stronę.

— Popelniliście bład — rzekła — nigdy się nie powinno rzeczy robić przez połowę; będzie się mścił: należało go zamknąć...

— Królby na to nie zezwolił w pierwszej chwili — odezwał się Brühl — zanadto żądając mogliśmy go doprowadzić do otwartego buntu, a naówczas Sułkowskiby nam poucinał głowy. To jedno; powtóre, znam hrabiego i dlatego się go nie boję, głowa słaba: spisku uknuć nie potrafi. Nim wyjedzie z Uebigau, ja znajdę dowody na przywłaszczzone dwa miliony talarów, a naówczas Königstein będzie usprawiedliwiony.

— Brüh! — rozśmiała się Moszyńska — dwa miliony talarów... a ty...

— Ja nie mam grosza! — zawołał minister — ja się rujnuję na występy, aby panu mojemu honor uczynić: jam w długach...

Zbliżył się do ucha hrabinéj.

— Nie sądz pani ażebym był tak ograniczony, bym nieprzyjaciela wypuścił z rąk niedobiwszy, ale musiałem to rozłożyć na dwa *tempa*. Z Uebigau w którym żyć musi, i zkad nie tak rychło mi ucieknie, dostanę go gdy zechcę. Tymczasem zbieram dowody nadużyć. Król za kilka tygodni zgodzi się na wszystko.

Rozśmiał się dziwnie, gdy wtém nadchodzący wielki ochmistrz Löwendahl zmusił go opuścić hrabinę, która wolnym krokiem do kobiet przeszła.

Z Löwendahlem poszli znowu na ustronie.

— Jakże on to przyjął? — zawołał Brühl.

— Z razu osłupieniem, ale po chwili bardzo mężném sercem i wielką dumą.

— A jednak — syknął Brühl — mówił mi szambelan Friesen, że zaskoczywszy króla w garderobie, pełzał u nóg jego.

— To być może — rzekł Löwendahl — ale...

Nie miał czasu dokończyć, kamerdyner odedrzwi dawał mu znaki, musiał więc przeprosiwszy odbiedz gościa i pójść dowiedzić się dla czego pilnego tak go odwoływano. Nie bez niepokoju przechodził salon, bo choć króla strzeżono pilnie, lękał się jeszcze aby dawny ulubieniec, pisma jakiego nie podrzucił, lub sam, mimo zakazu, nie przekradł się do zamku. Wiedziano o stosunkach jego z O. Voglerem, a choć jezuita rzadko bywał dopuszczany do króla, jako duchowny miewał wszelkiego czasu posłuchanie.

W gabinecie czekał Hennieke, dosyć poufale rozparłszy się na krześle. Wprawdzie ruszył się na widok ministra, ale znać było że go sobie lekceważył i że potrzebniejszym był on Brühlowi, niż Brühl jemu.

— Cóż tak pilnego — z wyrzutem poczał minister — ludzie mogą sądzić że się coś stało?

— A! niech tam sobie sądzą — niecierpliwie odrzucił Hennieke — wasza excellencya bawisz się a ja pracuję; ja nie mogę dogadzać fantazyom jego.

— Coś ty oszalał?

<sup>37</sup>*prokonsul* (z łac. *proconsul*) — w starożytnym Rzymie tytuł nadawany od I w. p. n. e. konsulom po zakończeniu kadencji, równoznaczny z objęciem funkcji zarządu przydzielonej prowincji. Prokonsulowie w swoich prowincjach posiadali szerokie uprawnienia administracyjne, wojskowe i sędownicze. [przypis edytorski]

<sup>38</sup>*en famille* (franc.) — rodzina. [przypis edytorski]



— Ja? — zapytał spokojnie Hennicke.  
 — Zapominasz się! — zawołał Brühl.  
 Hennicke rozśmiał się.  
 — No no, dajmy temu pokój ekscellencyo, dla wszystkich możesz być wielkim człowiekiem, ale dla mnie...  
 Machnął ręką.  
 — Cobyś wasza ekscellencja znaczył bez Hennickego?  
 — A ty bezemnie? — zawołał trochę gniewnie Brühl.  
 — Ale ja jestem widelec, którym każdy minister musi jeść: to co innego.  
 Brühl złagodniał. No, cóż tam? co? mów?  
 — Cobyś mi miał wasza ekscellencya dziękować, to burczysz. Hennicke był lokajem to prawda, ale właśnie dlatego że nim był nie lubi przypomnień dawnych.  
 To mówiąc rozwijał papiery.  
 — Ot co przynoszę: Ludovicego upoiłem, zapewniłem że go zrobimy radcą tajnym w departamencie i ręczę że takim tajnym będzie, iż nikt w świecie o tém się nie dowie! cha! cha! Mam już wskazówki. Są summy pobrane z akcyzy, są kwity, są zaległości wojskowe. Ho! ho! znajdzie się tego dużo! A z czegożby dobra kupował! Przecież po królu Leszczyńskim je nabył.  
 — Trzeba żeby dowody były — rzekł Brühl.  
 — Czarno na białém — mówił Hennicke.  
 — Na kiedy gotowém być może?  
 — Za dni kilka.  
 — Zbytecznie się śpieszyć nie mamy potrzeby — mówił Brühl — król musi pierwszy swój krok wielki wydychać. Faustyna zaśpiewa, O. Guarini zagada, prochu trochę wystrzelamy. Scena w korytarzu się zapomni, dopiero można będzie do drugiego aktu przystąpić.  
 Główną jest rzeczą, aby nikt tajemnicy nie wydał, aby się tego nie domyślano, aby podejrzenia nie miał i nie drapnął nam...  
 Hennicke który się wpatrywał bacznie w swego pryncypała, dodał:  
 — Trzeba mu niewidzialną wartość postawić i tu i w Uebigau. Wypadnie aby się kilku lokajów odprawiło; nie wielu on ich tam ma, a natomiast mu się nastroczy sług z naszej ręki, którzy czuwać będą i donosić.  
 — Bardzo dobrze — rzekł Brühl.  
 — Spodziewam się że dobrze, bo ja nigdy źle nic nie obmyślam — dodał Hennicke.  
 — Gdyby się nam wymknął do Wiednia, do Prus, choćby do Polski — rzekł zadumany Brühl — byłaby rzecz niewygodna i niesmaczna.  
 — Ba! i niebezpieczna — począł Hennicke poprawiając perukę — choć to głowa nie tęga, ale żadnym nieprzyjacielem gardzić się niegodzi.  
 — Zatem rzecz postanowiona — szepnął Brühl — waćpan zbierasz dowody winy. Mnie, który po nim biorę spadek, nie wypada przeciwko koledze i współzawodnikowi działać otwarcie. Ja go ciągle przed królem bronię i za nim proszę. Papiery te, niby przypadkowo podchwyczone zanieś hr. Wackerbarth-Salmour, to rzecz ułożona.  
 Chciał już odchodzić.  
 — Słuchaj Hennicke — rzekł cicho — ty się oddalać nie możesz, ale Globiga do tego użyć najlepiej. Jużciż takiego gościa jak Sułkowski w lada komórcie osadzić niepodobna, zwłaszcza że wedle wszelkiego podobieństwa, wypadnie mu tam dłużej zamieszkać. Rozumiesz! Globig niech pojedzie spacerem, sanna bardzo dobra, zapusty, ot tak... w odwiedziny do komendanta i niech sobie opatrzy jakich czystych kilka pokojów dla hrabiego, żeby znów niezbyt mu było źle. Jest tam teraz próżnych dosyć. Niemówiąc dla kogo i co, niech oczyszcza, ale tak, żeby się tam nie domyślano.  
 Hennicke się rozśmiał. Wasza ekscellencya nie zapomnisz o mnie, że za takiego grubego zwierza coś mi się gościńca należy.  
 — Gdy go zamknijemy do klatki — rzekł Brühl. Ale mój Hennicke, powiadasz bym ja o tobie nie zapomniał, a mnie się zdaje że ty najlepiej sam o sobie pamiętasz.  
 — A wasza ekscellencya! — wyrwał się Hennicke, który papiery składał — obaśmy z jednego materiału, nie mamy się co okłamywać. Znamy się dobrze.

Brühl choć go tak ex-lokaj brutalsko częstował, nieśmiało nic odpowiedzieć, owszem łagodził go. Był mu potrzebnym.

Z wypogodzoną twarzą powrócił minister na pokoje, gdzie już stoliki do gry były gotowe. Pani Moszyńska bijąc paluszkami o stół, oczekiwała na niego.

— Siadajże — odezwała się — już o tej godzinie interesa wszystkie spać iść powinny!

XI

Zapusty w tym roku były weselsze niż w przeszłych latach, wszyscy starali się rozweselić króla, na którego czole często widać było jakoby obłok smutku i tęsknoty. W godzinach poobiednich ziewał czasami, a żarty O. Guariniego chybiały i niesłuchane rozpraszały się w powietrzu. Uproszono Faustynę aby śpiewając, podchodziła bliżej łoża królewskiej i dobierała najulubieńszych aryi. Frosch i Storch mieli przyobiecane osobne wynagrodzenie za podwójną dozę żartów; strzelano co dzień do tarczy, soliści popisywali się świetnie, zabawy na zamku jaśniały przepychem strojów i bogactwem wymysłów. Brühl nie wychodził prawie z zamku, a ile razy król pozostał sam, stawał u drzwi czekając na rozkazy i zgadując myśli. August też bywał niekiedy w wesołym humorze i chrząkał a śmiał się ochoczo; ale czasem wśród uśmiechu napływała chmura, oblicze się nią zaciągało nagle: król odwracał się do okna, i zdawał się nie słyszeć i nie widzieć nic.

Zaraz nazajutrz posłano Sułkowskiemu rozkaz niezwłocznego udania się do pałacyku wcale nieprzygotowanego na przyjęcie go zimą, do Uebigau. Musiał opuścić Drezno. Czatowali nań ludzie, żeby przeprowadzić go śmiechem i szyderstwami i oznakami lekceważenia.

Przy powozie hrabiego biegł jego piesek ulubiony Fido, zasadził się nań strzelec około mostu i pod karetą Sułkowskich z pistoletu go ubił.

Działo się to w biały dzień, wśród miasta a nikt nie rzekł słowa. Zuchwalec tryumfował, patrzący się śmieli, pies biedny padł ofiarą. Pani Sułkowska rozplakała się w powozie, hrabia ani wyjrzał, ani rzekł słowa: zniósł to ze stoicką rezygnacją, udając że o niczym nie wie.

Nikczemna tłuszcza przeprowadzała jadącego za most, biegnąc za powozem z krzykami. Woźnice popędzali konie, hrabia patrzył w dal chłodnymi oczami i ani drgnął nawet: nadto czuł się wyższym nad to aby cierpieć.

Hennicke i kancelarya Brühla wiedziała o tym dobrze, (jeśli do tego nie wpływała), doniesiono Brühlowi: uśmiechnął się tylko...

W mieście krążyły najosobliwsze powieści. Bądź co bądź nowy minister, który w kilka dni potem wziął na siebie znacznie większą część dostojeństw od których dawnego faworyta uwolniono, dowiedział się też przez swoich szpiegów, że upadek Sułkowskiego raczej żal obudza niż radość, raczej przestrasza niż nadzieję polepszenia. Szemrano wszędzie.

Brühl na to miał jeden ratunek: odosobnienie króla takie, aby słowo nieupoważnione do uszów jego nie doszło. Zaraz następujących dni rozpoczęło się obsadzenie wszystkich miejsc, których urzędnicy mieli przystęp do króla. Brat Brühla wszedł w obowiązki w. marszałka dworu, pozmieniano nawet paziów i lokajów podejrzanych o sprzyjanie i stosunki z Sułkowskim.

Karmiono Augusta wszystkiemi co tylko mu smakować mogło, ale go wzięto w opiekę najściślejszą. Było mu z tym zupełnie dobrze, bo oprócz dogodzenia nałogom swym nie potrzebował nic.

W pierwszej chwili o usunięciu i oddzieleniu królowej, dla zapobieżenia wpływowi jej, mowy być nie mogło; lecz w planie Brühla stało już pozbycie się Józefiny, jako najbliższa konieczność. W największej tajemnicy mógł to przygotować z pomocą żony; O. Guarini byłby się może na tak radykalny środek nie zgodził. Brühl czuł się wszechmogącym, a jego podwładni vice-króliki, jak ich nazywano, podnosili głowy do góry.

Obawa Sułkowskiego trwała jednak zawsze, sprawa z nim rozpoczęta była ale nie dokonana. Hennicke zbierał dowody nadużyć i rozproszonych pieniędzy. Szło o odebranie mu Fürstemburgowskiego pałacu, który od króla dawniej otrzymał w podarunku, o odjęcie mu pałacu w Uebigau i o zamknięcie rywala na klucz w Königsteinie, czego tyle było przykładów dawniejszych za panowania Augusta Mocnego, iż Brühl na nich się opierając, spodziewał się to dokonać łatwo. Sułkowski na swobodzie był wiekiestym niebezpieczeństwem: Sułkowski w Wiedniu z żoną, był wrogiem na przyszłość straszny.

Przyczyniło się i to do zwiększenia obawy Brühla, iż odepchnięty hrabia nie okazywał się wcale przybitym. Przewożono sprzęty niedostające do Uebigau, a piękne położenie pałacu z widokiem na całą nad-Elbiańską okolicę, czyniło go wcale znośnym pobytym. Z okien swych mógł Sułkowski co dzień oglądać wieżę tego zamku, w którym niedawno panował.

Karnawał miał się ku końcowi, hrabia nie ruszał się z przeznaczonego mu miejsca pobytu.

Śledzono z ciekawością jego kroki, nie można się było dowiedzieć nic. Z miasta nie jeździł tam nikt, samotność była straszną. W Briesnitz zasadzone szpiegi napróżno wypatrywali gościa. Ludzie z pałacu jeździli co dzień po żywność do Drezna, ale oprócz przekupek na rynku nie widywali nikogo. Nie dawał się pochwycić na niczym winowajca.

Co się działo w pałacu? nie wiedział nikt. Hrabia czytywał po całych dniach i rozmawiał z żoną, pisał listy, ale jaką drogą one i dokąd szły, tego dośledzić nie było podobna.

Jednego poranku Brühl wszedł z papierami do króla. Nic przykrzejszego królowi być nie mogło nad widok papierów i perspektywa rozmawiania o intrygach. Najmniejsze słowo sprowadzało chmury i ziewanie.

Brühl skracał też przykrą pracę, dając gotowe rzeczy do podpisu. Zasiadał August do stolika i nie rzuciwszy nawet okiem na akta kładł na nich jakby odbity z pomocą jakiejś maszyny podpis, zawsze jednakowy, czysty, wyraźny, majestatyczny i spokojny.

Tego dnia spostrzegłszy stos papieru, król zaczął się już gotować do pańszczyzny podpisywania, ale Brühl stał nieruchomie nie rozkładając tego co trzymał w ręku.

Kilka wejrzeń pytających skłoniło go wreszcie do mówienia, z którym się ociagać zdawał.

— N. Panie! — rzekł — dziś przybyłem w takiej przykrzej sprawie, że radbym jój i dla siebie i dla pana mojego najmiłościvszego uniknąć.

Król usta wykrzywił i poprawił perukę.

— Wolałbym żeby się tego podjął kto inny, ale nikt mnie wyręczyć nie chciał; — westchnął Brühl.... Muszę więc sam to przedstawić N. Panu.

— Hm?? — odezwał się August.

— W. Królewska Mość przyzna mi — mówił dalej minister — że do sprawy Sułkowskiego wcale się nie mieszałem.

— Skończone! dosyć! skończone! — przerwał niecierpliwie trochę król.

— Nie zupełnie — kończył Brühl — i to właśnie jest nieszczęście. Objąłem po nim sprawę; jestem człowiek sumienny, musiałem wejść we wszystko.

Oczy króla otwarte szeroko patrzyły na mówiącego, było w nich niemal coś groźnego.

— Znalazły się w papierach rzeczy, korespondencje ogromnie obwiniające niedzięcznego sługę W. Kr. Mości; nadużycia, deficyt w kassie.

Król chrząknął mocno.

— Ale ja mam pieniądze jeszcze? Brühl? — zapytał żywo.

— Są, przecież nie tyle ileby ich być powinno — zniżając głos mówił minister. — Gorsza daleko iż listy, stosunki, komunikacje z dworami kompromitują Sułkowskiego i wskazują go jako wielce niebezpiecznego człowieka. W Polsce, jeśli się tam uda, będzie, zasłonięty prawami Rzeczypospolitej, wicherzyć; jeśli pojedzie do Wiednia, tam też może być niebezpiecznym. Słowem, gdziekolwiek się udał...

Mówiąc to Brühl powoli patrzył na króla jak w tęczę, zdawał się rachować z wrażeniem i do niego zastosowywać słowa. Znał on dobrze twarz i humor pański, a mimo to nie umiał sobie dobrze teraz wytłumaczyć co ona oznajmywała. August patrzył i słuchał zdumiony, oczyma biegał po pokoju, wracał na Brühla, czerwieniał, bladł, był zmieszany, żaden wyraz z ust mu się nie dobył.

Na chwilę przestał mówić minister, czekał. August chrząknął mocno. kaszlnął i wlepił oczy wyzywające w niego.

Kończył więc nie mogąc inaczej.

— W. Królewska Mość zna mnie i wie że jestem przeciwnym wszelkim gwałtownym środkom, ja też kochałem tego człowieka, byłem jego przyjacielem, mogę powiedzieć, dopóki się panu mojemu nie przენiewierzył. Dziś jako minister, jako sługa wierny, gwałt

sercu zadać muszę.

Rozpoczęcie sprawy zapewne było z O. Guarinim obrachowane w ten sposób, iż Padre miał nadejść wśród rozmowy, i w istocie zjawił się w tém miejscu. Król chciał zużytkować inaczej przybycie Guariniego i przywitawszy go zapytał o Faustynę.

— Zdrowiuteńka! — zaśmiał się Ojciec. — *Chi ha la sanità e'ricco e se no'l sa...*

Ale Brühl stał z temi nieszczęsnymi papierami.

— W. Kr. Mość pozwolisz bym tę niemiłą sprawę zakończył — rzekł, wtrącając się żywo. — O. Guarini wie o wszystkim.

— A! wie! to dobrze! I zwrócił się król do Ojca. A co mówi?

Padre ramionami ruszył.

— Co pan mówi miłościwy! — odrzucił śmiejąc się — a ja! jam kapłan, ksiądz, mnie się niegodzi.

Nastąpiło milczenie, August oczy spuścił w ziemię; Brühl się uląkł nieco: szło wszystko w odwłokę.

— Za życia najjaśniejszego rodzica, Augusta Mocnego — podchwycił — Sułkowski byłby już na Königsteinie.

— Nie nie — rzekł August; ale usta mu się ścisnęły i zbladł, popatrzał na Brühla, wstał, przechadzać się zaczął.

Guarini z rękami złożonemi stał wydając westchnienia głębokie.

— Nigdy nie nastawiałem na obchodzenie się surowe z nikim — rzekł Brühl — byłem i jestem za przebaczeniem, ale tu są ślady takiej niewdzięczności, takiego zdradziectwa.

Jezuita oczy w niebo podniósł i westchnął raz jeszcze....

Oba oni z Brühlem śledzili najmniejszy ruch króla i nie wiedzieli co sądzić. Nigdy może nie był tak zagadkowym. Znając go byli pewni iż przemódz i zwyciężyć potrafią, ale szło o to, aby nie nużyć Augusta, bo zmęczony miał zawsze długo żal do tych co go nudzili. Brühl spojrział na Guariniego oczyma nagląc aby dobijał poczętego targu. Padre odstrześlił podobnym wejrzeniem zdając to na ministra. August na podłodze nogą miał rozesłany kobierzec i prostował, o czém inném myśląc.

— Co W. Kr. Mość rozkaże? — spytał natarczywie Brühl.

— Gdzie? jak? co? — mruknął król.

— Z Sułkowskim...

— A, z tym, tak... tak... — I znowu kobierzec król miał nogą patrząc na ziemię.

Naostatek jakby z wielkim wysiłkiem odwrócił głowę do Brühla i wskazał ręką na stół:

— Papiery te do jutra.

Minister się zmieszał, na żaden sposób nie chciał i nie mógł zostawić papierów. Chociaż pewnym był że ich król czytać nie będzie, obawiał się czegoś niespodziewanego, był nadto ostrożnym, rachował że się to da za jednym zamachem dokonać. On i Guarini nieznacznie spojrzeli na siebie.

— N. Panie — odezwał się Włoch cicho — to taka gorzka potrawa, że jój na dwa dania niewarto rozkładać. *Alcun pensier no paga mai debito*, co tu myśleć?

Król nic nie odpowiedział, po chwilce odwrócił się do Brühla:

— Strzelanie do tarczy po południu na zamku.

Wtrącenie tego rozkazu było znaczące, Brühl stał zmieszany.

— Ostatni jeleń długo nas męczył — dodał — ale rogacz był téż wart pracy.

Milczał trochę.

— A żubr ostatni zdechł — dodał — i westchnął.

Zegar wskazywał godzinę, w której król zwykł był iść do królowej, kazał zawołać szambelana.

Brühl czuł się odprawiony z niczém, a cały zachód był stracony. Nie wiedział czemu ten opór przypisać; Guarini i on spoglądali na siebie. Król spieszył z wyjściem. Musieli natychmiast za nim wyjść także z pokojów i Brühl wciągnął spowiednika do gabinetu przyległego.

Papiery rzucił na stół zniechęcony.

— Nie rozumiem — rzekł.

— *Pacienza! Col tempo e colla paglia Maturano le nespole!* — odparł Guarini — do jutra, to nie mogło się stać tak prędko. Król nie mówił nic, oswoił się z tą myślą, a że nic mu tak nie cięży jak ponawiane szturmy, postawicie na swoim.

Zamyślił się minister.

— Zawsze to źle! — rzekł — w sercu coś dla Sułkowskiego zostało.

Poczęli szeptać i naradzać się z Guarinim. Jezuita natychmiast udał się do królowej, Brühl z papierami do domu.

Najregularniejszy w życiu swém król, jak mówiliśmy już, w popołudniowych godzinach, które szlafrokowemi nazywano: przy fajce, przypuszczał do siebie tylko tych co go mogli zabawić. Brühl jeśli się tam zjawiał o tym czasie, musiał także zapomnieć o obowiązkach ministra, a wziąć na siebie trefnisia. Lecz że o tych godzinach nie groziło żadne niebezpieczeństwo, bo nikogo na zamek oprócz domowych nie wpuszczano; bardzo rzadko zjawiał się minister. Król bawił się z trefnisiami swemi, lub wedle fantazyi, nie wolno mu tylko było wezwać nikogo takiego, któryby do dworu nie należał, a Brühlowsy zausznicy, gdyby nawet rozkaz odebrali, znaleźliby sposób nie spełnienia go, aż zasięgnąwszy rady ministra.

Z czasów Augusta Mocnego, pozostał jak inni, przywiązany do dworu, sławny ów Hanswurst N. Pana, Józef Fröhlich, który się nosił z kluczem srebrnym szambelańskim na grzbiecie, biorącym w siebie kwartę wina.

Lecz dawniej ulubiony panu, teraz był tylko po nim pamiątką. Brühl który mu nie dowierzał, starał się go usuwać równie jak barona Schmiedel. Całkiem jednak dawnych sług ojca nie dopuściłby był August odpędzić. Fröhlich miał swój dom za mostem (*harrenhaus*), miał się już dobrze i nie często się pokazywał u dworu; ale ilekroć się pokazał, dosyć było Augustowi twarz jego pucolowatą i śmiejącą się zobaczyć, aby się już śmiać na kredyt, nim jeszcze wyrzekł słowo.

Dnia tego po obiedzie nie było Brühla. Frosch dostał fluksyi od policzka który mu Storch wymierzył, niby żartem.... za co został ukarany aresztem przy kuchni. Nie bardzo się więc zdziwiono, gdy król paza wysłał aby mu Fröhlicha sprowadził. Ponieważ figle Fröhlicha najwyrazistszemi się stawały i działały najmocniej gdy naprzeciw wesołej twarzy starego trefnisia stanął kammer-kuryer, baron Schmiedel z melancholiczném swoim obliczem; paź zapytał czy i Schmiedel miał być wezwany.

Król potrząsnął głową i powtórzył mu:

— Fröhlich sam.

Wielkie było zdziwienie starego Hanswursta gdy mu na zamek iść kazano. Wdział jak mógł najżywiej jedną ze trzechset sukni pstrych, które mu sprawił August Mocny; klucz swój przyczepił i puścił się mimo wichru przez most pieszo, myśląc tylko czém N. Pana zabawić potrafi.

Trefnisie też mają chwile, w których się im śmiać i śmieszyć nie chce. Jedną z takich właśnie przebywał ów Fröhlich *semper, nunquam traurig* na medalu, ale w naturze często jak ocet kwaśny. Nie wydawał się on z tém że mu terazniejsze panowanie wcale w smak nie szło, stare czasy wydawały mu się nieskończenie lepszemi, choć w istocie wcale nie były dobre.

Nałóg tylko i długie nawyknięcie do wydobywania z siebie wesołości na rozkazy, zdołały z Fröhlicha i tym razem wykrzesać iskierkę... z którą w oczach i minie stawił się przed królem.

Oprócz dowcipu swego miał dla zabawy Fröhlich wielką zręczność w kuglarskich sztukach i tym razem łatwiej mu było począć od figla, niż od konceptu.

Uklękawszy przed królem i złożywszy czołobitność, Fröhlich oświadczył, iż tak biegł na rozkaz N. Pana, że mu w gardle zupełnie zaschło. Odczepił swój klucz szambelański ośmielił się prosić, czyby N. Pan uwzględniając wiek jego i stargane siły, nie dozwolił mu dla wzmocnienia napić się wina... Król klasnął w ręce i kazał paziowi przynieść butelkę.

Fröhlich tymczasem oczyszczał nieco zaśniedziały klucz, z którego miał pić i opowiadał jak ten dar wysoko cenił, a jak go teraz mało używał. Paź stał z butelką gotów nalewać, gdy Fröhlich, zajrzawszy na dno, z prerażeniem ujrzał w niem coś siedzącego głęboko.

— Któżby się był spodziewał! — zawołał — ptacy sobie w niem gniazdo usłały... W istocie z klucza wyleciał kanarek. Król się rozśmiał, ale na tém nie było końca. W kluczu coś było jeszcze, Fröhlich z wielkimi krygi począł wydobywać wstążki. Różnobarw-

nego tego towaru wyciągnął ogromną kupę: sześć chustek od nosa, stoczek, garść orzechów. Jak się to wszystko tam mieścić mogło, było tajemnicą Fröhlicha.

Oświadczył potem, że nie będąc pewien czy w tym zaczarowanym kluczu jeszcze się co nie mieści, bodaj księżniczka zaklęta, woli dla bezpieczeństwa za zdrowie pana napić się z prostego kieliszka. Po odbytej ceremonii, paż odszedł do przedpokoju, a Fröhlich zaczął króla śmieszyć, przedrzeźniając aktorów na scenie.

Trwało to wszystko z pół godziny. Król się śmiał bo musiał, ale tylko oko Fröhlicha postrzegło że był niespokojny, poruszony i roztargniony.

Nie wiedział czemu to miał przypisać, gdy z nadzwyczajnym zdumieniem ujrzał króla idącego ku najdalszemu od wszystkich drzwi oknu i dającego mu rękami znaki, aby się zbliżył.

Było w tém coś tak tajemniczego i niezwykłego, że Fröhlich prawie się przeląkł. Na palcach jednak pospieszył i znalazł się u okna, przy którym król stał jakby przestraszony i niepewny, oglądając się niespokojnie dokoła.

Rozwiązania tej zagadki zdumiony trefniś, napróżno szukał w głowie.

— Słuchaj Fröhlich — rzekł król, zaledwie dosłyszalnym głosem — hm! śmieję się głośno, głośno! ale słuchaj co powiem: rozumiesz...

Trefniś nie rozumiał jeszcze nic, ale głową skinął i śmiać się zaczął tak, że śmiechem mógł najhuczniejszą zagłuszyć rozmowę...

Król wziął go ręką za ucho i przyciągnął je prawie do ust.

— Fröhlich wierny, poczciwy, nie zdradzi — rzekł. Dziś tajemnie do Uebigau, rozumiesz! powiedzić mu, rozumiesz! niech zaraz ucieka do Polski.

Fröhlich zrazu szmer tylko i wyrazy słyszał, nie mógł pojąć ażeby król go za tajemnego posła chciał użyć. Na myśl mu jeszcze nie przyszedł Sułkowski. Rękami i miną zrobił znak zapytania.

Król pochylił się mu do samego ucha i rzucił w nie jedno słowo:

— Sułkowski!

Powiedziawszy je, jakby się sam zląkł tego zakazanego na dworze nazwiska, odskoczył na kilka kroków. Fröhlich'owi śmiech zamarł na ustach. Bał się, że może nie dobrze zrozumiał.

Twarz jego wyrażała znać tę niepewność, bo król nakazawszy mu znowu śmiać się, powtórzył dobitnie rozkaz.

Wyrazy z ust jego dobywały się urywane: pospiesznie, krótko, bez związku; trefniś jednak w końcu wiedział, iż król kazał mu oznajmić o niebezpieczeństwie i ostrzedz hrabiego, aby do Polski uciekał.

Dla niepoznaki słuchał jeszcze chwilę August konceptów, potem dobył z kieszeni garść dukatów i wyspał je Fröhlichowi do kamizeli.

— Idź! — rzekł.

Fröhlich przypuszczony do ucałowania ręki, natychmiast się wyniósł. W przedpokoju pochwaliwszy się dukatami, nie dał się pażom powstrzymać i co prędzej pobiegł do domu.

Nie mieściło mu się w głowie to, co się z nim stało. Potrzebował zebrać myśli, opamiętać się, naradzić z sobą, jak miał spełnić dziwny rozkaz króla, który bał się własnego otoczenia i trefnisia za powiernika użyć musiał. Zamyślił się, westchnął...

Zadanie było trudne. Mniej nawet oswojony z życiem dworu i losem faworytów, mógł się domyśleć łatwo, iż koło Uebigau pełno szpiegów być musiało, a w samym pałacu nawet nie zbywało na nich.

Fröhlich był znaną wszystkim figurą. Szczęściem częste za Augustów maskarady nauczyły się przebierać i do niepoznania twarz i postawę przeinaczać. Fröhlich zamknął się w swojej izdebce i nietracąc czasu przystąpił do wyboru peruki i sukni.

Były to pierwsze dni lutego, Elba stała w pędzie od Czech począwszy, a lód był jak mur. Zdało się więc Fröhlichowi, że przystęp do pałacu od strony rzeki mógł jeszcze być najbezpieczniejszym i najmniej strzeżonym. Zbyt było późno i niebardzo bezpiecznie iść pieszo za miasto, ale saneczek do Briesnitz łatwo mógł dostać. Przyrzekłszy dobrą zapłatę, puścił się w drogę. Gospoda wiejska pełna była gwaru zapustnego, bo tu ze stolicy najgorsze, ale najweselsze gromadziło się towarzystwo. Woźnicy kazawszy czekać, stary drugimi drzwiami wyszedł i pieszo puścił się ku Elbie.

Czuł, że chyba szczęśliwy traf jaki może mu niebezpieczne poselstwo ułatwić; zresztą myśl ta, że go król posłał, dodawała odwagi. Wahał się długo, w końcu do otwartej furtki wbiegłszy, na podwórze pałacu, wprost się puścił do sieni.

Tu znalazł pustki i ciemność. Sułkowski za najświetniejszych swoich czasów nigdy dworu nie trzymał wielkiego, teraz go jeszcze zmniejszył... Wschody stały ciemne. Dopiero wdrapawszy się na nie, usłyszał głosy ludzkie. W przedpokoju służba kłóciła się, grając w karty.

Na widok dziwnie ubranego człowieka zjawiającego się o tej godzinie, skoczyli wszyscy przestraszeni, zadając pytania.

Fröhlich oznajmił im, że ma dwa słowa do powiedzenia hrabiemu i to jak najspieszniej. Kamerdyner najprzód go obrewidował i przetrzął kieszenie, bojąc się czy nie miał broni i niezamierzał jakiej napaści, a dopiero potem pobiął do hrabiego.

W pałacu zrobił się rozruch: peruka i ubranie, chusta, którą miał przewiązaną brodę nie dały poznać Fröhlicha. Wprowadzono go do sali, do której dopiero teraz światło wniesiono. Sułkowski był nie ubrany, blady, ale spokojny i tak dumny, jak gdyby ministrem być nie przestał.

Gość zażądał oddalenia służącego. Wszystko to obudzało podejrzenia jakieś i obawy, lecz hrabia nie okazał trwogi. Gdy pozostali sam na sam, Fröhlich odsłonił twarz.

— Przed dwoma godzinami — rzekł — byłem zawołany do króla: powtórzę wam jego własne wyrazy.

„Dziś, tajemnie, do Uebigau... powiedzić mu: niech zaraz ucieka do Polski.”

Sułkowski słuchał z niedowierzaniem.

— Król ci to mówił?

— Król, i z taką obawą, aby kto nie podsłuchał, jak gdyby był nie królem, ale niewolnikiem.

— Jest nim i na wieki zostanie — westchnął Sułkowski.

Zamyślił się hrabia.

— Bóg zapłać — odparł po przestanku krótkim — zażyłeś biedy dla mnie, a raczej dla króla. Czém ci mogę odwdziaczyć?

— Tém jedném, abys hrabia spełnił wolę króla jeszcze dzisiejszej nocy.

Sklonił się. Hrabia stał zamyślony, jak przykuty do miejsca.

Za Fröhlich'em zamykały się drzwi i stary bił się już po śniegu do swoich sanek, a Sułkowski stał oparty o stół, niedobrze wiedząc co ma począć.

Znał już dosyć Brühla, ażeby wiedzieć, że z rady należało korzystać.

Nazajutrz król powracał ze mszy ranniej, gdy mu O. Guarini zaszedł drogę dopytując o zdrowie. Na to zwykle N. Pan odpowiadał czémś takiém, co pośredniczyło między chrząknięciem, uśmiechem a czkawką. Twarz zresztą dostojnego pana najlepsze dawała świadectwo, iż chorym być nie mógł. Odziedziczył w części siłę i zdrowie po ojcu, a że ich mniej nadużywał, służyły mu wybornie.

O. Guarini razem z innemi prowadził N. Pana na pokoje.

Król kilka razy spojrział nań badawczo, jakby chciał się czegoś dowiedzieć z twarzy, wreszcie rzekł lakonicznie:

— Mróz...

— Ja to najchętniej czuję, bom Włoch — rzekł Guarini — ale choć tak zimno N. Panie — szepnął cicho — są ludzie co się nie lękają podróży. Pewien hrabia, którego imienia nie chcę wymówić, bo miał nieszczęście popaść w nielaskę... wybrał się, słyszę, nocą, nie wiadomo dokąd...

Król jakby nie słyszał, nie odpowiedział nic.

Na pokojach oczekiwał Brühl z papierami, ale zmieszany i kwaśny.

August zbliżył się do niego szybko.

— Brühl! te papiery co wczoraj, skończyć trzeba.

— Już wszystko skończone — odparł minister z westchnieniem.

— Hm! co? — spytał August, udając zdziwionego.

— Winowajcy już niema Najj. Panie, musiał się czuć do grzechu: nocą uciekł do Polski.

Król ręką w stół uderzył i okazał twarz zdumioną bardzo.

— Jestem pewny zdrady — dodał minister, niespokojnie się kręcąc. Znać że na dworze ma jeszcze zwolenników i przyjaciół; lecz prędzej, później wszystko się odkryje.

Zamiast odpowiedzi, August stojącą ogromną tabakierę porcelanową otworzył i podsunął ją ministrowi nic nie mówiąc.

Brühl z ukłonem, dotknął końcami palców tabaki.

— Polować się będzie koło Taubenheim — odezwał się król — niech zaraz ekwipaże przysposabiają.

I poszedł do okna.

## XII

Brühl zwyciężył, nie miał jednak tój pociechy ażeby nieprzyjaciela się pozbył na zawsze; musiał przez długie lata lękać się zawsze odwetu, o który wszakże Sułkowski się nie pokusił. Objąwszy dobra po królu Leszczyńskim w Polsce, mając na Szlązku znaczne majątności, dorobiwszy się u dworu wiedeńskiego tytułu księcia, bawił najwięcej w Wiedniu i nie próbował przypominać się Augustowi, nad którym Brühl od tój chwili rozciągnął jak najtroskliwszą opiekę.

Opowiadanie nasze jest wstępem do życia Brühla, który aż do śmierci Augusta III władał Saxonią i Polską; potrafił się przerobić na polskiego szlachcica i odegrał wedle słów własnych, jedną z najciekawszych ról ulubieńca, któremu szczęście służyło do zgonu. Szkodaby było ten ciekawy dramat psuć opowiadaniem jego treści. Brühl jest postacią historyczną, zarazem i typem swój epoki nadzwyczaj wybitnym: w Brühlu maluje się cały August III, jak w zwierciadle.

Moglibyśmy zakończyć ten epizod, nie dodając doń nic więcej, gdyby nam tradycja nie pozostawiła jednej ciekawej sceny, która do naszego opowiadania jako epilog należy.

W r. 1756 w czasie wojny z Prusami, gdy Brühl na szczycie swój potęgi, zostawując w szponach zwycięzcy całe mienie, pałace, galeryę, bibliotekę, zbiory, uchodzić musiał do Polski wraz z Augustem późną już jesienią; dworskie ekwipaże z powodu złej drogi na Szlązku i niedostatku koni, na kilka taborów rozbite zostały. Król znajdował się w najpierwszym z nich, minister jego wypadkiem znalazł się w ostatnim. Obawę miał wielką, aby się nie dostał w ręce króla pruskiego, który go nienawdził. Pragnął więc koniecznie doścignąć króla i przy nim bezpieczniejszym się czując, dalszą podróż odbywać.

Wszystko się jednak jak najniebezpieczniej składało: padały konie, łamały się koła i pośpiech stawał się niemożliwym. Jesienne deszcze popsuly drogi tak, że dwa razy większa nad zwykłą ilość koni nie starczyła do powozów. Minister rad nie rad musiał zcierpieć co mu było przeznaczonem i uledeć losowi swemu. Jechał pod wrażeniem wypadków, o jakich już był uwiadomiony, milionowe i niczém nie nagrodzone poniósłszy straty, jako wygnaniec wraz z królem chroniąc się do Polski, w której absolutne rozporządzanie się nie było możliwem jak w Saxonii. Zręczność Brühla i tu na wiele niedogodności umiała znaleźć lekarstwo, lecz szło trudniej i mozolnie. Nie dziw też, iż dawny losu ulubieniec chmurny był, przelekleł niemal i zniecierpliwiony. W krótkim przeciągu czasu piękna twarz jego nad miarę postarzała. Miał chwile roztargnienia, w których nie dobrze rozumiał co doń mówiono.

Wieczór nadchodził, deszcz lał jak z wiadra, konie się ledwie wlokły, gdy jedno z małych szlązkich miasteczek pokazało się z za szaręj opony dżdżystej, z wieżyczką kościoła i oświeconemi domami. Brühl spodziewał się tu znaleźć króla, gdy przed pocztą oznajmiono mu, że król o trzy mile dalej nocował, że koni niepodobieństwo było dostać, a służba nakłaniała, aby dla niegodziwój sloty na nocleg w mieścinie pozostać. Chciał Brühl słać za końmi, obiecując sowitą zapłatę; lecz wszystko było próznem: do rana koni dostać się nikt za nic nie obowiązywał. Trzeba więc było szukać gospody w miasteczku, które tylko jedną miało. Dostyc liczna służba towarzysząca, już naówczas tytułem hrabiowskim zaszczyconemu ministrowi, rozbiegła się szukać stosownego mieszkania.

W gospodzie *pod Koniem*, zajęte było wszystko. Podróżny dwór polskiego pana rozpościerał się w niej szeroko.

Ministrowi zdawało się że dostyc będzie jego nazwiska, aby mu ustąpiono, gdyż panowie polscy bywali bardzo łagodni i grzeczni poza izbą sejmową, a Brühl rozporządzał wszystkiem i mógł dać za grzeczność starostwo. Kamerdyner jego ekszellencyi pobiegł *pod Konia*, gdzie znalazł dostyc szumny dwór i dostyc pańsko wyglądającego kogoś tytu-



lowanego księżciem. Nie pytając nawet o nazwisko, narzucił się z prośbą, a jak mu się zdawało, z rozkazem raczej, ustąpienia części gospody dla jego ekscelencji.

Uszławszy nazwisko książe ów dziwnie się skrzywił, zamyślił i odparł niemcowi bardzo dobrą niemczyzną, nawet trochę saskim zarywając akcentem, że gospody zajętej nie ustąpi, ale ją z panem ministrem podzieli.

Dészcz z wichrem bił tymczasem w okna karety tak skutecznie, iż we wnętrzu jój mokro było. Kamerdyner powrócił z odpowiedzią, a Brühl nie zastanawiając się dłużej nad nieprzyjemnością robienia na noclegu znajomości, kazał zajeżdżać *pod Konia*.

Spodziewał się że tu ktoś wyjdzie przeciwko niemu, ale się omylił: nikt nie wystąpił z powitaniem. Brühl zwykł był w razie gdy go lekceważono, podwajać grzeczności, uprzejmości i nadskakiwania; wysiadł więc z mocnym postanowieniem zawstydzenia swą dobrocią dumnego panka polskiego. Kamerdyner otworzył drzwi: minister wbiegł do obszernej izby, w której ogień się palił na kominie i dwie świece na stole i szukając oczyma owego księcia obiecanego, ujrzał opodal nieco stojącego, wcale nie zmieszanego tém niespodziewaném spotkaniem, nieco tylko postarzałego, ale dumniejszego jeszcze niż kiedykolwiek był — Sulkowskiego.

Książę stał milczący, z góry spoglądając na nieprzyjaciela, nie witając go ukłonem: obojętny, wpatrywał się tylko z ciekawością.

Brühl po pierwszym rzucie oka zbladł przerażony i chciał się cofnąć nazad, zdawało mu się że wpadł w jakąś zasadzkę. Mimo siły charakteru twarz się tak dziwnie zmieniła od tego piorunowego wrażenia, iż Sulkowski nie mógł się wstrzymać od śmiechu.

Przyszedł mu znać na myśl i Pater Guarini i jego włoskie przysłowia i język tak na dworze używany, bo począł od włoskiego:

— *Si riscontrano gli nomini, e non le montagne.*

Brühl stał osłupiały: widoczném było, że nie chce i nie może pozostać.

— Musiałeś pan słyszeć bajkę — rzekł Sulkowski — o burzy, która wilka z owcą razem napędziła do pieczary... coś podobnego jest z nami. Przecież w taką słotę i pluchę nawet nieprzyjacielowi nie godziło się przytułku odmówić.

Brühl stał niemy, zwracając się napół ku drzwiom.

— Bądź pan hrabia pewny, że ja mojego położenia nadużywać nie będę, by się znęcać nad nim — dodał Sulkowski. Prawdziwie zabawna rzecz takie spotkanie dla mnie i to jeszcze w chwili, gdy po latach czternastu, losu ręka mnie pomściła.

— Mości książę! — przerwał Brühl jak najłagodniej.

— Mości hrabio — odparł Sulkowski — gdyby to od waćpana było zależało, zamiast księstwa miałbym dziś wygodną kwatere w Koenigsteinie.

— Mości książę — wtrącił Brühl — przypisujesz mi większą władzę niż miałem... Upadek swój winienes położyć najprzód na karb własnej nieopatrzności, potem słusznego czy nie gniewu królowej imości, naostatek woli N. Pana, której ja byłem tylko wykonawcą.

— Mości hrabio! — rzekł Sulkowski — należy wcale odwrotnie powiedzieć, tak jak historia kiedyś zapisze, że N. Pan był i jest wykonawcą jego fantazyi...

— Książę się mylisz...

— Hrabia nie możesz mnie przecie sądzić tak ograniczonym — dokończył Sulkowski — abym znając lepiej od innych charaktery i położenie, dał sobie wmówić niewinność pańską!

— Boga biorę na świadka! — zawołał, składając ręce Brühl.

— To najwygodniej — odparł Sulkowski — bo świadek ten nie miesza się do spraw naszych tak czynnie, aby dla nich zstępował na ziemię. Najlepszym świadectwem Bożem jest los, który waćpana spotyka. Oto są owoce waszej polityki: pruski najazd i sromotna króla ucieczka.

Brühl się zżymnął.

— To nie koniec, to początek! — rzekł — zobaczymy jak na tém wyjdą najezdniczy, a jak my.

— Tak, król i pan na Ocieszynie jedziecie drugie uszczęśliwiać królestwo, aby je przywieść do tego stanu co Saksonię! — rozśmiał się Sulkowski.

— W zarządzie Saksonii — kłaniając się rzekł Brühl — nie potrzebowalem żadnych inowacyi, dosyć mi było wstępować w ślady mojego znakomitego poprzednika.

Sulkowskiemu oczy błysnęły.

— Poprzednik pański inaczej układał przyszłość Saksonii — rzekł Sułkowski dumnie — dowodem ten plan, który podchwyciwszy mu wydałeś pan dworowi austriackiemu przez księcia Lichtensteina.

Brühl zzymnął się.

— Ja? ja o tém nie wiem nic — przebąknął ponuro zmieszany... Jeśli kto się tego dopuścił...

Sułkowski śmiać się począł i przeszedł zdala po pokoju, unikając zbliżenia do Brühla.

— Słuchaj Brühl, mówię po staremu i bez tytułu — rzekł zwracając się — nie graj komedyi przynajmniej ze mną: to się na nic nie zdało. Tak samo jak ze mną nie odegrasz jój w obliczu historii, której okłamać niepodobna. Zamkniesz usta Erelom i Justim, zakażesz pisać, mówić, myśleć, ale ostatecznie czyny twoje cię wydadzą. Możesz sobie kupić bezkarną terażniejszość, ale nie jest w niczyjój mocy uczynić cię czystym przed historią. Staniesz przed nią jak na sąd Boży nagim, odartym z maski, rózu i bielidla, a uniknąwszy pęgierza za życia, nie ujdiesz go po śmierci.

— Moje życie całe jest jawném! — zawołał Brühl unosząc się — tajemnic nie mam: pragnę tego sądu mości książe.

— A gdybyś go nie chciał, czy chciał mości hrabio, nie unikniesz; to darmo... będzie nieubłagany i okrutnym.

— Poddaję się mu — przerwał Brühl — nic sobie do wyrzucenia nie mam; wy zaś mości książe, przebaczam wam, mówicie jako współzawodnik, któremu nie dało się to samo zrobić dla siebie, co mnie szczęście w ręce wcisnęło.

— Jak się to szczęście nazywa? — śmiejąc się zawołał Sułkowski — Padre Guarini, czy...

Brühl się zarumienił, książe ramionami ruszył.

— Na honor hrabio, ja zdala admiruję was... Nie mówcie mi że jabym to samo co wy na waszém miejscu mógł uczynić! Ja wyznaję w pokorze nie potrafiłbym ani połowy zła i fałszu, jakieście dokonali przyprowadzić do skutku. Chciałem sławy, wielkości, wzrostu Saksonii, znałem Augusta III, pana naszego, szlachetną ale nieudolną i leniwą naturę; stałem na straży, aby moją energią jój dopomagać. To co mam winienem wspaniałomyślności pana mego a nie przewrotnym rachunkom.

— Mości książe — przerwał Brühl — tego już nadto.

Sułkowski się zwrócił ku niemu ruszając ramionami.

— Przecież my oba jak Augurowie rzymscy możemy się z téj komedyi za kulisami śmiać nie kryjąc przed sobą!! Możecie być dla drugich niewinnym Eframem... Ale dla mnie będziecie starym dobrze znanym Brühlem, któregom widział w paziowskim mundurze kłaniającego się lokajom....

Ministra twarz bladła i czerwieniła naprzemiany, niecierpliwość go porywała, widać było że chwilami chciał wyjść, to znowu jakby nierozpaczając jeszcze o tém że się potrafi zbliżyć i wytłumaczyć, zatrzymywał. Brühl miał w towarzystwie wielką zręczność, giętkość, nieustraszonność, sofizmat zawsze gotowy, wykręt łatwy; znał Sułkowskiego ociążałość, sądził, iż go pokona w końcu. Tu jednak rachuba chybiła, Sułkowski czerpał wymowę i moc z wyjątkowego położenia. Napróżno szukając jakiegoś punktu oparcia, Brühl w końcu odezwał się cedząc pochichu wyrazy:

— W. Książęca Mości winienbyś choć dlatego być nieco względniejszym dla Brühla, że Brühl w Polsce gdzie posiadasz dobra, także coś znaczy.

— Tak, ale w Polsce panie Brühlu, są pewne prawa, które więcej znaczą od ministrów, a może i kogo starszego jeszcze. W Polsce raczej się Brühl mnie niż ja jego obawiać może. Szlachta wielkopolska pójdzie za mną, bom ja też niedawno ze szlachcica urósł na austriackiego księcia.

— Zaszczyt szlachectwa polskiego i ja z W. Ks. Mością mam wspólny — przerwał Brühl.

— A! przedziwna farsa! — rozśmiał się Sułkowski. — Jestże w kraju całym jeden człowiek coby nie wiedział jakieście z turyngskiego do polskiego szlachectwa przyszli. To wasze szlachectwo jest jak wszystkie wasze czyny okłamaniem prawdy.

— Mości książe, jeśli życzysz sobie bym opuścił izbę — rzekł Brühl zabierając się do wyjścia.

— Wcale nie, bo mnie ta scena bawi — odparł książę — ale powtarzam panu, my z sobą komedii grać nie potrzebujemy.

Stanęli chwilę milczący, wpośród ciszy słychać tylko było deszcz bijący w szyby gospody i spływające z szumem z dachów i rynien strumienie wody. Dla Brühla było to groźbą przykuwającą go do tej jedynej wolnej izby, którą z nieprzyjacielem podzielać musiał. Minister namyślał się zdawał.

— Mości książę — odezwał się — mówmy jak starzy towarzysze...

— Fatalne przypomnienie! — mruknął Sułkowski.

— Na dowód że nie miałem nic osobiście przeciw księciu, ofiaruję się go z królem przejednać. Brzemię tych urzędów, które dźwigam, w istocie dla mnie zaciężkie.

— A tak — przerwał Sułkowski — mógłbyś się nimi podzielić, liczymy: wielki podkomorzy, prezydent izb, najwyższej izby podatkowej, akcyzy generalnej, fundacyi namburgskiej i merseburskiej dyrektor, generalny komisarz portów morza Bałtyckiego, komendant saskich wojsk w Polsce, pólkownik szwoleżerów i regimentu pieszego, fundacyi meissenńskiej kapitularz, proboszcz Budziszynski, kawaler polskiego Orderu Orła Białego i rosyjskiego ś. Andrzeja, a nawet pruskiego Orła Czarnego! Czy to wszystko? Starostw polskich nie liczę. Cha! cha! śmiał się Sułkowski.

— Bez żartu — przerwał Brühl — jestem znużony, nie jestem zazdrosny; jedź książę do Warszawy, ja go z królem przejednam.

— Tak, aby nazajutrz potem bez sądu wyprawić mnie bezpiecznie do jednej z fortek saskich — przerwał Sułkowski. — Nie: dziękuję wam. Wolę przebywać na wiedeńskim dworze i ztamtąd genialne wasze podziwiać czyny!!

Brühl westchnął, oczy podnosząc w niebo. Już naówczas był autorem owiej sławnej książki o modlitwie, która go w oczach łatwowiernych pobożnym a w innych świętoszkiem czyniła<sup>39</sup> i chętnie odgrywał rolę niewinnej ofiary.

— A! — zawołał — nie ma pod słońcem nieszczęśliwszego człowieka nademnie przy wszystkich szczęścia pozorach. Pokutuję za cudze winy, gdy to co mogłem kiedy dobrego uczynić przypisywane jest drugim; nikt mnie nie zna, potwarz się znęca nademną: ci którym życzę dobrze, ścigają mnie.

— A! kochany hrabio — śmiał się Sułkowski — rola Zinzendorfa, którego wygnałeś z kraju za jego pobożność, nie przystała wam. Gracie ją źle.... bracia Morawscy was nie przyjmą, a tacy ludzie jak ja wyśmieją. Dajcie temu pokój: ogrzyjcie się przy kominie i nie mówmy więcej.

To mówiąc, książę usunął się prawie pod samo okno, znalazłszy fotel w kątku siadł na nim zamyślony i milczący. Brühl też zajął miejsce zdala, nie patrząc już nań i zdając się tylko zajęty rozgrzaniem i odpocznieniem. W dziwnym tém położeniu, spoglądając niekiedy na siebie przetrwali czas jakiś. Sułkowski nie myślał wcale przerywać milczenia, Brühl nie tracił nadziei trafienia jeszcze w jakąś słabą stronę nieprzyjaciela i rozbrojenia gniewu jego; lecz początek był trudny, gdyż z różnych stron zachodząc został już zbity z tropu i nie mógł nowej wynaleźć ścieżki, któraby go do celu wiodła.

Upłynęło pół godziny a na podwórzu wzmagął się wicher i niepogoda. W kominie świszczął i wylł jesienny wiatr najdzikszymi głosami, czasem okna brzęczały od nacisku burzy, która zdawała się odlatywać i powracać, wysilona spoczywać i znowu złością podnosić.

Dziwne to towarzyszenie rozmowy dwóch współzawodników wybornie się z jój tonem zgadzało. Niekiedy drzwi otwarte w gospodzie, zatrzaśkiwały się same gwałtownie, tak że ściany domu drgały. Resztki ognia jakby popchnięte niewidzialną siłą, pochylały się zwyciężone na izbę i pędziły w nią kłęby dymu, to znowu wzmagając się wracały do kominu. Najweseliej usposobiony umysł musiałby był uleść wrażeniu tej nocy, i rozpasanych żywiołów.

Brühl niekiedy wzdychał.

Głowę zwrócił ku Sułkowskiemu, który zdawał się drzemać obojętny.

— Pozwól mi, książę, słowo jeszcze powiedzieć, nie na uniewinnienie moje, ale dlatego, bym przemilczenia nie miał na sumieniu.

<sup>39</sup>książka o modlitwie — *Die wahre und gründliche Gottseligkeit aller Christen iugemein, nebst einer abhandlung vom Gebet.* 1740. Drugie wydanie z r. 1773. [przypis autorski]

— Co za delikatne i drażliwe sumienie! — szepnął Sułkowski.

— Król nasz, dziś urazy zapomniał, przebłagaćby go było łatwo — dodał — ja nie chcę być pośrednikiem, bo nie mam wiary u W. Książęcej Mości, ale ks. biskup krakowski lub...

— Czy hrabia chciałbyś mi wmówić — odezwał się zagadnięty — że król kiedykolwiek zażalonym był na mnie?? Nie ludź się pan tém, byłem i jestem świadomym wszystkiego co przed laty czternastu spowodowało mój upadek; mam najmocniejsze dowody iż królowi narzuciliście gwałtem moją niełaskę, żeście pracowali nad nim i musieli o nią walczyć.

— Ja? ja? przeczę temu i protestuję — zawołał Brühl.

— Brühl! — krzyknął Sułkowski — za kogo mnie masz, bym ci przypisywał robotę własnoręczną, tam gdzie mogłeś ją cudzemi wykonać rękami? Nadto jesteś doskonałym artystą, abyś miał występować tam, gdzie żar możesz palcami drugich zagrzebać.

Brühl ruszył ramionami.

— Nic łatwiejszego nad potwarz! — rzekł z westchnieniem.

— A nic czasem podobniejszego do potwarzy nad prawdę — dodał Sułkowski. Gdybym mógł waćpanu objaśnić, jak i za czyją radą wyjechałem nocą z Uebigau, aby uniknąć zgotowanego dla mnie pomieszkania po Hoymie; przekonałbyś się że znam moją sprawę do gruntu.

— Tak — przerwał żywo Brühl — lecz jeśli w istocie znasz do gruntu sprawę, toś książę i to wiedzieć powinien....

Tu się zaciął nieco.

— Że ja także jestem w rękach: ludzi, sił, nazwij to jak chcesz, których narzędziem być muszę.

— Powiedz hrabio, że chcesz być ich narzędziem — rzekł Sułkowski — i właśnie żem ja nie mógł i nie chciał być niczyjém, zostałem strącony. Do téj roli jam stworzony nie był, a waćpan odegrywasz ją jak prawdziwy wirtuoz.

I począł się śmiać cicho.

— Ale książę kochałś króla — rzekł minister rzucając się w inną stronę — nie miłozby było zbliżyć się do niego.

— O! pewnie gdybyście przez lat czternaście pracując nad tą łagodną i flegmatyczną naturą nie uczynili z niej lalki wam posłusznej, nałogowo do spokoju nawykłej i nieumiejącej kochać nikogo, a bawiącej się wszystkiém — westchnął Sułkowski. Patrząc dziś na tę ruinę człowieka, nadto boleśnie. Pomści go przyszłość na pamięci waszój.

Zamilkli znowu — Brühl dodał jeszcze:

— Nie mam sobie nic do wyrzucenia. Zdało mi się że sama Opatrzność sprowadziła nas tutaj, aby zbliżnić do reszty ranę, i krzywdę uczynioną wynagrodzić. Z méj strony wszystko co tylko można było wymyślić, zrobiłem dla spełnienia widoków Opatrzności, aby być posłusznym palcowi Bożemu.

— Bóg i Brühl, jak to brzmi! — rozśmiał się Sułkowski. — Naprawdę pozazdrościłś sławy Zinzendorfowi. W dziwném usposobieniu spotkałem w. ekscelencyą; między luteranizmem saskim, a katolicyzmem polskim. Widać, że te dwa wyznania zeszyły się na granicy i zdublowały, a ztąd taka pobożność!

— Jestem katolikiem — odezwał się Brühl.

— Wiem, w Polsce — odparł Sułkowski — *ratio status*.

Brühl zamilkł.

— A nawet musicie być bardzo gorliwym, gdy was poczciwy Guarini tak proteguje. Mówiąc splunął Sułkowski, pochylił się i przylegnął niemal do szyby ciemnej, chcąc wyjrzyć na podwórze.

Potém słowa niemówiąc, wziął futrzaną czapkę i zostawując Brühla samego, wyszedł z izby do sieni. Wiatr wył ciągle i deszcz lał jak z rynny, pomimo to nie wchodząc już do izby, książę kazał kamerdynerowi zaprzęgać.

Służący chciał protestować.

— Do piérwszój lepszój wsi, gospody, chaty, byle ztąd precz — zawołał. — A prędko!!

I nie wszedł już do gościnnój w którój Brühla pozostawił; wolał sień zimną, a gdy nareszcie po dość długiém oczekiwaniu powóz zaszedł przed ganek, rzucił się doń niecierpliw i pytającemu słudze odparł:

— Dokąd chcesz: wszystko jedno.

Przez oświecone z wnętrza okno gospody widać było cień czyjs, jakby usiłujący dojrzeć w ciemności co się przed domem działo. Powóz Sułkowskiego ruszył, i głowa w oknie znikła.

---

Ten utwór nie jest objęty majątkowym prawem autorskim i znajduje się w domenie publicznej, co oznacza że możesz go swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać. Jeśli utwór opatrzony jest dodatkowymi materiałami (przypisy, motywy literackie etc.), które podlegają prawu autorskiemu, to te dodatkowe materiały udostępnione są na licencji Creative Commons Uznanie Autorstwa – Na Tych Samych Warunkach 3.0 PL.

Źródło: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/kraszewski-bruhl>

Tekst opracowany na podstawie: Józef Ignacy Krzewski, Brühl. Opowiadanie historyczne, tom I-II, nakł. Gebethnera i Wolffa, Warszawa 1875.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>) na podstawie tekstu dostępnego w serwisie Wikiźródła (<http://pl.wikisource.org>). Redakcję techniczną wykonała Paulina Choromańska, natomiast korektę utworu ze źródłem wikiskrybowie w ramach projektu Wikiźródła. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Okładka na podstawie: Erich Ferdinand, CC BY 2.0

ISBN 978-83-288-0411-1

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Nowoczesna Polska – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przekaż 1% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Nowoczesna Polska, KRS 0000070056.

Pomóż uwolnić konkretną książkę, wspierając **zbiórkę na stronie wolnelektury.pl**.

Przekaż darowiznę na konto: **szczegóły na stronie Fundacji**.